

I W O N A K I E N Z L E R

*Ś.
księżna
Daisy*



PANI NA ZAMKACH
W KSIĄŻU
I PSZCZYNIĘ

LIRA
WYDAWNICTWO

I W O N A K I E N Z L E R

*Księżna
Daisy*

PANI NA ZAMKACH
W KSIĄŻU
I PSZCZYNIE

L i R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2023

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023

Konsultacja: Sylwia Łapka-Gołębiowska

Redaktor prowadząca: Ewa Kubiak

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Roman Bąk, Ewa Popielarz

Skład: Igor Nowaczyk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji:

zbiory Muzeum Zamkowego w Pszczynie (obraz „Daisy von Pless z synem”,

autor: Ellis Roberts, olej na płótnie, 1902 r., nr inw. MP/S/1548),

domena publiczna, Wikimedia Commons

Zdjęcie autorki: © Maciej Zienkiewicz Photography

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz



Lira Publishing Sp. z o.o.

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

www.wydawnictwolira.pl

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-50-0 (EPUB); 978-83-67654-51-7 (MOBI)

Wydawnictwa Lira szukaj też na: 

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Spis treści

* * *

Wstęp

Rozdział 1. Dziewczyna zwana Stokrotką

Rozdział 2. Żona, synowa i matka

Rozdział 3. Pani na Pszczynie

Rozdział 4. Stokrotka i wojna

Rozdział 5. W oparach skandalu

Rozdział 6. Echa dawnej świetności

Bibliografia

Przypisy

*Daisy to nie tylko Stokrotka,
księżna, modna dama i trzpiotka.
To postać, co w pamięć zapadła,
serca i wdzięczność wielu skradła.*

*Brylowała w Książu na balach,
na cesarskich tańczyła salach,
słabym i rannym pomagała,
nawet gdy uboga się stała.*

*Zaznała biedy i choroby,
nie ma drugiej takiej osoby,
co od siebie tak dużo dała.
Do dziś jej legenda przetrwała.*

Wstęp

Zamek Książ – perła Dolnego Śląska, a zarazem trzeci pod względem wielkości kompleks zamkowy na terenie Polski – budzi zrozumiałe zainteresowanie i jest jednym z magnesów przyciągających turystów w te rejony. Majestatyczna budowla, wznosząca się nad wąwozem rzeki Pełcznicy, jest interesująca sama w sobie, ale znacznie ciekawsza okazuje się jej historia. Zamek niemal od zarania swego istnienia był widownią wielu dramatycznych wydarzeń historycznych, w tym także wojen. Władali nim Piastowie śląscy, czescy Luksemburgowie, a potem warownia przeszła kolejno w ręce króla Jerzego z Podiebradów i króla Węgier Macieja Korwina. Za panowania tego ostatniego zamkiem zarządzał Georg von Stein, który przebudował gruntownie zamek, zmieniając jego charakter z obronnego na rezydencjalny. W 1497 roku obiekt przeszedł na własność polskiego króla Kazimierza Jagiellończyka, który w 1508 roku przekazał go we władanie kanclerzowi Haugwitzowi, a ten z kolei odsprzedał go rycerzowi Konradowi von Hochberg. W ten właśnie sposób Książ stał się własnością rodu, który zamieszkiwał w nim aż do czasu, kiedy zamek skonfiskowały władze III Rzeszy. To Hochbergowie przyczynili się do największego rozkwitu posiadłości.

Dziś zamek przyciąga nie tylko pięknem architektury i ogrodami, malowniczo ulokowanymi na trzynastu tarasach okalających budowlę, ale także aurą tajemniczości. Najwięcej emocji wśród turystów i żądnych sensacji dziennikarzy, a także wszelkiego rodzaju poszukiwaczy przygód i skarbów budzą jednak najnowsze dzieje warowni, a zwłaszcza jej losy z czasu II wojny światowej. W planach nazistów Książ miał wejść w skład jednego z najbardziej zagadkowych,

a zarazem największych projektów III Rzeszy – kompleksu Riese. Miało to być system kwater wojskowych i obiektów strategicznych, na którego realizację, jak współcześnie skrupulatnie obliczono, zużyto znacznie więcej betonu niż na budowę schronów przeciwlotniczych dla ludności cywilnej na terenie całej III Rzeszy. Setki więźniów obozu wzniesionego w pobliżu pracowało ponad siły w zamkowych podziemiach przy kopaniu tuneli oraz innych konstrukcji, których przeznaczenia do dziś nie udało się ustalić. Jak twierdzą znawcy tematu, współcześnie znane tunele i korytarze, o powierzchni 3 tysięcy metrów kwadratowych, są jedynie częścią podziemnych konstrukcji stworzonych tu przez hitlerowców – reszta została albo zniszczona, albo umiejętnie zamaskowana. Trudno się zatem dziwić, iż podziemia zamkowe obrosły całą masą legend, mitów i teorii spiskowych. Ponoć pod Dziedzińcem Honorowym ukryty jest ogromny dworzec, w którym znajduje się słynny Złoty Pociąg, a we wciąż nieodnalezionych skrytkach, schowkach i tajemniczych pomieszczeniach mają się mieścić archiwa z czasów II wojny światowej, a także zrabowane przez hitlerowców skarby europejskiej kultury i sztuki, w tym słynna Bursztynowa Komnata.

Ale do Książa turystów przyciąga nie tylko ponura sława kompleksu Riese i dreszczyk emocji związany z ukrytymi tam ponoć skarbami. Równie silnym magnesem jest najstynniejsza lokatorka zamku – księżna Daisy, a właściwie Maria Teresa Oliwia Hochberg von Pless, bo tak brzmiało jej pełne nazwisko. Dziewczyna nie lubiła swych chrzcielnych imion i na co dzień używała przezwiska nadanego jej przez najbliższych – Daisy, czyli Stokrotka. Urodzona w angielskiej arystokratycznej rodzinie Cornwallis-West, mogącej się poszczycić królewskimi przodkami, ale niedysponującej funduszami na zapewnienie młodej panie stosownego posagu, zawitała na Śląsk w 1892 roku, krótko po ślubie z Janem Henrykiem XV Hochbergiem, synem i potencjalnym spadkobiercą olbrzymiej fortuny swego rodu. Zawarte w grudniu poprzedniego roku małżeństwo było typową dla owych czasów „transakcją związaną”. Daisy wносиła do rodziny swego męża królewskie pochodzenie, co znacznie podnosiło prestiż Jana Henryka i jego krewnych, natomiast on miał zapewnić jej życie w luksusie. I faktycznie tak było – przed Hochbergami stanęły otworem

wszystkie europejskie dwory, a sama księżna wiodła beztrudne życie otoczonej zbytkami arystokratki. Przedsmak tego, co ją czeka, mogła poczuć już w dniu ślubu, jako że do ołtarza szła w podarowanej jej przez teścia koronie wysadzonej brylantami, a służba jej męża zwracała się do niej per „Wasza Wysokość”. Obsypywana przez małżonka kosztownymi prezentami, Daisy podróżowała po Europie, brylowała na salonach i dworach, budząc podziw przedstawicieli obu płci. Doskonale wpisująca się w kanony piękna obowiązujące na przełomie XIX i XX wieku, księżna była celebrytką owych czasów i gdyby żyła dzisiaj, zapewne nie schodziłaby ze szpalt tabloidów i głównych stron portali internetowych. Słynęła z dobrego gustu, pięknych strojów, na które nie szczędziła pieniędzy i które kupowała zazwyczaj w najdroższych paryskich czy londyńskich salonach mody, oraz ze wspaniałej biżuterii. Sporządzane co jakiś czas spisy posiadanych przez nią klejnotów, naszyjników, diademów czy broszek do dziś mogą przyprawić o zawrót głowy.

Czy jednak pozornie rozpieszczana przez męża księżna, której nie brakowało ptasiego mleka, była szczęśliwa? Czy dane jej było poznać smak prawdziwej miłości? Mogłoby się wydawać, że tak, a przynajmniej takie wrażenie mogli odnieść postronni, ale były to tylko pozory. Zawarte z rozsądku i wyrachowania małżeństwo nie było szczęśliwe. Wkrótce po ślubie okazało się, że jedynym, co łączy Daisy i jej męża, jest zamiłowanie do podróży i pasja do wydawania pieniędzy. Na domiar złego kobieta bardzo źle się czuła w ojczyźnie swojego małżonka i do końca życia nie nauczyła się dobrze władać językiem Goethego i Schillera. Krewnych i rodaków Jana Henryka gorszyła swoim nieszablonowym, a zdaniem wielu wręcz skandalicznym zachowaniem. Jej nader swobodny styl życia, połączony z wrodzonym poczuciem humoru i skłonnością do płatania figli, drażnił poukładanych do bólu Niemców, od dziecka przyzwyczajonych do sztywnych zasad pruskiego rygoru. Księżna nie była kobietą dającą się zamknąć w czterech ścianach bogatego domostwa ani ograniczającą swą rolę do towarzyskiej ozdoby bogatego małżonka. Podobnie jak wiele dam z wyższych sfer realizowała się w działalności charytatywnej, ale jej podejście do filantropii było rewolucyjne i wyprzedzało epokę, w której przyszło jej żyć. Co więcej, w czasach,

gdy kobiety nie miały praktycznie żadnych praw, Daisy poważyła się parć dziedziną od wieków zastrzeżoną dla mężczyzn – polityką. Jako urodzona pacyfistka czynnie angażowała się w negocjacje pokojowe z darzącym ją sympatią cesarzem Wilhelmem II, naiwnie wierząc, że władca, tak samo jak zdecydowana większość Europy, pragnie pokoju. A kiedy jej wysiłki spełzły na niczym, przywdziała mundur pielęgniarski i pognąła na front opiekować się rannymi żołnierzami.

Tej niebanalnej kobiecie życie nie szczędziło bolesnych razów. Daisy straciła dwójkę dzieci: pierworodną córkę i najmłodszego syna, a sama zmagą się z nieuleczalną chorobą, która w końcu skazała ją na inwalidztwo. Musiała też znosić niewierność męża (choć ostatecznie zdecydowała się na rozwód), liczne skandale gnębiące w dobie międzywojnia jej rodzinę, a także poważne problemy finansowe, bowiem na skutek poczynań Jana Henryka XV olbrzymia fortuna Hochbergów stopniała niczym śnieg w promieniach wiosennego słońca. Poznajmy zatem dzieje niezwykłej kobiety, przez bliskich zwanej Stokrotką, której przyszło żyć w epoce wielkich zmian historycznych i obyczajowych.



W. & D. DOWNEY
PHOTOGRAPHERS



LONDON & NEWCASTLE
TO THE QUEEN

Patsy Cornwallis-West z dziećmi. Od prawej: Daisy, Shelagh i Georg; W&D Downey, Londyn

Rozdział 1

Dziewczyna zwana Stokrotką

Książęce zmartwienia

Książę Jan Henryk XI z troską przyglądał się poczynaniom swojego pierworodnego syna. Starał się wychować go na odpowiedzialnego, rozsądnego człowieka – zasługującego na miano głowy rodu Hochbergów, a zarazem pana na Pszczynie i Książu, który w przyszłości przejmie jedną z największych fortun w ówczesnej Europie.

Jan Henryk (niem. Hans Heinrich) XV książę von Pless z rodu Hochberg urodził się 23 kwietnia 1861 roku jako pierwszy syn Jana Henryka XI. Chłopiec odziedziczył po ojcu nadane mu na chrzcie imiona, a w przyszłości miał również odziedziczyć księstwo pszczyńskie. W rodzie Hochbergów od XVII wieku istniała dość osobliwa tradycja nadawania wszystkim męskim potomkom tego samego zestawu imion: „Jan Henryk”, przy czym, jak wyjaśnia Jerzy Polak w swojej monografii *Poczet panów i książąt pszczyńskich. Od Fryderyka Erdmanna Anhalta do Jana Henryka XV Hochberga*, numeracja towarzysząca owym imionom „oznaczała kolejność urodzeń synów o tym samym imieniu w rodzie”¹. Stąd też zauważalna niekonsekwencja w numerach kolejnych hrabiów, a później książąt rodu Hochberg. I tak Jan Henryk XI był wprawdzie synem Idy von Stechow i jej męża z rodu Hochbergów, także noszącego imiona Jan Henryk, wraz z przysługującą mu cyfrą rzymską X. Ale już jego dziadek po mieczu nie był, jak wskazywałaby logika, Janem Henrykiem IX, tylko VI. Jak wyjaśnia Jerzy Polak, Jan Henryk X, ojciec Jana Henryka XI, był dopiero czwartym dzieckiem, a zarazem trzecim synem swoich rodziców. Jego „dwaj starsi bracia zmarli zaraz po urodzeniu (Jan Henryk VIII urodził się w sylwestra 1795 r. i zmarł w Nowy Rok, Jan Henryk IX w 1802 r.)”². Niestety w tym całym galimatiasie zagubił się Jan Henryk VII, którego tożsamości nie udało się ustalić – być może zmarł zaraz po urodzeniu,

a może po prostu urodził się martwy. Zgodnie z tradycją rodzinną trzeciemu synowi Jana Henryka VI i jego żony Idy, który notabene pochodził z bliźniaczej ciąży i miał siostrę Charlotte, nadano zwyczajowo dwa imiona i przeszedł do historii rodu jako Jan Henryk X. Na szczęście tym razem zły los nie zabrał Idzie i jej mężowi kolejnego dziecka i urodzony 18 grudnia 1806 roku chłopiec chował się cało i zdrowo, a rodzice wiązali z nim niemałe nadzieje. Trzeba przyznać, że Jan Henryk X spełnił je, i to z nawiązką, gdyż to właśnie on położył podwaliny pod przyszłą potęgę rodu i sprawił, że kolejne pokolenia rodziny znalazły się blisko tronu Prus i cesarzy niemieckich, zaś jego prawnuk cieszył się przyjaźnią samego Wilhelma II. A przecież w czasach, kiedy Jan Henryk X przejął księstwo, fortuna Hochbergów była już mocno nadszarpnięta przez targające ówczesną Europą zawirowania dziejowe: rewolucję francuską, wojny napoleońskie i Wiosnę Ludów. Jak czytamy, majątek hrabiego Jana Henryka VI pod koniec jego życia wyceniono „na ponad 430 tys. talarów. Jego długi sięgały sumy prawie 0,5 mln talarów. Praktycznie oznaczało to bankructwo. Aby ratować sytuację, część dóbr sprzedano [...]. Ostatnie lata życia hrabia Hans Henryk VI spędził bez faktycznego wpływu na majątek”³. Sytuacja uległa zmianie już w następnym pokoleniu, właśnie za sprawą Jana Henryka X.

Początki, dziś już nieistniejącego, Księstwa Pszczyńskiego (niem. Fürstentum Pless), ze stolicą rodową w Pszczynie, sięgają czasów średniowiecza. Początkowo była to kasztelania, którą z czasem włączono do księstwa opolskiego, a w 1517 roku tereny te stały się prywatną własnością węgierskiego rodu Turzonów, by potem jeszcze kilkakrotnie zmienić właścicieli. I tak ziemia pszczyńska przechodziła kolejno do rąk Promnitzów i rodu Anhalt-Cöthen (Anhaltowie z linii Cöthen, spotykana jest także pisownia Köthen), należącego do tak zwanej wyższej szlachty Rzeszy i dzięki małżeństwom spokrewnionego z Promnitzami. Za czasów Anhaltów król podniósł ziemię pszczyńską, wcześniej mającą status wolnego państwa stanowego, do rangi księstwa. Jego właściciele dodali wówczas do nazwiska „von Pless”, czyli „z Pszczyny”, bowiem Pless to niemiecka nazwa tego miasta. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że w połowie XIX stulecia ród władający księstwem wygasł. Jego ostatni męski przedstawiciel,

Henryk von Anhalt-Cöthen, zdając sobie sprawę z tego, iż umrze bezpotomnie, zawarł umowę sukcesyjną ze swoim siostrzeńcem, Janem Henrykiem X Hochbergiem z Książa koło Wałbrzycha. Ścisłe związany ze Śląskiem ród Hochbergów, którego przedstawiciele przybyli na Śląsk w XIII stuleciu z sąsiedniej Saksonii i służyli jako rycerze na dworach piastowskich książąt, już w XIII wieku należał do najmożniejszych rodzin w księstwie świdnicko-jaworskim. Dwieście lat później Hochbergowie podzielili się na dwie linie: szlachecką z Dobrocina (niem. Güttnansdorf koło Dzierżoniowa) i hrabiowską z Książa (Fürstenstein) koło Wałbrzycha oraz Roztoki (Rohnstock). Przez cztery stulecia, a więc od czasów, kiedy w 1509 roku rycerz Conrad von Hochberg kupił majątek Książ, siedzibą linii hrabiowskiej był zamek Książ, pierwotnie zwany Książęcą Górą, a potem – Książęcym Kamieniem. Co ciekawe, istniały trzy obowiązujące i równoprawne wersje nazwiska: Hoberg, Hohberg i Hochberg, przy czym, jak ustalili historycy, początkowo nazwisko rodu brzmiało Hoberg.

Ostatni, a przy tym bezdzietny władca Pszczyzny z rodu Anhalt-Cöthen przekazał księstwo swojemu krewnemu w zamian za roczną rentę w wysokości 30 tysięcy talarów. Dla Hochberga bez wątpienia był to interes życia. W 1847 roku Jan Henryk X przejął od swego zmarłego wówczas wuja ziemie obejmujące znaczną część Śląska: miasta Bieruń, Mysłowice i Mikołów, a także kilkadziesiąt wsi. W rezultacie jego terytorium rozciągało się aż po dzisiejsze południowe dzielnice Katowic i Rudy Śląskiej. Na terenie księstwa leżały nie tylko żyzne pola uprawne oraz bujne i bogate w zwierzynę lasy, ale także dochodowe przedsiębiorstwa: działający od 1613 roku i sukcesywnie rozbudowywany browar, huta żelaza z wielkim piecem, którą na początku XVIII stulecia założył Baltazar Erdmann Promnitz, oraz huta szkła w Wesołej, skąd zresztą pochodziła część żyrandoli zainstalowanych w pszczyńskim pałacu. Tuż obok w 1789 roku powstała również huta cynku, gdzie produkowano ten metal metodą opracowaną przez Johanna Christiana Ruberga. Pszczyńscy panowie inwestowali także w górnictwo węgla kamiennego, zresztą na tym terenie istniała jedna z pierwszych działających na Śląsku kopalni – Emanuelssegen (późniejsza nazwa: Murcki). Janowi Henrykowi X po śmierci wuja dostała się zatem istna żyła złota. Już w 1848 roku

otrzymał tytuł księcia Pszczyzny, aczkolwiek stosowny dokument potwierdzający owo nadanie został wydany dopiero dwa lata później. W 1852 roku król powołał go do Izby Panów, czyli wyższej izby pruskiego parlamentu. Podczas inauguracyjnego posiedzenia Jan Henryk X został jej pierwszym przewodniczącym. Tytuł książęcy, Fürst von Pless, podobnie jak samo księstwo, był dziedziczny – na zasadzie majoratu⁴, czyli przechodził z ojca na jego najstarszego syna. Jan Henryk X okazał się dobrym gospodarzem, ale prawdziwy rozkwit księstwa nastąpił dopiero za czasów jego najstarszego syna i spadkobiercy, Jana Henryka XI, który władzę w księstwie, oczywiście wraz z tytułem, przejął po przedwczesnej śmierci swojego ojca w 1855 roku. Pomimo że miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, okazał się wyśmienitym gospodarzem, obdarzonym smykałką do biznesu. Dzięki jego działalności majątek rodzinny jeszcze się powiększył – na przełomie XIX i XX stulecia należały do niego nie tylko rozległe, odziedziczone po przodkach posiadłości ziemskie, ale także dziewięć kopalń węgla kamiennego, dwie elektrownie, trzy gorzelnie, cukrownia, fabryka papieru, dwa kamieniołomy, wspomniany już browar w Tychach oraz trzydzieści dwa procent akcji Browaru Obywatelskiego w tym mieście. Nawiasem mówiąc, ten ostatni został wzniesiony w latach 1895–1897 z inicjatywy spółki Brieger Aktien Brauerei-Gesellschaft jako konkurencja dla należącego do księcia browaru. Jan Henryk XI dość szybko uporał się z rywalem, wykupując akcje przedsiębiorstwa. Tyskie browary były oczkiem w głowie tego przedsiębiorczego arystokraty, a on sam uważał je za swój największy życiowy sukces. Chcąc jak najlepiej poznać tajniki piwowarskiej profesji, często przychodził na teren zakładu, ale bynajmniej nie po to, by kontrolować proces produkcji, tylko by... pomagać fizycznie przy pracach! Potrafił też skutecznie sprzedawać produkowany przez siebie trunek. Zabdał między innymi o to, by tyskie piwo było jednym z napojów serwowanych w trakcie uroczystego otwarcia wieży Eiffla w Paryżu. Pomimo braku ekonomicznego wykształcenia błyskawicznie reagował na zmiany na rynku – kiedy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX stulecia wybuchł kryzys w światowym hutnictwie, zlikwidował funkcjonujące na terenie jego włości huty i zamiast inwestować w przemysł ciężki, postawił na gospodarkę leśną.

To właśnie dochody z tej działalności stały się jednym z filarów książecego budżetu. Jan Henryk XI nie zaniedbywał też rolnictwa: na terenie księstwa funkcjonowały dwadzieścia cztery folwarki, na bieżąco elektryfikowane. Książę był także jednym z nielicznych magnatów niemieckich bez długów w bankach – dochody z browarnictwa, a przede wszystkim z gospodarki leśnej wystarczały nie tylko na życie w luksusie, ale i na pokrycie kosztów nowych inwestycji. Pan na Pszczynie słynął też ze swojej działalności charytatywnej: ufundował szpital joannitów w Pszczynie (dziś już nieistniejący) oraz gimnazjum (obecnie Liceum im. Bolesława Chrobrego), a 24 tysiące marek przekazał na budowę nowego kościoła katolickiego w Bojszowach, pomimo iż sam był ewangelikiem.

Ponieważ pasją księcia były polowania, dbał o to, by w należących do niego lasach nie zabrakło zwierzyny. W tym celu sprowadzał do nich daniela czy egzotyczne jelenie sika z Japonii, które – w przeciwieństwie do sprowadzonych z Berchtesgaden jeleni wapiti – szybko się zaaklimatyzowały. Zainicjował także hodowlę żubrów – w 1865 roku w zamian za dwadzieścia jeleni car Aleksander II ofiarował mu żubry z Białowieży, a konkretnie byka i cztery krowy, które stały się podwaliną pszczyńskiego stada. W efekcie, kiedy w Drugiej Rzeczypospolitej zabierano się do restytucji żubra w Białowieży, gdzie te piękne zwierzęta zostały wytrzebione, w lasach pszczyńskich bytowało stado złożone z czterdziestu dwóch osobników. Do Pszczyny chętnie zjeżdżali arystokraci i koronowane głowy z całej Europy – głównie po to, by oddać się ulubionej rozrywce wyższych sfer, czyli polowaniom. Zresztą sam książę w 1873 roku otrzymał dożywotni tytuł wielkiego łowczego królewskiego, który wiązał się z obowiązkiem organizacji królewskich polowań. Mianowano go też szefem cesarskiego urzędu łowieckiego. Nie były to zresztą wszystkie zaszczyty i godności, jakie spłynęły na Jana Henryka XI – w 1905 roku cesarz Wilhelm II nadał mu, wprawdzie tylko dożywotnio, najwyższy niemiecki tytuł książe: „Herzog” (wyższą rangę miał jedynie „Erzherzog” – arcyksiążę, przeznaczony wyłącznie dla członków domu Habsburgów). Odtąd pan na Pszczynie tytułował się „Herzog von Pless”.

Wprawdzie potomek Jana Henryka XI nie mógł odziedziczyć tego ostatniego tytułu, ale za to miał przejąć ziemskie włości swojego

utytułowanego i wielce zasłużonego ojca. Zanim opowiemy o pierworodnym synu księcia Jana Henryka XI, wyjaśnijmy, dlaczego przy jego imionach widnieje rzymska cyfra XV, a nie – jak dyktuje logika – XII, zwłaszcza że był synem pierworodnym i nie miał starszych, przedwcześnie zmarłych braci. Otóż numery dwunasty, trzynasty i czternasty nosili trzej młodszy bracia Jana Henryka XI: urodzony w 1833 roku Jan Henryk XII, który zmarł zaledwie po czterech miesiącach od przyjścia na świat; Jan Henryk XIII Konrad, który urodził się w 1837 roku; oraz urodzony w 1843 roku Jan Henryk XIV Bolko Hochberg – dyplomata i kompozytor. Nie wiadomo, czym kierowali się członkowie rodu Hochbergów, nadając te same imiona swoim męskim potomkom, ale z całą pewnością nie brali pod uwagę problemów, jakie w przyszłości sprawi ta kwestia ich biografom.

Jan Henryk XI, mając na względzie nie tylko dobro swojego najstarszego potomka, ale także przyszłość rodu i należących do niego od pokoleń ziem, dołożył wszelkich starań, by jego następca i jedyny spadkobierca otrzymał solidne wykształcenie. Początkowo, tak jak to było w zwyczaju pruskiej arystokracji, przyszły książę pszczyński korzystał z dobrodziejstw domowej edukacji, ucząc się pod okiem starannie dobranych przez ojca guwernerów, ale z czasem trafił do ekskluzywnego Gimnazjum św. Magdaleny we Wrocławiu. Tam też jesienią 1879 roku zdał maturę. Jan Henryk wprawdzie nie błyszczał w gronie uczniów owej szacownej placówki, ale był dobrym i pojętym uczniem. Już po maturze, również z woli ojca, rozpoczął studia uniwersyteckie w Berlinie, Genewie i Bonn, gdzie zgłębiał nauki ekonomiczne. Jan Henryk XI celowo obrał taką drogę dla swego spadkobiercy – nauka na renomowanych uczelniach miała przygotować młodego księcia do zarządzania olbrzymim majątkiem rodzinnym. Niestety młodzieńca bardziej niż opasłe tomiska omawiające zagadnienia gospodarki i ekonomii interesowało bujne życie towarzyskie i trwonienie ojcowskich pieniędzy. Przyczyn owych skłonności można upatrywać w dzieciństwie Jana Henryka, który dorastał w atmosferze luksusu, pławiąc się w dostatkach. Jego ojciec był jednym z najbogatszych ludzi nie tylko w Niemczech, ale wręcz w całej Europie – majątek pana na Pszczyńcu szacowano na, bagatela, 95 milionów marek. W dodatku rocznie przynosił aż 1 milion marek zysku.

Jak podaje przywoływany wcześniej Jerzy Polak, bogactwo księcia plasowało go na piątym miejscu zestawienia „najbogatszych ludzi Niemiec. Na pierwszym miejscu był potentat finansowy Krupp von Bohlen, na drugim ksiązę Henckel von Donnersmarck, a na czwartym baron Rotschild. Tym samym Jan Henryk XI był po Donnersmacku najbogatszym człowiekiem na niemieckim Śląsku”⁵.

Wprawdzie Jan Henryk XV miał w przyszłości odziedziczyć wspomnianą fortunę i rodowe dobra, ale ponieważ jego ojciec był mężczyzną w sile wieku i nie zamierzał przechodzić w stan spoczynku, trzeba było znaleźć młodemu człowiekowi jakieś zajęcie. Przedsiębiorczy Jan Henryk XI postanowił, że jego syn zrobi karierę w działalności publicznej. Pierwszym etapem miała być służba wojskowa w armii cesarskiej, do której młody ksiązę wstąpił w 1881 roku, by służyć jako tak zwany ochotnik jednoroczny w królewskim regimencie huzarów, a następnie w elitarnym regimencie huzarów gwardii, gdzie służbę odbywali wyłącznie synowie arystokracji. Wprawdzie kariera wojskowa nie była powołaniem Jana Henryka, ale do końca życia pozostał w nim pewien sentyment do armii – bardzo lubił paradować w mundurze huzarów i podtrzymywał kontakty z różnego rodzaju związkami wojskowymi oraz militarnymi. Ukończywszy w 1882 roku służbę wojskową, młodzieniec wyruszył w trwającą sześć lat podróż zagraniczną, w trakcie której odwiedził Indie oraz Amerykę Północną. Nie tylko zwiedzał, ale także romansował, uwodząc tamtejsze piękności, i trwonił majątek. Wyjątkowo spodobało mu się w Stanach Zjednoczonych; nawet zakochał się w pewnej Amerykance, z którą zapragnął się ożenić, ale ojciec nie wyraził na to zgody. Nie uchodziło, żeby syn niemieckiego księcia i jednego z najbogatszych ludzi w Europie żenił się z jakąś amerykańską przybłędą. O ile jednak stary ksiązę, jak zaczęto wówczas nazywać Jana Henryka XI – pomimo że w 1885 roku skończył dopiero pięćdziesiąt dwa lata – nie chciał, aby jego pierworodny żenił się z Amerykanką, o tyle nie miał nic przeciwko temu, żeby objął on niemiecką placówkę dyplomatyczną w USA. Ze zrozumiałych względów młody człowiek, niemający żadnego doświadczenia w dyplomacji, nie mógł od razu przejąć posady ambasadora. Dzięki protekcji ojca i jego interwencji u samego kanclerza Bismarcka Jan

Henryk XV odbył więc staż w berlińskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych (niem. Auswärtiges Amt), gdzie zetknął się z księciem Wilhelmem Hohenzollernem, późniejszym cesarzem Wilhelmem II. Jako że syn Fryderyka III Hohenzollerna był starszy od arystokraty z Pszczyzny tylko o dwa lata, młodzieńców szybko połączyła przyjaźń. Przyszły cesarz z pewnością nie towarzyszył Janowi Henrykowi w jego podbojach miłosnych, bo kobiety w życiu Wilhelma odgrywały raczej marginalną rolę. Był on wręcz podejrzewany o homoseksualizm, podczas gdy dziedzic Pszczyzny uchodził za typowego uwodziciela – na zabawę i kobiety wydawał krocie, zaciągając przy tym długi, które spłacał jego zamożny ojciec.

W 1886 roku, po zakończeniu stażu w ministerstwie, Jan Henryk XV objął stanowisko attaché w poselstwie niemieckim w Brukseli, a rok później – w ambasadzie w Paryżu, natomiast po zdaniu państwowego egzaminu dyplomatycznego w 1888 roku i uzyskaniu tytułu sekretarza został wysłany do ambasady niemieckiej w Londynie. Tam przepracował kolejny rok, by w sierpniu 1891 roku udać się z misją dyplomatyczną do Petersburga.

Wydawałoby się, że stary książę powinien być zadowolony z takiego rozwoju wydarzeń, wszak jego syn robił karierę w dyplomacji. Jednak pana na Pszczyźnie martwił hulaszczy tryb życia pierworodnego i jego beztroski stosunek do wydawania pieniędzy, czego widowym dowodem byli wierzyciele upominający się o spłatę długów zaciąganych bez umiaru przez młodego dyplomata. Jan Henryk XI naiwnie sądził, iż małżeństwo skutecznie wyleczy jego syna z tych nagannych skłonności, dlatego rozglądał się za odpowiednią kandydatką na synową. Niestety książę nie palił się do ożenku, pomimo że ojciec próbował go zeswatać z którąś z niemieckich księżniczek. Żadna nie przypadła młodzieńcowi do gustu...

W tym czasie wśród niemieckiej arystokracji, a szczególnie w gronie jej męskich przedstawicieli, panowała istna anglomania – noszono się na angielską modłę, czytano angielską literaturę i zatrudniano angielskie guwernantki. Samych Anglików nieco to śmieszyło, czego dowodzi chociażby wzmianka zamieszczona w jednej z brytyjskich gazet: „Tenis, golf, jazda na rowerze, żeglownanie, polowania – w zasadzie każdy rodzaj aktywności na świeżym powietrzu – stały się

teraz pasją nowej generacji, która w wielkim stopniu bezkrytycznie naśladowuje Anglików, także w ich głupocie i wadach”⁶. Co więcej, w wielu arystokratycznych niemieckich domach na co dzień używano mowy Byrona. Wspomniana moda dotyczyła również żon, gdyż niemieccy kawalerowie właśnie na Wyspach szukali swoich przyszłych partnerek i matek swoich dzieci. Anglomania dotarła i do Pszczyzny – wszyscy czterej synowie Jana Henryka XI zdradzali anglofilskie zamiłowania, co spotkało się z potępieniem ze strony samego cesarza. Stary książę wprawdzie marzył, by jego pierworodny ożenił się z jakąś panną z arystokracji niemieckiej, najlepiej księżniczką, ale kiedy dowiedział się, że najstarszemu synowi wpadła w oko pewna piękna angielska arystokratka, odetchnął z ulgą. Dziewczyna nie wywodziła się z zamożnej rodziny, ale miała oszałamiający rodowód, a to była rzecz nie do pogardzenia. „Rodzina Plessów jest jedną z najbogatszych w Prusach, lecz – choć bardzo szanowana – nie należy w Niemczech do mediatyzowanych rodów i jest niższa rangą od takich rodzin jak Hohenlohowie, Löwensteinowie lub Solmsowie, które były kiedyś rodami panującymi – wyjaśniał swoim rodakom autor artykułu zamieszczonego na łamach angielskiej gazety „The Lady’s Realm” – Wielu członków szlachty z tytułem hrabiowskim jest przeto wyższymi rangą niż Plessowie”⁷.

W 1891 roku Jan Henryk XV, wówczas na stanowisku sekretarza, wziął udział w balu otwierającym sezon, na którym jego uwagę przykuła pewna olśniewająca panna, właśnie wchodząca do towarzystwa: Maria Teresa Oliwia Cornwallis-West, zwana przez najbliższych Daisy – Stokrotką. Nie była to jednak miłość od pierwszego wejrzenia, niemiecki arystokrata nie ujrzał też w urodziwej dzierlatce materiału na żonę. Jak się przekonamy, został niejako przymuszony do oświadczyń przez sprytną matkę dziewczyny.

*„Rewia Dzikiego Zachodu”,
czyli dzieciństwo w świecie
angielskiej socjety*

Maria Teresa Oliwia Cornwallis-West urodziła się 28 czerwca 1873 roku na zamku Ruthin w hrabstwie Denbighshire w Walii, do dziś cieszącym się jak najbardziej zasłużoną opinią jednej z najpiękniejszych budowli w Walii. Ze wzgórzem wznoszącym się około stu stóp powyżej doliny Clwyd związana jest jedna z mniej znanych arturiańskich legend. Według tego podania właśnie tam król Artur miał się spotykać z jedną ze swoich kochanek. Na schadzkę udał się w przebraniu, ale został rozpoznany przez piktyjskiego wojownika Hueila mab Cawa, który powążył się na rzecz niebywałą – wydrwił króla. Obrażony władca nakazał go pojmać i skazał na śmierć. Następnie ściął go osobiście na kamieniu, który do dziś można oglądać w centrum miasta Ruthin. Tyle legenda. Zgodnie z ustaleniami historyków i archeologów początki zamku sięgają 1277 roku, kiedy został wzniesiony dla angielskiego króla Edwarda przez Dafydd, brata księcia Llewelyna ap Gruffudd, i pierwotnie był znany jako Castell Coch yn yr Gwernfot, czyli Czerwony Zamek na Wielkich Bagnach. Początkowo miał służyć jako twierdza obronna, a nawet wchodził w skład tak zwanego Żelaznego Pierścienia, czyli zespołu twierdz przeznaczonych przez Edwarda I do obrony przed Walijszykami, ale praktycznie nigdy nie wykorzystywano go do tego celu. Przez cały okres swego istnienia zamek był rezydencją mieszkalną. Budowla przechodziła z rąk do rąk, by w drugiej połowie XVII stulecia stać się własnością rodu Myddletonów, którego członkowie przekształcili zrujnowany już wówczas zamek w rezydencję rodową z prawdziwego zdarzenia. W XIX wieku Ruthin przeszedł na własność rodziny Cornwallis-Westów, z której pochodziła Daisy.

Rodzina małżonki Jana Henryka XV mogła się pochwalić nader dobrymi korzeniami, gdyż wywodziła swój rodowód od samego Henryka III Plantageneta, władającego Anglią w latach 1216–1272. Nie był to jednak jedyny zacny przodek przyszłej pani na Pszczyńie i Książu. Inny, rycerz Roger de la Warr, który brał udział w bitwie pod Poitiers, osobiście pojmał króla Francji Jana II Dobrego, by przekazać go księciu Walii. Przy tej okazji oznajmił mu: „To najpiękniejszy dzień mego życia!” („C'est le plus beau jour de ma vie”). Wypowiedziane wówczas zdanie stało się z czasem zawołaniem połączonych rodów West i de la Warr. Pojmanie Jana II Dobrego nie było jedynym

osiągnięciem Rogera, bitnego i dzielnego wojownika – dziesięć lat wcześniej brał udział w batalii pod Crécy i to właśnie on zjął koronę z głowy pokonanego wówczas króla Francji Filipa VI Walezjusza. Innym znanym antenatem Daisy był baron Thomas West de la Warr, w latach 1610–1611 gubernator amerykańskiej kolonii Wirginia. To od jego nazwiska pochodzi nazwa stanu Delaware.

W czasie, gdy Daisy przyszła na świat, Cornwallis-Westowie nie zaliczali się już do zamożnych ludzi, co nie znaczy, że nie byli przyjmowani w kręgach angielskiej socjety. O „ubóstwie” rodziny świadczył chociażby fakt zarządzania posiadłościami: wspomnianym wcześniej Ruthin Castle oraz Newlands Manor w Hampshire. Z pamiętników prowadzonych przez przyszłą żonę księcia Jana Henryka XV wynika, że jej rodzice tworzyli zgodne i kochające się małżeństwo, pomimo że dzieliła ich spora różnica wieku, a pod względem usposobienia i temperamentów różnili się jak ogień i woda. Wysoki, bo mierzący sześć stóp i trzy cale, a więc niespełna dwa metry, pułkownik William Cornwallis-West był chodzącym uosobieniem angielskiej flegmy. Spokojny, oddany rodzinie, stronił od życia towarzyskiego, preferując malowanie obrazów w zaciszu domowym. „Pułkownik West był typowym staroświeckim gentlemanem, niezbyt może sprytnym, ale za to bardzo uczciwym – wspominała znajoma rodziny, pani Claude Beddington. – Większość życia spędził, służąc, jak najlepiej potrafił, swojemu hrabstwu, udzielając się w lokalnym rządzie, prowincjonalnej armii i tysiącu innych sprawach, przeważnie żmudnych, bezwzględnych i wymagających wiele zachodu. W życiu prywatnym był oddanym mężem i ojcem, jak również uprzejmym gospodarzem i szarmanckim przyjacielem. Przez wszystkie lata, kiedy go znałam, nie usłyszałam od niego ani jednego nieuprzejmego lub pogardliwego słowa w odniesieniu do kobiet. Jego osobowość przypominała mi zawsze cudowną postać «Pułkownika Newcome’a» z noweli Thackeraya [chodzi o postać prawego i szlachetnego pułkownika Thomasa Newcome’a, jednego z bohaterów dwutomowej powieści, a nie noweli, Williama Makepeace’a Thackeraya z 1855 roku *Rodzina Newcome’ów* – I.K.]”⁸. Ojciec Daisy był zauroczony Włochami, ich historią i sztuką, zwłaszcza malarstwem doby renesansu. O tę słabość obwiniął swoją nianię, rodowitą Włoszkę, która opiekowała się

nim od urodzenia. A trzeba dodać, że William Cornwallis-West urodził się we Florencji w 1835 roku. W dorosłym życiu starał się jak najczęściej wyjeżdżać do Italii, skąd przywoził głównie obrazy. Z woli rodziców – podobnie jak jego starszy brat, a zarazem dziedzic rodzinnych włości, Frederick Arthur – ukończył Eton College, a potem studiował prawo i miał zostać adwokatem w Lincoln's Inn. Nie zdecydował się jednak na adwokaturę, bowiem miłość do Włoch i tamtejszej sztuki wzięła górę nad miłością do prawa. W 1862 roku William wyjechał do Florencji, gdzie miał zamiar prowadzić życie artysty malarza. Ponieważ jednak uznał, iż musi szlifować swoje umiejętności, godzinami przesiadywał w Galerii Uffizi i kopiował dzieła starych mistrzów. Kto wie, może w końcu zaistniałby jako artysta, gdyby jego starszy brat nie umarł niespodziewanie w 1868 roku. William został wezwany przez matkę do powrotu na Wyspy, by przejąć rodzinne oraz publiczne funkcje związane z pozycją pana na Ruthin, a przede wszystkim – zarządzanie majątkiem. Nigdy jednak nie porzucił swojej malarskiej pasji, a goście jego rezydencji często widywali go z pędzlem i paletą.

William wprawdzie nie był człowiekiem wyjątkowo zamożnym, ale majątek, jakim dysponował, pozwalał na zakup cennych obrazów, zwłaszcza że ówczesny rynek sztuki był wręcz przeładowany różnymi dziełami i cennymi bibelotami, co umożliwiało ich zakup po korzystnych cenach. Bez wątpienia kolekcja gromadzona przez Westa była doskonałą lokatą kapitału, a on sam niejedną raz z bólem sprzedawał jakiś cenny eksponat, aby podreperować rodzinny budżet. Wprawdzie ojciec Daisy kochał Włochy i włoską sztukę, ale nie wypierał się swoich walijskich korzeni. Nie tylko władał doskonale językiem walijskim, ale też znał i szanował tamtejszą historię, którą chronił od zapomnienia. W jego posiadłości w Ruthin organizowano między innymi Eisteddfod – tradycyjny doroczny walijski festiwal, od XII wieku promujący kulturę Walii i język walijski. Prezentowano na nim walijską poezję, teatr, tańce oraz wszelkiego rodzaju sztuki wizualne.

Tymczasem żona Williama, piękna i skoliigacona z najznamienitszymi irlandzkimi rodami, Maria Adelajda Fitz-Patrick, którą poślubił w 1871 roku, była jego całkowitym przeciwieństwem. Żywiołowa, radosna,

przepadała za wszelkiego rodzaju balami i życiem towarzyskim. Wprawdzie wyszła za mąż bardzo młodo, bo jako siedemnastoletnia dziewczyna, w dodatku jej mążnek był od niej starszy o dziewiętnaście lat, ale nie oznaczało to, że dała się zamknąć w czterech ścianach, zresztą nikt od niej tego nie wymagał. Jej zasadniczym zadaniem było zadbanie o ciągłość rodu, a więc urodzenie przynajmniej jednego syna – dziedzica majątku i nazwiska. Młodziutkiej Marii nie od razu udało się to osiągnąć, bowiem zanim wydała na świat chłopca, powiła córeczkę, Marię Teresę Oliwię, przyszłą księżną pszczyńską. Wprawdzie rok później, a konkretnie 14 listopada 1874 roku, urodziła dziedzica, George’a Fredericka, ale mała brakowało, a chłopiec umarłby zaraz po przyjściu na świat. I było w tym sporo winy jego matki, która już w bardzo zaawansowanej ciąży nieopatrznie oddała się płochej zabawie polegającej na uganianiu się za pałacowym ogrodnikiem, którego z bliżej nieokreślonych powodów chciała oblać wodą z gumowego węża. W efekcie doszło do przedwczesnego porodu o bardzo ciężkim przebiegu. Zajmujący się położnicą lekarze tak zaferowali się jej stanem, że zupełnie nie zwracali uwagi na noworodka, który był niepokojąco cichy. Głośny krzyk jest oznaką zdrowia i siły noworodka – właśnie tak zachowują się dzieci, które przychodzą na świat bez komplikacji. Jeżeli jednak poród trwa długo i jest ciężki, a tak było w tym przypadku, dzieci nie krzyczą głośno, tylko cicho kwilą. Dokładnie jak mały George. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby w pobliżu nie było jego babci, Oliwii Fitz-Patrick, która wzięła noworodka na ręce, dała mu klapsa w pośladek i podała mu kilka kropel brandy, dzięki czemu malec błyskawicznie doszedł do siebie. Nawiasem mówiąc, babka Oliwia, która mieszkała wraz z zięciem i córką, miała niemały wpływ na wychowanie trojga swoich wnucząt – bo Maria 15 lutego 1878 roku powiła jeszcze jedno dziecko, dziewczynkę Konstancję Edwinę. Ponieważ pani Fitz-Patrick była córką szambelana królowej Wiktorii, zarówno jej dzieci, jak i wnuki dorastały blisko dworu. Daisy mawiała, iż jej rodzina „odziedziczyła przyjaźń rodziny królewskiej”⁹, a ona sama była z tego dumna.

Trudności finansowe sprawiły, że w 1877 roku Cornwallis-Westowie przeprowadzili się do Londynu, do dość ponurego domu przy Eaton

Place 49, gdzie mieszkali przez kolejne pięć lat. Ruthin natomiast oddano w dzierżawę, z której dochód umożliwił rodzinie dostatnie życie, prowadzenie otwartego domu i bywanie na przyjęciach wydawanych przez angielską socjetę. Maria, uznawszy, że wypełniła swoje obowiązki wobec rodu, do którego weszła na skutek zawartego małżeństwa, oddała się teraz beztroskiej zabawie. Nie była wyjątkiem – w owych czasach bowiem wychowywaniem dzieci nie zajmowali się rodzice, ale wykwalifikowane nianie, opiekunki, a z czasem także guwernantki. Z punktu widzenia współczesnych może się to wydawać wręcz krzywdzące dla dzieci, ale w owych czasach nikt tego tak nie odbierał. Wręcz przeciwnie – kiedy w przyszłości Daisy będzie się upierać, aby móc więcej czasu spędzić z synami, ściągnie na siebie nie tylko potępienie ze strony członków własnej warstwy społecznej, ale także oburzenie niani. Czytając relacje z epoki, trudno jednak oprzeć się wrażeniu, iż ówczesne matki traktowały często dzieci jak żywe maskotki, które na zmianę z ulubionymi pieskami można było zabierać na przejażdżki po londyńskim Hyde Parku. Obowiązywała jednak zasada, że damie mogło towarzyszyć tylko jedno dziecko, najlepiej córka, jako że pięknie odziane i ufryzowane dziewczynki prezentowały się znacznie lepiej niż ich bracia.

Z lektury pamiętników Daisy nie wynika jednak, żeby ona, jej siostra czy brat byli z tego powodu nieszczęśliwi. Wręcz przeciwnie – w swoich wspomnieniach księżna usprawiedliwia Marię, pisząc: „Moja matka [...] była piękną kobietą, dwadzieścia lat młodszą od mojego ojca, pełną takiej witalności, że nawet śmierci trudno byłoby wejść w jej ramiona. Nie mogły więc kłopotać ją małe dzieci ani ich pokoje. Chciała prowadzić swoje własne swobodne, ożywione życie. W konsekwencji w dużej mierze byłyśmy zostawione sobie samym i naszym guwernantkom”¹⁰. Cała trójka, a zwłaszcza córki, wielbiła zatem swoją mamę na odległość, a trzeba przyznać, że była ona dla nich wręcz wcieleniem idealnego piękna. Maria należała do tak zwanych *professional beauties*, czyli zawodowych piękności, kochanych i podziwianych na salonach. „Pani Maria Cornwallis West była najśliczniejszą kobietą Socjety w czasach, gdy kult piękności sięgał szczytów – można było przeczytać w artykule opublikowanym w „The Sunday Post” 25 lipca 1920 roku, a więc krótko po śmierci pani West. –

Wiem, że i dzisiaj jest wiele pięknych pań w Socjecie, ale czar oblicza i manieri osądzane są teraz według innych kryteriów, niż było to za dni, kiedy Maria Cornwallis West dzierżyła berło Królowej Piękności i wraz z Panią Langtry, słynną «Lilią Jerseyu», rywalizowały o hołdy artystów i świata towarzyskiego Londynu. [...] Była niewątpliwie olśniewająco ładna, ale jej wielki sukces towarzyski nie opierał się tylko na urodzie. Dowcipna i pełna werwy, posiadała dużą umiejętność konwersacji i głęboki czar osobisty”¹¹. Trudno się zatem dziwić, iż matka bohaterki naszej opowieści znalazła się w wąskim kręgu pięknych kobiet, otaczających następcę tronu księcia Walii, Edwarda, któremu zawsze towarzyszyła „flotylla białych łabędzi o wysmukłych szyjach i wytwornych, pokrytych klejnotami głowach”¹². Na towarzyszeniu często się nie kończyło – książe słynął z niespożytego temperamentu seksualnego, który zaspokajał nie tylko w paryskim burdelu, gdzie miał nawet swój własny prywatny apartament, ale także w łóżach rozmaitych aktorek, śpiewaczek oraz arystokratek, i to niezależnie od ich stanu cywilnego. A ponieważ piękną Marię często widywano w gronie otaczających go piękności, do tego sam książe bywał w londyńskim domu Westów, zastanawiano się, czy przypadkiem nie łączy go z Marią coś więcej niż przyjaźń. Pojawiła się nawet plotka, jakoby Daisy była córką Edwarda, ale jest to raczej mało prawdopodobne, choć nie niemożliwe.

Ze względu na fakt, iż w skład brytyjskiej socjety wchodził głównie ludzie w ten czy inny sposób związani z Izbą Lordów albo z Izbą Gmin, londyński sezon towarzyski, który stanowił istotny element życia politycznego państwa, przebiegał według ustalonego harmonogramu, zależnego od kalendarza posiedzeń parlamentarnych. Już od XVIII stulecia w drugim tygodniu lutego, kiedy monarcha uroczystie otwierał sesję parlamentu, członkowie elity powracali do stolicy ze swoich wiejskich posiadłości, rozpoczynając tym samym doroczny sezon towarzyski. To wówczas odbywały się najwspanialsze bale, rauty, przyjęcia i imprezy charytatywne, których oficjalnym celem było zebranie funduszy na jakiś szczytny cel, choć tak naprawdę były doskonałą okazją do zabawy.

Prawdziwe otwarcie sezonu następowało jednak dopiero po Wielkanocy. Poprzedzające ją miesiące były tylko preludium do właściwego okresu bezustannych zabaw, tańców i przyjęć. W pierwszych miesiącach roku życie towarzyskie toczyło się znacznie spokojniejszym rytmem – organizowano zaledwie kilkanaście wieczorów tanecznych i kameralne obiady dla „tylko” około czterdziestu osób, a także tradycyjne popołudniowe przyjęcia przy herbatce. Na krótko przed świętami odbywały się premiery operowe i pierwsze audjencje na królewskim dworze, ale przyjmowano na nich jedynie nieliczne grono szlachetnie urodzonych osób; pozostali członkowie socjety spędzali czas w teatrach. W czasie Wielkanocy życie towarzyskie w stolicy imperium praktycznie zamierało. Rodzina królewska wyjeżdżała do zamku Windsor, zaś arystokraci udawali się do swoich wiejskich posiadłości, gdzie także wyprawiali bale, na których często bawiło się kilkaset zaproszonych gości. Ci, którzy nie mieli własnych rezydencji, opuszczali miasto i wyjeżdżali na krótki wypoczynek do Europy, a mniej zamożni – do Brighton. Pierwszy bal po powrocie rodziny królewskiej do Londynu odbywał się w ekskluzywnym klubie Almack’s, a potem bawiono się w rozmaitych rezydencjach prywatnych. Wszyscy wymieniali się zaproszeniami na śniadania, obiady i podwieczorki. W tym okresie miasto tętniło życiem: był to okres wystawnych przyjęć, a londyńskie parki przedpołudniami zapełniały się wytwornymi powozami z eleganckimi damami i dżentelmenami; panny z wyższych sfer uczyły się jazdy konnej, zaś popołudnia przeznaczano na pikniki i spacer. Po ogłoszeniu przerwy w posiedzeniach parlamentu członkowie socjety wyjeżdżali na wieś bądź w podróż za granicę. Do stolicy wracano pod koniec maja i właśnie wówczas zaczynał się główny londyński sezon. Otwierał go wernisaż sztuki w Royal Academy of Arts, a potem rozpoczynał się ciąg obiadów, rautów, wieczorów muzycznych, zabaw tanecznych, kurtuazyjnych wizyt i rewizyt u znajomych. Tradycyjne niedzielne przechadzki odbywające się w Hyde Parku były nie tylko formą relaksu, ale przede wszystkim okazją do zaprezentowania nowych toalet przez elegantki. W tym czasie odbywały się także targi przy Covent Garden, a do Londynu tłumnie zjeżdżali zagraniczni goście, w tym arystokracja oraz nowobogaccy Amerykanie. Z początkiem

czerwca rozpoczynały się imprezy sportowe, w tym gonitwy koni Epsom Derby oraz tydzień wyścigów konnych w Ascot. O ile w pierwszej z wymienionych imprez uczestniczyli głównie przedstawiciele niższych klas społecznych, o tyle do Ascot zjeżdżała rodzina królewska i cała ówczesna śmietanka towarzyska Londynu. Z kolei lipiec to czas meczów krykieta organizowanych pomiędzy Izbą Lordów a Izbą Gmin, uniwersytetami Oxford i Cambridge oraz szkołami w Eton i Harrow. Urządzano wówczas także przyjęcia ogrodowe – *garden party* – z których część odbywała się w królewskich ogrodach pałacu Buckingham. Na początku sierpnia odbywały się wyścigi wioślarzy podczas Henley Royal Regatta, mecze tenisowe na kortach Wimbledonu oraz regaty żeglarskie Cowes Week. W dniu zwanym The Glorious Twelfth, to jest 12 sierpnia, Londyn praktycznie pustoszał – był to początek sezonu strzeleckiego, więc arystokraci wyjeżdżali do swoich posiadłości, by polować na dziką zwierzynę, natomiast mniej zamożni wyjeżdżali do europejskich kurortów.

Poza głównym sezonem kultywowano także tradycję tak zwanego małego sezonu towarzyskiego, który trwał od listopada do lutego, z przerwą na święta Bożego Narodzenia, i w którym brali udział głównie ci, którzy nie posiadali rezydencji wiejskich, więc siłą rzeczy zostawali na zimę w Londynie. Do tego grona zaliczali się prawnicy, politycy pełniący ważne funkcje w państwie, jak również członkowie korpusu dyplomatycznego, ale także ambitni, młodzi, mniej lub bardziej zamożni ludzie, którzy dosłownie wychodzili ze skóry, by dostać zaproszenie na salony. W trakcie takich nieformalnych przyjęć „małego sezonu”, kiedy spotykano się w niewielkich grupach, łatwiej było znaleźć przychylnego patrona z wyższych sfer, który mógłby wprowadzić chętnego w szeregi londyńskiej socjety. A tylko dzięki zaistnieniu w tym środowisku można było liczyć na zrobienie kariery.

W zasadzie trudno się dziwić Angielkom z wyższych sfer, że nie miały czasu dla swoich dzieci. Ich dni były wypełnione obowiązkami towarzyskimi praktycznie od rana do wieczora, zwłaszcza w sezonach wiosennym i letnim. Po porannym spacerze czy przejażdżce po Hyde Parku nadchodził czas na śniadanie i lekturę prasy. Każda dama i szanujący się dżentelmen zajadali się jajkami na boczku czy kiełbaskami, ale przede wszystkim przeglądali gazetę „The Morning

Post”, na łamach której w osobnej rubryce publikowano dokładny harmonogram wszystkich wydarzeń towarzyskich danego dnia, co bardzo ułatwiało planowanie późniejszych wyjść. Po śniadaniu kobiety wsiadały do powozu i kazały stangretowi wieźć się na zakupy, z reguły na Piccadilly lub Covent Garden, ewentualnie wypełniały „niebywale uciążliwe” obowiązki domowe, do których należało między innymi płacenie rachunków. W godzinach porannych także odbywano wizyty, ale był to czas przeznaczony wyłącznie dla krewnych i najbliższych przyjaciół, natomiast popołudniami przyjmowano pozostałych gości, w tym petentów, przy czym zgodnie z zasadami *savoir-vivre’u* czas trwania tych popołudniowych wizyt nie mógł przekroczyć 30 minut. Po lunchu *dzentełmeni* opuszczali domowe pielesze, by udać się do parlamentu bądź prestiżowego klubu, zaś ich żony przyjmowały gości przybywających z oficjalnymi wizytami. Na tych spotkaniach obowiązywał określony *dress code*: w przypadku kobiet zakazane były suknie z obniżonym dekoltem i krótkimi rękawami, jak również koronki i masywna biżuteria, które zakładano na wieczór. Natomiast w przypadku panów niedopuszczalne była ubrania koktajlowe, czyli fraki i białe muchy (*white tie*). Obiad podawano między osiemnastą a dziewiętnastą, a po nim albo udawano się do opery lub teatru, albo podejmowano gości na spotkaniach towarzyskich, obowiązkowo przy akompaniamencie muzyki. Bale rozpoczynały się o godzinie dwudziestej drugiej i trwały do trzeciej nad ranem. Wszystkie przebiegały według ustalonego planu: rozpoczynały się spokojnymi walcami, a potem orkiestra przechodziła do energicznych kadryli.

Sama Daisy, podobnie jak jej młodsze rodzeństwo, nie uczestniczyła w bujnym życiu towarzyskim londyńskiej socjety, aczkolwiek w ich londyńskim domu bywali niezmiernie interesujący ludzie. Dzieci obserwowały ich wówczas z piątego piętra wielkiej klatki schodowej, ściszone głośnie komentując stroje dam odwiedzających rodziców. Na salony dziatwa wstępu nie miała, z wyjątkiem dni albo wieczorów, kiedy w odwiedzinę do Eaton Place 49 wpadał książę Edward. Dostojny gość zawsze chciał się widzieć z dziećmi, dlatego nawet kiedy leżały już w łóżkach, nianie budziły je, przebierały i cesały, by odpowiednio ubrane, mogły się spotkać z księciem Walii.

Wprawdzie nikt z rodzeństwa nie był zbyt zadowolony z takiego obrotu sprawy, ale nastrój poprawiał im sam Edward, który przynosił drobne prezenty. „Pamiętam taką sytuację – leżałyśmy, odpoczywając po lunchu, miałam wtedy dziesięć, a siostra siedem lat, kiedy książę przyszedł z wizytą i poprosił o spotkanie z dziećmi – czytamy we wspomnieniach księżnej. – Musiałyśmy więc wstać. Zeszłyśmy na dół, czując złość. Książę zadawał nam rozmaite pytania i śmiał się, gdy nie umiałyśmy odpowiedzieć, a raczej nie miałyśmy odwagi. Następnie włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej dwie małe broszki przypominające biedronki – takie małe czerwone owady z czarnymi plamkami, o których sądziło się, że przynoszą szczęście. Przyjmowałyśmy je ze strachem, ale w skrytości byłyśmy zadowolone, gdyż była to dla nas rekompensata za pospieszne wstawanie i słuchanie gderania niańki”¹³.

Pomimo że piękna Maria nie była stale obecna w życiu swoich dzieci, to jednak – jak się wydaje – miała z nimi dość dobry kontakt, podobnie jak ojciec, który we wspomnieniach swojej najstarszej córki nie jest wcale „wykwintnym gatunkiem straszego angielskiego dżentelmena, ale prawdziwym przyjacielem, kompanem zabaw swoich dzieci”¹⁴. W rodzinie istniał zwyczaj nadawania jej członkom rozmaitych śmiesznych przezwisk: „Mojego tatę nazywałyśmy «Poppets» («Kruszynka», «Dziecinka» lub równie zdrobniale), mamę natomiast traktowałyśmy jak siostrę i szokowałyśmy tym naszych wiktoriańskich krewnych, których miałyśmy niezliczoną ilość, nazywając ją Patsy. «Kruszynka» miał dla niej swoje własne prywatne imię – Mussie («Rozczochrana»)¹⁵. Młodszego brata bohaterki naszej opowieści zwano Buzzie, czyli Buczek, a jej młodszą siostrę – Shelagh lub Biddy. Najstarszą z córek państwa West zwano natomiast Daisy – Stokrotką, bądź Dany, jak nazywała samą siebie, kiedy jeszcze nie umiała dobrze mówić. Rodzeństwo tworzyło zgraną, kochającą się paczkę, która spędzała czas na beztrudnych zabawach, niemiłosiernie przy tym dokazując. Daisy miewała nader często zdarte kolana. Na owych harcach niejednokrotnie przyłapywał ich sam książę Edward, któremu takie zachowanie zupełnie nie przeszkadzało. Podobnie jak popisy ich matki, która zwykła zaskakiwać swoich gości, zjeżdżając na metalowej

tacy ze schodów. Jeżeli wierzyć pani Claude Beddington, pani West kulturowała ów zwyczaj nawet jako dojrzała, przeszło pięćdziesięcioletnia dama, matka dwóch zamężnych córek i teściowa zamożnych arystokratów. „Kiedy przebywałam na zamku Ruthin w czerwcu 1907 r., Pani West musiała być co najmniej pięćdziesięcioletnią kobietą [Patsy miała wówczas pięćdziesiąt trzy lata – I.K.]. Pomimo tego wieczorem przy schodzeniu na obiad ni stąd, ni zowąd owinęła się ciasno swoją spódnicą i zjechała na dół po dębowych schodach «na samej sobie» (jak to jako dzieci delikatnie nazywaliśmy). Było to dla mnie coś zupełnie nowego, więc aż zaniemówiłam z wrażenia. Stojący obok Księżę Westminsteru [zięć Patsy, mąż jej młodszej córki – I.K.] ze śmiechem stwierdził: «Niewielu ma takie teściowe!», z czym zupełnie się zgodziłam”¹⁶.

Słynący z dość swobodnego podejścia do etykiety i wszelkiego rodzaju konwenansów książe Edward, późniejszy król, nie miał nic przeciwko tego typu igraszkom i cenił sobie poczucie humoru pani West. Pewnego dnia, gdy gościł w jej rezydencji, wracając z polowania, dostrzegł dziwny biały proporzec powiewający na jednej z wież zamku Ruthin. Ku swemu rozbawieniu wkrótce zorientował się, iż owa flaga to nic innego jak... kalesony pana domu powieszzone na maszcie na rozkaz dowcipnej Patsy. Edward bardzo lubił samą panią West, ale za trójką jej dzieci wręcz przepadał. Ochrzcił je dość osobliwym mianem „Parady Dzikiego Zachodu” i tak właśnie adresował pisane do nich listy lub okolicznościowe życzenia.

Daisy kochała siostrę równie mocno jak brata, ale wydaje się, że miała wobec niej kompleksy i uważała się za znacznie od niej brzydszą. W jej oczach Shelagh była prawdziwą pięknoscią. „Miała piękne, duże, głębokie, ciemne oczy, kasztanowe włosy jak moja matka [...] cudowną figurę i cerę, jak wszyscy Westowie”¹⁷ – twierdziła, przyznając jednocześnie, iż kiedy obie dorosły, to właśnie siostra przyciągała większą uwagę i zbierała znacznie więcej komplementów niż ona sama. Działo się tak za sprawą jasnych włosów, niebieskich oczu i porcelanowej cery – właśnie te cechy sprawiły, iż Shelagh postrzegano jako klasyczną angielską pięknosci. O dziwo, Daisy, pomimo że w przyszłości uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet

Europy, jako dziecko nie była uważana za ładną. Jej własna matka ubolewała nad tym, iż córeczki nie dorównują jej urodą, a zatroskane nianie w dobrej wierze niemal znęcały się nad dziewczynką, próbując poradzić coś na jej fizyczne mankamenty. Ponieważ o medycynie estetycznej nikt wówczas jeszcze nie słyszał, sięgano po różne „sprawdzone” domowe metody: „Zarówno moja guwernantka, jak i nianie zawsze powtarzały, że jestem brzydka, mam za małe uszy, za dużą buzię i zadarty nos. By temu zaradzić, stale ciągnęły mnie za uszy, aby je powiększyć, i szczypały w nos, aby stał się orli. Wszystko to sprawiło, iż zaczęłam myśleć o pięknie jak o przekleństwie”¹⁸. Usprawiedliwiając te, z punktu widzenia współczesnych, barbarzyńskie praktyki, trzeba zauważyć, iż uroda dla dziewcząt niemających szans na posag, a do takich należały córki Patsy, była prawdziwym skarbem, umożliwiającym zdobycie zamożnego małżonka, który mógłby im zapewnić dostatni żywot. Brzydkie i ubogie panny praktycznie nie miały szans na zamężcie. Czas pokazał, iż w stosunku do Daisy wszelkie obawy były próżne – wystarczyło poczekać, aby matka natura sama skorygowała domniemane braki urody dziewczynki, która wyrosła na bardzo ładną pannę. Choć zdaniem wielu zarówno ona, jak i jej siostra wciąż ustępowały urodą swojej matce. Tak przynajmniej uważała autorka przywołanego wcześniej artykułu: „Obydwie córki, Księżna von Pless i Księżna Westminsteru, odziedziczyły po niej urok, ale, moim zdaniem, ich matka miała go w znacznie wyższym stopniu. Pani Cornwallis West była unikalna”¹⁹. „Tortury” związane z niedoskonałościami urody nie ominęły nawet Buzziego, posiadacza odstających uszu, które korygowano za pomocą specjalnego aparatu. Niestety chłopiec musiał go nosić przez całą dobę, co przyniosło jednak pożądany skutek, bo kiedy dorósł, po szpecącej go wadzie nie było śladu.

Pomimo owych wątpliwej jakości „zabiegów” poprawiających urodę opiekujące się dziećmi Westów nianie pozostawiły po sobie bardzo dobre wspomnienia. Jedynie niania Haig zapisała się czarnymi zgłoskami w pamięci swoich podopiecznych. Miała sadystyczne skłonności i wychowywała małych Westów w iście drakońskiej dyscyplinie, doprowadzając do rozwinięcia u małego George’a

zaawansowanej nerwicy, której widowym objawem było jąkanie się. Pozostała dwójka dzieci także źle znosiła obecność niani w ich życiu. Kto wie, do czego w końcu doprowadziłaby ta sytuacja, gdyby do akcji nie wkroczył zaprzyjaźniony z rodziną lekarz, doktor Ticket, który z niepokojem odkrył, iż jego mali pacjenci wcale się nie śmieją ani nawet nie uśmiechają. Przyjrząwszy się bliżej całej sytuacji, doszedł do wniosku, że kondycja psychiczna Daisy, jej brata i siostry jest w opłakanym stanie. Bezwłocznie poinformował o wszystkim rodziców, którzy – zajęci bywaniem i obowiązkami towarzyskimi – nie zauważyli niczego niepokojącego w zachowaniu potomstwa. Na szczęście bardzo szybko ustalono, kto jest winny takiemu stanowi rzeczy, i wypowiedziano pani Haig posadę. Jej miejsce zajęła pani Evans, kobieta zupełnie innego formatu, ale wyrządzone przez jej poprzedniczkę szkody były trudne do naprawienia. Nieszczęsny George wyleczył się z wady wymowy dopiero w szkole średniej.

Po pięciu latach mieszkania w dość obskurnym i nielubianym przez dzieci londyńskim domu przy Eaton Place 49 stan finansowy rodziny Westów poprawił się na tyle, że mogła przeprowadzić się do Rothin. Dla Daisy to właśnie ta prastara posiadłość, podobnie jak rezydencja w Newlands, gdzie spędzała wraz z rodzeństwem wakacje, stała się prawdziwym domem rodzinnym. Co ciekawe, Westowie zawitali do Newlands dopiero po śmierci prawowitej właścicielki, matki Williama, Teresy, po której zresztą Daisy odziedziczyła imię, jak sama mawiała – „sztuczne i napszone”. Zanim starsza pani zamknęła oczy na zawsze, rodzina jej syna miała stanowczy zakaz wstępu do Newlands, gdyż matka Williama nie znosiła swojej synowej, tej „irlandzkiej dzikuski”, którą jej syn ośmielił się poślubić wbrew woli swojej matki. Daisy szczerze pokochała Newlands, podobnie jak nielubiana przez teściową Maria, która w ogrodach okalających rezydencję mogła wreszcie dać upust swojej ogrodniczej pasji i hodować rzadkie odmiany hortensji oraz rododendronów. Przywoływana wcześniej pani Beddington twierdziła nawet, że gdyby Patsy żyła w latach dwudziestych, „zrobiłaby majątek jako projektantka ogrodów. Jej wycucie koloru i pomysłowość co do cudownych aranżacji nawet najbardziej niedogodnych miejsc równała się geniuszowi. Upiększała wszystko, czego się dotknęła, zarówno

w ogrodach w Ruthin, jak i w Newlands, i gdziekolwiek się w nich spojrzeło, pejzaż wydawał się piękniejszy od poprzedniego”²⁰.

Mali Westowie chyba jednak najlepiej czuli się w Ruthin, bowiem tamtejsze ruiny stanowiły doskonałą pożywkę dla dziecięcej fantazji. „Ruthin pochodzi z XIV wieku i był miejscem obrony przed Szkotami, kiedy ci zaatakowali Walię – czytamy we wspomnieniach późniejszej księżnej von Pless. – Wszystkie moje dziecięce wyobrażenia, dotyczące wczesnej historii Anglii, wiązały się ze Szkotami, którzy zawsze wydawali się atakować kogoś lub coś. Oczywiście wokół Ruthin musiała być fosa, by chroniła go przed szkockimi najeźdźcami. Jakżesz uwielbialiśmy bawić się w chowanego w podziemiach i starych ruinach, które jakby były zaprojektowane przez baśniowego króla specjalnie dla nas. W rzeczywistości dla dziecka samo słowo «fosa» jest wypełnione magią”²¹. Kiedy mały George otrzymał w prezencie od rodziców kucyka, jego zazdrosne siostry także zażyczyły sobie wierzchowców, a rodzice spełnili ich prośbę. Odtąd cała trójka galopowała po łąkach i polach Ruthin. Najmłodsza spośród rodzeństwa Shelagh okazała się nie tylko wyśmienitą amazonką, ale też wybitną treserką – nauczyła różnych sztuczek swojego konika, psa i kozę. Najbardziej była dumna, kiedy wytresowane przez nią zwierzaki huśtały się na desce umieszczonej na grzbiecie kuca. Jak się okazuje, małym Westom w zabawach nierzadko towarzyszyła ich babcia ze strony matki, Olivia, osoba o wprawdzie dość staroświeckich manierach, ale bardzo ciepła i pełna energii, którą zachowała do późnej starości. W jej towarzystwie Daisy, Shelagh i George urządzali sobie wycieczki po okolicy, chadzali na jagody, a babka zabierała ich czasem na wizyty do pobliskiego Hawarden Castle, gdzie odwiedzała przyjaciółkę, panią Gladstone – żonę Wiliama Ewarta Gladstone’a, kilkakrotnie pełniącego urząd premiera za panowania królowej Wiktorii. Nie znaczy to bynajmniej, że starsza pani dała sobie wejść na głowę i pobłażała niesfornym wnukom; przeciwnie – potrafiła bardzo szybko przywołać je do porządku. W sercach całej trójki pozostawiła jednak wyłącznie ciepłe wspomnienia.

Kariera utopiona w szklance wody

Kiedy jedyny syn państwa West miał zaledwie dwa lata, rodzice zapisali go do prestiżowego Eton College, w którym od 1440 roku uczą się szlachetnie urodzeni młodzieńcy. Do edukacji córek nie przywiązywali jednak zbyt dużej wagi. Nie byli w tej kwestii wyjątkiem, bowiem od młodych dam nie wymagano wówczas wykształcenia. Daisy i Shelagh kształciły się w tym, co większość młodych arystokratek – nauczono je posługiwać się językiem francuskim w mowie i piśmie, umiały także szyć i haftować, ważną częścią ich edukacji była umiejętność konwersacji i ogólne obycie towarzyskie, a więc zachowanie się przy stole i na salonach. Od dziewcząt oczekiwano dobrych manier i skromności, wychowywano je przede wszystkim na żony. Trzeba jednak przyznać, że guwernantki, którym powierzono edukację Daisy i Shelagh, miały naprawdę twardy orzech do zgryzienia, bo obie panny nad książki i naukę przedkładały zajęcia sportowe. Na domiar złego miały chęć protestować przeciwko bezmyślnemu wkuwaniu testów na pamięć. Nic zatem dziwnego, że nauczycielki zmieniały się w tempie błyskawicznym i żadna zbyt długo nie zagrzała miejsca u Westów. Ostatnią była niejaka panna Clark, która „zwykła była kłaść wiśniową pastę do zębów na twarz, a czarnym korkiem smarowała brwi i nosiła złote guziki wzdłuż stanika przy szlafroku”²². Ta kobieta o dość dziwacznych upodobaniach była zarazem ostatnią guwernantką Daisy i Shelagh. Jej odejście oznaczało kres dzieciństwa obu panien.

Bohaterka naszej opowieści przeżyła swoje pierwsze miłosne zauroczenie w wieku piętnastu lat. Jak na ironię zakochała się w jednym z wielu wielbicieli własnej matki, którzy często przyjeżdżali do rodzinnej posiadłości Westów wyłącznie po to, by zobaczyć piękną Marię. „Jej uroda, żywotność, odważny dowcip i niekwestionowany czar sprawiały, że miała niezliczonych i oddanych adoratorów, z których wielu było prawie jej sługami”²³ – czytamy we wspomnieniach Daisy. Z całą pewnością nie patrzyła na matkę przez różowe okulary, bo jej słowa potwierdza autorka artykułu w „The Sunday Post”: „Książęta, mężowie stanu, poeci, malarze i erudyci

współzawodniczyli ze sobą o jej względy. Zaproszenie na jedno z jej przyjęć «wywyższało» adresata do niepojętych granic²⁴. Daisy wprawdzie wyraźnie sugeruje, iż na patrzaniu się kończyło, ale nie możemy mieć pewności, czy pani Cornwallis-West nie skorzystała z okazji, by nawiązać romans z którymś z adoratorów. Wszak owi wielbicieli byli o całe pokolenie młodszy od jej małżonka. Być może sam William tolerował zdrady swojej ukochanej żony, skoro – jak twierdzi jego córka – bywał dla niej nadzwyczaj pobłażliwy. Nie wiemy, czy pani West miewała erotyczne przygody, ale z całą pewnością otaczała ją liczne grono wielbicieli. „Czy to na polowaniach, gdzie wspaniale i bez strachu jeździła konno, czy na jachtach w Cowes, królując na parkietach sal balowych albo pozując do dzieł wielkich artystów za dni jej potęgi, ponętny czar i uroda Pani Cornwallis West zdobywały wszystkich²⁵ – czytamy w przywołanym już artykule z „The Sunday Post”. Jeżeli wierzyć autorce – a była nią pragnąca zachować anonimowość jedna z przyjaciółek Patsy – do grona zaprzysięgłych adoratorów pani West należał nawet premier Gladstone. „Ktoś kiedyś napomknął, że choć ma ona większość gentlemenów u swoich stóp, nie podbija nigdy człowieka tak poważnego, jak Gladstone. Sposób, w jaki podjęła to wezwanie, był dość niezwykajny. Była zbyt inteligentna, aby zagonić Premiera w kąt i próbować wyrzucić na nim wrażenie błyskotliwą rozmową o polityce, aczkolwiek stać ją było na to. Zamiast tego zaprowadziła go do salonu, gdzie zaśpiewała mu [rewolucyjną pieśń irlandzką] *The Wearing o' the Green*. Od tego momentu Gladstone ją ubóstwiał i chwalił do każdego. Mieć Premiera wśród swoich wielbicieli było niewątpliwym sukcesem nawet dla powszechnie uznanej piękności, ale doprawdy niewielu mogło się oprzeć czarowi Pani Cornwallis West²⁶. Kto wie, może Patsy nie była jednak wierną żoną, czym nie wyróżniałaby się zbytnio w gronie wiktoriańskich piękności. Pomimo że w owych czasach panowały dość surowe zasady moralne, nieszczęśliwe w małżeństwie kobiety pozwalały sobie na romanse. I trudno je za to potępiać, skoro wychodziły za mąż jako młodzietki, naiwne i niedoświadczone dziewczyny, nierzadko wydawane za rówieśników swoich ojców, a nawet dziadków.

Jak już wspomniano, Daisy była nastolatką, gdy przeżyła swoje pierwsze miłosne zauroczenie – jej serce skradł młody i przystojny dżentelmen George Cooper. Mężczyzna był miły, uprzejmy i ponoć pięknie śpiewał. Pewnego dnia, kiedy całe towarzystwo bawiło się w chowanego, George niespodziewanie chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. To wystarczyło, żeby serce dziewczyny mocniej zabiło... Była niezmiernie szczęśliwa, kiedy na swoje kolejne urodziny dostała od Coopera gustowny drobiazg – serduszko z kamienia księżycowego na złotym łańcuszku. Niestety jej matka uznała to za niestosowne i poleciła córce zwrócić prezent. „Jednym z najbardziej gorzkich wspomnień mojej młodości sprzed zaręczyn było stanowcze polecenie mojej matki, aby prezent ten zwrócić. Nie mogłam znieść myśli o zrobieniu tego osobiście. We łzach zaniosiłam wisiołek do kochanego, starego, żytego z rodziną majordomusa, który oddał mu to w moim imieniu”²⁷. Kto wie, czy Maria nie była po prostu zazdrosna – rozkwitająca uroda córki mogła skutecznie przyćmić ją samą i odebrać jej niejednego wielbiciela. Nie można również wykluczyć, że sprytny mężczyzna udawał zainteresowanie Daisy, by zwrócić uwagę jej matki. Większość biografów księżnej uważa jednak, że nieszczęsny Cooper był po prostu za biedny, aby w ogóle rozpatrywano go jako kandydata na męża panny West. Para spotkała się wiele lat później w Londynie, ale Daisy nie odnowiła znajomości ani nie nawiązała z nim romansu. Jej niegdysiejszy adorator nigdy się nie ożenił i zmarł w Afryce Południowej niedługo po tym spotkaniu.

Gdyby któraś z młodych panienek z arystokratycznego domu wykazywała zdolności do matematyki czy zainteresowanie geometrią lub fizyką, potraktowano by to zapewne jako dziwactwo, w dodatku szkodliwe, i nikt nawet nie zatroszczyłby się o dalsze kształcenie dziewczyny w tym zakresie. Co innego śpiew i gra na jakimś instrumencie – takie zainteresowania można, a nawet trzeba było pielęgnować i rozwijać. Oboje rodzice Daisy kochali muzykę, a ojciec przyszłej księżnej pszczyńskiej często zapraszał do siebie muzyków i śpiewaków. W Ruthin gościli między innymi słynny walijski harfiarz John Thomas oraz irlandzki śpiewak operowy, dysponujący wspaniałym barytonem i występujący pod pseudonimem signor Foli. Być może dlatego ojciec z aprobatą przyglądał się próbom wokalnym

swojej utalentowanej córki i nie szczędził pieniędzy na jej kształcenie. Jej pierwszym nauczycielem był sir Paolo Tosti, włoski kompozytor muzyki salonowej, który mieszkał w Londynie i z czasem został mistrzem śpiewu na dworze królewskim. Kiedy dziewczyna skończyła szesnaście lat, rodzice sprawili jej niespodziankę i zabrali Daisy oraz jej młodszą siostrę do Włoch. Wyprawa była zaplanowana głównie z myślą o najstarszej pannie West i odbyła się kosztem wielu wyrzeczeń, bo finanse rodziny nie były wówczas w dobrym stanie. Ale i sam William skorzystał na wyjeździe, bowiem podczas gdy obie jego córki zapamiętały ćwiczyły pod okiem włoskich mistrzów, on udawał się do miejscowych muzeów, by w ciszy i spokoju oddawać się swojemu ulubionemu zajęciu – kopiowaniu obrazów renesansowych artystów. Daisy zaopiekował się nie byle kto, bo sam dyrektor opery we Florencji, Vanuchini, który ujrzał w młodziutkiej arystokratce materiał na przyszłą primadonnę. Co więcej, obiecał, iż osobiście pokieruje jej karierą, pod warunkiem, że dziewczyna nauczy się włoskiego i francuskiego. Daisy była wniebowzięta i w wyobraźni widziała się już na scenach największych teatrów Europy w roli Elsy, Elżbiety, Małgorzaty lub innych „uroczych i nieszczęśliwych bohaterek”. „Nie byłam całkiem pewna, czy chciałabym być piękna, delikatna, czy ciemna, namiętna i tajemnicza jak Dalila, i w bardziej sekretnych chwilach czuję się zupełnie pewna, że mogłabym zinterpretować każdy typ roli”²⁸ – wyznała na kartach swoich wspomnień.

Być może faktycznie zrobiłaby oszałamiającą karierę, gdyby zły los nie pokrzyżował jej planów, choć i sama Daisy przyłożyła do tego rękę. Kiedy zorientowała się, jak wielkim obciążeniem dla domowego budżetu był wyjazd do Włoch i jej lekcje, postanowiła oszczędzać i nie kupować wody butelkowanej, ale pić zwykłą. Było to bardzo ryzykowne posunięcie, bowiem warunki higieniczne w ówczesnych Włoszech daleko odbiegały od idealnych. W efekcie niedoszła primadonna nabawiła się duru brzuszego i rodzice bezzwłocznie zdecydowali się na powrót do Anglii, by tamtejsi medycy wyleczyli ich córkę. „Wszystkie moje nadzieje na karierę utonęły w jednej szklance wody”²⁹ – skonstatowała smutno po latach.

Zmuszona do rezygnacji z marzeń o karierze operowej, ambitna Daisy chwyciła za pióro, by napisać romans inspirowany swoją włoską podróżą. Bohaterka o imieniu Clementine zakochała się w przystojnym Włochu zwanym Rodolfo, który wprawdzie odwzajemniał jej uczucie, ale nie mógł jej poślubić, gdyż był człowiekiem żonatym. Jak można się domyślić, swojej małżonki nigdy nie kochał, ba, nawet ukrył jej istnienie przed postronnymi, wywożąc ją do Francji. Kochankowie schodzili się i rozchodzili, przeżywając mniej lub bardziej prawdopodobne przygody, by w końcu stanąć na ślubnym kobiercu. Niekochana żona Rodolfa była uprzejma wcześniej opuścić doczesny padół, uszczęśliwiając tym zarówno swego męża, jak i Clementine. Krótko mówiąc, była to wiktoriańska wersja współczesnych *365 dni*, tylko bardzo pruderyjna. W końcu autorką powieści była naiwna szesnastoletnia panienka. Warto dodać, że to nie pierwsza próba literacka Daisy, która jako czternastolatka napisała powieść *Don Juan di Bastelliano*. W zasadzie należałoby powiedzieć, że zaczęła pisać, bowiem nigdy jej nie skończyła, i to bynajmniej nie dlatego, że opuściła ją wena czy dopadło zniechęcenie. Wszystko przez młodsze rodzeństwo, które wyśmiało próby pisarskie siostry i przerobiło tytuł powieści na znacznie bardziej swojsko brzmiący *Jon Jones he-busted-long-ago* – „John Jones, którego lichy wzięto dawno temu”³⁰.

Czas jednak nieubłagalnie biegł naprzód, a wraz z nim kończyło się beztroskie dzieciństwo Daisy, która z podlotki stała się panną na wydaniu. Wprawdzie niebawem urodziwą, ale bez posagu.

Kupiona narzeczona

W owych czasach, kiedy kobiety były pozbawione jakichkolwiek praw, wejście młodej dziewczyny w dorosłość wiązało się z poszukiwaniem dla niej kandydata na męża. „Kiedy moja matka wyszła za mąż, miała zaledwie szesnaście i pół roku: jej troje dzieci urodziło się, zanim skończyła dwadzieścia jeden lat. A więc wydawało się to jej zupełnie naturalne, że jej córki powinny wyjść za mąż młodo”³¹ – wyjaśniała po latach księżna Daisy. W epoce wiktoriańskiej inny

scenariusz był nie do pomyślenia: kobieta, zwłaszcza z wyższych sfer, mogła być jedynie czarującym dodatkiem do małżonka. Było to bezpośrednio związane z ówczesnym ideałem piękna, zgodnie z którym przedstawicielki płci żeńskiej powinny być delikatne, eteryczne, bezbronne i niezbyt mądre, a więc niewykształcone. Po wyjściu za mąż były całkowicie zależne od swoich partnerów, a ich jedynym zadaniem pozostawało dążenie do bycia idealną żoną, która zarządza domem i służbą, a przede wszystkim dba o zadowolenie męża. Wprawdzie był to czas, kiedy do głosu zaczęły dochodzić sufrażystki, ale sama królowa Wiktorja otwarcie przeciwstawiała się emancypacji przedstawicieli swojej płci. W listach do córek pisała, że kobiety rodzą się wyłącznie po to, by sprawiać przyjemność mężczyznom, i choć wcale jej to nie odpowiadało, jednocześnie uważała, iż płęć piękna pod względem intelektualnym znacznie im ustępuje i była przeciwna równouprawnieniu kobiet. Głosiła pogląd, iż kobiety nie powinny nawet przemawiać publicznie i nie wolno im sprawować żadnych urzędów, a prawa kobiet nazywała „obłąkanym, szalonym głupstwem”. Do monarchini nie trafiały nawet argumenty Johna Stuarta Milla, znanego polityka i parlamentarzysty, który już w 1850 roku domagał się równouprawnienia płci pięknej, pisząc chociażby artykuły do prasy, w których postulował przyznanie kobietom praw wyborczych i jednocześnie dowodził, że potencjalne zmiany w statusie społecznym pań nie stoją w sprzeczności z zasadami wiary chrześcijańskiej.

Zgodnie z ówczesnymi zwyczajami – arystokratki na wydaniu, a więc będące w wieku, w którym współczesne dziewczęta przygotowują się do matury i studiów, czyli około siedemnastu, osiemnastu lat, brały udział w tak zwanym balu debiutantek, podczas którego były oficjalnie prezentowane monarsze bądź monarchini na dworze królewskim. Taka prezentacja była niezbędna nie tylko w celu pełnoprawnego przyjęcia panny do socjety, ale przede wszystkim znalezienia dla niej odpowiedniej partii. Debiutantka musiała zostać przedstawiona przez kobietę o wyższym statusie społecznym, członkinię własnego rodu, matkę, babkę bądź kuzynkę, ewentualnie przyjaciółkę, która wcześniej sama dostąpiła zaszczytu prezentacji przed królem lub królową. Jak można się domyślić, w ceremonii miały prawo uczestniczyć głównie arystokratki, ale nie

tylko – w tym wydarzeniu brały udział także córki oficerów wojskowych, kapitanów marynarki wojennej, wybitnych lekarzy specjalistów, duchownych wysokiego szczebla, a nawet sławnych adwokatów. Wymienione zawody były bowiem uznawane za arystokratyczne, ponieważ wymagały dużego zasobu pieniędzy niezbędnych do zdobycia wykształcenia.

Na kilka miesięcy przed bale, który w czasach debiutu Daisy odbywał się na dworze królewskim, w urzędzie lorda szambelana składano pisemną prośbę o wydanie dwóch kart, na których widniały nazwiska i status rodziców debutantki, adres, jak również nazwisko i podpis patronki, czyli damy, która miała przedstawiać młodą dziewczynę. Wypełnione karty wracały do lorda szambelana, który przedkładał je królowej do akceptacji. Po uzyskaniu zgody Wiktorii debutantki otrzymywały tak zwane karty prezentacji, ale to jeszcze nie wszystkie „dokumenty”, które musiały uzyskać. Należało wystąpić do urzędu lorda szambelana o niezbędne podczas prezentacji dwie karty, na których wpisywano nazwiska debutantki i prezentującej ją damy. Zanim debutantka wzięła udział w tym ważnym wydarzeniu, musiała przejść kilkumiesięczne przygotowania, w trakcie których pod okiem kobiet z rodziny uczyła się dobrych manier, a przede wszystkim – regulaminowego dygnięcia przed królową, co wbrew pozorom nie było wcale łatwe, zwłaszcza że dziewczyna miała na sobie kreację z długim trenem i stroik z piór na głowie. Poza tym, odchodząc od tronu, należało poruszać się tyłem, w żadnym wypadku nie wolno było się odwracać od monarchini!

Debutantki obowiązywał określony *dress code* – na balu występowały w sukniach z dopasowanym stanikiem i trenem, głębokim dekoltem i krótkimi rękawkami, obowiązkowo w kolorze białym, aczkolwiek dopuszczano zdobienia w postaci barwnych kwiatów. Przepisy regulowały też długość i sposób upięcia trenu, który nie mógł być krótszy niż trzy i pół jarda, czyli trzy i dwie dziesiąte metra, i mógł być upięty przy ramionach lub w talii. Dopuszczalne było zdobienie go strusimi piórami, kwiatami bądź pasmanterią. Na głowie każdej debutantki widniała ozdoba o nazwie plumaż (pióropusz) księcia Walii – stroik z trzech strusich piór, z których środkowe były dłuższe niż pozostałe. Noszono go w dość charakterystyczny sposób –

lekką przesunięty na lewą stronę głowy. Obowiązkowy był także welon, ewentualnie szerokie wstęgi opadające na ramiona i białe rękawiczki; dopuszczano także dodatki w postaci bukietów kwiatów czy wachlarzy, zakazane natomiast było okrycie wierzchnie, nie tylko płaszcze, ale nawet etole czy narzutki. Jeżeli debiutantka miała problemy zdrowotne, mogła oczywiście skorzystać z okrycia, ale pod warunkiem, że wcześniej przedstawiła stosowne zaświadczenie od lekarza i że monarchini łaskawie je zaaprobowała.

Za czasów królowej Wiktorii przywiązywano wielką wagę do balu debiutantek. Jak twierdził autor tekstu zamieszczonego w 1899 roku w „The Harmsworth Magazine”, bal ten stanowił dla każdej młodej dziewczyny „przejście od dziewczęctwa do kobiecości; od mroków sali lekcyjnej do blasku życia towarzyskiego”³², zaś sam uśmiech monarchini miał moc przeobrażenia „małej, brzydkiej gąsienicy w barwnego motyla”³³. Daisy doskonale o tym wiedziała i zdawała sobie sprawę z oczekiwań rodziców, którzy liczyli, iż ich najstarsza córka zaprezentuje się na tyle dobrze, że znajdą się kandydaci do jej ręki. I to bogaci. „Nigdy nie mówiono mi, że muszę poślubić arystokratę z pieniędzmi, ale sądzę, iż było to zrozumiałe, ponieważ jak na naszą pozycję i poziom, na jakim żyliśmy, byliśmy biedni”³⁴ – wspominała po latach. Dla porządku dodajmy, że swego rodzaju odpowiednikiem prezentacji debiutantek była ceremonia Levee, organizowana przez króla lub księcia Walii w Pałacu św. Jakuba. Przedstawiano podczas niej nie tyle samych kawalerów, ile mężczyzn, którzy zmieniali status społeczny bądź rangę wojskową, jak również członków korpusu dyplomatycznego.

Ze względu na dużą liczbę panien debiutujących w świecie angielskiej socjety – na dworze organizowano kilka ceremonii ich prezentacji. Z reguły odbywały się w okolicy Wielkanocy, zazwyczaj dwie przed świętami i dwie po świętach. Sama uroczystość rozpoczynała się z reguły o godzinie piętnastej, co powodowało... korki w okolicach pałacu Buckingham, gdzie aż roiło się od stojących w długiej kolejce powozów. Ich pasażerki, pomimo panującego na zewnątrz zimna, nie chcąc tracić czasu, pozostawiały okrycia wierzchnie w pojeździe i przechodziły do pałacowych sal, w których

było niewiele cieplej niż na dworze, bo dostojna monarchini zakazała palenia w piecach i kominkach we wszystkich swoich rezydencjach, na czele z pałacem Buckingham. Jej zdaniem tylko niska temperatura zapewniała długie i zdrowe życie. Najwyraźniej jednak popadała w przesadę, skoro pozornie przywykli do chłodu Rosjanie wchodzący w skład świty Mikołaja II, który odwiedził monarchinię w 1896 roku, orzekli, iż w pałacu było zimniej niż na Syberii... Nie dość więc, że panny oczekiwały na prezentację w zatłoczonych i zimnych pomieszczeniach, to jeszcze nie mogły usiąść ani niczego zjeść czy się napić. Później zaś czekały je kolejne schody i to w sensie dosłownym: wszystkie debiutantki musiały bowiem pokonać wielką klatkę schodową, trzymając na ramieniu tren, a w ręku dwie karty od lorda szambelana – te odbierał od nich paź, który wprowadzał dziewczęta na salony. Nie oznaczało to jednak końca ich oczekiwania, bowiem od sali tronowej, w której odbywała się właściwa prezentacja, dzieliło je jeszcze kilka komnat. Nie można było przejść od jednego pomieszczenia do drugiego, bo w drzwiach każdej kolejnej sali służba ustawiała bariery, kiedy tylko weszła tam określona liczba kobiet. Kolejne wpuszczano dopiero wówczas, gdy zwolniło się miejsce. W trakcie oczekiwania dziewczęta zdejmowały rękawiczki z prawej dłoni, którą miały potem podać królowej. Ostatnim etapem tej istnej drogi przez mękę była galeria obrazów, gdzie na dziewczęta czekało już kilku dworzan, których jedynym zadaniem było... prawidłowe rozłożenie trenów zdobiących kreacje młodych dam. Kiedy zmarznięta i zapewne zdenerwowana debiutantka dotarła wreszcie do sali tronowej, wręczała swoją kartę prezentacji odźwiernemu, który przekazywał ją szambelanowi, by ten mógł głośno zaanonsować monarchini debiutującą pannę. Dziewczyna podchodziła do tronu, a królowa wyciągała dłoń, pod którą debiutantka podsuwała swoją, by następnie ucałować rękę władczyni, w tym samym czasie wykonując stosowne, wyćwiczone dygnicie. Jeżeli debiutująca panna była arystokratką, Wiktoria całowała ją w czoło bądź w policzek. Jak już wspomniano, salę opuszczano, idąc do tyłu, by nie odwracać się od królowej.

Tak jak reszta debiutantek, Daisy przygotowywała się do tego wydarzenia przez kilka miesięcy i po raz pierwszy miała wówczas

na sobie „dorosłą” kreację, a więc „długą suknię, niesamowicie długi tren i trzy białe piórka we włosach”³⁵. Jak wspominała, starała się wyglądać dostojnie, ale czuła się jak „mały osiołek”. I zaliczyła *faux pas*: odchodząc tyłem spod tronu, zaplątała się w kilkumetrowy tren i runęła jak długa na podłogę. Wprawdzie poczuła się okropnie, ale ten wypadek nie popsuł jej szyków, gdyż to właśnie ją uznano za najpiękniejszą z wszystkich debiutantek.

Po balu na Daisy, podobnie jak na inne panny, czekały kolejne obowiązki – przez kolejne sześć miesięcy młode kobiety uczestniczyły bowiem w licznych imprezach i spotkaniach towarzyskich, a ich matki, podobnie jak same zainteresowane, z niecierpliwością czekały na pojawienie się odpowiedniego kandydata na męża. Jak skrupulatnie obliczyli współcześni badacze, w czasach, kiedy bohaterka naszej opowieści wkraczała w dorosłe życie, każda panna należąca do socjety w ciągu jednego sezonu brała udział w ponad pięćdziesięciu balach, sześćdziesięciu przyjęciach, trzydziestu wystawnych obiadach z tańcami i dwudziestu pięciu proszonych śniadaniach. Ambicją ich matek było wydanie córki już w trakcie pierwszego sezonu po debiucie, co uważane było za sukces porównywalny do dzisiejszego zdobycia dyplomu ukończenia studiów. Biada tym nieszczęsnym dziewczynom, które po dwóch, a czasem trzech latach nie znalazły narzeczonego, bowiem stawały się obiektem niewybrednych, a czasem wręcz okrutnych kpín i docinków. Te, które w stanie panieńskim dożyły trzydziestego roku życia, praktycznie traciły szansę na zamążpójście i jako życiowe nieudacznice nie tylko były powszechnie pogardzane, ale stanowiły ciężar dla utrzymujących je krewnych.

Uczestnictwo w balach i zabawach tylko pozornie było przyjemnością. Nieszczęsne dziewczyny dwoiły się i troiły, by nie zawieść oczekiwań swoich rodziców, a zwłaszcza matek. Szacowne damy podczas balów i przyjęć krążyły wokół swoich córek niczym sępy, pilnując, by te nie traciły czasu na bezsensowne flirty, ale tańczyły wyłącznie z kawalerami, którzy mogli być potencjalnymi kandydatami na mężów. Same panny niewiele miały do powiedzenia w kwestii swego zamęścia, ale zdecydowana większość z nich godziła się ze swoim losem. „Obowiązkiem każdej panny jest poślubienie

80 000 funtów rocznie, jeśli Opatrzność daje jej taką możliwość”³⁶ – odnotowała w pamiętniku niejaka panna Alice Miles, do której wielbicieli zaliczał się adorator dysponujący właśnie takim majątkiem. Co ciekawe, sama Daisy miała upatrzonego kandydata. Wprawdzie nie była w nim zakochana, ale mężczyzna bardzo się jej podobał, w dodatku pochodził z tej samej sfery co ona, był młody, czarujący i dysponował ładną posiadłością. Niestety wszyscy wiedzieli, iż był beznadziejnie zakochany w pewnej urodziwej mężatce, dlatego kiedy w końcu oświadczył się pannie West, usłyszał stanowcze „nie”. Daisy była zbyt dumna, aby toczyć z góry przegrany bój o jego miłość. „Kilka lat później ożenił się, miał dzieci, po jakimś czasie doszło do separacji między nim a jego żoną, a teraz nie żyje. Jakimż dziwnym pomieszaniem spraw jest życie”³⁷ – odnotowała po latach w swoich wspomnieniach. Ona sama przekonała się, że niełatwo być damą, a czasem nawet najlepsze chęci nie uchronią przed popełnieniem nietaktu czy naruszeniem *savoir-vivre*’u. W trakcie jednego z balów Daisy zaliczyła kolejną towarzyską gafę. Zgodnie z ówczesną modą włożyła na głowę wianek ze zboża, z makami oraz kwiatem słonecznika. Była z siebie dumna – do czasu, kiedy jakiś młody, przystojny dżentelmen nie spytał jej: „Co na miły Bóg sprawiło, że włożyłaś ten głupawy wianek na głowę? Wyglądasz jak dożynki”³⁸. Te słowa popsuły jej humor i doszczętnie zrujnowały zabawę. Na szczęście dość szybko pojawił się adorator, który okazał się wręcz wymarzoną kandydatem na męża ślicznej, ale niezamożnej panny – księżę von Pless, baron na Książu i hrabia Rzeszy, Jan Henryk XV.

Para poznała się na balu, na którym obok angielskiej socjety bawili się również przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, w tym Jan Henryk, sprawujący wówczas funkcję sekretarza ambasady niemieckiej w Londynie. Wszystkie panny przyglądały mu się – oczywiście ukradkiem – z niekłamanym zainteresowaniem, nie tylko dlatego, że był bogaty i przystojny, pomimo wyraźnych początków łysienia. Plotkowano, jakoby jego ojciec chciał go zaręczyć z pewną jasnowłosą księżniczką, Marią von Teck, ze strony matki spokrewnioną z królewskim domem panującym, a ze strony ojca – z Habsburgami. Dziewczyna była Niemką, ale jej rodzina mieszkała w Anglii, gdzie

zresztą Maria przyszła na świat. Ponoć jej rodzice przychylnym okiem patrzyli na Jana Henryka, bo wprawdzie mieli znaczne korzenie, ale podobnie jak Westowie – nie byli zamożni. Między młodymi jednak nie zaiskrzyło, a blondwłosa księżniczka ostatecznie została narzeczoną księcia Alberta, najstarszego syna księcia Walii, Edwarda. Do ślubu jednak nie doszło, bowiem naręczony niespodziewanie opuścił doczesny padół. Rok po śmierci Alberta o rękę Marii poprosił jego młodszy brat, książę Jerzy Fryderyk Ernest Albert, i został przyjęty. Para stanęła na ślubnym kobiercu 6 lipca 1893 roku. W ten sposób Maria znacznie przewyższyła oczekiwania rodziców i zrobiła większą karierę niż jako żona pana na Pszczynie – 6 maja 1910 roku wraz z mężem została koronowana na królową Anglii. Jej małżonek został bowiem królem i panował jako Jerzy V. Prawnukiem wspomianej pary jest aktualny król Karol III.

Przystojny, bogaty Jan Henryk XV, o nienagannych manierach, mógł przebierać w pannach jak w ulęgałkach, ale jego uwagę przykuła urodziwa panna West, co z miejsca dostrzegła jej matka. Ambitna dama bezzwłocznie zasięgnęła opinii o tym jasnowłosym, postawnym mężczyźnie o miłej twarzy, ozdobionej dość sporymi wąsami, a to, czego się dowiedziała, uprawiło ją w doskonały humor. Trafił się jej bowiem idealny kandydat na zięcia. Odtąd książę towarzyszył Daisy we wszystkich balach i imprezach sezonu. Dziewczyna była święcie przekonana, że adorator zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Nie mogło być inaczej, skoro, jak sama zauważała: „Zamiast żony, która pomnożyłaby bogactwo jego rodziny, poślubił kogoś bez grosza przy duszy, stawiając odważnie czoło dawnym niemieckim zwyczajom. Był gotów nawet zapłacić za wyprawę! Nic nie mogło dorównać hojności, z jaką traktował moją rodzinę do samego końca wojny, a nawet i potem”³⁹. Wszyscy zapewniali ją, iż faktycznie książę nie widzi poza nią świata. Tymczasem motywem decyzji Jana Henryka XV o poślubieniu ubogiej arystokratki nie była miłość, ale chłodna kalkulacja. Wprawdzie urodziwa dziewczyna nie wносиła żadnego posagu, ale za to miała bardzo znaczne, królewskie korzenie. Zresztą jej ojciec, na wyraźną prośbę Hochberga, przygotował stosowne dokumenty, poświadczające pochodzenie rodziny od Henryka II Plantageneta. Bezzwłocznie wysłano je do Pszczyny, a zachwycony Jan

Henryk XI zaaprobował wybór syna. Wprawdzie rodzina Hochbergów miała książęcy tytuł i była bardzo bogata, ale niezbyt ceniona w kręgach europejskiej arystokracji. Koligacje z rodem mającym wśród przodków koronowanego monarchę z pewnością otworzyłyby jej drzwi do większości europejskich dworów.

Nieszczęsna Daisy wprawdzie przyjęła oświadczyzny księcia, ale go nie kochała, co nie dziwi – wszak nie miała nawet okazji dobrze poznać swojego przyszłego męża. Lojalnie uprzedziła go o swych uczuciach. Odpowiedział jej, że miłość przyjdzie po ślubie. Po latach, kiedy dowiedziała się, co kierowało jej małżonkiem, z goryczą przyznała: „zostałam po prostu kupiona”⁴⁰.



Maria Teresa „Daisy” von Pless, de domo Cornwallis-West z synem Hansem Heinrichem XVII (mal. Ellis William Roberts, 1902); zbiory Muzeum Zamkowego w Pszczynie

Rozdział 2

Żona, synowa i matka

Miłość przychodzi po ślubie...

Daisy wprawdzie przyjęła oświadczyzny Jana Henryka, ale wyznała narzeczonemu, że go nie kocha, czym jednak nie zraziła go do siebie ani nie zniechęciła do małżeństwa. Usłyszawszy to szczere wyznanie, książę odpowiedział, że miłość przyjdzie po ślubie. „Być może czasami tak się dzieje, ale obawiam się, że niezbyt często”¹ – skontestowała Daisy po latach. Ona sama niezbyt paliła się do zameścia i zupełnie niespodziewanie znalazła sojusznika we własnym ojcu. „Poppets” bardzo kochał swoją córkę i chciał, aby wyszła dobrze za mąż, ale nie popierał małżeństw między ludźmi wywodzącymi się z różnych krajów, dlatego w przeciwieństwie do swojej żony nie był zachwycony kandydatem na zięcia. Pszczyński książę nie wzbudził także sympatii swojego potencjalnego szwagra, George’a, ale pani West była zdeterminowana, by doprowadzić sprawę do szczęśliwego finału. Wszak w jej mniemaniu Jan Henryk był najlepszą partią, jaka mogła się trafić jej córce. A ponieważ była mistrzynią w manipulowaniu wciąż zakochanym w niej mężem, William ostatecznie ustąpił – ku niekłamanemu rozczarowaniu swojego jedyne go syna. „Daisy była najładniejszą debiutantką i znalazłoby się wielu Anglików, gotowych ją poślubić”² – utyskiwał ten w swoim pamiętniku. Zanim jednak do tego doszło, pan West musiał dostarczyć przyszłemu zięciowi cały genealogiczny wywód swoich przodków, wyłącznie po to, aby ten mógł wystać stosowne dokumenty na Śląsk, by jego ojciec, pan na Pszczyńcu, na własne oczy przekonał się, że Daisy jest go na wejście do rodziny Hochbergów. Tymczasem – choć sam „Poppets” nigdy nie przywiązywał nadmiernej wagi do tytułów i koneksji rodzinnych – prośba księcia i perspektywa rozstania się z cennymi dokumentami, nawet na krótko, dosłownie wyprowadziły ojca Daisy z równowagi.

Za to pan na Pszczyńce nie posiadał się z zadowolenia: nie dość, że zaakceptował kandydatkę na synową, to jeszcze wysłał jej w prezencie koronę wysadzaną kamieniami, którą miała mieć na głowie w dniu ślubu z jego synem. I nie był to bynajmniej dowód księżęcej pychy, bo wspomniana korona była kopią insygnium noszonego przez księżnę Świętego Cesarstwa Rzymskiego, a taki właśnie tytuł przysługiwać miał w przyszłości żonie jego syna.

W miarę jak zbliżał się termin ceremonii, Daisy coraz bardziej się denerwowała, zdając sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje. I trudno jej się dziwić, bo przecież nie tylko nie kochała swojego przyszłego męża, ale praktycznie go nie знаła. A przypadki wielu kobiet z wyższych sfer, którym udało się osiągnąć towarzyski sukces i wyjść za mąż, niezależnie od tego, czy zaręczyły się już w trakcie pierwszego sezonu, czy później, mogły budzić w niej obawy. Wielką sensacją wywołało wniesienie o separację przez lady Blanche de Walden, która w 1876 roku poślubiła o trzydzieści lat starszego od siebie, ale bogatego i dysponującego tytułem barona Howarda de Walden. W kręgach towarzyskich uznano to za sukces, ale starszy mąż urządził kobiecie istne piekło na ziemi, znęcając się nad nią zarówno psychicznie, jak i fizycznie. W końcu udręczona Blanche wniosła o separację i o wybrykach barona dowiedziała się cała Anglia. Bywało też, że zaaranżowane małżeństwa okazywały się bardzo szczęśliwie, a miłość rzeczywiście przychodziła po ślubie. Tak było chociażby w przypadku Susan Richard Mackinnon, panny niewywodzącej się z arystokracji. Dziewczyna była „tylko” córką chirurga z wyspy Skye, ale zrobiła wręcz oszałamiającą karierę, oczywiście według kryteriów swoich czasów, gdyż w 1877 roku wyszła za mąż za Algernona St. Maura, późniejszego piętnastego księcia Somerset. Pomimo że para nie doczekała się dzieci, małżeństwo okazało się wyjątkowo udane, zwłaszcza że małżonkowie dzielili pasję do egzotycznych wojaży. Oboje jeździli w najodleglejsze zakątki świata, ale nie korzystali z wygodnych hoteli czy pensjonatów, bo tam, dokąd podróżowali, po prostu ich nie było. Nocowali więc w spartańskich warunkach, często wręcz pod gołym niebem.

Jan Henryk najwyraźniej zdawał sobie sprawę z rozterek narzeczonej, skoro bezustannie roztaczał przed nią uroki małżeńskiego

życia w jego rezydencji. Jak wspominała po latach Daisy, robił, co mógł, by oczarować ją „planami życia na Śląsku. Miałam mieć myśliwych, zamki, biżuterię, dwie damy dworu, odwiedzać Anglię co roku i dałby Bóg nie wiedzieć co jeszcze. To wszystko brzmiało wspaniale i romantycznie”³ – odnotowała w swoich wspomnieniach. Ale pomimo tych zapewnień dziewczyna nadal była pełna obaw, a rankiem w dzień ślubu wybrała się na spacer po ogrodzie odziana w bardzo niedbały strój: byle jaką znoszoną sukienkę, śmieszne nakrycie głowy, które sama określiła mianem turbanokapelusika, swoje najstarsze buty i poplamione rękawiczki. W skrytości ducha liczyła na to, że narzeczony przyjedzie zobaczyć się z nią przed ceremonią, a ujrawszy ją w takim stroju, zrezygnuje z zamiaru poślubienia jej i w popłochu ucieknie gdzie pieprz rośnie. Tak się jednak nie stało. Jan Henryk spał bowiem wówczas snem sprawiedliwego w swoim londyńskim mieszkaniu, zmęczony po kawalerskim wieczorze.

Tak jak ustalono, ceremonia zawarcia małżeństwa miała się odbyć 8 grudnia 1891 roku w znajdującym się na terenie opactwa westminsterskiego londyńskim kościele św. Małgorzaty – tym samym, w którym przed wiekami odbyły się uroczyste zaręczyny samego króla Henryka VIII i jego pierwszej żony, Katarzyny Aragońskiej. Pomimo że małżeństwo monarchy zakończyło się tragicznie, kościół ten stał się jednym z ulubionych miejsc zawierania małżeństw przez członków londyńskiej socjety. I jest nim zresztą do dziś. Poza pszczyńskim księciem i bohaterką naszej opowieści sakramentalne „tak” powiedzieli tam sobie w 1908 roku Winston Churchill i Clementine Hozier, w 1922 roku ukochany wujek Karola III, obecnego króla Wielkiej Brytanii, Louis Mountbatten oraz Edwina Ashley, a w 1993 roku siostrzeniec niedawno zmarłej Elżbiety II, David Armstrong-Jones, wicehrabia Linley, oraz lady Serena Stanhope. Przyjęcie weselne Daisy i Jana Henryka XV miało się natomiast odbyć w luksusowych apartamentach zaprzyjaźnionej z matką panny młodej księżnej rosyjskiej Aleksandry (Alexis) Dołgoruki (z domu Fleetwood Wilson), przy Portman Square 30.

Sam ślub był wielkim wydarzeniem towarzyskim, o którym pisała nie tylko europejska prasa. Relację z ceremonii zamieścił nawet amerykański „The New York Times”. W artykule z dnia 9 grudnia 1891

roku, opatrzonym wymownym tytułem *Ślub w wyższych sferach*, można było przeczytać, iż na ślubie księcia i panny Marii Teresy Cornwallis-West, którą autor określił mianem „ozdoby towarzystwa”, w kościele „zgromadziło się wykwintne towarzystwo składające się z rodzin i przyjaciół młodej pary. Do najbardziej prominentnych gości należeli książę i księżna Walii, książę i księżna von Sachsen-Weimar, książę Jan Henryk XI Pszczyński – ojciec pana młodego, hrabia Deym, markiz i markiza Headfort, hrabia Hochberg, lord Sackville i wszyscy członkowie korpusu dyplomatycznego w Londynie, z udziałem Pana Henry’ego White, sekretarza legacji amerykańskiej”⁴. Autor artykułu pokusił się także o poinformowanie czytelników pozostających za oceanem, a zwłaszcza czytelniczek – jak wyglądała kreacja panny młodej. Suknia Daisy „uszyta została w stylu empire z białej satyny, wykończona jedwabiem, tiulem z Mechelen oraz kwiatami świeżej pomarańczy. Suknia miała niski stan i była wykończona halką, haftowaną srebrną nicią, także w stylu empire. Długi na pięć jardów tren uszyty był z brokatu, a na ramieniu podtrzymywała go srebrna obręcz. Płaszcz był wykończony, tak aby korespondował z tiulem i kwiatami pomarańczy. Akcentem wykańczającym tren była haftowana podszewka, również z białej satyny. Kolejnym elementem zachwycającej toalety był empirowy welon z tiulu pokryty srebrnymi blaszkami. Brokat, z którego uszyto tren, zaprojektowano i utkano w jednym z przodujących salonów w Lyonie specjalnie na ślubną suknię Panny West. Zwieńczeniem stroju panny młodej była diamentowa korona, prezent od pana młodego, oraz broszka i *aigrette*⁵⁶. Równie elegancko ubranych było osiem arystokratek występujących w charakterze druhen – wszystkie, w tym także młodsza siostra Daisy, miały na sobie empirowe suknie z białej satyny, a każda miała wpiętą broszkę w kształcie stokrotki, podarowaną im wcześniej przez pana młodego jako wyraz uwagi dla jego przyszłej żony. Wyrazem szacunku dla panny młodej były również bukiety druhen, złożone z białych róż i margerytek, bowiem nazwa tych ostatnich po angielsku brzmi tak samo jak stokrotka – daisy. Jak się można domyślić, książę był nie tylko fundatorem wspomnianych broszek, ale także całej wyprawy swojej młodej, niezbyt zamożnej żony – wszak

przyszła księżna musiała prezentować się nienagannie. I tak faktycznie było, bo młodzianka, urodziwa dziewczyna oczarowała wszystkich gości, a przede wszystkim – tłumnie przybyłych na uroczystość członków klanu Hochbergów. Świeżo upieczona mężatka z wyjątkową przyjemnością słuchała, jak służba Hochbergów tytułuje ją „Waszą Wysokością”, a potem z radością rozpakowywała ślubne prezenty, wśród których znalazły się nie tylko srebrne naczynia i biżuteria, którą ofiarował jej mąż, ale także naszyjnik z pereł – prezent od księcia i księżnej Walii. Pierwszą osobą, która złożyła gratulacje młodej parze, był właśnie książę Edward, który skorzystał z okazji, by udzielić Daisy kilku ojcowskich rad na przyszłość. Polecił jej mianowicie, aby nauczyła się języka swego męża i stała się dobrą poddaną cesarza, co księżna zrealizowała jedynie połowicznie. Po latach przyznała, iż stała się wprawdzie „dobrą i lojalną” poddaną niemieckiego władcy, ale nigdy dobrze nie opanowała języka Goethego i Schillera. I trudno ją za to winić, bowiem niemiecki był jej właściwie potrzebny wyłącznie do porozumiewania się ze służbą, a do tego celu niekonieczne jest opanowanie go w stopniu biegłym. W ramach wspomnianej wcześniej anglomanii w rodzinnym domu księcia wszyscy mówili przecież na co dzień po angielsku.

Po przyjęciu weselnym, które było bardzo udane, młoda para udała się w podróż poślubną do Paryża i na Riwierę. W przywołanym wcześniej artykule z „The New York Timesa” znajdziemy również opis kreacji, w której świeżo upieczona mężatka wyruszyła w podróż poślubną: „Suknia podróżna panny młodej wykonana jest z rosyjskiego zielonego aksamitu. Jej spódnicę wykończono egipskim haftem o jaśniejszym odcieniu, oddzielonym od krawędzi sukni futerkiem z wydry. Z przodu znajdują się oryginalne emaliowane guziki. Góra sukni ozdobiona jest tym samym egipskim haftem oraz fragmentami futra z wydry, które ciągną się aż do talii. Podobnie wykończone są rękawy, a ozdobny pasek uszyty jest z aksamitu. Toaleta zawiera także długi płaszcz w stylu Ludwika XVI z tego samego aksamitu, również obszytego wydrzym futerkiem. Haft na kołnierzu oraz rękawach płaszcza koresponduje z tym na sukni. Również emaliowane guziki są oprócz większego rozmiaru – identyczne”⁷. Można podejrzewać, że bogate Amerykanki, ślepo naśladowujące modę panującą w kręgach

europiejskiej arystokracji, bezzwłocznie zadbały o to, by podobny strój znalazł się także w ich garderobie.

Wprawdzie Daisy prezentowała się nienagannie w swojej sukni podróżnej, ale nie obyło się bez komplikacji, bowiem dziewczyna, na co dzień niemająca do czynienia z wykwinnymi kreacjami z Paryża, ubrała ją przodem do tyłu. Jej mąż zareagował na ten widok wybuchem śmiechu, ale potem porządnie ją zbeształ. Tego tylko brakowało, żeby pokazała się tak publicznie i przyniosła mu wstyd...

Ponieważ w gruncie rzeczy dość niedorzeczne przepisy niemieckie zabraniały młodym dyplomatom wstępowania w związki małżeńskie, Jan Henryk bezzwłocznie po ślubie zrezygnował z posady w ambasadzie. Jego żona uznała tę zależność za bezsensowną, dostrzegając też komplikacje, jakie rezygnacja z posady wywołała w życiu jej małżonka, a w konsekwencji także w ich związku. „Decyzja ta okazała się nieszczęśliwą pod innym względem – odnotowała w swoich wspomnieniach. – Pozbawiła bowiem mego męża regularnego zajęcia za życia mego teścia, a mnie życia, którego różnorodność i ciekawość być może zrekompensowałyby brak głębokiej, trwałej miłości, bez których nie może się udać żadne małżeństwo”⁸. W nowy etap swojego życia, którego pierwszym rozdziałem była podróż do miasta miłości – Paryża, naiwna, młoda kobieta wkraczała pełna obaw i lęków, zwłaszcza że była zupełnie nieprzygotowana do tego, co może ją czekać. „Wiele dziewcząt w moich czasach miało zapewne takie same problemy lub nawet gorsze. Moi rodzice, z sercami pełnymi czułej miłości, nie zrobili niczego, aby przygotować mnie do trudów małżeńskiego życia. Przypuszczam, że wiedziałam coś, ale jedynie w sposób zdawkowy i niewyraźny. Bez steru i wskazówek byłam zdana na łaskę każdego wiatru, który wiał wystarczająco blisko, aby mnie dosięgnąć”⁹ – wyznała na kartach swoich wspomnień. Wprawdzie, jak przystało na dobrze wychowaną damę, Daisy nie wspomina, na czym konkretnie polegały „trudy małżeńskiego życia”, ale możemy się domyślać, że chodziło po prostu o pożycie intymne. W wiktoriańskiej Anglii seksualność była, przynajmniej oficjalnie, kwestią wstydliwą, a edukacja seksualna, zwłaszcza w odniesieniu do dziewcząt, nie istniała. Istniało za to ciche przyzwolenie na inicjację mężczyzn, i to

dość wczesną. Powszechną praktyką wśród młodych dżentelmenów było zatem uwodzenie kobiet ze służby i wypady do domów publicznych. Dziewczęta, utrzymywane w błogiej niewiedzy, musiały czekać na noc poślubną. Co więcej, przymykano oko na zdrady mężczyzn, bowiem powszechnie uważano, iż mają oni znacznie mocniejszy popęd niż ich partnerki. Ba, nawet zostało to naukowo udowodnione, wszak w 1891 roku, a więc w tym samym czasie, kiedy bohaterka naszej opowieści stanęła na ślubnym kobiercu, doktor Harry Campbell opublikował rozprawę *Differences in the Nervous Organisation of Man and Woman, Physiological and Pathological* (Fizjologiczne i patologiczne różnice systemu nerwowego mężczyzny i kobiety). W swojej pracy udowadniał, że instynkt seksualny jest cechą męską i występuje u kobiet w nieporównanie mniejszym stopniu. Inny, pozał się Boże, naukowiec, James Paget, dowodził, że „ignorancja spraw seksualnych wydaje się wyraźną cechą co wyżej cywilizowanych części rodzaju ludzkiego”. Nieliczni nawoływali do zmiany takiego podejścia, opowiadając się za edukacją seksualną obu płci. W 1900 roku ukazała się praca pastora Edwarda Lyttletona zatytułowana *Training the Young in the Laws of Sex* (Uświadamianie młodzieży o prawach seksu), w której postulował wprowadzenie edukacji seksualnej młodzieży płci obojga. Jego zdaniem nieuświadamianie dziewcząt prowadzi wprost do „marnotrawienia szczęścia małżeńskiego, jakiemu można zapobiec, a jakie jest rezultatem spodlonego myślenia i ignorancji, będących prostym rezultatem przewagi niedomówień w kwestiach seksualnych”. Takie postępowe poglądy były jednak otwarcie potępiane albo przynajmniej ignorowane. Nawet sama królowa Wiktoria, skądinąd szczęśliwa mężatka, zanim nauczyła się czerpać radość z pożycia małżeńskiego, bardzo źle wspominała swój „pierwszy raz”. Po latach w liście do jednej ze swoich córek pisała o szoku, jakim był dla niej „akt seksualny”. Jej zdaniem „naraża on kobietę wstydlivość na wstrząs”¹⁰. W tym samym liście wspominała o „cierpieniach i niepokojach”, które towarzyszyły jej w alkwie na początku małżeństwa.

Noc poślubna musiała być zatem szokiem także dla Daisy. Zapewne dlatego na kartach jej wspomnień trudno szukać jakichkolwiek reminiscencji z podróży poślubnej, opisów Paryża czy też wizyt

w tamtejszych teatrach i operach lub wrażeń z muzeów czy galerii sztuki. A przecież w czasie, kiedy zawitała tam księżna, stolica Francji tętniła życiem; ba, to właśnie wówczas miasto nad Sekwaną zyskało miano artystycznej stolicy świata. Skupieni na Montmartrze malarze zmieniali oblicze malarstwa, a w literaturze do głosu doszli pisarze pokroju Zoli. Ale Daisy o tym nie wspomina, podobnie jak o paryskich kabaretach, które przeżywały wówczas swój rozkwit. A przecież musiały bywać i bywała – bo wiemy, że odniosła swój pierwszy znaczący sukces towarzyski na przyjęciu w ambasadzie niemieckiej w Paryżu. Z czasem jakoś odnalazła się w stanie małżeńskim, a nawet zaczęło się w niej budzić uczucie do męża, którego nazywała „kochanym Tommy”, a on odwzajemniał jej się, mówiąc do niej „żoneczko Dany”. Sama Daisy w listach do domu zapewniała rodziców, że kochają się z mężem i że jest bezgranicznie szczęśliwa. Pytanie, czy była to prawda, czy tylko pobożne życzenie, w które z czasem uwierzyła.

Tymczasem Jan Henryk starał się umilić młodej żonie czas i sprawić, by szczerze go pokochała, a wybrał najłatwiejszy sposób, którym od wieków posługują się mężczyźni chcący pozyskać serca kobiet – obsypywał ją kosztownymi prezentami. To właśnie wówczas Daisy dostała piękny, imponująco długi sznur pereł, w którym w 1909 roku została sfotografowana przez słynną i niebywale modną londyńską fotografkę Ritę Martin. Powszechnie znana jest opowieść, jakoby dostała słynne perły podczas podróży poślubnej do Egiptu. Książę, chcąc wyrzeźwić wrażenie na młodej żonie, zabrał ją w rejs jachtem po Morzu Czerwonym, podczas którego wynajęci przez niego młodzi poławiacze wydobywali z głębin perły i wręczali je zachwyconej księżnej. Nagle doszło do nieszczęścia – jeden z nurkujących mężczyzn zastabł, a kiedy próbowano wciągnąć go na statek, jego krew poplamiła suknię księżnej. Nieszczęśnika nie udało się uratować, a widok twarzy znikającej za burtą pozostał w jej pamięci do końca życia. Inna wersja głosi, jakoby poławiacz przed śmiercią rzucił klątwę na Daisy, której próżność zmusiła go do ryzykowania własnym życiem. Tak właśnie przedstawia tę historię Bogna Wernichowska w pośłowie do wydanych w Polsce wspomnień księżnej pt. *Taniec na wulkanie*: „Jan Henryk obiecał żonie sznur pereł długości kilku metrów. Daisy patrzyła z pokładu jachtu, jak gromada tubylców znika w błękitnych

falach morza, by szukać perłopławów. Podobno jeden z nich zmarł na oczach Daisy, przeklinając tę, którą miały stroić zdobywane z takim trudem perły...”¹¹. Ponoć sama księżna potem właśnie działaniu klątwy przypisywała wszelkie nieszczęścia, które dotknęły ją samą i jej bliskich. A po latach kazała się pochować ze sznurem owych przeklętych pereł, aby już nie przysparzały nikomu łez i bólu...

Jak się dobrze zastanowić, przytoczona historia wydaje się nieprawdopodobna chociażby dlatego, że perły faktycznie były pozyskiwane przez nurków, ale ci wracali na powierzchnię jedynie z zamkniętymi muszlami perłopławów, przy czym jeden nurek wydobywał jednorazowo co najwyżej 50 muszli, aczkolwiek najczęściej zadowalano się mniejszą liczbą. Poławiacz każdorazowo wracał na łódź, a nurkował po raz kolejny tylko pod warunkiem, że miał na to siłę. Wyłowione małże były transportowane na ląd i dopiero tam przeglądane w poszukiwaniu pereł. Nie w każdej muszli ją znajdowano, niemożliwością jest zatem, aby podczas jednorazowego połowu znaleziono wystarczającą ich liczbę do wykonania tak rekordowo długiego naszyjnika. Według różnych źródeł słynny sznur pereł księżnej Daisy miał od 6 do 7 metrów, a ponieważ przeciętna wielkość pereł naturalnych waha się w granicach od 4 do 7 milimetrów, na wykonanie takiego sznura potrzeba od 900 do 1200 pereł! Poza tym nie wszystkie perły są białe i idealne okrągłe, wręcz przeciwnie – perły kuliste są najrzadsze. W muszlach znaleźć można okazy o kształcie łezki, gruszki lub kropli, owalne czy też o nieregularnych kształtach, w jubilerstwie zwane barokowymi; są też perły różowe, srebrne, żółte, czarne, niebieskie, a nawet zielone i brązowe, o różnym stopniu nasycenia i jasności. Jednak trzeba przyznać, że w Morzu Czerwonym występują wyłącznie perły białe i białokremowe.

Prawda o słynnych, rzekomo przeklętych perłach księżnej Daisy jest dużo bardziej prozaiczna. Przytoczona wyżej dramatyczna historia ma dość krótki żywot, bowiem powstała dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych i była pokłosiem popularności filmu *Magnat* w reżyserii Filipa Bajona, którego fabuła zainspirowana jest losami rodziny Hochbergów. W 1989 roku na rynek trafiła powieść Andrzeja Koniecznego *Sekrety białej damy*, której autor jako pierwszy zamieścił taką dramatyczną wersję wydarzeń. „Warto pamiętać, że nie jest to

publikacja popularnonaukowa, choć są tam wspomniane autentyczne fakty, ale fikcja literacka, niewiarygodna jako źródło informacji o księżnej i jej rodzinie – zauważa Mateusz Mykityszyn prezes Fundacji Księżnej Diany von Pless na Zamku Książ w Wałbrzychu, człowiek doskonale zorientowany w dziejach Pszczyzny, Książa, rodu Hochbergów i samej księżnej. – Historia o śmierci poławiacza została od początku do końca zmyślona, prawdopodobnie właśnie na potrzeby tej publikacji. W 2002 roku dziennikarka Bogna Wernichowska w postwoju do pierwszej edycji *Tańca na wulkanie*, pamiętników Daisy, obudowała tę legendę detalami, przedstawiła jako prawdziwą i dodała kolejne wymyślone szczegóły, na przykład dotyczące płucia krwią przez poławiacza¹². W rzeczywistości książę zamówił dla swojej żony sznur pereł w jednym z salonów jubilerskich w Paryżu. Faktem jest, że kiedy potem Daisy pojawiała się z tak imponująco długim naszyjnikiem na salonach, budziła sensację i zapewne zawiść wielu dam, których mężów nie stać było na tak kosztowny prezent.

*Duchy i „niewiarygodnie nudna”
niemiecka etykieta,
czyli niełatwe początki pani na Książu*

Po upływie miesiąca miodowego młodzi małżonkowie opuścili Paryż i udali się w drogę do posiadłości księcia na Śląsku. Daisy miała poznać miejsca, które odtąd będą jej domem, i państwo, które miało stać się jej nową ojczyzną. A przy tym na własne oczy przekonać się, ile prawdy było w opowieściach i obietnicach męża, których słuchała jeszcze przed ślubem. Podróż nastroiła ją dość optymistycznie, bo wraz z Janem Henrykiem korzystała z własnej, należącej do księcia i komfortowo wyposażonej salonki. Na dworcu w Pszczyńcu udała się prosto do tak zwanej poczekalni księżęcej, zamkniętej dla zwyczajnych podróżnych i otwieranej wyłącznie na potrzeby rodziny Hochbergów oraz ich znamienitych gości. Małżonkowie nie spędzili tam zbyt dużo czasu, bowiem wkrótce przyjechał po nich wysłany przez teścia Daisy

paradny powóz, którym młoda para zajęła do rezydencji w Pszczynie.

Od razu po przyjeździe księżna przekonała się, że w opowieściach jej małżonka o tłumie służby dbającej o jej wygody nie było ani krzty przesady – witali ją lokaje, pokojówki i reszta pracowników rezydencji, odziana w obowiązujące w Pszczynie liberie. „Wspaniała klatka schodowa była wypełniona masą mężczyzn ubranych w niebieskie płaszcze, białe kamasze i rękawice – wspominała po latach. – Uniform ten uważałam za wstrętny. Liczba ich zadziwiła mnie i przerażała. Jedyna rzecz, która mi się spodobała, to kobiety-służące ubrane w krótkie purpurowe sukienki, białe fartuszki, chusteczki na szyję oraz pończochy i czapeczki z białego batystu. Włosy ułożone w warkocze zwisające po plecach – wyglądały dość zabawnie”¹³. Oczywiście oprócz służby młodą parę witała rodzina, na czele z teściem i jego drugą żoną, Matyldą Urszulą zu Dohna-Schlobitten. Para pobrała się w 1886 roku, trzy lata po śmierci pierwszej żony księcia, Marii von Kleist, matki Jana Henryka XV i trójki jego rodzeństwa: siostry Idy Luise oraz braci Konrada Eduarda i Friedricha Maximiliana. Z Matyldą „stary” książę doczekał się natomiast jeszcze dwójki dzieci: urodzonego w 1886 roku Wilhelma Bolka Emanuela i córki Anny. Jak widać, teść bohaterki naszej opowieści zerwał z rodzinną tradycją nadawania kolejnym synom kombinacji tych samych imion.

Czas pokazał, że Daisy doskonale rozumiała się z macochą swojego męża, czemu nie można się dziwić, skoro dzieliła je stosunkowo niewielka różnica wieku – trzynastu lat (Matylda była młodsza od swojego męża o całe dwadzieścia osiem lat). Z miejsca zyskała też sympatię swojego teścia, który był dumny z pięknej synowej o królewskiej krwi. A ona odwzajemniała to uczucie. „Cała rodzina nazywała go Vater [niem. ojciec – I.K.] i ja też tak czyniłam – czytamy na kartach jej wspomnień. – Tak jak mój ojciec, był on wielkim džentelmenem. Zgotował mi najcieplejsze powitanie i był moim drogim, wiernym przyjacielem i opiekunem”¹⁴.

Natomiast rezydencja Hochbergów w Pszczynie, z której Vater był niebywale dumny, nie zachwycała Daisy – wprawdzie podobał się jej sam budynek, ale jego wystrój bardzo ją rozczarował. „Urządzono go

dość brzydkimi, ciężkimi i nazbyt złoconymi meblami, co niby miało być w stylu francuskim, a tak naprawdę nie było niczym innym jak tylko zwykłą niemczyzną – pisała wyraźnie zniesmaczona. – Były tam liczne tarasy, rozległe ogrody oraz wiele rzeźb bez wyrazu”¹⁵. Trudno się dziwić Daisy, kobiecie wywodzącej się z angielskiej arystokracji, przyzwyczajonej do zupełnie innego stylu. W rezydencji Hochbergów próżno było szukać arcydzieł malarstwa europejskiego, z takim zapałem kolekcjonowanych chociażby przez Potockich z Łańcuta. Ani Jana Henryka XI, ani jego poprzedników na pszczyńskim zamku nie można nazwać kolekcjonerami dzieł sztuki, bo obrazy i rzeźby, które zdobiły wnętrza rezydencji, z reguły były odbiciem ich pasji myśliwskiej. Kolejnym widowym znakiem zainteresowań panów na Pszczynie była natomiast prawdziwa kolekcja trofeów myśliwskich: poroży, wypchanych zwierząt i skór, zdobiąca neorokokowe korytarze rezydencji. Młodej księżnej doskwierał też brak łazienki, co szczerze mówiąc, nie było niczym niezwykłym w owych czasach. Wprawdzie nowo budowane domy bogatych przemysłowców były już wyposażane w ustępy oraz tak zwane pokoje kąpielowe, ale w starych, arystokratycznych rezydencjach na polskich ziemiach pod zaborami te udogodnienia przyjmowały się wyjątkowo opornie. I nie wynika to bynajmniej z ówczesnego podejścia do kwestii higieny, ale z faktu, iż podpięcie bieżącej wody i wyposażenie budynków w kanalizację odprowadzającą ścieki wiązało się z niebywale kosztownym remontem. Pierwszymi rezydencjami polskich arystokratów, gdzie wprowadzono te nowoczesne innowacje, były pałac w Łańcucie i pałac Jabłonowskich w Krakowie. Jan Henryk XV, chcąc sprawić żonie przyjemność, namówił swojego ojca, aby w Pszczynie wprowadzić innowacje polegające na doprowadzeniu kanalizacji i bieżącej wody. Przy okazji powstała, specjalnie dla młodej księżnej, piękna łazienka, którą do dziś można oglądać w pałacowym muzeum. Łazienka znajduje się w apartamentach księżnej, w skład których wchodzi również jej sypialnia, salon i buduar. Jest wyłożona białym, różowym i zielonym marmurem, uwagę zwraca wanna wpuszczona w posadzkę oraz barokowe dekoracje. W okiennej niszy ustawiono sedes w kształcie fotela. Jak można się domyślić, łazienka księżnej nie była jedyną w wyremontowanym pałacu – także apartamenty pozostałych

członków rodziny i pokoje gościnne zostały w nie wyposażone. W tym także sypialnia cesarza, jako że niemieccy władcy często przyjeżdżali do Pszczyny na polowania. Drzwi prowadzące do łazienki cesarskiej zostały zmyślnie ukryte w boazerii pokrywającej ściany pokoju.

Na szczęście Daisy nie musiała stale mieszkać w nie lubianej przez siebie rezydencji, bowiem Vater wspaniałomyślnie odstąpił młodej parze zamek w Książu, dokąd para przeniósła się w lipcu 1892 roku. Jan Henryk XV i jego śliczna żona zostali serdecznie przywitani przez mieszkańców zgromadzonych tłumnie na trasie ich przejazdu od dworca kolejowego w Świebodzicach do rezydencji książęcej. Pracownicy dóbr Książ i Krucz-Cieszkowo podarowali im akwarele z widokiem książęcego wąwozu i obu zamków, wraz z wierszem i dedykacją dla młodej pary. Prezent umieszczony był w tece, którą wykonał zakład introligatorski Gebr. Somme'schen Atelier we Wrocławiu. Zamek Książ znacznie bardziej przypadł do gustu angielskiej arystokratce, chociaż i tam nie było łazienek. Za sprawą jej męża sytuacja znów uległa zmianie, ale tym razem Jan Henryk XV nie trafił w gust żony, która określiła łazienkę w Książu mianem „okropnej”, choć dodała: „lepsza taka niż żadna.” Jednak sam zamek bardzo przypadł jej do gustu: „Zamek Książ jest pięknie położony: wieńczy okrytą sosną skałę na wysokości powyżej 200 stóp na południowy zachód i północ i dominuje nad ogromnym obszarem wiejskim z lasami, jeziorami i szerokimi połaciami równin, które bledną w porównaniu z odległymi śląskimi górami – pisała zachwycona. – Wiele ze starych pokoi, w jednej części domu, znajduje się faktycznie w skale i aby dojść do tej części zamku, należy przejść przez kamienny most, który łączy rzekę płynącą daleko w dół poniżej dna głębokiego wąwozu. Wszystkie drogi do zamku stopniowo wznoszące się i zbliżające z każdego kierunku to stale zwierająca się perspektywa zachwycającej cudowności”¹⁶. Dopiero tam poczuła się prawdziwą gospodynią, a w okalających zamek lasach organizowała pikniki. Lubiła też sama chadzać do lasu, gdzie znalazła swoją samotnię na polanie z „mnóstwem dziwnych kwiatów i białymi konwaliami, tak wysokimi, jak angielskie niebieskie dzwonki. Miałam w zwyczaju leżeć z książką wśród tego pysznego, szczerego piękna, oddychać jego zapachem i rozważać, czy jestem bardzo nieszczęśliwa, czy tylko

smutnie szczęśliwa”¹⁷ – pisała w drugiej części swoich wspomnień pt. *Co przemilczałam*. Rozczarowały ją jedynie ogrody, jako że bardzo różniły się od tych, które znała z ojczyzny Anglii. W Niemczech wszystko musiało podlegać określonym przepisom, także nasadzenia oraz rośliny ogrodowe, zatem sztab ogrodników nadawał kwiatom i krzewom określone kształty. Na tarasach otaczających zamek w Książu nie brakowało wprawdzie kwiatów, ale... wszystkie były w tym samym kolorze, co raziło poczucie estetyki Daisy. Jej zdaniem urządzenie tamtejszych ogrodów przywoływało na myśl niemiecką gospodynię „w sztywnym bawełnianym szlafroku, z oczami spuszczoneymi w dół, w białych bawełnianych pończochach, w wysokich czarnych butach i z mnóstwem cieniutkich warkoczyków na głowie. Takie ogrody przypominają paprocie. A paprocie według mnie są takie akuratne – bez koloru, zapachu czy nawet tajemnicy. Są jak pani Pruderia świata roślin”¹⁸. Podobnie wyglądały ogrody w Pszczynie, ale przynajmniej w Książu młoda księżna mogła wprowadzić swoje porządki i w ciągu kilku następnych lat zmieniała ogrody podług własnego gustu, aranżując je w stylu angielskim. W tym celu sprowadziła nawet ogrodnika z rodzinnego Newlands, by zajmował się roślinami przez cały rok. Za sprawą Daisy w ogrodzie posadzono zakupione przez nią za granicą rododendrony, które zakwitają co roku niemal w rocznicę jej urodzin wszystkimi możliwymi kolorami. Latem spędzała na zewnątrz dużo czasu, a wieczorami przechadzała się sama po tarasach pałacowych, tęskniąc za Newlands, gdzie dokazywała razem z bratem i siostrą podczas letnich wyjazdów.

Jeżeli wierzyć Daisy i jej krewnym, życie w Książu skutecznie zakłócały... duchy, które od wieków straszły mieszkańców rezydencji. Ona sama miała okazję spotkać zjawę zwaną garbatym Jankiem. Pewnej nocy obudził ją jakiś dziwny dźwięk dochodzący od strony kominka, a kiedy otworzyła oczy, ujrzała mężczyznę, który próbował rozpalić ogień. Niestety bezskutecznie, bo co chwilę upuszczał pogrzebacz i szczypce, a palenisko pozostawało wygasłe. Księżna była święcie przekonana, że ma do czynienia z jakimś nieudolnym służącym, a ponieważ nie umiała jeszcze mówić po niemiecku, grzecznie milczała, obserwując działania mężczyzny, który wkrótce zrezygnowany wyszedł

z pokoju. Nazajutrz poinformowała męża o owym wydarzeniu, ale książę bezskutecznie próbował zidentyfikować nieudolnego służącego, który niepokoił nad ranem jego małżonkę. Wśród personelu nie było nikogo, kto przypominałby mężczyznę opisanego przez księżnę, wobec czego uznano, że cała ta sytuacja po prostu jej się przyśniła. Kiedy jednak incydent powtórzył się następnej nocy i w trakcie kolejnej, przerażona Daisy stwierdziła, że ma do czynienia z duchem. I rzeczywiście, wśród okolicznych mieszkańców chodziły słuchy o zjawie zwanej garbatym Jankiem, która regularnie nawiedzała zamek. W tej sytuacji księżna przeniosła swoją sypialnię do innego pomieszczenia, a w poprzedniej urządziła pokój gościnny, w którym garbaty Janek mógł się panoszyć do woli. Pojawianie się zjawy ustało dopiero w trakcie zarządzonej przez jej męża przebudowy zamku. Wówczas pod dawną sypialnią Daisy znaleziono szkielet mężczyzny, w dodatku rozczłonkowany, co zdaniem jej szwagra było widowym dowodem na to, że nieszczęśnika zamordowano. Ponieważ części, w której znajdował się nawiedzony pokój, nie remontowano od czasów reformacji, przyjęto, że garbaty Janek był za życia katolikiem i w takim porządku postanowiono go pochować, co okazało się doskonałym pomysłem, gdyż po pogrzebie zjawa wyniosła się z Książa na dobre.

W taki sam sposób rozprawiono się z innym duchem, widywanym ponoć na zamkowych tarasach, który poza straszaniem ludzi znajdował jakąś dziwną przyjemność w doprowadzaniu do szału mieszkających na zamku psów. Również i on przestał nawiedzać rezydencję, kiedy pochowano znaleziony na zamku kolejny szkielet. Zupełnie nieszkodliwy był natomiast duch myśliwego, którego widywała głównie zamkowa służba oraz goście Daisy i jej męża. Spotykano go w parku okalającym rezydencję. Był to brodaty mężczyzna w średniowiecznym stroju myśliwskim w kolorze zielonym, czasami prowadzący na smyczy dwa psy, w dodatku zupełnie nieznaną współcześnie rasy. Powszechnie uważano, iż jest to życzliwa zjawa stojąca na straży przyrody i samego zamku. Tego samego nie dało się powiedzieć o duchu nawiedzającym komnatę przylegającą do trzynastowiecznej wieży warownej. Grasująca tam zjawa niejedną raz dała się mocno we znaki nocującym tam gościom. Niemal każdy z nich miewał tam takie koszmary, że budził się dosłownie zlany

potem, o ile w ogóle udało mu się zasnąć, co złośliwy duch próbował uniemożliwić. Jego obecności doświadczył nawet młodszy brat Daisy George w czasie jednej ze swoich wizyt w Książu:

„Jak tylko wszedłem do pokoju, w którym umieściła mnie siostra, wyczułem złowieszczą atmosferę – coś niewytłumaczalnego – relacjonował po latach. – W nocy obudziło mnie rytmiczne stukanie w okno: rat-a-tat-tat-tat-tat. Uznałem, że otwarła się okiennica, zapaliłem więc świecę (było to, zanim wprowadzono elektryczność), otworzyłem okno i stwierdziłem, że z okiennicą wszystko było w porządku. Wróciłem do łóżka i już prawie zasypiałem, kiedy stukanie się powtórzyło. Gdy zapaliłem świecę, wszystko się uspokoiło. Bertie Paget miał pokój niedaleko mnie. Przypomniłem sobie, że tam jest sofa i postanowiłem przespać się u niego. Wszystko było lepsze niż pozostanie w tym pokoju. Ponownie zapaliłem świecę, pobierałem pościel i skierowałem się do wyjścia. Wtedy odezwało się stukanie do drzwi. Uciekłem.

Następnego ranka, kiedy nalegałem na zmianę pokoju, Daisy koniecznie chciała wiedzieć dlaczego. Widząc błysk w jej oczach, zmusiłem ją do przyznania, że celowo umieściła mnie w rzadko używanym pokoju, w którym straszy – chciała sprawdzić, czy i ja coś odczuję. Powiedziałem jej, że to był kiepski żart¹⁹.

Straszenie ustało, kiedy w czasie przebudowy i prac remontowych znaleziono w wieży zgarbiony szkielet. Można było domniemywać, że należał do nieszczęśnika, który został zamurowany żywcem. W czasach, kiedy zbudowano ową wieżę, powszechny był przesąd, iż taki postępek sprawi, że warownia będzie niemożliwa do zdobycia. Szczątki spoczęły na cmentarzu i już nikt nie narzekał na tajemnicze hałas w pokoju obok starej wieży. Wszystkie te niesamowite historie o duchach pieczołowicie zbierał i spisywał syn księżnej, Hensel, aczkolwiek sam przyznawał, iż nigdy osobiście nie spotkał żadnego nieproszonego gościa z zaświatów.

Żadne paranormalne zjawiska, prawdziwe czy urojone, nie obrzydziły Daisy Książa. Wraz z mężem mieszkali na co dzień w swojej rezydencji, ale podczas świąt czy rodzinnych zjazdów przenosili się do Pszczyzny, nadal pełniąc funkcję głównej siedziby rodu. Tam też spędzali święta Bożego Narodzenia, podczas których księżną dopadała

rozpaczliwa tęsknota za domem. „Święta tu ani trochę nie były podobne do mojego rodzinnego Bożego Narodzenia w Anglii – wyjaśniała na kartach swoich wspomnień. – Mieliśmy piękne niemieckie kolędy, za to nie było walca papierowego z drobną niespodzianką, ogniem bengalskim, który wybucha, gdy dwie osoby rozrywają go, ciągnąc w przeciwnie strony, ani babeczek z leguminą z jabłek, rodzynek, skórki pomarańczowej i migdałów, ani nawet puddingów śliwkowych. W następnych latach otrzymywałam je z Anglii i miałam prywatną małą uroczystość w moim własnym pokoju, do której przyłączała się moja angielska pokojówka i angielski lokaj mojego męża”²⁰.

Z przytoczonej wyżej relacji o spotkaniu Daisy z tajemniczą zjawą wynika, że małżonkowie nie dzielili sypialni, co nie oznacza jednak jeszcze małżeńskich problemów. Takie zwyczaje były przyjęte w wyższych sferach i nadal obowiązują chociażby wśród brytyjskich arystokratów. I rzeczywiście, księżę i jego żona, zarówno w Pszczynie, jak i w Książu oraz w innych rodzinnych rezydencjach, które odwiedzali, zajmowali odrębne apartamenty składające się z kilku pomieszczeń. Jeżeli wierzyć wspomnieniom Daisy, taki stan rzeczy bardzo jej odpowiadał, uważała bowiem, że dodaje to pikanterii małżeńskiemu pożyciu. Z czasem księżna urządziła zgodnie ze swoim gustem swój apartament w nie lubianej Pszczynie, aranżując go w modnym, dalekowschodnim stylu. W sypialni zachwycał oryginalny japoński sepet²¹ podróżny, określany w inwentarzu jako *Japanische Schmuck-Schränkchen*, w którym Daisy przechowywała swoją biżuterię oraz dwie zabytkowe chińskie wazy. Z kolei wystrój saloniku zdominowały jasne tkaniny chińskie, meble zdobione laką i złoczone lustra w stylu określanym wówczas mianem angielsko-chińskiego. Z zachowanego inwentarza wynika, że w salonie znajdowały się także „dwie szafki chińskie w kształcie piramidy, japońskie biureczko, komoda z płytą ze szkła, kabinet na rzeźbionych i połączonych nogach, parawan i kosz na węgiel; całość dopełniały wazy i wazoniki wschodnie, czarno lakierowane meble w guście chińskim i ciemne, metalowe wazy o motywach secesyjnych”²².

W listach do domu księżna zapewniała swoich rodziców, że Henryk jest najlepszym mężem na świecie i oboje bardzo się kochają, co nie znaczy, że jej życie przypominało idyllę rodem z ckliwych romansów. Wręcz przeciwnie, wkrótce po przyjeździe do Pszczyzny między małżonkami doszło do pierwszych dość poważnych nieporozumień. Janowi Henrykowi nie przypadły do gustu nowinki wprowadzane przez żonę w Książu, poza tym uważał, iż zachowuje się ona jak typowa nuworyszka i ma problemy z etykietą obowiązującą niemiecką arystokrację, a zwłaszcza niemieckich księżąt. Daisy faktycznie miała z tym problemy, a samą etykietę uznała wręcz za nudną, dlatego popełniała gafę za gafą. W dodatku bardzo męczyła ją liczna służba, nieodstępująca jej niemal na krok. Nie знаła mowy swojego męża, z którym, podobnie jak z jego krewnymi, rozmawiała w swoim ojczystym języku, nie potrafiła się więc porozumieć z nikim ze sztabu pokojówek, służących i lokajów. „Nie znałam niemieckiego, więc trudno było mi wyrazić swoje życzenia – wspominała. – Kiedy chciałam wyjść z jednego pokoju i pójść do innego, dzwonił dzwonek, otwierały się drzwi i lokaj szedł przede mną, gdziekolwiek tylko pragnęłam iść. Wszystko, czego chciałam, to wykraść się cicho ze ściśniętym gardłem lub być może czekać na angielską pocztę. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobiłam, było nauczenie się niemieckiego w takim stopniu, aby powiedzieć, że ta ceremonia nie jest już konieczna, sama potrafię otworzyć drzwi i pójść do łóżka samodzielnie. Tego, co robiłam, nie apróbował mój mąż przez całe nasze życie i na tle udziału służby w naszym życiu ciągle dochodziło do nieporozumień”²³. Na szczęście w jej małżeńskiej rezydencji nie pracowało tak wielu ludzi jak w Pszczyźnie, gdzie sama tylko obsługa „przy stole liczyła zawsze od co najmniej kilkunastu do kilkadziesiątu osób. W czasie wizyty króla pruskiego w 1789 roku królowi i następcy tronu asystowało przy posiłkach po czterech ze służby, radcom królewskiego dworu i sekretarzowi po dwóch, pozostałym jeden służący, łącznie pierwszy stół, przy którym zasiadało 9 osób obsługiwało 18 służących. Później, pod koniec XIX i na początku XX wieku, ilość służby usługującej przy stole wynosiła około 30 osób. [...] na jednym z przyjęć [Daisy] naliczyła wokół stołu dwóch nad- i dwunastu podochmistrzów, osiemnastu

lokajów, pięciu strzelców przybocznych oraz kilku innych służących”²⁴. Ale nawet w jej ukochanym Księżu nie obyło się bez osób pełniących dość osobliwe funkcje. Należał do nich mężczyzna, którego jedynym zadaniem było informowanie służby, że nadchodzi ktoś z rodziny Hochbergów, komu należy otworzyć drzwi, pomóc przy wsiadaniu lub wysiadaniu z powozu czy przyprowadzić konia na przejażdżkę. Taki „sygnalista” ubrany był w odpowiednią liberię, na głowie miał trójgraniasty kapelusz, a w ręku srebrną laskę, przepasany był podwójną szarfą z herbem Hochbergów i stał przy drzwiach wejściowych od zewnętrznej strony, by móc widzieć wszystko na zewnątrz. Gdy nadchodził ktoś z rodziny Daisy, sygnalizował to innym osobom zatrudnionym do obsługi. Księżna uważała, że powinno się zatrudniać znacznie mniej personelu, była także przeciwna ubieraniu służby w tak strojne liberie, jakie obowiązywały w rodzinie Hochbergów. „Zawsze w pewnym sensie byłam socjalistką i nienawidziłam naszych lokajów w liberii, okrytych srebrną koronką i służących niepotrzebnych do niczego innego, jak tylko na pokaz. [...] Jestem całkowicie pewna, iż w złym guście jest puszenie się bogactwem i władzą”²⁵ – odnotowała w swoich wspomnieniach.

Przyzwyczajona do zupełnie innych obyczajów, wychowana w świecie angielskiej socjety, młoda księżna czuła się obco wśród niemieckiej arystokracji i stanowczo zbyt często zdarzało się jej naruszać „głupią” jej zdaniem etykietę. Za nic nie mogła pojąć, dlaczego kiedy przebywa sama w domu, nie może przyjmować gości płci męskiej, o ile nie towarzyszy jej przyzwoitka. Jeżeli akurat tej nie było w pobliżu, służba informowała przybysza, że „pani nie ma w domu”. Kiedy podczas wizyty w Berlinie Daisy dowiedziała się, że nie może sama odbywać spacerów ani przejażdżek, musiała poprosić jedną z ciotek męża, by jej towarzyszyła. Innym razem, dowiedziawszy się, że w Niemczech każdy dobrze wychowany pan zamiast zając miejsce na sofie obok siedzącej tam damy powinien usiąść na krześle, zareagowała głośnym wybuchem śmiechu. Co rusz narażała się mężowi, jego krewnym i znajomym jakąś gafą czy naruszeniem sztywnych zasad etykiety. I jakoś nikt się nie zastanawiał, skąd ta młoda, niedoświadczona dziewczyna, która przybyła z zagranicy, miałyby czerpać wiedzę

o nieznanym jej obyczajach: nie było żadnych stosownych książek, bo zasady *savoir-vivre'u* niemiecka młodzież wyносиła z domu, a księżna nie miała koleżanek czy znajomych, które mogłyby jej w tym pomóc. Trudno się zatem dziwić, że bezwiednie szokowała niemiecką societę. „Czasami wśród sztywnej pruskiej arystokracji powtarzano: «Daisy is crazy». Księżna była tak otwarta, że potrafiła zjednywać sobie ludzi bez względu na ich status społeczny. Miała dar otwierania ludzkich serc i czasami porównywana jest nawet z księżną Dianą. Angielskich księżnych było w tym czasie w Niemczech więcej. Żadna z nich nie miała charyzmy i magii Daisy”²⁶ – zauważa Mateusz Myktytyszyn. Będąc w Berlinie razem z mężem i jego rodziną, księżna naraziła się tak bardzo tamtejszej arystokracji, że zaczęto nazywać ją „angielską rebeliantką”. Tę opinię potwierdza inna Angielka, która w latach 1899–1900 również przebywała w stolicy cesarstwa, lady Susan Townley, żona dyplomaty sir Waltera Beaupré Townleya. Panie szybko się zaprzyjaźniły, a Susan pozostawiła interesujący opis bohaterki naszej opowieści w swoich pamiętnikach: „W czasie naszego pobytu w Berlinie najbardziej popularną postacią stolicznej society była angielska żona księcia [Jana] Henryka von Pless, magnata niemieckiego, właściciela ogromnych posiadłości w południowych Niemczech. Była młoda, bardzo czarująca, nadzwyczaj piękna, szczerą i bezpośrednią do stopnia alarmującego ludzi przyzwyczajonych od kołuski, jak Niemcy, do surowej ceremonii i porządku”²⁷.

Ponieważ Hochbergowie należeli do osób określanych mianem *hoffähig*, a więc mających wstęp na cesarski dwór, księżna dostąpiła zaszczytu bywania na rozmaitych balach i innego rodzaju wydarzeniach organizowanych w pałacu. Nie była jednak z tego powodu szczęśliwa, ponieważ raziły ją obyczaje i etykieta panujące na cesarskim dworze, poczynając od ceremoniału, poprzez sposób sadzania gości, a na tańcach dworskich skończywszy. Zaproszenie na jeden z balów u cesarza, które organizowano zazwyczaj dwu-, a czasami trzykrotnie w trakcie karnawału, w tym obowiązkowo w ostatki, traktowane było jako wielki zaszczyt. Daisy jednak, mimo że jeżeli akurat była w Berlinie, bywała na każdym, niezbyt dobrze się tam bawiła. W pałacu nie tańczono bowiem walców czy mazurów, gdyż „tańcami dozwolonymi

na dworskich balach były gawot i menuet i jedynie tym, którzy ćwiczyli je razem wcześniej, wolno było w tych imprezach uczestniczyć²⁸. Nawiasem mówiąc, w Berlinie obowiązywał tylko jeden sezon zabaw i balów i trwał znacznie krócej niż londyński – od stycznia do początku Wielkiego Postu. A przyczyną takiego stanu rzeczy były... podatki. Jak się okazuje, niemiecka arystokracja podczas pobytu w swoich stołecznych rezydencjach musiała płacić znacznie wyższe podatki niż mieszkając na prowincji, dlatego po karnawale czym prędzej wyjeżdżano do wiejskich posiadłości, a za opustoszałe, zamknięte na cztery spusty berlińskie domy nikt nie opłacał podatków.

Daisy bardzo źle się czuła w Berlinie i z pewnością podzielała opinię dziennikarza „The Lady’s Realm”, który w artykule zatytułowanym *Wytworne towarzystwo Berlina*, a opublikowanym w 1899 roku, donosił: „Socjeta w Berlinie różni się bardzo od tych w innych stolicach i nie można jej pochlebnie porównać z towarzystwem Londynu lub Wiednia. Stolice Wielkiej Brytanii i Austrii są znacznie przyjemniejsze, bo brak w nich tej sztywności, która tak często czyni pruską socjetę nudną i monotonna. [...] W Berlinie panuje rygorystyczny podział na klasy, więc socjeta akceptuje jedynie ludzi pochodzenia szlacheckiego, wysokich urzędników dworskich i rządowych i tylko tych oficerów wojska i marynarki, którzy zostali wcześniej przyjęci i przedstawieni na Dworze. Wszyscy inni mieszkańcy miasta nie mają najmniejszej szansy na wejście do socjety. Reguła ta ma swoje dobre i złe strony, bo choć powstrzymuje intrygi i nieprzyjemności, to sprawia, że oferowane rozrywki towarzyskie są nużąco jednakowe i trudno w nich znaleźć odrobinę oryginalności. Przyjemna i swobodna atmosfera Wiednia jest obca Berlinowi, gdzie panuje zimna formalność. Pruscy arystokraci, pomimo że są uprzejmi i życzliwi, są trudni w nawiązywaniu przyjaźni i komuś, kto próbuje to zrobić, przebicie się przez ich skorupę reguł i konwenansów zabiera dużo czasu. [...] Bez więzów rodzinnych przejście z nimi w zażyłość jest prawie niemożliwe²⁹. W stolicy cesarstwa powszechne zdziwienie budził fakt, że księżna i jej mąż nie mieszkali w rodzinnej rezydencji w Berlinie przy Wilhelmstrasse 64, ale w hotelu. Podczas przyjęcia w pałacu jeden z siedzących koło Daisy wiekowych dżentelmenów zapytał ją

o przyczynę takiego stanu rzeczy. Kiedy księżna odparła, że ona i jej mąż nie mieszkają w pałacu, bowiem nie ma tam łazienek, starszy pan zakrzyknął: „Mein Got [...] czy on absolutnie musi się kąpać codziennie?”³⁰. Daisy była zdziwiona, ale i rozbawiona taką reakcją. Za to oburzenie księżnej budziły znacznie poważniejsze sprawy – nie mogła pojąć, dlaczego Żydzi, nawet ci najbogatsi i zasłużeni dla kraju, nie byli przyjmowani na dworze. Wyjątek robiono dla tych, którzy zostali nobilitowani i zmienili wyznanie. Dla Daisy było to nie do przyjęcia. „Anglia jest jedynym krajem, o którym wiem, że Żyd nie jest uważany przede wszystkim za Żyda, ale za Anglika. Jeśli jest dobrym obywatelem, jego religia jest jedynie jego sprawą”³¹ – pisała potem we wspomnieniach. W owych czasach jednak niewiele osób podzielało jej poglądy.

Jej mąż zresztą bardzo szybko się przekonał, że śliczna i eteryczna Daisy nie będzie pokorną żoną, posłusznie wypełniającą męzowskie życzenia. Kiedy pewnego dnia, składając wizytę w jednym z pałaców, podpisała się „Daisy of Pless”, ksiądz nakazał jej poprawić ten wpis na „Maria Teresa von Pless”. Ku jego rozczarowaniu księżna nie tylko niczego nie poprawiała, ale odtąd zawsze podpisywała się „Daisy of Pless”. Pewnego dnia podczas przyjęcia w myśliwskim zameczku Promnice, gdzie nie obowiązywały formalne stroje, pojawiła się w kreacji zrobionej naprędce z... worków na paszę i usiadła obok teścia. Starego księcia zaniepokoił zupełnie niezwykły w tym miejscu zapach koni i siana, a kiedy odkrył jego źródło, dyskretnie pochylił się w kierunku synowej, mówiąc: „Przepraszam cię, moje dziecko, ale obawiam się, że ten zapach pochodzi od ciebie”. Najwyraźniej nie poznał się na żarcie Daisy, ale na szczęście ten incydent nie zmienił jego stosunku do młodej księżnej. Żona Jana Henryka XV w swoim teściu miała prawdziwego przyjaciela i sprzymierzeńca – Vater nie tylko przymykał oko na wszelkiego rodzaju niedociągnięcia swojej młodej synowej, ale także bronił ją przed atakami innych. Tak było, kiedy Daisy odmówiła wyjścia na spacer w Berlinie w czarnej sukni, jaką na takie okazje przywdziewały tamtejsze arystokratki. Uznała bowiem, że skoro nie nosi żałoby, nie będzie przywdziewać strojów w tym według niej mało twarzowym kolorze. Vater początkowo był

zdziwiony, ale w końcu przyznał rację księżnej, która towarzyszyła mu na przechadzce w pięknej, ale szarej, nie czarnej, sukience. „Kiedy którykolwiek z nowych i strasznych niemieckich krewnych był dla mnie surowy, zwykł mówić: «Zostaw dziecko w spokoju, ona się nauczy». Dodawało mi to odwagi i robiłam wszystko, co w mojej mocy, aby go zadowolić, będąc taktowną i ucząc się robić wszystko tak, jak należy”³² – wspominała po latach. Chcąc przypochlebić się teściowi i znając jego miłość do koni, Daisy nawet nauczyła się skomplikowanych rodowodów hodowanych przez niego wierzchowców, a potem sprawiała mu przyjemność, wymieniając imiona rodziców jakiegoś wspaniałego ogiera bądź klaczy. Jednak pomimo starań relacje Daisy z teściem nie zawsze układały się poprawnie. Jak sama przyznała po latach: „było coś dzikiego, nieoswojonego w moim angielskim, a może irlandzkim albo walijskim duchu, tak że czasem urągałam staromodnym wyobrażeniom o tym, jaka powinna być dama, i wtedy nawet między nami wybuchały krótkotrwałe nieporozumienia. Często musiałam też łykać neuronione łyzy. Nieustępliwa angielska duma sprawiała, iż zawsze chciałam ukryć ból czy rozczarowanie”³³.

Nobliwego, dbającego o pozycję towarzyską starego księcia nie zawsze bawiły też dowcipy synowej i figle, jakie z uporem godnym lepszej sprawy płała gościom bywającym w jej rezydencji w Książu. „Jej zachowanie w roli hostessy rezydencji jej męża w południowych Niemczech było nawet bardziej niekonwencjonalne niż w Berlinie – wspomina lady Townley. – Jej mąż był dumnym arystokratą, przywiązany do rodzinnych tradycji i chciał mieć wszystko na najwyższym poziomie, czego jego żona nie podzielała. Jednego dnia, wciąż w swoim pokoju na górze, usłyszała przybycie gościa. Przekroczywszy na palcach galerię, spoglądnęła sponad balustrady na przedsiónek i zobaczyła tam czekającego mężczyznę. Od razu wpadł jej do głowy psikus. Pobieгла więc z powrotem do sypialni, by za chwilę wrócić z dzbanem wody, który na niego wylała. Nie była przy tym zupełnie skonsternowana, gdy wściekły, z pianą na ustach, mężczyzna spojrzał w kierunku, skąd zleciał na niego prysznic, i okazał się być, zamiast swawolnym młodym oficerem, ziemiańskim sąsiadem

o wielkim znaczeniu i arystokratycznym pochodzeniu, którego mała znała, a który przebył ponad dwadzieścia mil, by złożyć jej grzecznościową wizytę!”³⁴. Na szczęście dla jej teścia Daisy nie pozwalała sobie na tego typu zachowanie na cesarskim dworze. Swoją drogą zastanawiające jest, że Vatera bardziej martwił brak znajomości etykiety jego synowej niż bezczynność pierworodnego, który zamiast przygotowywać się do roli dziedzica imperium Hochbergów, tracił czas na rozrywki, marnotrawiąc ojcowskie pieniądze.

W oczekiwaniu na „buty nieboszczyka”

Pewna angielska księżna nazwała okres w życiu swojego męża przed przejściem przez niego rodowych włości oraz tytułu „czekaniem na buty nieboszczyka”. Nie był to łatwy czas dla przyszłych spadkobierców – dotychczasowi posiadacze tytułu z reguły nie dopuszczali ich do udziału w rządach, a jednocześnie zabraniano im jakiegokolwiek kariery zawodowej, podczas gdy ich młodsi bracia mogli chociażby wstąpić do wojska, pracować w dyplomacji, zająć się polityką czy – jak to się stało udziałem młodszego brata Jana Henryka XI, Jana Henryka XIV Bolko – poświęcić się muzyce. Struj męża Daisy nie tylko był dyrektorem Opery Królewskiej w Berlinie, ale nawet parał się komponowaniem. Natomiast wielu przyszłych spadkobierców spędzało czas, jaki pozostał im do objęcia schedy po poprzednikach, na słodkim nieróbstwie. Taki los spotkał także Jana Henryka XV, a jego bezczynność bardzo martwiła Daisy. Nie podobało jej się, że Vater nie dopuszcza go do rządów w księstwie ani do zarządzania należącymi do niego zakładami i kopalniami, za to nie skąpi pieniędzy na utrzymanie syna i założonej przez niego rodziny. Trudno orzec, czy stary książę nie chciał zostać zepchnięty na dalszy plan, czy też jego pierworodny nie wykazywał zainteresowania sprawami majątku. Tak czy inaczej, mąż Daisy nie miał żadnego sensownego zajęcia, a ojciec kontrolował jego sprawy finansowe, pokrywając wydatki swojego syna i synowej. „Gdziekolwiek byłam, kiedykolwiek potrzebowałam pieniędzy – moja dama albo sekretarka tylko telefonowały do Pszczyny

i odpowiednia kwota przychodziła przesyłką poleconą”³⁵ – wspominała. Księżna doceniała zalety tej sytuacji, była jednak inteligentną kobietą i doskonale zdawała sobie sprawę, że jej małżonek, przywykły do szastania pieniędzmi na prawo i lewo, nigdy nie pozna wartości pieniędzy i nie nauczy się nimi rozporządzać. I miała rację, bo nawet wówczas, kiedy Vater żył i płacił za syna wszystkie rachunki, Jan Henryk zaciągał horrendalne długi. Sama Daisy także nie należała do osób oszczędnych – nie tylko kupowała drogie stroje i biżuterię, ale przepuszczała spore kwoty w kasynach w Monte Carlo. Oboje żyli na wysokiej stopie, nie przejmując się wydatkami.

Księżę zabijał bezczynność podrózkami, w których oczywiście towarzyszyła mu żona. Odwiedzali liczne kurorty i zamki w Europie, ale wypuszczali się także do egzotycznych krajów. Po starym kontynencie podróżowali własną księżęcą salonką, która była istnym pałacem na szynach. Daisy miała tam swój własny apartament, natomiast jej damie dworu, majordomusowi, dwóm pokojówkom i dwóm lokajom, bez których nie mogła się obyć, przysługiwały mniejsze przedziały i apartamenty. Wspomnianą salonkę wykorzystywano również do wyjazdów z Księża do Pszczyny. Nierzadko bywało, że kiedy księżna zatrzymywała się na dłużej w jakimś hotelu, z zamku w Księżu dostarczano jej ulubione fotele i sofy – tylko po to, aby mogła się czuć jak u siebie w domu. Księżęca para często bywała w niezbyt lubianym przez Daisy Berlinie, co było tym łatwiejsze dzięki doskonałemu połączeniu kolejowemu z Wrocławia. Natomiast w uwielbianym Paryżu co roku wraz z mężem księżna wydawała majątek na nowe kreacje. Oboje jeździli do Cannes, gdzie gościł ich w swojej rezydencji wielki księżę Michał Michajłowicz. Kilka razy w roku odwiedzali rodzinę Daisy w Anglii, gdzie uczestniczyli w polowaniach i wielu wydarzeniach towarzyskich. Piękna i elegancka księżna o nienagannej sylwetce była niewątpliwie ozdobą europejskich salonów, stając się z czasem kimś w rodzaju celebrytki, o której z upodobaniem pisała prasa, i to nie tylko na starym kontynencie. Miesiąc po ślubie jej fotografia trafiła na okładkę „Wiener Salonblatt” – widzimy na niej Daisy w towarzystwie męża. Potem jej zdjęcia regularnie gościły na łamach niemieckojęzycznej prasy. Często też zamieszczał je brytyjski ilustrowany magazyn dla wyższych sfer „Country Life Illustrated”

Pierwsze z nich opublikowano w 1897 roku. Łabędzią szyć pani na Książu zdobi piękny diamentowy krzyż – prezent od żony teścia, księżnej Matyldy von Pless. Sześć lat później to samo czasopismo zamieściło na okładce piękne zdjęcie księżnej w eleganckim kapeluszu z czarnymi piórami, natomiast w marcu 1903 roku okładkę angielskiego ilustrowanego magazynu dla wyższych sfer „The Tatler” ozdobiła fotografia, na której uwieczniono księżną otuloną szalem z tiulu.

Sława urodziwej pani na Książu dotarła nawet za ocean. 29 października 1902 roku gazeta „Boston Evening Transcript” zamieściła artykuł pod tytułem *Najpiękniejsza kobieta w Anglii*, w którym można było przeczytać: „Bez cienia przesady Księżna Henrykowa Pszczyńska została obwołana *belle* londyńskiego sezonu oraz najpiękniejszą z piękności w całej Anglii. Burza jej jasnych włosów w kolorze złota, jej niebieskie oczy i znakomita figura nie mogą być oddane w żadnym z opisów. [...] Jako bliska przyjaciółka króla Edwarda i królowej Aleksandry, a także ze względu na jej niezrównaną urodę, była jedną z najbardziej obleganych kobiet na wielu spotkaniach towarzyskich minionego sezonu, a jej obecność była wielce pożądana na przyjęciach i balach w domach londyńskich arystokratów.

Księżna jest żoną niemieckiego szlachcica, Księcia Henryka, którego poślubiła w 1891 roku. [...] Mimo że Księżna Henrykowa Pszczyńska spędza bardzo mało czasu w Niemczech, jest niezmiernie popularna wśród tamtejszych ludzi, którzy z powodu jej delikatnej urody nazywają ją «księżniczką elfów». Mówi się, że Kajzer wielbi ziemię, po której stąpa. Ostatniej jesieni, kiedy jego jacht Meteor zawitał do Cowes, książęca para otrzymała błyskawiczne zaproszenie na pokład. Na cesarskie życzenie mogli go używać jak własnego»³⁶. Amerykański dziennikarz pozwolił sobie nawet na pewną złośliwość, pisząc: „Jak wszystkie prawdziwe angielskie dziewczęta, księżna wie, jak upolować grubą rybę. Status, który otrzymała dzięki małżeństwu, nie przeraził jej ani nie zaskoczył, ponieważ od zawsze była dumna ze swoich przodków. Jest w stanie wywieść swoją linię po mieczu od króla Anglii Henryka III, a po kądzieli utrzymuje, że pochodzi od celtyckich królów, którzy, jak sama mówi, «rządzili Brytanią, kiedy książęta niemieccy byli jeszcze rycerzami-rabusiami»»³⁷.

Jana Henryka XV cieszyły sukcesy towarzyskie żony, pozwalał jej nawet na niewinne flirty z wielbicielami, których urodziwa Daisy miała naprawdę sporo. Należał do nich słynący z wielkiego bogactwa, lojalności wobec Imperium Brytyjskiego, urzekająco pięknych oczu i słabości do kobiet – indyjski książę Aga Khan. Daisy poznała go przy okazji podróży do Indii, dokąd udała się wraz z mężem w 1895 roku. Wybrali się tam drogą morską, ku niesłychanej radości księżnej uwielbiającej podróżować statkiem. „Kocham morze i nie ma dla mnie lepszych wakacji niż dobrze wyposażony jacht lub statek i sympatyczni towarzysze podróży – zapewnia na kartach swoich wspomnień. – Schodzić na ląd, pojechać samochodem do słynnych lub ślicznych miejsc, powracać na pokład, dostać jedzenie, łóżko do spania, mieć służących i pokojówkę czekającą na ciebie. Jak ślimak nosisz na plecach swój domek, zaprojektowany na wszelkie sposoby dla twojej wygody i komfortu, ale w przeciwieństwie do ślimaka ten domek też może ponosić ciebie”³⁸. Tym razem trasa wiodła przez Morze Czerwone i Ocean Indyjski, a kiedy statek dopłynął do Madrasu, książęca para przez Hajdarabad i Bombaj dojechała, oczywiście drogą lądową, do Kalkuty. Ponieważ Edward, książę Walii, polecił brytyjskim urzędnikom troskliwie zająć się Daisy i jej mężem, książęca para była wszędzie przyjmowana z wielką pompą. Księżna miała sposobność po raz pierwszy w życiu zobaczyć Indie, a przy tej okazji zapolować na tygrysy. Spisała się całkiem nieźle, bowiem ustrzeliła piękną tygrysić, ale po latach, spoglądając na leżącą na podłodze jej garderoby w pałacu w Książu skórę tego zwierzęcia, mówiła, że świadomość, iż przed laty wpakowała w nie kule, nie napawa jej dumą. Znacznie bardziej cieszyło ją pięć przepięknych koni arabskich, które przywiozła do domu jako osobliwą pamiątkę z wyprawy do Indii. Nie obyło się przy tym bez problemów, bo koniuszy z książęcej stadniny musiał osobiście pojechać po nie do Marsylii.

Natomiast Janowi Henrykowi tak bardzo podobało się polowanie na tygrysy, że przedkładał je nad opiekę nad żoną, która w trakcie gościny w pałacu Agi Khana próbowała nauczyć się niezmiernie wówczas modnej jazdy na rolkach. Nie szło jej jednak za dobrze – przewróciła się i dotkliwie potłukła, przy okazji kalecząc sobie twarz. Wezwany bezzwłocznie lekarz opatrzył jej piękną buzię i zalecił

odpoczynek. Jan Henryk mimo to pojechał na polowanie, pozostawiając żonę pod opieką księcia, który wykorzystał ten fakt, aby adorować egzotyczną piękność, jaką była dla niego blondwłosa, błękitnooka, eteryczna Angielka. „Zawinięta w bandażę nie widziałam jego ani on mnie, ale byłam wzruszona, kiedy pochylił się i przez koce pocałował mnie w... palec u nogi”³⁹. Jednak mimo awansów hinduskiego arystokraty Daisy tęskniła za zaniedbującym ją mężem. Para przeżywała wówczas kryzys, a egzotyczna wyprawa miała być remedium na ich problemy. Księżna naiwnie sądziła, że będzie to ich druga podróż poślubna, a tymczasem małżonek pozostawił ją samą, narażając na zaloty hinduskiego księcia, który w dodatku był żonaty. Obok wspomnianych koni, które stały się ozdobą i dumą stajni w Książu, pokłosem wizyty w Indiach były serdeczne relacje z tamtejszymi arystokratami, którzy później odwiedzali księżęcą parę w Książu i Pszczynie.

Egzotyczny adorator nie był jedynym wielbicielem pięknej Daisy, do tego grona należało bowiem wielu europejskich arystokratów, na czele ze wspomnianym wcześniej wielkim księciem Michałem. Uwielbienie dla pięknej żony mile łechtało męską próżność Jana Henryka XV, który pozwalał księżnej na niegroźne flirty. Pytanie tylko, czy na flirtach się kończyło. Wprawdzie nie ma dowodów na jakikolwiek romans Daisy, ale wiemy, że z jednym z adoratorów połączyła ją platoniczna więź zwana przez Francuzów *l'amitié amoureuse* – romantyczna przyjaźń czy przyjaźń podszyta miłością. Mężczyzną, który sprawił, że serce młodej, zaniedbywanej przez męża księżnej zabiło mocniej, był książę Gottfried von Hohenlohe-Schillingsfürst, nazywany przez samą Daisy w jej pamiętnikach „Maxlem”. Para poznała się w 1896 roku na jesiennym polowaniu u hrabostwa Strenberg w Častolovicach. Daisy początkowo nie zwracała uwagi na nieśmiałego, młodszego od niej o pięć lat młodzieńca, wywodzącego się ze starej arystokratycznej rodziny, lecz on zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Maxłowi jakimś cudem udało się zdobyć zainteresowanie żony pana na Książu i parę połączyła dość osobliwa przyjaźń. Po paru latach księżna z przerażeniem odkryła, że Maxl nie jest jej obojętny, chociaż w pisanych do niego listach bezustannie napominała go, by nie marnował na nią swojego czasu

i nie liczył na nic więcej niż przyjaźń. Jak słusznie zauważa jedna z biografek Daisy, Barbara Borkowy: w „tej frustrującej dla obojga relacji [...] nienasycona namiętność kotłowała się z rozsądkiem”⁴⁰, ale ostatecznie zwyciężył rozsądek. W 1907 roku Maxl uległ presji rodziny i ożenił się ze stosowną dla niego panną, Marią Henriettą, jedną z ośmiu córek arcyksięcia Fryderyka Habsburga, księcia cieszyńskiego. Małżeństwo okazało się bardzo udane i dowiodło prawdziwości panującego ówczesnie przekonania, że miłość przychodzi z czasem, już po ślubie. Maxl nadal przyjaźnił się z Daisy, która bardzo polubiła jego żonę i często gościła parę u siebie.

Podobne relacje łączyły księżną ze szwagrem, najmłodszym synem Jana Henryka XI i jego pierwszej żony – Fryderykiem Maksymilianem. Księżę od dziecka cierpiał na gruźlicę kości i przez większość roku mieszkał w willi Montalto, wybudowanej specjalnie dla niego przez ojca w okolicach Florencji, a do Pszczyny przyjeżdżał wyłącznie z okazji świąt i rozmaitych uroczystości rodzinnych. Mimo to oboje z Daisy z miejsca zapaliła do siebie wielką sympatią. Na szczęście dzięki kuracji zastosowanej przez jednego z francuskich lekarzy chorobę w końcu udało mu się pokonać, ale i tak wolał mieszkać we Włoszech. Relacje Fryderyka i Daisy uległy wzmocnieniu po wspomnianej wcześniej podróży do Indii, w której księżę towarzyszył bratu i jego żonie. Oboje mieli podobne zainteresowania i pasje, a Fritz, jak nazywano w rodzinie najmłodszego syna pana na Pszczynie, był zapalonym ogrodnikiem i miał talent plastyczny. W 1902 roku namalował własnoręcznie obraz ołtarzowy przedstawiający zmartwychwstałego Chrystusa oraz apostołów Piotra i Jana. Ofiarował go w tym samym roku kościołowi Świętej Trójcy w Anhalt (obecnie Łędzin). Do dziś można oglądać owo dzieło w bocznej nawie nowego kościoła, zbudowanego w 1986 roku.

Bez wątpienia Daisy była zauroczona swoim szwagrem. W liście do przyjaciółki pisała: „Fritz może uczynić kobietę bardzo szczęśliwą lub równie nieszczęśliwą. Potrafi być aniołem lub diabłem, bo jest mężczyzną o zmiennych uczuciach. Pełen radości życia, uwielbia malowniczość i piękno w ludziach i rzeczach. Wierzy w życie pozagrobowe, kocha zwierzęta i sądzi, że mają one duszę. Jest pochłonięty sobą i swoją miłością do sztuki. Chciałby malować swoje

życie – tak jak kto inny maluje obraz – i oprawić je w złotą ramkę towarzystwa kobiety, która będzie tak samo pojmowała i czuła rzeczy jak on”⁴¹. Kto wie, może pisząc o kobiecie idealnej dla Fritza, miała na myśli samą siebie? Para zapewne nie wdała się w romans, a przynajmniej nie ma na to żadnych dowodów, ale utrzymywała ze sobą kontakt listowny. W swojej korespondencji Daisy nazywała szwagra najlepszym przyjacielem i nadała mu przydomek „Miracle Man”, a on nazywał ją „Princes Caprice” i zawsze wysłuchiwał jej zwierzeń czy żalów. O tym, że nie byli sobie obojętni, świadczą chociażby frywolne listy od Fritza. W jednym z nich pisał: „Byłabyś szczęśliwa, gdyby wszyscy mężczyźni, których w życiu spotkałaś (oprócz męża) na twój kaprys zmieniali swoje plany, zaniebdywali obowiązki i innych ludzi, byleby ciebie zadowolić”⁴². I dodał: „Powinnaś dostać klapsa w ładny tyłek. Oczywiście byłabyś wściekła i oburzona. Jesteś pieszczochem i kocham cię. Przyjadę”⁴³.

Pomimo wszystko wydaje się, że Daisy nie angażowała się w żadne romanse, poprzestając na bezpiecznych, platonicznych relacjach ze swoimi wielbicielami. Zdaniem zaprzyjaźnionej z nią lady Townley miała zwyczaj drwić z oczarowanych nią mężczyzn, prawiących jej w kółko te same, wyświechtane komplementy. „Pewnego letniego wieczoru, kiedy wszyscy byliśmy na trawniku, powiedziała melancholijnie: «Jakże bardzo bym chciała mieć kasztana z tego drzewa! Oh, żeby ktoś mógł mi go zerwać!»” – czytamy w pamiętniku lady Townley. Jak można się domyślić, jeden z obecnych w ogrodzie młodych mężczyzn bezzwłocznie wdrapał się na kasztanowiec, by spełnić pragnienie swojej bogdanki. Daisy „przez chwilę bawiła się tym, wykrzykując mu kierunek, prowadząc go wciąż wyżej i wyżej, z jednej gałęzi na drugą, ryzykując jego upadek, aż znudzona żartem, ze śmiechem zawołała go na dół.

Stanął przed nią potargany i zbity z tropu. A ona odwróciła się do służącego i, wskazując na swoją ofiarę, powiedziała w złym niemieckim (nigdy nie nauczyła się języka zaadoptowanego kraju): «Proszę wziąć tego gentlemana do stajni, bo jest osłem. Proszę go dobrze nakarmić, pamiętając, że on tylko je osty»”⁴⁴.

Otwarcie potępiała mężatki romansujące z kawalerami i była wręcz do bólu lojalna wobec męża. Jak na kochającą żonę przystało, martwiła się o jego przyszłość i próbowała zaradzić jakoś jego bezczynności. Tym bardziej że wiedziała, iż Jan Henryk XI nie podzielał poglądów angielskich książąt i nie miałby nic przeciwko temu, żeby jego pierworodny zajął się czymś innym niż trwonieniem ojcowskich pieniędzy. Mając na uwadze fakt, że w przeszłości jej mężowi marzyło się stanowisko ambasadora w Stanach Zjednoczonych, księżna starała się zachęcić go do kariery w dyplomacji. I na zachętach się nie kończyło – przedsiębiorcza dama dosłownie nagabywała zarówno ówczesnego ministra spraw zagranicznych, księcia von Bülow, jak i samego cesarza. Bezskutecznie. Minister doskonale zdawał sobie sprawę, że Jan Henryk XV znacznie ustępuje swojemu ojcu, i to pod każdym względem. W swych pamiętnikach nazwał go wręcz „mało znaczącym człowiekiem”. W końcu jednak się udało – w 1902 roku książę został wysłany jako oficjalny poseł do Stanów Zjednoczonych, gdzie uczestniczył w uroczystym otwarciu niemieckiej Izby Handlowej w Nowym Jorku oraz w imieniu cesarza brał udział w przyjęciu defilady eskadry amerykańskiej w Kilonii w czerwcu 1903 roku. „Prezydent Roosevelt przyjął go osobiście w Białym Domu i wyraził podziw dla cesarza – odnotowała księżna w swoim pamiętniku. – Czy było to szczere, czy nie, Hans nie potrafił powiedzieć. Hans wyraził jedynie w imieniu cesarza podziw dla Amerykanów, który w rzeczywistości był prawdziwy”⁴⁵. Ona sama niestety nie towarzyszyła mężowi w wyprawie za ocean, chociaż od dawna marzyła, aby zobaczyć Stany Zjednoczone, o których tyle słyszała od męża. Ten zaś znalazł się w centrum zainteresowania amerykańskiej prasy, czego dowodem była gazeta przysłana przez Jana Henryka. „Jakżesz śmialiśmy się wszyscy w domu, kiedy otrzymałam amerykańską gazetę, która wykrzykiwała wniebogłoso, że Hans pragnął sukcesji po dr. von Hollebenie jako niemiecki ambasador w Waszyngtonie. Jego angielska żona, która była najpiękniejszym członkiem rodziny królewskiej [sic!] w Europie, ceniła Amerykanów. Gazeta ta nadal opisywała Hansa językiem tak osobistym, że aż nie do zniesienia, kończąc protekcyjnie stwierdzeniem, że był on wspaniale zbudowanym mężczyzną, 6 stóp wysokim i dość

przystojnym. [...] Nosi się jak sezonowy weteran (Hans był zaledwie 10 minut w armii). Najlepsze było zakończenie: Był wdzięk, swoboda i szlachetne wychowanie w każdym ruchu. Pragnęłam wyciąć ten artykuł i postać go cesarzowi, ale poczucie humoru mojego męża było absolutnie różne od mojego i nie pozwolił, bym to zrobiła”⁴⁶. Jeszcze bardziej ubawiło ją to, co pisała amerykańska prasa na jej temat, bo chociaż nie towarzyszyła mężowi, to jej osoba budziła za oceanem niemałe zainteresowanie. „Jest ze wszech miar żałosne, że księżna farbuję swoje włosy. Pierwotnie były one czarne jak węgiel, a sama jest w typie irlandzkim z głębokimi, niebieskimi oczami i kruczocarnymi włosami. Jednakże uległa pokusie posiadania «miedzianych włosów». Jakkolwiek każdy wie, że jej pozycja towarzyska będzie delikatna, kiedy obecny książę Walii zostanie królem. Śliczna księżna Daisy jest jedyną kobietą, o którą księżna Walii była zawsze zazdrosna, a gościnność przyszłej królowej w stosunku do tej drugiej kobiety była bardzo dobrze znana. Kiedy księżna Daisy, dawniej panna West, pojechała do Londynu osiem lat temu, była «monarchinią dla wszystkich». Wnuk Wiktorii, choć żonaty, był także w orszaku jej wielbicieli. Zadowolona z pochlebstw panna West nie zniechęcała księcia. Jakkolwiek ostra reprimenda ze strony jej królewskich krewnych przywróciła ją do porządku. Posłała księcia do diabła i poślubiła Henryka – księcia pszczyńskiego, arystokratę, bez wielkiej fortuny. Księżna Walii nigdy nie wybaczyła jej bezsennych nocy, gdy jej mąż czuł ogromne przywiązanie do panny West”⁴⁷. Przytoczony fragment świadczy o nierzetelności amerykańskich dziennikarzy, dla których pogoń za sensacją była ważniejsza niż prawda. Przecież książę Walii, późniejszy Jerzy VI, nigdy nie był zainteresowany Daisy, co więcej – to on powinien być zazdrosny o Jana Henryka, skoro rodzina Hochbergów planowała zaręczyć księcia z Marią von Teck! Poza tym bohaterka naszej opowieści była przecież naturalną blondynką.

Zachęcona sukcesem męża, Daisy nadal zabiegała dla niego o posadę w dyplomacji. Pewne nadzieje dawały mgliste obietnice księcia von Bülow, dotyczące objęcia przez Jana Henryka placówki dyplomatycznej w Wiedniu. Według księżnej był to znakomity pomysł, ale ostatecznie

jej mąż nie dostał obiecanej nominacji, co bynajmniej nie zniechęciło Daisy. Kubłem zimnej wody okazał się dopiero list otrzymany od księcia Lichnowsky'ego, którego nadawca pisał: „Jako pani przyjaciel muszę poradzić, aby pani zostawiła go [tj. męża – I.K.] w spokoju, nie zabiegała o jego dyplomatyczną karierę ani nie zmuszała do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Straszy go pani tylko, że mógłby skończyć na jakimś urzędzie”⁴⁸. W końcu ona sama zrozumiała, że Jan Henryk jest zbyt nieśmiały, żeby mógł sprawować jakiegokolwiek publiczne funkcje. Mimo to nie ucieszył jej sukces Vatera, któremu w 1905 roku, a więc w czasie, kiedy Jan Henryk XI świętował jubileusz pięćdziesięciolecia posiadania książęcego tytułu, cesarz przyznał kolejny, ale niedziedziczny tytuł „Herzoga”. „Cesarz zdenerwował nas wielce, czyniąc go diukiem – relacjonowała Daisy w swoich wspomnieniach. – Nikt z nami tego nawet nie skonsultował. Głowa domu była znana jako książę Pszczyzny i nie chciała nagle stać się diukiem Pszczyzny. Tytuł ten nie był dziedziczny, Vater mógł go nosić jedynie do końca swoich dni. Hans był wściekły. Ja też. To było tak, jak gdyby cesarz powiedział: «Daję twojemu ojcu lizaka pod warunkiem, że będzie grzecznym i posłusznym chłopcem. Być może ciebie obdaruję później». Vater nie mógł odmówić, ale ani ja, ani Hans nie towarzyszyliśmy mu w jego podróży do Berlina, by złożyć oficjalne podziękowanie cesarzowi. Nigdy uroczystości dworskie nie były tak formalne. Podobno do cesarza dotarły pogłoski, że Hans [niem. Jan – I.K.] miał skłonności katolickie i propolskie sympatie, a więc postanowił utrzyć mu nosa. Jak zwykle uczynił to, nie powiem, że głupio, ale z powodu nadmiernej impulsywności i bez zasięgnięcia jakichkolwiek rad – nieudolnie. Hans zawsze był ambitny i być może spodobałoby mu się być diukiem Śląska, ale nie pragnął najmniejszej zmiany tytułu przed nazwiskiem, który i tak nic nie znaczył”⁴⁹.

Wspomniane przez Daisy podejrzenia o polskie sympatie wzięły się stąd, że zarówno książę pszczyński, jak i jego syn byli przeciwni agresywnej germanizacji ludności polskiej. Obaj znali język polski, w którym rozmawiali ze swoimi polskimi pracownikami, a Jan Henryk XV utrzymywał kontakty towarzyskie z polskimi arystokratami i w skrytości ducha marzył o przejściu na katolicyzm. Nie oznacza to

bynajmniej, że obaj książęta byli przeciwnikami germanizacji i szerzenia kultury niemieckiej na terenie zaboru niemieckiego, aczkolwiek faktycznie obcy był im szowinizm narodowy. Byli natomiast przeciwni forsowanym przez niemieckie władze rozwiązaniom siłowym, a to z dość prozaicznej przyczyny – obawiali się wybuchu antagonizmów narodowościowych we własnych dobrach.

Daisy jednak w głębi duszy wierzyła, że jej introwertyczny mąż znajdzie dla siebie jakieś pożyteczne zajęcie, i cieszyła się bardzo, kiedy objął honorową prezesurę berlińskiego Union-Clubu, będącego największym klubem jeździeckim zrzeszającym śmietankę arystokratyczną z Niemiec, a przy tym prezesurę podobnego klubu działającego na Śląsku – Schlesische-Club. Warto dodać, iż książę należał także do ekskluzywnego Jockey-Clubu w Berlinie, ale jego głównym zajęciem była tam... gra w brydża.

Pionierka ekologii

Po powrocie z podróży do Indii księżna odkryła nową pasję – działalność charytatywną. Kiedy pewnego dnia zebrała się w końcu na odwagę i zaczęła objeżdżać okolicę, czego wcześniej zabraniał jej mąż, jej oczom ukazał się bezmiar nędzy, w jakiej żyli okoliczni mieszkańcy. Wprawdzie Wałbrzych, leżący około dziesięciu minut jazdy powozem od Książa, był jednym z najbardziej uprzemysłowionych miast ówczesnych Niemiec, ale jego mieszkańcom nie żyło się dobrze. Górny i Dolny Śląsk uchodziły wówczas za najbardziej zacofane obszary ówczesnych Niemiec. Wydobywany tam węgiel był dobrej jakości, ale trudne warunki geologiczne znacznie podnosiły koszty jego pozyskania. Równie wysokie były koszty transportu do potencjalnych rynków zbytu, problem stanowiła też konkurencja ze strony kopalni brytyjskich i niemieckich – z zagłębia Ruhry. Wszystko to sprawiło, że pensje w kopalniach, także tych będących własnością książąt pszczyńskich, były bardzo niskie, wręcz najniższe w całych ówczesnych Niemczech. Bywało, że górnicy pracowali w niepełnym wymiarze godzin, a wielu z nich miało

poważne problemy ze znalezieniem zatrudnienia. Stąd też porażająca nędza, z jaką zetknęła się Daisy podczas swoich przejazdów po okolicy. A przecież górnicy pracujący dla jej teścia i tak korzystali z rozmaitych przywilejów i udogodnień, bo Jan Henryk XI od czasów swojej młodości nie tylko był zaangażowany w działalność charytatywną, ale także dbał o warunki bytowe swoich pracowników.

Przede wszystkim, co było zupełną innowacją w owych czasach, stworzył dla nich cały pakiet świadczeń socjalnych. Przysługiwały im bezpłatne leczenie i lekarstwa, zasiłek chorobowy i pogrzebowy, a w razie wypadku przy pracy – dożywotnia renta inwalidzka, którą otrzymywały także wdowy górników zmarłych w wypadkach. Przy czym renta ta przysługiwała wdowom wyłącznie do ich ponownego zamążpójścia. Sieroty do piętnastego roku życia otrzymywały zasiłek wypłacany przez księcia, a pracujący w należących do niego kopalniach górnicy w wyjątkowych sytuacjach losowych mogli również wystąpić o dodatkowy zasiłek. Pracownicy płacili wprawdzie składkę ubezpieczeniową, która wynosiła dwa i pół procent wynagrodzenia, ale w jednej trzeciej pokrywał ją sam książę. Górnicy leczyli się w szpitalu przeznaczonym wyłącznie dla nich, mogli także korzystać z kuracji w należącym do Hochbergów uzdrowisku Szczawno-Zdrój. Nawiasem mówiąc, ten aspekt książęcej działalności budził podziw nie tylko w całej Europie, ale i za oceanem, czego dowodem było zaproszenie Jana Henryka XI do wygłoszenia referatu na ten temat w trakcie Wystawy Światowej w Saint Louis w 1904 roku. Z czasem, idąc za przykładem pana na Pszczyńcu, podobne rozwiązania wprowadzono w całych Niemczech.

Pomimo to znaczna część ludności nadal bytowała w nędzy i bardzo złych warunkach, a jej los poruszył Daisy, która postanowiła jakoś pomóc. Początkowo prowadziła działalność charytatywną, odwiedzając ubogich i obdarowując ich rozmaitymi podarunkami, z reguły ubraniami, jedzeniem i artykułami pierwszej potrzeby. Nie prowadziła jednak bezmyślnego rozdawnictwa, bo w rodzinnym domu nauczono ją, że dobroczynność musi opierać się na rozeznaniu potrzeb, a przede wszystkim – na poszanowaniu godności osób, którym udziela się pomocy. Dzięki temu zyskała ogromną sympatię ludzi mieszkających przy zamku Książ, w Wałbrzychu i okolicach. Z czasem Daisy zaczęła

podejmować decyzje w tym względzie bez pytania męża o zgodę. W niczym nie przypominała tej skromnej, cichej dziewczyny, która niczym bajkowy Kopciuszek poślubiła bajecznie bogatego księcia. Doszła do wniosku, że „Rodzina Henryka była naprawdę znakomita, niemniej jednak córka dobrze urodzonego szlachcica jest wystarczająco dobrą partią dla każdego zagranicznego księcia”⁵⁰. Odwaga i pewność siebie, których z czasem nabrała, sprawiły, iż podjęła się nowych działań, znacznie wykraczających poza zwykłą działalność dobroczynną. Co więcej, stała się prawdziwą pionierką ekologii na Dolnym Śląsku.

Zamek Książ, ukochana rezydencja księżnej, usytuowany jest na cyplu wcinającym się w zakole Pełcznicy – niegdyś typowej, wyjątkowo malowniczej górskiej rzeki. Niestety rozwój przemysłu i górnictwa przyczynił się do jej poważnego zanieczyszczenia i degradacji. Po pstrągach, które wcześniej bytowały w jej wodach, nie ostał się nawet ślad, a brzegi ciasno zabudowano osiedlami robotniczymi. Odpady kłoczące trafiały wprost do Pełcznicy, podobnie jak odpady fabryczne z okolicznych kopalń i zakładów. W efekcie urokliwa niegdyś rzeczka stała się cuchnącym ściekiem, z którego smród przy „pomyślnych” wiatrach uprzykrzał nawet życie mieszkańcom zamku. Księżna nie była zadowolona z takiego stanu rzeczy, a szczególnie jej niepokój wzbudziły epidemie tyfusu, co raz wybuchające wśród okolicznych mieszkańców. Daisy słusznie upatrywała przyczyn w zanieczyszczeniach spływających do rzeki. Rozejrzawszy się po okolicy, stwierdziła z przerażeniem, iż ludzie mieszkający w osiedlach wybudowanych wzdłuż brzegów Pełcznicy czerpią wodę ze studni zasilanych wodą z rzeki. Przekonana, że znalazła źródło problemu, energicznie przystąpiła do działania. Zaalarmowane przez nią lokalne władze nie potraktowały jej jednak poważnie. Wprawdzie zarządziły przeprowadzenie inspekcji sanitarnej, której ustalenia potwierdziły podejrzenia Daisy, ale nie podjęły żadnych stosownych działań, by temu zaradzić. Księżna była jednak uparta – nie mogąc nic wskórać lokalnie, odwołała się do władz w Berlinie, a w końcu do samego cesarza. W liście do niego opisała rozpaczliwy stan sanitarny Wałbrzycha i okolic, zwracając uwagę Jego Wysokości na to, że tysiące poddanych żyje tam „w norach, pozbawionych wszelkich urządzeń koniecznych do życia, zmuszonych do stawiania

ubikacji, a raczej nędznych «prewetów»⁵¹ nad brzegami potoków i rzeki, powodując zatrucie wody niezbędnej do picia, jak również do mycia”⁵². Nie dość, że interwencja u cesarza sprawiła, że Daisy naraziła się miejscowym władzom, to na domiar złego nic nie dała, bo Wilhelm II winą za zaistniałą sytuację obarczył... kopalnie jej teścia. Wprawdzie kajzer przyjaźnił się z Janem Henrykiem XV, znał księżną osobiście i niejednokrotnie wyrażał się w samych superlatywach o jej urodzie i elegancji, ale najwyraźniej nie doceniał jej intelektu i determinacji. Uparta kobieta postanowiła wytoczyć ciężkie działa i sięgnęła po dowody naukowe. Najpierw poprosiła naukowców z Uniwersytetu Wrocławskiego o przeprowadzenie ekspertyzy wód Pełcznicy. Gdy wynik badań potwierdził podejrzenia Daisy, księżna zwróciła się z podobną prośbą do uczonych brytyjskich, którzy przyjechali na Śląsk i wykonali kolejną ekspertyzę, a jej wynik był tożsamy z wcześniejszą. Wówczas księżna sprowadziła inżynierów z Wielkiej Brytanii, którzy zaprojektowali nie tylko odpowiedni system kanalizacyjny, ale nawet oczyszczalnię ścieków. Projekt przewidywał likwidację przybrzeżnych studni i doprowadzenie wodociągu do wszystkich wałbrzyskich dzielnic. Zatruty odcinek rzeki miał zostać zakryty nadbudowaną nawierzchnią. W efekcie do dziś koryto Pełcznicy na zabudowanym obszarze znajduje się pod ziemią. Jak można się domyślić, projekt wymagał niemałych nakładów finansowych, ale niezrażona tym księżna w 1905 roku z dumą przedłożyła władzom w Berlinie plany znane jako Raport Komisji Geena. Ku jej radości cesarz zawiadomił ją w oficjalnym piśmie, „że projekt, o który tak dzielnie walczyła, będzie zrealizowany w wyniku przyznanych funduszy”⁵³.

Na efekty poczynań księżnej trzeba było jednak poczekać do 1912 roku, kiedy prace dobiegły końca. Ostatnia epidemia tyfusu na tym obszarze wybuchła w 1911 roku w miasteczku Altwasser (obecnie dzielnica Wałbrzycha – Stary Zdrój), które wyróżniało się wyjątkową gęstością zaludnienia. Później odnotowywano już tylko pojedyncze przypadki zachorowań.

Wprawdzie teść w pełni popierał działalność charytatywną Daisy, ale oczekiwał od niej przede wszystkim, że obdarzy swego męża synem,

dziedzicem pszczyńskich dóbr i fortuny Hochbergów. Niestety z tego zadania piękna księżna długo nie mogła się wywiązać.

Blaski i cienie macierzyństwa

Daisy stosunkowo szybko zaszła w ciążę, która przebiegała prawidłowo, ale troskliwy małżonek wolał, żeby nie ruszała się z domu, dlatego żadne z nich nie pojechało 10 września do Pszczyny na urodziny starego księcia. Jak pisał 22 sierpnia 1892 roku w liście do Vatera Jan Henryk, podróż mogłaby okazać się dla jego żony bardzo niebezpieczna. Najwidoczniej wkrótce Daisy poczuła się znacznie lepiej, skoro w kolejnym, datowanym na 27 września, liście księżę donosił ojcu o planowanej podróży do Anglii, ponoć zaleconej brzemienną księżną przez lekarza. „Doktor zaleca nam wyjazd do Anglii w połowie października – pisał. – Daisy będzie ciężko stąd wyjeżdżać, bo polubiła Księż i czuje się tu jak w domu. Już teraz mówi o podróży powrotnej”⁵⁴. W październiku małżonkowie byli już na Wyspach i zatrzymali się w Greenslade, by niemal zaraz po przyjeździe włączyć się w wir życia towarzyskiego. „Daisy powodzi się dobrze, codziennie jeździ na spotkania i usiłuje się dowiedzieć jak najwięcej o polowaniach – informował swoich krewnych w kraju Jan Henryk. – Każdego dnia oczekujemy na rozwiązanie”⁵⁵. Zdaje się, że to właśnie polowania, a nie zalecenia medyczne były zasadniczym powodem wyjazdu księżęcej pary do Anglii, bowiem pod koniec roku oboje przenieśli się do Quorn House w Quorndon, w hrabstwie Leicestershire, skąd blisko do terenów łowieckich w Loughborough. W liście pisanym na początku stycznia księżę donosił rodzinie, iż dziecko przyjdzie na świat w lutym, dlatego 1 lutego przyjedzie do nich sprawdzona, doświadczona położna, która będzie czuwać nad brzemienną Daisy, gotowa do odebrania porodu. Zapewniał też, że jego żona znajduje się pod opieką wyśmienitego lekarza. Księżna powiła swoje pierwsze dziecko w sobotę 25 lutego 1893 roku. Świeżo upieczony ojciec, Jan Henryk XV, dwa dni później wystosował do Pszczyny depeszę, informując rodzinę, iż „Poród trwał długo i wreszcie w sobotę

w nocy nastąpiło rozwiązanie. Daisy i córka czują się dobrze. Dopiero dziś mogłem telegrafować, ponieważ w niedzielę jest to niemożliwe”⁵⁶. Wieść o narodzinach dziewczynki przyjęto z wielką radością, a szczególnie ucieszył się jeden z młodszych braci Jana, Konrad, zwany w rodzinie Connym, który wcześniej założył się z mężem Daisy, że urodzi się dziewczynka.

Niestety księżnej nie było dane zaznać w pełni uroków macierzyństwa, ponieważ dziecko wkrótce zmarło. Sama Daisy pisze o tym doświadczeniu w swoich wspomnieniach w dość enigmatyczny i zdawkowy sposób: „Kochana, mała dziewczynka urodziła się wcześniej, ale zmarła”⁵⁷. I to wszystko. Czyżby dziecko było wcześniakiem? Na to wskazywałyby jeden z późniejszych listów księżnej do męża, w którym wprost oskarżała go o przyczynienie się do przedwczesnego porodu, a w konsekwencji do śmierci córeczki. Jej zdaniem małżonek zmuszał ją do udziału w polowaniach i szalonych eskapadach, w trakcie których woził ją po wybojach i wertepach. Tę wersję wydarzeń potwierdza wzmianka w liście od Konrada Hochberga, który współczuje „biednej Daisy” z powodu bolesnej straty, ale jednocześnie nadmienia, że jego brat i bratowa „byli przedtem nierozsądni”, i dodaje: „To jest mianowicie ta historia z tygrysem”⁵⁸, jeszcze bardziej gmatwując sprawę.

Z całą pewnością między bajki należy włożyć twierdzenie Marii Małgorzaty z Radziwiłłów Potockiej, która w swoich wspomnieniach wydanych w Londynie twierdzi, jakoby do śmierci córki przyczyniła się sama Daisy. „Mówiono o niej, że gdy urodziło się jej pierwsze dziecko, wkrótce zmarło, gdyż bawiła się nim jak piłką, podrzucając do góry”⁵⁹. Księżna nie mogła być aż tak lekkomyślna, zwłaszcza że podrzucanie niemowlęcia sprawiłoby jej niemałe trudności, bowiem Daisy po porodzie czuła się bardzo źle. Wówczas po raz pierwszy pojawiły się u niej symptomy choroby, która w przyszłości skaże ją na wózek inwalidzki. Nie wiemy, co dolegało księżnej, aczkolwiek współcześni lekarze na podstawie zaobserwowanych u niej symptomów podejrzewają stwardnienie rozsiane. Dokuczał jej tak silny ból w kolanie, że musiała chodzić o lasce. Zastanawia też fakt, że dziecku nie nadano imienia, czego dowodzi zachowany w brytyjskich

archiwach akt urodzenia małej księżniczki, wydany przez General Register Office (odpowiednik współczesnego polskiego urzędu stanu cywilnego) w Barrow-upon-Soar, w Leicestershire, sporządzony 13 marca 1893 roku – jak się okazuje, już po zgonie dziewczynki. W rubryce, w której powinno być wpisane imię dziecka, widnieje kreska. Być może w ówczesnej Anglii nie nadawano imion dzieciom przed uroczystą ceremonią chrztu?

Biografce księżnej Daisy, Bronisławie Jeske-Cybulskiej, która dotarła do aktu zgonu dziewczynki, udało się ustalić przyczynę śmierci córeczki księżnej. Wpis głosi, iż „Dziecko płci żeńskiej o nazwisku Hochberg zmarło po 14 dniach, 11 marca 1893 roku, w tym samym domu, w którym się urodziło, z powodu konwulsji kolkowych [*colic convulsions*], co zaświadczył dr Arthur Eddowes. Świadectwo zgonu wystawione zostało 13 marca 1893 r. i podpisane przez dziadka Williama Cornwallis-Westa, który był przy śmierci dziecka, i Katarzynę Darker, urzędniczkę stanu cywilnego”⁶⁰. Zgodnie z wolą starego księcia trumnę z ciałem jego zmarłej wnuczki zabrano do Książa i złożono w rodzinnej krypcie. Jednak zrozpaczeni rodzice nie uczestniczyli w pochówku – Jan Henryk postanowił zabrać swoją schorowaną żonę do Newlands, a potem do Szwajcarii, by tam nabrała sił.

Śmierć dziewczynki położyła się cieniem na relacje w małżeństwie Daisy. Na domiar złego lekarze twierdzili, że jeśli księżna chce ponownie zająć w ciążę, potrzebna będzie operacja. Jan Henryk zignorował tę diagnozę, uznając, iż wystarczy zmiana klimatu. Właśnie dlatego zabrał swoją żonę w egzotyczną podróż do Indii, ale nadzieje na kolejnego potomka wkrótce się rozwiały, bo księżna nie wróciła do domu w odmiennym stanie.

W końcu jednak Daisy wywiązała się z obowiązków dynastycznych, ale czekała na to długie siedem lat. 2 lutego 1900 roku w Berlinie wydała na świat zdrowego syna, który na chrzcie otrzymał tradycyjne imiona Hochbergów: Jan Henryk, stając się tym samym siedemnastym (po ojcu i jednym za stryjów) członkiem rodu noszącym tę kombinację imion. Jednak najbliżsi nazywali go pieszczotliwie Hanselem. Ponieważ do chrztu malca trzymali cesarz i król Edward VII, nadano mu jeszcze dodatkowo imiona Wilhelm Albert Edward. Księżna była szczęśliwą, aczkolwiek nie najmłodszą mamą, bo wydając na świat Hansela, miała

już dwadzieścia siedem lat, a w owych czasach kobiety rodziły pierwsze dziecko znacznie wcześniej. W swoich wspomnieniach pisze, iż narodziny syna po dziewięciu latach małżeństwa były dla niej „źródłem wielkiego szczęścia. [...] Naturalnie narodziny najstarszego syna i dziedzica przyćmiły wszystkie inne sprawy. Układałam sobie życie w Książu i Pszczynie tak, abym przynajmniej jedną godzinę co wieczór mogła spędzić z moim maleństwem. Zawsze też należałam, abym mogła kąpać go osobiście i słyszeć, jak odmawia swoje małe paciorki, gdy wystarczająco dorósł, by się ich nauczyć. Ta zasada nigdy potem nie została złamana”⁶¹. Naturalnie Vater dosłownie oszalał na punkcie tego ślicznego, blondwłosego chłopca, przyszłego pana na Pszczynie. Lubił przebywać z wnukiem i nawet pozwalał mu bawić się srebrnymi zabawkami, które były dla niego cenną pamiątką. Należał do nich srebrny wózek, który senior rodu dostał w prezencie od cara Mikołaja I i jego żony podczas ich wizyty w Książu w 1838 roku.

Pomimo że, zgodnie z powszechnie obowiązującym modelem wychowania dzieci, malec przez większość dnia przebywał pod opieką nianiek i piastunek, bywało, że księżna zabierała syna na noc do swojej sypialni. Korzystała przy tej okazji z klatki schodowej łączącej pokoje dziecięce z apartamentami ich matki. Starła się spędzać z synem dużo czasu i w swoich wspomnieniach odnotowała, że oboje z mężem lubili „go mieć przy sobie tak często, jak to było możliwe. On wówczas zwykł spacerować i jeździć na rowerze obok nas, zadając przez cały czas pytania, w charakterystyczny sposób marszcząc swoje malutkie czółko i otwierając szeroko oczy, abym zrozumiała każde słowo, które wypowiadał”⁶².

Kiedy mały Hansel miał dwa lata, rodzina Hochbergów powiększyła się o kolejne dziecko – Aleksandra Fryderyka, zwanego w rodzinie Lęklem. Daisy marzyła, aby jej kolejne dziecko przyszło na świat w Londynie, i rzeczywiście – drugi syn urodził się 1 lutego 1905 roku w stolicy Imperium Brytyjskiego. Tam też, w kaplicy pałacu Świętego Jakuba 28 lutego został ochrzczony. Zgodnie ze zwyczajem obowiązującym w arystokratycznych sferach do chrztu trzymało go kilkoro rodziców chrzestnych, i to nie byle jakich: królowa Aleksandra

i ówczesny książę Walii, a późniejszy król Jerzy V, niemiecki królewicz Wilhelm, którego pod nieobecność reprezentował ojciec dziecka, brat Daisy George, babcia Oliwia Fitz-Patrick oraz babcia ze strony matki – Patsy Cornwallis-West. Dziecko otrzymało kilka imion: Aleksander Fryderyk Jerzy Konrad Ernst Maksymilian (niem. Alexander Friedrich Wilhelm Georg Konrad Ernst Maximilian). Ceremonia była wielkim wydarzeniem towarzyskim, któremu brytyjska prasa poświęciła wiele uwagi – relacja z uroczystości znalazła się na pierwszej stronie „The Illustrated London News”. Bez wątpienia Aleksander, którego matka nazywała „małym londyńczykiem”, był ulubieńcem Daisy, zresztą był bardzo do niej podobny. „Sądzę, że dlatego, iż urodził się w Londynie, jest on nieuleczalnie angielski i kocha Londyn bardziej niż jakiegokolwiek inne miasto na świecie”⁶³ – pisała po latach.

Nie obyło się jednak bez zgrzytów, na uroczystości zabrakło bowiem młodszej siostry Daisy, Shelagh, która w ten sposób niejako zemściła się za wcześniejsze uchybienie. Tak się bowiem złożyło, że księżna pszczyńska nie raczyła przybyć na chrzciny swojego siostrzeńca, którego Konstancja powiła zaledwie kilka miesięcy wcześniej, 13 listopada 1904 roku, a którego chrzest miał miejsce miesiąc później, również w pałacu Świętego Jakuba. Shelagh, podobnie jak Daisy, także bardzo dobrze wyszła za mąż – za bajecznie bogatego Hugh Richarda Arthura Grosvenora, drugiego księcia Westminster, którego poślubiła w 1901 roku. Jednak w przeciwieństwie do związku jej siostry było to małżeństwo z miłości. Konstancja i Benny, jak zwano Grosvenora w dzieciństwie, znali się od dziecka i wspólnie się bawili w Newlands oraz Ruthin. Uczucie rozkwitło między nimi dość wcześnie, a Daisy wspomina, że kiedy byli dziećmi, organizowali fikcyjne ceremonie zaślubin, podczas których Shelagh wcielała się w rolę panny młodej, a mały lord Grosvenor – pana młodego. Potem pisali do siebie czułe liściki. Ich rodziny traktowały to jak typowe dziecięce zauroczenie, ale bardzo szybko przekonały się, że są w błędzie. Kiedy Hugh miał osiemnaście lat, poprosił o rękę panny West i wprawdzie został przez nią przyjęty, ale do ślubu nie doszło. „Oczywiście nie dostali zgody, gdyż zarówno mój ojciec, jak i dziadek Benny’ego [ojciec Hugh, pierwszy książę Westminster, zmarł, kiedy chłopiec miał pięć lat – I.K.] uznali, że są za młodzi i na dwa lata wysłano Benny’ego za granicę, aby

uczył się francuskiego – wyjaśnia Daisy na kartach swoich wspomnień. – Jednak pewnego dnia nagle pojawił się w Książu z przewodnikiem pod pachą i praktycznie bez żadnego bagażu. Była tam Shelagh. Sądzone, że odbywa on dwutygodniową wycieczkę konną wokół starych zamków na północy Francji. «Mój służący i konie – powiedział – czekają na mnie w pewnej wiosce. Więc kiedy wkuję ten przeklęty przewodnik na pamięć, będę musiał pojechać do domu, udając, że cały czas byłem we Francji»⁶⁴. Po powrocie do domu młodzieniec wstąpił do wojska i pojechał do Afryki Południowej, by walczyć na wojnie z Burami, a po powrocie do domu, po śmierci dziadka, seniora rodu, ponownie poprosił o rękę Shelagh. Tym razem sprawy potoczyły się po myśli zakochanych i para pobrała się 16 lutego 1901 roku w londyńskiej katedrze Świętego Pawła. Ceremonia miała bardzo skromny charakter ze względu na panującą wówczas w kraju żałobę po śmierci królowej Wiktorii. Dostojna monarchini, zwana babcią Europy, zmarła 22 stycznia 1901 roku. Shelagh i Hugh marzyli o synu, ale gdy siostra Daisy powiła córkę, oboje pokochali dziecko bezgranicznie. Ich szczęście sięgnęło zenitu, kiedy na świat przyszedł także upragniony syn – Edward George Hugh. Malec był wyjątkowo dużym noworodkiem, ważył bowiem aż jedenaście funtów, czyli około pięciu i pół kilograma. W zasadzie nie wiadomo, co tak bardzo poróżniło siostry, że Daisy nie przyjechała na chrzciny, pomimo że ojcem chrzestnym chłopca był sam król Edward VII. Żona Jana Henryka również spodziewała się dziecka i jeszcze na przełomie sierpnia i września przebywała wraz z mężem i siostrą w Szkocji. W połowie września wróciła do siebie i zabrała ze sobą rodziców. Być może właśnie to wywołało rozdźwięk między Shelagh i Daisy, skutkiem czego ta ostatnia nie zaszczyciła swoją obecnością ceremonii chrztu siostrzeńca, a w odwecie księżna Westminster zignorowała chrzest jej syna.

Do porozumienia siostry doszły w październiku 1905 roku, kiedy młodsza z nich wpadła z wizytą do Książa. Potem już ich relacje pozostawały nienagane, a synowie Daisy bywali stałymi gośćmi w rezydencji swojej ciotki Shelagh i jej męża – w Eaton Hall. Nieco ekscentryczny szwagier Daisy przekształcił ją w prawdziwy park rozrywki dla elit i dzieci czuły się tam doskonale. Hansel był bardzo

zżyty z Urszulą, najstarszą córką Shelagh, zaledwie o rok od niego młodszą. Nie mogło być inaczej, skoro oboje spędzali ze sobą znacznie więcej czasu niż z matkami, tak się bowiem złożyło, że kiedy w małżeństwach obu siostr działało się źle, obie wzajemnie się pocieszały, oddając się wspólnej pasji – podróżom. A wówczas przekazywały gromadkę swoich dzieci pod opiekę dziadkom oraz całej armii opiekunek i guwernantek. W przypadku Daisy otrzeźwienie przyszło w 1909 roku, kiedy niespodziewanie zachorował synek jej siostry, jedyny dziedzic rodu Grosvenor. Dziecko dostało zapalenia wyrostka robaczkowego i poddano je operacji, której chłopiec niestety nie przeżył. „Uświadomiłam sobie wtedy, jaką niepowetowaną stratą jest udział w tych wszystkich ceremoniach, uroczystościach i pokazywanie się w towarzystwie – odnotowała Daisy w swoich wspomnieniach. – Należało poświęcić go własnym dzieciom, ciesząc się i bawiąc się z nimi w ogrodzie”⁶⁵. Niedługo po tym tragicznym wydarzeniu księżna została mamą po raz trzeci – 23 września powiła syna, Bolka Konrada von Hochberga. Poród był ciężki, a sama Daisy ledwo go przeżyła, a potem bardzo długo dochodziła do siebie. Niektórzy jej biografowie twierdzą, iż kobieta na skutek nieodpowiedniej opieki lekarskiej nabawiła się sepsy, którą ostatecznie przezwyciężyła, ale która pozostawiła trwały uszczerbek na jej zdrowiu; inni uważają, iż był to kolejny atak stwardnienia rozsianego. Ten okres księżna skomentowała w swoich wspomnieniach krótko: „Byłam bardzo chora i tak naprawdę nigdy już nie doszłam do siebie. Przez długi czas wszyscy myśleli, że umrę”⁶⁶. Wprawdzie nie umarła, ale jeszcze długo chodziła o lasce. Bolko okazał się także chorowitym i słabowitym chłopcem. Ze wspomnień jego matki dowiadujemy się, że „od dziecka miał kłopoty z sercem i każda infekcja była dla niego ogromnie niebezpieczna”⁶⁷. Jak każde chorowite dziecko, był najbardziej rozpieszczony ze wszystkich synów księżnej, a kiedy dorósł, przysporzył rodzicom niemało zmartwień.

Vater, czyli książę Jan Henryk XI, zdążył poznać tylko dwóch swoich najstarszych wnuków; kiedy na świat przyszedł Bolko, nie żył już od niespełna dwóch lat. Zmarł 14 sierpnia 1907 roku, a mąż Daisy mógł

wreszcie „wejść w buty nieboszczyka”. W życiu księżęcej pary rozpoczął się wówczas nowy etap.



Daisy jako Kleopatra, fot. James Lafayette (1897), National Portrait Gallery

Rozdział 3

Pani na Pszczyńie

„Hans Pyszny”, ksiązę budowniczy

Kiedy Jan Henryk XV objął we władanie rodzinne dobra, był już dojrzałym, czterdziestosześcioletnim mężczyzną. 14 sierpnia 1907 roku do tytułów Reichsgraf von Hochberg, Freiherr zu Fürstenstein, Herr der Fürstentums Pless und des Freien Standesherrschaft Fürstenstein, auf Friedland, Waldenburg etc. (niem. hrabia Hochberg, baron Książa, ksiązę Księstwa Pszczyzny i Wolnego Książa, Wałbrzycha itd.) dołączył kolejny – Fürst von Pless (niem. ksiązę pszczyński). Majątek, który przypadł mu w udziale, obejmował dwa kompleksowe dobra: wałbrzyskie i pszczyńskie, których wartość szacowano wówczas na 9 milionów marek i które przynosiły przeszło 2 miliony dochodów rocznie. Ksiązę jednak był zupełnie nieprzygotowany do zarządzania tak olbrzymimi dobrami. Jedyne, co tak naprawdę umiał, to używać życia i wydawać pieniądze. Bez wątpienia był hedonistą, w dodatku obdarzonym dość dużym temperamentem, który zaspokajał w ramionach wielu kobiet, nie bacząc na piękną żonę, której zazdrościło mu wielu. Był tak próżny i pewny siebie, że inni europejscy arystokraci nazywali go wręcz „Hanssem Pysznyms”. Jego ksiązęca pycha nie pozwoliła mu jednak w pełni zająć się zarządzaniem dobrami, dlatego rzucił to na barki pracowników swojego ojca, w których lojalność nie wątpił. Nie był w tej kwestii wyjątkiem; taką samą postawę prezentowali inni śląscy magnaci, którzy podobnie jak mąż Daisy mieli tego potem bardzo żałować. Wobec swoich pracowników, w tym także dyrektorów generalnych należących do niego przedsiębiorstw, Jan Henryk prezentował postawę patriarchalną i nader często obdarzał ich drobnymi, acz drogimi prezentami, chociażby w postaci markowych cygar.

Książę zawsze był rozrzutny, ale w przeszłości nad jego finansami czuwał rozsądny ojciec, który kontrolował wydatki syna. Po śmierci nestora rodu Jan Henryk rozwinął skrzydła, nie oszczędzając grosza na potrzeby swoje i swojej rodziny. Odtąd styl życia książęcej rodziny z roku na rok stawał się coraz bardziej wystawny, a co za tym idzie – również coraz rozrzutniejszy. Samo utrzymanie trzech pałaców (w Książu, Pszczynie i Berlinie) oraz przeszło dwustuosobowego dworu, stajni, wierzchowców i samochodów, które wraz z rozwojem motoryzacji pojawiły się w rezydencjach, pochłaniało krocie, a i zagraniczne podróże, zakupy toalet dla małżonki, apanaże dla rodzeństwa i krewnych, jak również huczne przyjęcia organizowane w obu pałacach – kosztowały niemało. Książę zachowywał się jednak, jakby był właścicielem zaczerpniętego skarbcza, w którym nigdy nie ubywało pieniędzy. Jakby tego było mało, Hans Pyszny, chcąc przyćmić dokonania swoich przodków, postanowił przebudować pałace w Pszczynie i Książu. Tę ostatnią rezydencję znacznie powiększył, dobudowując monumentalne renesansowe skrzydło, którego budowa kosztowała – bagatela – 8 milionów marek. W trakcie prac wieża zamkowa została zwieńczona hełmem z latarnią, zaś tarasy zyskały kształt, jaki przetrwał do obecnych czasów. Jak słusznie zauważała Daisy, rozbudowa pałacu w Książu była istnym „kamieniem młyńskim” u szyi Jana Henryka XV – to właśnie wydatki związane z tą inwestycją wpędziły go w długi, z których nie mógł wyjść praktycznie do końca swych dni. W 1912 roku zadłużenie książęńskich dóbr wynosiło niemal 25 milionów marek, czyli mniej więcej dwie trzecie ich wartości, i stale rosło. Za to powstała w wyniku przebudowy rezydencja była odzwierciedleniem książęcych aspiracji marzącego o tytule Herzoga arystokraty – zamek w Książu, o kubaturze 150 tysięcy metrów sześciennych, dysponujący przeszło 300 pomieszczeniami, stał się największą budowlą tego typu na Śląsku. Przy okazji przebudowano także tarasy zamkowe, dzięki czemu rezydencja wzbogaciła się o wspaniałą kompozycję architektoniczno-ogrodniczą. W późniejszych latach, już w dwudziestoleciu międzywojennym, książę dobudował kompleks stadniny ze słynną ujeżdżalnią, w której utrzymywano dwieście koni wyłącznie na potrzeby dworu książęcego.

Może i rozbudowa zamku w Książu stała się „kamieniem młyńskim” u szyi księcia, ale za to efekt był zadowalający, a zarówno sam zamek, jak i jego wnętrza robiły niemałe wrażenie na gościach. Świadczy o tym relacja Helen d’Abernon, żony brytyjskiego ambasadora w Berlinie, która odwiedziła Książ w 1923 roku. „Mało widziałam w moim życiu tego, co można byłoby porównać z Książem i jego porażającym luksusem – pisała w swoich wspomnieniach. – W tym obrazie nie brakowało niczego, co może zapewnić bogactwo i wysoko rozwinięte poczucie komfortu. Zakwaterowano nas w jednym z pięciu przepięknych apartamentów gościnnych, które urządzono z nadzieją, że mogłyby gościć trzech cesarzy jednocześnie [...]. Książ jest z pewnością wyjątkowy... Dzisiaj zabrano nas do ogrodnictwa i stadniny koni. W tej ostatniej naliczyłam około pięciu ogierów i ponad sto kłaczy i źrebiąt. W czasie sezonu zimowego, który trwa tu od trzech do czterech miesięcy, są trzymane w luźnych boksach i od czasu do czasu wypuszczane na przebieżki po dużym dziedzińcu i okolicznych łąkach”¹.

Jan Henryk XV, podobnie jak jego zmarły ojciec, nie był koneserem sztuki, co przyznawała nawet jego żona, która twierdziła, że wszelkiego rodzaju rozmowy na poważne tematy po prostu go nudziły. Jednak w przeciwieństwie do poprzedniego pana na Pszczynie, urządzając i remontując pałacowe wnętrza, książę dbał o historyczną poprawność. Dlatego sprowadzał z Włoch nie tylko obrazy włoskich mistrzów pędzla i dłuta, ale także szesnasto- i siedemnastowieczne kominki. W 1912 roku nabył dla rezydencji w Książu dziewięć siedemnastowiecznych rzeźb, które stały się ozdobą fontanny na tak zwanym Tarasie Kasztanowym (według niektórych źródeł – Tarasie Kasztanowcowym bądź Dziedzińcu Kasztańcowym), którego nazwa wzięła się oczywiście od rosnących na jego terenie kasztanowców. Wprawdzie wspomniane rzeźby nie były dziełem żadnego znanego artysty, ale anonimowy rzeźbiarz wyraźnie nawiązywał do sztuki słynnego włoskiego mistrza dłuta doby renesansu nazwiskiem Donato di Niccolò di Betto Bardi. Natomiast stojąca na szczycie figura szczupłego młodzieńca przywodziła na myśl Dawida dłuta Donatella. Wraz z rzeźbami sprowadzono z Włoch również freski, zamontowane potem w rodzinnej jadalni, w której stołowali się członkowie najbliższej

rodziny księcia i księżnej, jak również ich krewni pierwszego i drugiego stopnia, kiedy gościli na zamku. Jeżeli wierzyć wspomnieniom średniego syna Daisy, jego ojciec, zabiegając o freski i rzeźby zdobiące wspomnianą fontannę, notabene uchodzącą za najpiękniejszą w Książu, dopuścił się przestępstwa. „Te freski oraz włoska fontanna na Tarasie Kasztanowym spowodowały spore trudności, ponieważ Włosi nagle doszli do przekonania, że są to ważne obiekty sztuki narodowej. Z tego powodu musiały one zostać przemycone”² – wyjaśniał Hochberg w liście przesłanym w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku do ówczesnej dyrekcji zamku Książ. Z kolei w 1908 roku na terenie książańskiej rezydencji rozpoczęto budowę palmiarni, co pochłonęło aż 7 milionów ówczesnych marek w złocie. O ile jednak sama budowa podlegała pieczy Jana Henryka XV, o tyle o wystrój wnętrz oraz roślinność zadbała jego małżonka. Ona też urządziła swoje apartamenty w południowym skrzydle pałacu na drugim piętrze. Niestety w czasach II wojny światowej wnętrza padły ofiarą bezmyślnych, barbarzyńskich zmian przeprowadzonych przez hitlerowców, którzy przeobrazili piękne niegdyś pomieszczenia w surowe sale, pozbawione sztukaterii. W zamiarach władz III Rzeszy w Książu miała się mieścić reprezentacyjna siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w tym także apartamenty samego Hitlera. Na szczęście, dzięki wspomnieniom Lexla, możemy przynajmniej wyrobić sobie wyobrażenie o tym, jak niegdyś wyglądały apartamenty księżnej Daisy. „Pokój dzienny miał cztery okna, dwa wychodziły na dziedziniec zamkowy, dwa na park [...]. Na prawo od wejścia znajdował się kominek”³ – relacjonował Aleksander. „Na tej samej ścianie były jeszcze jedne drzwi, prowadzące do sypialni mojej matki. Było to stosunkowo duże pomieszczenie z balkonem wychodzącym na park”⁴. Do sypialni przylegała garderoba i łazienka. W centrum tej ostatniej znajdowała się wpuszczona w podłogę wanna, a raczej mały basen kąpielowy ze złotej mozaiki, do którego wiodły niewielkie schodki i który był otoczony donicami z kwiatami. Wprawdzie w owych czasach nie było jeszcze, tak popularnych w obecnej dobie, magazynów wnętrzańskich, ale ówczesna prasa czasami zamieszczała reportaże z rezydencji sławnych i bogatych, opatrzone licznymi

zdjęciami. Wnętrza zamku w Książu, ze szczególnym uwzględnieniem apartamentów Daisy, opisał w 1903 roku brytyjski tygodnik „The Gentlewoman”. Z zamieszczonego na jego łamach artykułu można się było dowiedzieć chociażby, iż „Kolorystyka buduaru księżnej jest czarująca i delikatna, z przepiękną harmonią odcieni w różowych, jedwabnych zasłonach, ścianach i obiciach mebli oraz białej i złotej dekoracji. Wszystkie meble utrzymane są w kolorze kości słoniowej, złota i srebra, włączając w to pianino, fotele w stylu Ludwika XV i piękne, wspaniale wypełnione regały na książki – te ostatnie zrobione wg własnych projektów księżnej. Parawany, hole i artystycznie zgrupowane wygodne fotele sugerują komfort i odpoczynek, podczas gdy gęsto rosnące rośliny i kwiaty tworzą nutę kontrastu, miłego dla oka. Na ścianie wiszą serie delikatnych akwareli o różnej tematyce: kwiaty, postacie i krajobrazy, namalowane przez samą księżną, i wiele skarbów, prezentów i pamiątek świadczących o związkach z bliskimi przyjaciółmi. Nadają one temu pokojowi szczególnie intymny charakter. [...] Bezpośrednio z buduaru przechodzi się do garderoby księżnej, równie pięknej i utrzymanej w różowej, delikatnej kolorystyce wspaniale udrapowanych, satynowych zasłon okiennych i obić mebli. Piękna toaletka w stylu Ludwika XV stoi pomiędzy oknami, z bajkowymi lampami po obu stronach. Inny zestaw toaletowy zrobiony jest z szylkretu – na każdej jego części napisano ręcznie imię księżnej – Daisy. Leży on na stole w drugim rogu pokoju. Ten zestaw był prezentem ślubnym od służących i pracowników z posiadłości jej ojca. Na ścianach wisi kolekcja kolorowych starodruków Parlanda i Angeliki Kaufmann, datowanych na rok 1728, jest to piękny zestaw w wybornej oprawie. I tu, i tam wyeksponowano niemodne poroża, sportowe trofea, zdobyte przez samą księżną w lasach wokół Książa. Na podłodze garderoby leży skóra tygrysa, położonego jednym strzałem przez księżną w Indiach”⁵. Sypialnia księżnej była natomiast umeblowana „prosto, lecz bardzo wygodnie. Zasłony i kapy na łóżkach i obicia mebli utrzymane są w pięknym odcieniu zieleni, ożywionej muśnięciem bladego różu, co daje bardzo czarujący efekt”⁶.

Ogarnięty manią budowania i przebudowywania Jan Henryk XV był niewątpliwie zafascynowany monumentalnymi rezydencjami

wiktoriańskimi, w rodzaju Eaton Hall, rezydencji szwagra Daisy. Sama księżna wspomina zresztą, iż jej mąż w czasie wizyty w Newlands oglądał wraz z teściem najnowsze rozwiązania architektoniczne w sąsiedztwie, z myślą o ich zastosowaniu przy przebudowie już istniejących i wznoszeniu nowych inwestycji. Kolejnym przedsięwzięciem księcia była, rozpoczęta w 1910 roku i zakończona rok później, budowa wielkiego hotelu zdrojowego w Szczaźnie-Zdroju. Wznosząc ten gmach, Jan Henryk XV chciał się zapisać w historii Europy, marzyło mu się bowiem zorganizowanie tam zjazdu trzech cesarzy: Austrii, Niemiec i Rosji – w celu odnowienia paktu Świętego Przymierza, ale tego marzenia nie udało mu się nigdy zrealizować. Ponoć właśnie dlatego zaprojektowano wyjątkowo szerokie otwory drzwiowe; ksiązę chciał, aby – kiedy już dojdzie do spotkania wspomnianych władców – wszyscy przechodzili drzwiami dosłownie ramię w ramię, co miało podkreślać ich równość względem siebie. Ambitne plany pozostały jedynie w książęcych marzeniach, ale budowa hotelu pochłonęła kolejny milion marek, w dodatku na jej sfinansowanie Jan Henryk XV zaciągnął kredyt oprocentowany na cztery i pół procent.

Wszystkie poczynania księcia i jego rodziny – bo Daisy także, mówiąc ogólnie, nie należała do osób oszczędnych – skrytykował jego późniejszy egzekutor majątkowy. Według niego Jan Henryk XV „trwonił pieniądze na luksusowe życie”⁷, a jego rodzina „miała fałszywe wyobrażenie o wartości dochodowej substancji majątkowej, mieszając pojęcia o dochodach i wydatkach gospodarstwa”⁸. Potwierdzeniem tych słów niech będzie fakt, że księżna miała żal do męża o ograniczenie funduszy na jej wydatki – otrzymała na ten cel tylko milion marek rocznie, podczas gdy ona żądała czterokrotnie większej kwoty.

Gwoli sprawiedliwości dodajmy, że ksiązę zadbał o główne źródło swoich dochodów, jakim stało się górnictwo węglowe. Zmodernizował istniejące już kopalnie i zbudował kolejne. Jak zauważa biograf księcia, Jan Henryk XV bezzwłocznie po „objęciu dóbr przystąpił do reorganizacji administracji dóbr pszczyńskich, wyodrębniając w 1909 r. ze struktury generalnej dyrekcji dóbr samodzielną Dyrekcję

Kopalń Księcia Pszczyńskiego z siedzibą w Katowicach (na czele z dyrektorem Arvidem Pistoriusem). Było to ważne posunięcie, moment ten uważa się bowiem za ostateczne ukształtowanie się kapitalistycznego koncernu książęcego na ziemi pszczyńskiej⁹. Pan na Pszczyńce nie zaniedbywał też spraw socjalnych; sukcesywnie realizował program budowy nowoczesnych kolonii dla robotników i urzędników zatrudnionych w należących do niego przedsiębiorstwach. Wydaje się, że największym problemem księcia był fakt, iż w głębi duszy nie uważał się on ani za kapitalistę, ani za menedżera, ale za magnata feudalnego i w gruncie rzeczy postępował jak typowy feudał, co zupełnie nie przystawało do czasów, w których przyszło mu żyć.

Jan Henryk XV nie zarzucił też działalności politycznej – jako deputowany do Izby Panów w 1908 roku występował przeciwko przyjęciu rządowej ustawy wyłączeniowej pozwalającej na przymusowe wykupywanie majątków z rąk polskich na rzecz niemieckiej Komisji Kolonizacyjnej, instytucji powołanej jeszcze przez Bismarcka w 1886 roku. Jej zasadniczym zadaniem było wypieranie ludności polskiej z terenów zaboru niemieckiego poprzez zakładanie tam nowych wsi, zamieszkałych wyłącznie przez niemieckich osadników. Podejrzewany o propolskie sympatie, Jan Henryk XV występował przeciwko nowemu prawu wyłącznie z pobudek humanitarnych. Ustawa budziła także oburzenie jego żony. Księżna starała się nie dopuścić do jej przyjęcia, agitując przeciwko niej na niwie towarzyskiej. Kiedy tylko miała okazję, mówiła niemieckim arystokratom, co ona i jej mąż sądzą „o tej podłej ustawie wyłączeniowej, którą rząd pruski starał się przyjąć. W wielu przypadkach oznaczało to, że ludzie będą siłą zmuszani do opuszczania swoich rodowych domów, a nierzadko ziemi, na której znajdują się groby ich ojców. A wszystko tylko dlatego, że byli Polakami”¹⁰.

Nowe porządki nowej pani na włościach

„Gdy żył mój teść, nie byłam rządzącą księżną pszczyńską, ale miałam dozę pewnej wolności, nawet dość pożądaną, gdyż nie byłoby dobrze dla nikogo, gdybym siedziała cały czas przy stole teściowej – relacjonowała Daisy w swoich wspomnieniach. – Teraz sytuacja się zmieniła i dużo czasu muszę spędzać w Niemczech. Myślę, że w ciągu dwóch lat, o których mowa w tym rozdziale, byłam w Anglii przynajmniej z pół tuzina razy, na Riwierze trzy razy, w Wiedniu i Budapeszcie raz, nie mówiąc o częstych podróżach między Książem i Pszczyną oraz kilku krótkich pobytach w Berlinie. Na szczęście Kocham podróże. Muszę jednak zmienić styl życia i być *fürstlich* ¹¹ . Życie to taki dziwny ciąg zdarzeń – jeśli daje ci coś jedną ręką, to drugą zabiera. Teraz, kiedy mojemu mężowi powiodło się, będę mogła wydawać pieniądze, zmieniać rzeczy, realizować swoje marzenia, wyrażać swoją wolę częściej niż zwykle, ale razem z sukcesami przyszły również nowe zadania, które związały mnie bardziej niż kiedykolwiek z otoczeniem, pośród którego starałam się, jak najlepiej umiałam, stworzyć dom z sercem, ale nigdy tak naprawdę mi się to nie udało” ¹² .

Chociaż Daisy nieco drwiła ze swojego małżonka, którego jej zdaniem ogarnęła istna mania budowlana, to i ona wprowadziła wiele zmian zarówno w Książu, jak i w Pszczynie. W ramach renowacji i przebudowy pałacu w Książu jeszcze bardziej dopieściła pałacowe ogrody, miała też niemały udział w urządzaniu tamtejszej palmiarni. Było to imponujące przedsięwzięcie. Na terenie o powierzchni 1,9 tysiąca metrów kwadratowych wzniesiono także cieplarnie, gdzie hodowano warzywa i owoce na książęcy stół, podobnie jak w założonym przy tej okazji ogrodzie owocowo-warzywnym i rosarium. Ogrody tym razem utrzymane były w stylu japońskim. W efekcie powstał ogromny kompleks, który ostatecznie funkcjonował jako zakład ogrodniczy. Jego centralną częścią był wysoki budynek, wykonany wyłącznie z metalu i szkła, w którym rosły palmy daktylowe i który otoczono jednokondygnacyjnymi oranżeriami. Natomiast na dachu znajdowała się galeria, skąd można było podziwiać panoramę całej okolicy. Bezzwłocznie po ukończeniu budowy do palmiarni sprowadzono z dalekich krajów osiemdziesiąt gatunków

egzotycznych roślin, których doboru Daisy dokonała osobiście. Sprowadzenie egzotycznych okazów flory było oczywiście zadaniem niebywale kosztownym i niełatwym pod względem logistycznym, ale niemałe koszty poniesiono również w związku z kolejnym pomysłem księżęcej pary. Otóż sprowadzono aż siedem wagonów tufu wulkanicznego pochodzącego z Etny na Sycylii – i to wyłącznie po to, by wykorzystać go do budowy grot, wodospadów oraz różnego rodzaju imitacji skalnych. Księżna dbała o otaczające rezydencję ogrody, zarówno te w Książu, jak i w Pszczynie, a te ostatnie wzbogaciły się po śmierci Vatera o rododendrony. Największą jej dumą było jednak rosarium, które istnieje zresztą do dziś, przyciągając rzesze turystów, zwłaszcza że od 2008 roku można tam podziwiać odmianę róż, którą specjalnie dla Daisy w 1911 roku wyhodował znany hodowca tych kwiatów, Piotr Lambert. W ten sposób chciał uhonorować nie tylko ogrodniczą pasję Daisy, ale i jej urodę. Wyhodowaną przez siebie różę nazwał „Księżna z Pszczyny”. Był to kwiat o białych płatkach, osiągający wysokość około stu trzydziestu centymetrów. „Panie zajmujące się pielęgnacją roślin opowiadały, że kiedy z róż księżnej zaczynały opadać płatki, układały się w niezwykle kształt – opowiadała w 2010 roku Irena Troska, jedna z przewodniczek po zamku w Książu. – Miał on przypominać wyglądem legendarny, sześciometrowy sznur pereł, który księżna dostała w prezencie ślubnym od męża”¹³. Palmiarnia, która do dziś robi imponujące wrażenie, już w dobie międzywojnia budziła zachwyt zagranicznych gości. Wspomniana wcześniej Helen d’Abernon uznała ją za najpiękniejszą, jaką widziała w życiu. „Choć na zewnątrz termometr wskazywał siarczysty mróz, w środku kultywowano gęszcz tropikalnych roślin, nawilżanych parującymi wodospadami i oczkami z ciepłą wodą – pisała w swoich wspomnieniach. – Ogrody zimowe, które są oddalone nieco od głównego domu, tworzą pewnego rodzaju przeszklony aneks, zaprojektowany jak coś w stylu hollywoodzkiego filmu czy Zoo w Chicago”¹⁴.

Daisy wprowadziła również zmiany w nie lubianej Pszczynie. Przemeblowała wielką jadalnię i przeobraziła ją w wielki hol z wygodnymi fotelami, na których umieściła miękkie poduszki

w złotych poszewkach. Sofy i krzesła kazała natomiast obić czerwoną bądź zieloną materią, a ściany wyłożyć jasnymi tapetami, pasującymi do renesansowego wnętrza. Natomiast jadalnię przeniosła do niedłysiejszej sypialni księżnej Matyldy.

Księżna miała także swój udział w budowie Grand-Hotelu w Szczawnie-Zdroju, gdyż to w jej gestii leżała aranżacja hotelowych wnętrz oraz dobór sprzętów. Daisy sama wpadła na ten pomysł, ponieważ uznała, że robi to lepiej, a przede wszystkim taniej niż profesjonalni projektanci. „Hans jest zadowolony z mojego pomysłu, zaakceptował go, pozwalając mi zrobić to wszystko. Wydaje się być dumny ze mnie. Zgodził się potem ze mną i był zdziwiony propozycją Keindorffa [dyrektora generalnego w majątku Książ – I.K.] zamówienia dywanów na przykład w naszym własnym domu towarowym w Waldenburgu¹⁵. Keindorff powiedział, że będziemy mogli je dostać 20 lub 19 procent taniej. Później jednak powiedziałam ze złością, że gdybyśmy robili takie rzeczy, całe miasto byłoby przeciwko nam”¹⁶. Poza tym Daisy zupełnie nie przypadły do gustu projekty hotelowych pomieszczeń, które przedstawiono jej małżonkowi do akceptacji. Czytając jej wynurzenia na ten temat, w zasadzie nie można się temu dziwić. „Potem widziałam projekty pokoi muzycznych w stylu Ludwika XV, pokoi do rysowania w stylu Ludwika XIV, dużej dębowej jadalni i inne pełne podobnych nedorzeczności. Pokazali mi szkic korytarza, parteru z gabinetem i łazienką w jednym końcu. Nakazałam rozmieszczenie mieszkań pośrodku i z drugiej strony. Spierali się o niepotrzebne wydatki, gdyż ich zdaniem ludzie nie będą z tego korzystać. Moim zdaniem ludzie, których mieli nadzieję przyciągnąć całym tym splendorem, nie będą z tego korzystać, a moja idea hotelu, a szczególnie hotelu w uzdrowisku, to przede wszystkim urządzenia sanitarne, a dopiero potem dekoracja w stylu Ludwika XV”¹⁷. Daisy ostatecznie udało się postawić na swoim i przeprowadzić stosowne zmiany, powierzono jej wybór pościeli, a także sreber i porcelany dla hotelowej restauracji. W efekcie powstał hotel dysponujący stu trzydziestoma pięcioma pokojami oraz kilkoma apartamentami, przypominający hotele Sheratona nie tylko pod względem zewnętrznej bryły, ale także wyposażenia i wystroju. Znajdowała się w nim między

innymi sala konferencyjna, bankietowa, restauracja i winiarnia, bar w stylu empire, palarnia, sala bilardowa i muzyczna, o czytelni (w stylu gruzińskim) i sali bilardowej nie wspominając. Jednak obiekt, który oddano do użytku gości w 1910 roku, nie przyniósł spodziewanych zysków.

Bez wątpienia prawdziwym oczkiem w głowie Daisy był zameczek myśliwski w Promnicach niedaleko Pszczyzny. „Zawsze kochałam Promnice. Jest małe i architektonicznie malownicze, ale nie budzi szczególnego zaciekawienia. Stanowi jakby skrzyżowanie drewnianego domku elżbietańskiego i szwajcarskiego domku wypoczynkowego. Wychodzi na duże śliczne jezioro, otoczone wspaniałymi drzewami [...]. Po śmierci drogiego Vatera (nic nie zmieniałabym za jego życia) zleciłam pomalowanie ścian na jasne, radosne kolory, kupiłam nieco wygodnych kanap i foteli oraz bardziej wesołe perkale i brokaty. Na początku rodzina była temu przeciwna, ale wkrótce polubili zmiany. Byłam tu bardzo szczęśliwa”¹⁸. Wprawdzie z relacji księżnej można wywnioskować, że zaleciła w Promnicach jedynie drobne zmiany, ale z innych źródeł wynika, że renowacje przeprowadzono z rozmachem. W 1908 roku wytapetowano wszystkie pomieszczenia piętra i tak zwanej wielkiej sali, wykorzystując do tego tapety angielskiej firmy Brown & Co. z Chester, odmalowano cały parter i zakupiono nowe sprzęty. Cztery lata później w zamczku zainstalowano specjalną windę, służącą do transportu potraw i napoi z położonej w piwnicy kuchni do jadalni mieszczącej się na parterze. W latach 1916–1917 zamek zelektryfikowano, powierzając to zadanie warszawskiej firmie Tudor. Dzięki księżnej zamek myśliwski w Promnicach przeobraził się w coś na kształt siedziby rekreacyjnej książęcego dworu, gdzie ku niekłamanej radości Daisy nie obowiązywały zasady sztywnej dworskiej etykiety, jakich nadal przestrzegano w Pszczyźnie i Książu.

Promnice stały się azylem księżnej, która z czasem zechciała podobny efekt uzyskać także w Książu. Samodzielnie opracowała więc projekt leśnej chatki, mającej dać jej schronienie przed zgiełkiem dworskiego życia. Inspiracją były typowe dla ówczesnej Anglii domki nazwane *magpie cottages*, których cechą charakterystyczną są dwa kolory: czerń konstrukcyjnych desek i biel wypełniająca konstrukcję ścian (stąd *magpie*, oznaczające po angielsku srokę). Ich stromo

nachylone dachy z mansardowymi okienkami pokrywa słomiana strzecha. Księżna nie byłaby sobą, gdyby nie dodała czegoś od siebie. Masywną bryłę typowej angielskiej chatki rozbiła na dwa niewielkie budynki, w dodatku ustawione względem siebie niesymetrycznie i połączone krytym gankiem. W zamiarze Daisy miała to być spokojna angielska oaza w centrum lasu, dlatego do pomocy przy urządzeniu okalającego ją ogrodu zaprosiła swoją matkę, zwołaną ogrodniczkę. Wprawdzie Jan Henryk, zapoznawszy się z planami księżnej, nazwał je „nowym wariactwem w środku lasu”, ale bez szemrania wyłożył stosowną kwotę, a w razie potrzeby służył także radą. Natomiast Patsy dała upust swojemu zamiłowaniu do urządzania ogrodów, dzięki czemu oazę jej córki, którą Daisy nazwała „Ma Fantasie” – moją fantazją – otoczył tętniący kolorami ogród w stylu angielskim. Od strony północnej wychodził zresztą na jezioro, powstałe na skutek spiętrzenia wody w płynącym tam potoku. We wnętrzach gospodyni umieściła pozłacane meble w stylu Ludwika XV, na ścianach kazała powiesić obrazy i grafiki Morlanda i Angeliki Kauffmann, zaś w oknach zawisły wzorzyste zasłony. Daisy bywała tam często, zarówno sama, jak i z dziećmi, a w ogrodzie urządzała pikniki. Zapraszała także gości – kiedy jadalnia nie zdołała ich pomieścić, ucztowano w ustawionym w ogrodzie namiocie.

Księżna lubiła też jezioro znajdujące się na terenie obecnego Lubiechowskiego Zespołu Krajobrazowego, wchodzącego w skład Książańskiego Parku Krajobrazowego. Ten sztuczny zbiornik na stokach Witosza powstał w XIX stuleciu w miejscu wyrobiska, w którym wcześniej wydobywano wapień. Żona Jana Henryka XV tak upodobała sobie to miejsce, że zbiornik nazwano jej imieniem – Daisysee (niem. Jezioro Daisy), ale po wojnie nazwę zmieniono na Jezioro Zielone. Nad jego brzegami piękna księżna kazała zbudować basztę, a ściślej mówiąc – poleciła przekształcić na nią jeden ze znajdujących się tam pieców szybowych, zwanych wapiennikami. W powstałym w ten sposób obiekcie mieli się chronić polujący w okolicznych lasach myśliwi. Ze szmaragdowymi wodami jeziora związana jest nawet legenda, zgodnie z którą, kiedy Daisy wpatrywała się w toń jeziora, z jej szyi urwał się szmaragdowy naszyjnik, nieopatrznie założony przez nią na spacer. Księżna była niepokieszona jego stratą, więc wierna służba

postanowiła cenną zgubę odzyskać. Kiedy jeden z mężczyzn zanurkował w poszukiwaniu klejnotów, kolor wody niespodziewanie zmienił się na szmaragdowy, a sam nurek nie wypłynął na powierzchnię. Nigdy nie znaleziono ani jego ciała, ani samego naszyjnika. Ponoć w niegdysiejszym domku myśliwskim rezyduje duch – strażnik jeziora, który nie pozwala nikomu na wznowienie poszukiwań owego cennego egzemplarza biżuterii księżnej Daisy.

Obecnie w tym miejscu znajduje się, utworzony w 1988 roku, rezerwat przyrody Jezioro Daisy, o powierzchni 7,11 hektara, na którego terenie występuje 180 gatunków roślin, w tym wiele chronionych. Nad jeziorem ma czuwać nie tylko wspomniany strażnik, ale i sama księżna, gdyż niemal każdy, komu zdarzyło się odwiedzić to bez wątpienia urokliwe miejsce, zwraca uwagę na dziwną mroczną energię, która je otacza, skutecznie odstręczając od kolejnych wizyt. Niektórzy winią za to, rzekomo nawiedziony, szpital w Mokrzeszowie, odległy od jeziora o zaledwie cztery kilometry, w którym za czasów okupacji hitlerowscy pseudonaukowcy przeprowadzali eksperymenty nad „czystością rasy”. Ale kto wie, może to jednak Daisy nie życzy sobie gości w tym miejscu...

Śląska królowa ludzkich serc

Po śmierci Vatera Daisy nie tylko nie zaprzestała swojej działalności filantropijnej, ale znacznie ją rozwinęła. Już w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku zaangażowała się w działalność Fundacji Idy, którą założył dziadek męża księżnej, Jan Henryk X, chcąc upamiętnić swoją przedwczesnie zmarłą żonę, Idę Filipinę Otylię. Organizacja zajmowała się wsparciem ubogich dzieci w szkołach w okolicach Wałbrzycha. Książęca para zawsze chętnie obejmowała patronatem wszelkiego rodzaju festyny dla dzieci, zawody sportowe czy wystawy organizowane przez lokalną społeczność, począwszy od cukierniczych i piekarskich, a na pokazach trofeów łowieckich skończywszy. Z reguły fundowała również różnego rodzaju nagrody.

Jeszcze za życia Jana Henryka XV księżna Daisy chętnie organizowała dobroczynne przyjęcia gwiazdkowe, a tradycję tę kontynuowała także po jego śmierci. Imprezy bożonarodzeniowe odbywały się w lokalach należących do rozmaitych organizacji czy stowarzyszeń albo w którejś z siedzib Hochbergów. W jednej z wrocławskich gazet, „Waldenburger Wochenblatt”, znajdujemy opis takiego przyjęcia – zorganizowanego w 1906 roku w gospodzie Pod Żółtym Kubkiem przez Ewangelicki Związek Kobiet dla osiemdziesięciu trzech osób i dwadzieścioro czworga dzieci wyznania protestanckiego oraz katolickiego – które swą obecnością uświetniła księżna. Nie mogło się obejść bez prezentów. Żona Jana Henryka XV obdarowała zebranych podarunkami rzeczowymi oraz trzema markami w gotówce, co było kwotą nie do pogardzenia. Podarki przygotowywane przez księżną obejmowały żywność, ubrania i zabawki. W paczkach przygotowywanych przez Daisy można było zatem znaleźć pończochy, koszule, obuwie, a z artykułów żywnościowych ciasto, czekoladę, orzechy, kaszę czy mąkę. Dzieci natomiast z reguły otrzymywały książki oraz artykuły piśmiennicze.

Księżna organizowała także przyjęcia dla pracowników zatrudnionych w gospodarstwie ogrodniczym w Książu czy w ogrodach okalających rezydencję, jak również w okolicznych lasach. Ponieważ wszyscy zostali zaproszeni wraz z małżonkami i dziećmi, na przyjęciu pojawiło się aż pięćset osób i każda z nich została hojnie obdarowana. Zaproszone kobiety otrzymywały ubrania, ale także po funcie kawy, cukru, po jednej strucli oraz jabłka i orzechy, co później trafiało w ich domach na świąteczne stoły. Podjąwszy wszystkich kawą i ciastem, księżna para przygotowywała się do przyjęcia kolejnych gości, tym razem urzędników i personelu pracującego na co dzień w pomieszczeniach zamkowych. Zwykle było to około dwustu osób, dla których także przygotowywano poczęstunek oraz prezenty. W grudniu organizowano przyjęcia dla pracujących w kopalniach górników. Nie mogło się obyć bez podarunków gwiazdkowych, tym razem w postaci żywności oraz niewielkiej kwoty w gotówce, przy czym podarki rzeczowe otrzymywali wyłącznie żonaci pracownicy, kawalerowie musieli zadowolić się gotówką. Z pewnością nie była to oszałamiająca kwota, ale mogła ona podreperować świąteczny budżet

obdarowanych, którzy przecież nie należeli do zamożnych. Dodatkowe przyjęcie organizowano dla górników, którzy wyróżniali się nienaganną i sumienną pracą. Czekał też na nich prezent w postaci książeczki oszczędnościowej z wkładem w wysokości pięćdziesięciu marek.

Opisy wielu bożonarodzeniowych przyjęć charytatywnych możemy znaleźć w listach księżnej oraz w prowadzonych przez nią pamiętnikach. „Pracowałam ostatnio bardzo ciężko – zapisała w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia 1902 roku. – W ciągu siedmiu dni uściśnęłam dłonie czterech tysięcy ludzi, włącznie z dziećmi, przekazując każdemu prezent. Duży salon pszczyński wyglądał ślicznie z trzema choinkami przy oknach, oświetlony na przyjęcie dla trzystu dzieci w ostatnim dniu naszego pobytu. Dzieci były zachwycone. Potem ja i Hans mieliśmy podwieczorek z kierownikami szkół oraz duchownymi i ich małżonkami. Podarowałam każdemu z uczestników fotografię Hansela, z czego wydawali się być zadowoleni. Na jednej z uroczystości, na którą poszłam w towarzystwie Księcia Ernesta Günthera i Hansa, wygłosiłam krótką mowę. Miałam uprawdzie w rękę notatki, ale mówiłam prosto z serca, bo prawdziwie kocham wszystkich starych ludzi i myślę, że oni też mnie kochają. Tak czy inaczej, nigdy przedtem w Pszczyńcu lub Książu nie mieli oni takiego Bożego Narodzenia!”¹⁹ Zwyczaj ten kontynuowała także po śmierci teścia. „Przygotowałam dwie duże choinki w hotelu w Pless, czterysta dzieci zebrało się przy jednej, a tłum mężczyzn i kobiet przy drugiej”²⁰ – pisała w grudniu 1908 roku.

Sama Daisy miała jednak na swoim koncie znacznie ambitniejsze przedsięwzięcia. Podczas swoich wizyt w robotniczych osiedlach zwróciła nie tylko uwagę na przypadki chorób wywołanych, jej zdaniem, zanieczyszczoną wodą, ale także na los niepełnosprawnych dzieci, których wśród ubogich rodzin nie brakowało i które *de facto* były skazane na smutną egzystencję. Niewiele dzieci dorastających w osiedlach robotniczych kontynuowało naukę po ukończeniu czternastego roku życia. Zdecydowana większość z nich trafiała do pracy fizycznej w rozmaitych zakładach przemysłowych i fabrykach. Jednak ci, którzy borykali się z ułomnością, skutecznie uniemożliwiająca im jakkolwiek wysiłek, nie mieli praktycznie żadnych szans na normalne życie i zarobek. Kiedy Daisy zwróciła na to uwagę mężowi, ten

zlekceważył jej uwagi, uznając, iż popada w przesadę. Niespodziewanie księżna znalazła sprzymierzeńca w osobie jednego z dyrektorów administracji majątku książąt pszczyńskich, niejakim Schulte, który od dawna nosił się z zamiarem utworzenia placówki edukacyjnej dla młodych mieszkańców Wałbrzycha i okolic, borykających się z różnego rodzaju niepełnosprawnościami. „Ułomne dzieci jak dotąd nie mają żadnej prawnej opieki – pisał w przygotowanym przez siebie raporcie. – Nie ma w tym kraju żadnych rozporządzeń prawnych dla zapewnienia tym dzieciom wykształcenia. Nieliczne zakłady opieki społecznej nie mają na ten cel żadnych funduszy. W samym Wałbrzychu nawet statystycznie nie ujęto liczby dzieci potrzebujących w tym zakresie pomocy”²¹. Co więcej, Schulte samodzielnie oszacował liczbę niepełnosprawnych dzieci – według niego w mieście i okolicach żyło sto sześćdziesięcioro dwoje takich dzieci. Księżna bezzwłocznie przystąpiła do działania i w 1905 roku, a więc jeszcze przed śmiercią swojego teścia, w porozumieniu ze wspomnianym dyrektorem opracowała program kształcenia w placówce, w której miały się uczyć niepełnosprawne dzieci od szóstego roku życia. Poza przedmiotami ogólnokształcącymi program szkoły miał objąć także praktyczne przygotowanie do zawodu, by absolwenci po ukończeniu placówki mogli sami się utrzymywać. Oboje z Schultem zgadzali się co do jednego: powinno być to twórcze, sensowne zajęcie, w dodatku stosunkowo dobrze opłacane. W Wałbrzychu i okolicach próżno byłoby szukać zakładu zatrudniającego osoby niepełnosprawne, dlatego początkowo, tak jak w przypadku innych placówek tego typu, uczone dzieci wyrabiać szczołki, koszyki bądź sztuczne kwiaty. Księżna jednak nie dała za wygraną i w końcu udało się jej znaleźć w samym Wałbrzychu aż trzy wytwórnie porcelany, w których absolwenci szkoły mogli liczyć na pracę przy malowaniu i zdobieniu wyrobów. Daisy ostatecznie przekonała do swojego pomysłu także męża, który zgodził się sfinansować budowę i działalność placówki. W 1907 roku uroczyście otwarto Kruppelschule, mieszczącą się przy dzisiejszej ulicy Piotra Skargi w Wałbrzychu.

Wprawdzie Jan Henryk zadeklarował utrzymanie placówki, z czego zresztą się wywiązywał, jednak przedsiębiorcza księżna chciała sama zdobyć środki na jej funkcjonowanie. W tym celu postanowiła

zrealizować swoje młodzieńcze marzenie o karierze scenicznej i dawać charytatywne koncerty. Zanim się jej to udało, musiała pokonać opór własnego męża, który nawet słyszeć nie chciał, by jego żona miała występować publicznie. Początkowo był nawet przeciwny, aby Daisy śpiewała zaproszonym do ich rezydencji gościom. Kiedy księżna wyszła z taką propozycją, ostro zaprotestował. Pomysł uznał za nonsens, dodając, że nigdy nie słyszał, aby królowa Anglii śpiewała komukolwiek po obiedzie. Wówczas w sukurs córce ruszyła goszcząca w Książu jej matka, Patsy. Wprawdzie przyznała, iż królowa faktycznie nie śpiewa, ale wyłącznie dlatego, że nie umie. Dodała jednocześnie, iż „księżna Walii jest dobrą pianistką i często gra swoim gościom”²². W efekcie Jan Henryk z bólem wyraził zgodę, aby jego żona popisywała się przed zaproszonymi do rezydencji arystokratami, ale wciąż nie chciał słyszeć o występach publicznych, gdyż jak mówił: „Niemieckie księżne nie śpiewają publicznie”²³. Daisy jednak postawiła na swoim – pierwszy jej występ odbył się w Teatrze Zdrojowym w Szczawnie i okazał się wielkim triumfem księżnej, która zebrała wówczas na potrzeby szkoły kwotę 1,9 tysiąca marek. Idąc za ciosem, postanowiła nagrywać piosenki na płytach fonograficznych, które potem zamierzała opatrzyć swoim autografem i przekazać do sprzedaży w sklepach muzycznych czy bazarach. Uzyskany dochód miał iść na potrzeby Kruppelschule. Ostatecznie nic z tego jednak nie wyszło, przedsięwzięcie okazało się bowiem zbyt skomplikowane i stanowczo zbyt drogie.

Księżna pochyliła się również nad inną kwestią, którą zajmował się wspomniany wcześniej raport, sporządzony przez Schultego – śmiertelnością dzieci, która w wielu miejscowościach aglomeracji wałbrzyskiej wynosiła 45,5 procent. Co więcej, okazało się, że zdecydowana większość dzieci umierała w ciągu kilku pierwszych miesięcy życia, a przyczyną zgonu była choroba zwana przez autora raportu „katarem jelit”. O ile jednak Schulte winił za taki stan rzeczy same matki, o tyle Daisy, która regularnie odwiedzała osiedla biedoty, doskonale widziała, że wycieńczone ciężką pracą w fabrykach kobiety nie miały już sił na właściwą opiekę nad niemowlętami. W owych czasach bowiem nikomu nawet nie śniły się urlopy macierzyńskie, więc

zatrudnione w fabrykach czy innych zakładach robotnice wracały do pracy bezzwłocznie po wydaniu na świat dziecka. Księżna zorientowała się również, że udręczone matki, które nie miały dostatecznej ilości pokarmu, podawały swoim pociechom mleko prosto od krowy, bez uprzedniego przegotowania go. Jej zdaniem to właśnie było źródłem problemu. Kiedy udało się jej przekonać do swych racji Schultego, ten czym prędzej rozpoczął poszukiwanie odpowiedniej literatury, trafiając przy tej okazji na francuski system *gouttes de lait* (fr. krople mleka), który razem z podręcznikiem *Consultations des nourrissons* (fr. Poradnik żywienia) służył pracującym matkom w okręgach górniczych północnej Francji. Po zapoznaniu się z nim księżna postanowiła przenieść założenia projektu na rodzimy grunt i założyła doskonale funkcjonującą sieć tak zwanych stacji mlecznych, w których na matki niemowląt czekało pasteryzowane mleko. Księżna postarała się także, aby podjętą przez nią akcję wsparły miejscowe kościoły, zarówno protestanckie, jak i katolickie.

Bez wątpienia wrażliwość na ludzką krzywdę Daisy odziedziczyła po matce, która także angażowała się w działalność filantropijną. I nie było to tylko działanie na pokaz, bo Patsy niejednym raz dała wyraz swojej empatii. „Oddana i poświęcająca się dzieciom matka, Pani Cornwallis-West zawsze pomagała i myślała o innych w potrzebie – pisała znajoma pani West, Claude Beddington. – Jednego dnia, podczas mojego pobytu w Newlands Manor, zniknęła swoim powozem na cały ranek. Wróciła dopiero w porze lunchu, ze śladami płaczu na twarzy i... z małym lokiem jasnych włosów w torebce. Jej znajomej, niedawno rozwiedzionej młodej kobiecie, prawo zakazało dostępu do dziecka. Pani West, dowiedziawszy się, że niemowlę przebywa na terenie Hampshire, przejechała wiele kilometrów tylko po to, by zdobyć dla matki loczek z jego główki.

Jej wielkie serce uprawiało czasem rodzinę i domowników w zakłopotanie. Wystarczyło, że podczas przymiarki u krawcowej zauważyła wykończoną grypą szwaczkę, by natychmiast zabrać ją ze sobą do Newlands dla odpoczynku i zmiany powietrza, nie szczędząc czasu ani wysiłków w odbudowaniu jej zdrowia.

Jej żarliwość w niesieniu pomocy nieszczęśliwym kobietom była tak wielka, że gdyby mogła, zatrudniłaby, o czym jestem święcie

przekonana, tylko samotne matki do służby w swoich rezydencjach. Rodzina jednak stanowczo się temu sprzeciwiła”²⁴.

Krótko przed wybuchem I wojny światowej Daisy z troską pochyliła się nad losem śląskich koronkarek, zatrudnionych w rozwijającym się na tym terenie i popieranym przez władze niemieckie przemyśle koronczarskim. Przedsiębiorczy biznesmeni wprawdzie prowadzili prosperujące zakłady, ale pracujące tam kobiety otrzymywały haniebnie niskie wynagrodzenia, co z kolei sprawiało, że młode dziewczęta nie były zainteresowane nauką koronkarstwa. Księżna podczas wycieczki w Karkonosze miała okazję przekonać się, jak żałośnie wygląda sytuacja kobiet wytwarzających te piękne koronki. Swoim zwyczajem postanowiła temu zaradzić. Z początkiem 1909 roku objęła patronatem Niemieckie Stowarzyszenie na rzecz Śląskiej Sztuki Koronczarskiej, w czym zresztą wspierała ją księżniczka Cecylia, żona księcia Wilhelma Hohenzollerna, następcy tronu Prus i Niemiec. Daisy zainteresowała się również kształceniem przyszłych koronczarek. W tym celu 11 maja 1911 roku przejęła istniejącą wcześniej w Jeleniej Górze szkołę artystycznego szydełkowania (niem. Schule für künstlerische Nadelspitzen), prowadzoną przez Margarethe Bardt oraz baronową Hedwigę von Dobeneck, i przekształciła ją w Szkołę Koronkarstwa Księżnej von Pless (niem. Spitzenschule der Fürstin von Pless). Kolejne szkółki powstały wkrótce także w Cieplicach Śląskich i Szklarskiej Porębie. Poprzednie właścicielki nadal kierowały szkołami i były w nich nauczycielkami, zaś szyld umieszczony na budynkach głosił, iż są to „dobroczynne instytucje przeznaczone dla koronczarek śląskich, dostarczające im najlepszych wzorów i dla nich kierujące cały dochód”. Księżna zamierzała przekazywać dochody ze szkół na rzecz placówek opieki społecznej, w tym domów starców i szpitali, położonych na terenach, z których wywodziły się uczennice. Do placówek uczęszczało około stu pięćdziesięciu do stu siedemdziesięciu dziewcząt z Rybnicy, Barcinka, Pasiecznika, Wojcieszyc, Goduszyna i Janic. Uczono tam haftów na płótnie i koronki igłowej. Koronki wytwarzane we wspomnianych szkołach, których liczba w 1912 roku powiększyła się do czternastu, cieszyły się niemałym popytem w całym Niemczech. Gdy w sierpniu 1911 roku zorganizowano w Sali Bilardowej Grand Hotelu w Szczawnicy wystawę

prac uczennic szkoły, ich dzieła zachwyciły nie tylko kuracjuszy, ale i miejscową prasę, która wychwalała oryginalność i artyzm rękodzieła. Daisy doprowadziła nawet do zorganizowania wystawy śląskich koronek w berlińskim hotelu Esplanade przy placu Poczdamskim, pod patronatem samej cesarzowej. Pszczyńska księżna kuła żelazo, póki gorące, i na fali zainteresowania koronkami w całej Europie wszczęła nawet negocjacje z zagranicznymi producentami tego typu ozdób we Włoszech i na Azorach. Chciała zarówno sprowadzić stamtąd wykwalifikowanych nauczycieli zawodu, jak i poszerzyć asortyment towarów wytwarzanych w swoich szkołach. I zapewne dopięłaby swego, rozpętując w Europie i na świecie modę na śląskie koronki, gdyby jej ambitnych planów nie pokrzyżował wybuch wielkiej wojny. Z całą pewnością natomiast przekonała do nich wiele dam, które bywały w jej rezydencjach. A zarówno w Książu, jak i w Pszczyźnie Daisy gościła niemal całą śmietankę towarzyską ówczesnej Europy.

Spółeczna działalność księżnej uczyniła z niej niemalże... socjalistkę. Przepaść między biednymi i bogatymi, którą dostrzegała niemal na każdym kroku, podobnie jak obojętność wobec takiego stanu rzeczy przejawiana przez większość członków jej warstwy społecznej, wzbudziła w niej sympatię wobec wszelkiego rodzaju partii socjalistycznych działających na terenie Wałbrzycha i walczących o poprawę losu proletariatu. Po zwycięstwie rewolucji w Rosji co prawda zrewidowała swoje poglądy w tej kwestii, ale nadal nie potrafiła przejść do porządku dziennego nad ludzkim nieszczęściem i nędzą. „W tych okolicznościach najlepszą rzeczą, jaką mogę zrobić, to zwrócić się do ludu pracującego... Zawsze mi mówiono, że to nie jest rzecz «książęca»... ale ja chcę dotknąć ich serca i zrozumieć ich, a więc teraz, w wielkiej desperacji, zrywam wszelkie więzy. Przywołuję powóz i jadę, gdzie chcę: do przytułków, do szpitali, do domów starców – wszędzie. Z biegiem czasu, jestem pewna, że moje zainteresowanie biednymi sąsiadami zostanie uznane i przyniesie owoc”²⁵ – pisała z przekonaniem.

Wprawdzie poczynania Daisy budziły podziw samego cesarza i kanclerza von Bülowa, ale niemiecka arystokracja była nimi wręcz zniesmaczona. Zdaniem większości przedstawicieli tej warstwy księżna zachowywała się niewłaściwie, bowiem dobrze wychowana dama

z towarzystwa powinna się skupić na działalności dobroczynnej wyłącznie w najbliższym otoczeniu, a nie zakładać szkoły czy organizować jakieś akcje. Z kolei ci, którzy bezpośrednio odnosili korzyści z jej działań, wychwalali ją pod niebiosa, uznając księżną wręcz za anioła w ludzkiej skórze. Daisy bez wątpienia była królową ludzkich serc swoich czasów.

Gość w dom... czyli życie towarzyskie na zamkach w Pszczynie i Książu

Bycie *fürstlich* wiązało się z całą masą obowiązków towarzyskich, niekoniecznie przyjemnych, jak chociażby uczestnictwo w balach organizowanych w pałacach cesarskich, na których Daisy nigdy dobrze się nie bawiła. Zawsze jednak godnie reprezentowała rodzinę swojego małżonka, co przekładało się na staranny wybór strojów i dodatków, czyli biżuterii. Z reguły była najlepiej ubraną damą na różnego rodzaju balach i przyjęciach, przyćmiewając inne elegantki, od których aż się roilo w kręgach niemieckiej, a zwłaszcza angielskiej socjety. Dbałość o odpowiedni image dotyczyła także balów kostiumowych organizowanych przez angielskich arystokratów, na które obowiązkowo była zapraszana wraz z mężem. Ten z kolei raczej nie lubił tego typu zabaw i uczestniczył w nich wyłącznie z poczucia obowiązku. Co innego Daisy, która była wówczas w swoim żywiole, zawsze traktowana jako ozdoba towarzystwa. „Spośród wszystkich wyróżniała się księżna Daisy von Pless, wysoka i cudownie angielska ze swoją różowo-białą cerą – zachwycała się rumuńska księżniczka w liście opisującym jeden z balów w Londynie. – Ubrana na złoto, z wysoką diamentową koroną na włosach koloru miodu, śmiejąca się radośnie, życzliwie usposobiona do wszystkich mężczyzn, była w samej rzeczy... wcieleniem owych dni pokoju, bogactwa i ogólnej prosperity”²⁶. Trudno się dziwić owym zachwytom, skoro bohaterka naszej opowieści przywiązywała niemałą wagę do starannego doboru kreacji i dodatków, śledząc wszystkie modowe trendy. I nie szczydziła na to pieniędzy. Pewnego dnia na balu w pałacu Buckingham wystąpiła w sukni ze złotej

tkaniny, a jej strój wzbudził zachwyt samej królowej Aleksandry, żony Edwarda VII. Jakież było zdziwienie monarchini, kiedy się dowiedziała, że sam tren kosztował Daisy aż czterysta funtów! Aleksandra, pomimo że jej małżonek panował w imperium, nie mogła sobie pozwolić na takie modowe ekstrawagancje. Księżną pszczyńską natomiast stać było na zakup jeszcze droższych strojów i biżuterii. Do jej ulubionych kamieni szlachetnych należały turkusy i szmaragdy, które uwydatniały błękit jej oczu. Daisy nie męczyły także długotrwałe przymiarki, a kiedy z jakichś względów nie mogła w nich osobiście uczestniczyć, wysyłała do krawca manekina będącego dokładnym odwzorowaniem jej sylwetki. Wysiłki księżnej nie poszły na marne – wszędzie, gdziekolwiek się pojawiła, budziła zainteresowanie i zachwyt przedstawicieli obu płci, a jej zdjęcia nadal zdobiły brytyjskie i amerykańskie gazety, o niemieckich nie wspominając. Na okładce „The Chicago Sunday Tribune” 17 marca 1907 roku ukazała się rysunkowa wersja portretu Daisy autorstwa Paula Césara Helleu, znanego francuskiego portrecisty kobiet z towarzystwa, zwłaszcza tych uchodzących za prawdziwe piękności. Pod rysunkiem widniał podpis głoszący, iż zdaniem artysty Daisy jest najpiękniejszą kobietą świata. W sierpniu 1909 roku angielski magazyn „The Bystander”, także na okładce, zamieścił zdjęcie wykonane na jachcie Westminsterów podczas regat królewskich w Cowes, których honorowym gościem był car Rosji Mikołaj II z rodziną. Księżna została na nim sfotografowana razem ze swoim najstarszym synem, Janem Henrykiem XVII. Obu synów Daisy, siedzących na kolanach matki, uwieczniono natomiast rok później na jednej z najbardziej znanych fotografii księżnej, którą opublikowano na łamach „Country Life”. Zdjęcie wykonała w swoim atelier przy Baker Street ta sama fotografka, która była autorką słynnego zdjęcia Daisy z jej rekordowo długim sznurem pereł – Rita Martin.

Wprawdzie sama Daisy była bardzo zadowolona z zainteresowania, jakie wzbudzała, jak również z płynących zewsząd słów uznania dla jej piękności i czaru, ale często kokieteryjnie mówiła, że zachwyty nad jej urodą są przesadzone, a wśród niemieckich arystokratek nietrudno błyszczeć, bowiem Niemki nie należą do urodziwych. „Nie jestem próżna i szczerze mówiąc, nie wiem, co jest we mnie takiego pięknego –

odnotowała w pamiętniku. – Prawdę mówiąc, byłabym o wiele pulchniejsza, gdybym nie nosiła dobrze skrojonego francuskiego gorsetu. Mam niebieskie oczy i jasne rzęsy, które przyciemniam. Do tego ładnego koloru jasne włosy, niezłe brwi i prosty, a jednocześnie zadarty nos. Krótsza górna warga ukrywa dwa przednie zęby – dłuższe od innych (jak u królika), a zadatki na drugą brodę powstrzymuję częstymi masażami”²⁷. Jak widać, chociaż w czasach Daisy nikt nawet nie słyszał o medycynie estetycznej, kobiety znajdowały jednak sposoby na powstrzymanie oznak starzenia i poprawienie urody. Jak się okazuje, nawet bujne, jasne loki księżnej, które widzimy na jej licznych zdjęciach, nie były darem natury. Bohaterka naszej opowieści korzystała bowiem z licznych tresek wykonanych oczywiście z naturalnych włosów. Świadczy o tym relacja lady Townley, która przybyła z wizytą, kiedy Daisy dochodziła do siebie po wydaniu na świat Hansela. Jeżeli wierzyć owej damie, księżna nawet wówczas wyglądała zachwycająco i nie stroniła od zabiegów upiększających. „Kiedy poszłam zobaczyć ją po narodzinach jej najstarszego syna [Hansela, urodzonego w 1900 roku – I.K.], byłam tak zachwycona jej cudowną urodą, gdy leżała oparta na poduszkach, że powiedziałam jej, że wygląda bosko – odnotowała lady Townley w swoim pamiętniku. – «Bosko!» wykrzyknęła, przeglądając się w lusterku. «Nonsens! Zaczekaj tylko chwilę!». A potem zawołała «Anna» do swojej pokojówki, «przynies mi moje włosy». Pokojówka przyniosła pudło pełne loków, w których księżna zaczęła przebierać. «Wystarczy» powiedziała, odprawiając dziewczynę z na pół pustym pudłem. «A teraz zobacz różnicę» i wciąż rozmawiając, przypięła triumfalnie loki, dodając też za ucho ogromną różową satynową kokardę. I rzeczywiście wyglądała prześlicznie, jak duża jasnowłosa lalka. W tamtych czasach, kiedy w modzie były wolumniaste fryzury, prawie każda kobieta dodawała sobie loków (i wciąż dodaje), ale ze wszystkich moich znajomych tylko księżna tak otwarcie się do tego przyznawała”²⁸.

Bodaj największą towarzyską sensację, oczywiście w pozytywnym znaczeniu, Daisy wzbudziła, jeszcze zanim jej mążonek został księciem pszczyńskim. Przywoływane wydarzenie miało miejsce na balu

kostiumowym wydanym przez księżną Louise Devonshire w lipcu 1897 roku, na fali zabaw i przyjęć organizowanych z okazji przypadającego wówczas diamentowego jubileuszu królowej Wiktorii. Było to wydarzenie wielkiej rangi, a gospodyni nadmieniła, iż zaproszeni mają się przebrać w kostiumy sprzed 1815 roku. Wszystkie damy zaczęły więc masowo odwiedzać muzea, by kopiować ryciny ze strojami, a potem najlepsze pracownie krawieckie przeżywały istne oblężenie. Przygotowanie odpowiedniego kostiumu było pracochłonne i kosztowało niemało. Artykuł zamieszczony w „The Graphic” informował, że koszt niektórych strojów może przekroczyć nawet zawrotną wówczas kwotę tysiąca funtów. Elegantki z socjety niezbyt się tym przejmowały, wszak dysponowały odpowiednimi funduszami, a poza tym nie mogły się skompromitować niedbałą kreacją.

Nieco ekscentryczna gospodyni imprezy, która słynęła nie tylko ze słusznej postury, ale także z zamiłowania do czerwonej szminki, rozeznawszy się w planach swoich gości, wprowadziła pewną innowację. Otóż podzieliła ich na kilka „dworów”, na których czele stały damy przebrane za znane władczynie. Był zatem dwór królowej Elżbiety I, Ludwika XV i Ludwika XVI, Marii Teresy Austriaczki oraz carycy Katarzyny II. Poza tym była tam grupa orientalna oraz włoska procesja. Nie brakowało oczywiście dam, które obrały postaci w żaden sposób niepasujące do owego podziału. Przykładowo ówczesna księżna Walii, Aleksandra, wybrała strój Małgorzaty de Valois, lady Campbell przebrała się za grecką boginię Artemidę, zaś lady Fitzgerald wystąpiła jako Maria Józefa, królowa Polski, przywdziewając na tę okazję zgrabny kontusik. Nie był to zresztą jedyny polski akcent, gdyż hrabina Howe przebrała się za królową Marię Leszczyńską (jej zdjęcie opublikowano potem z podpisem: „Queen Marie Leczinska”). Niektóre panie wcieliły się w postaci znane ze sztuk teatralnych czy legend arturiańskich. Daisy znalazła się w grupie orientalnej, bowiem przebrała się za królową Saby, wzbudzając niemały podziw gości i zainteresowanie prasy swoim dopracowanym pod każdym względem kostiumem. Jak pisał następnego dnia „The Daily Telegraph”, księżna była ubrana w suknię „z purpurowej i przetykanej złotem gazy. Stanik, spódnica niemal do talii oraz tren były masą klejnotów, gęsto inkrustowanych wypukłych złotych medalionów. Turkusy z hieroglifami stanowiły

dominujący element pośród żółtych, czerwonych, purpurowych, zielonych, niebieskich i białych kamieni. Była też szarfa ze złotej tkaniny, także znakomicie zdobiona klejnotami, i asyryjska plakieta na przodzie stanika na wysokości talii. Skończenie doskonały strój dopełniało asyryjskie nakrycie głowy z klejnotami nad każdym uchem, wysokie sztywne pióro zdobione klejnotami oraz łańcuchy diamentów i turkusów zwieszające się z ramion do nadgarstków”²⁹. Jan Henryk XV natomiast wystąpił jako hrabia Orłow, jeden z kochanków cesarzowej Katarzyny II, dlatego znalazł się w orszaku damy wcielającej się w rolę owej rozpustnej carycy. Daisy natomiast towarzyszył jej młodszy brat Charles, który był jednym ze sług podtrzymujących jej strój. Swoją drogą – był to jedyny sposób, żeby młodzieniec mógł uczestniczyć w tym doniosłym wydarzeniu towarzyskim. Charles nie dysponował bowiem odpowiednimi funduszami, które mógłby wydać na stosowny kostium. Skorzystał więc z propozycji siostry, która zadbała o strój dla swego „niewolnika”. Potem jednak niezbyt mile wspominał swój udział w balu: „Moja siostra wystąpiła w roli królowej Saby. Zawsze wyobrażałem sobie tę damę jako drobną brunetkę, podczas gdy Daisy była «wysoką i nieziemską blondynką» [...]. Ja sam, nie mając odpowiednich funduszy, by zapłacić za kostium, za łapówkę w postaci darmowego stroju zostałem zmuszony być na jej usługach w charakterze jednego z członków dworu, których ubiory zostały opracowane przez słynnego projektanta teatralnego tamtych czasów. Nie mam pojęcia, dlaczego uparł się, że męską świtę królowej Saby stanowili pełnej krwi Murzyni odziani w coś przypominającego wielobarwną kapę na łóżko [...]. Faktem pozostaje, że znienawidziłem pomysł poczernienia mej twarzy, a moje przyjaciółki w najmniejszym stopniu nie doceniły przebrania, w konsekwencji nie bawiłem się ani trochę i wyszedłem wcześniej z goryczą w sercu wobec teatralnego projektanta”³⁰. Na tym samym balu, który tak wcześniej opuścił Charles, bawiła się kobieta, która zaledwie trzy lata później została jego żoną – świeżo owdowiała Jennie Jerome Churchill. Zrobiła ona furorę nie mniejszą niż Daisy, występując jako bizantyjska cesarzowa Teodora. Nie dość, że miała na sobie piękny strój, to jeszcze w dłoni dzierżyła

oryginalne jabłko cesarstwa bizantyjskiego, które wcześniej wypożyczyła z British Museum.

Do obowiązków ówczesnych arystokratek, zwłaszcza jeżeli tak jak bohaterka naszej opowieści posiadały tytuł księżęcy, należało nie tylko bywanie na salonach, ale także podejmowanie gości w swoich rezydencjach, z czego Daisy von Pless wywiązywała się wręcz wzorowo. Jak już wielokrotnie wspomniano, ulubioną rozrywką europejskiej arystokracji były polowania, organizowane również we włościach Jana Henryka XV. Sezon na łowy zaczynał się w październiku, przy czym w Książu polowano na drobną zwierzynę, czyli zajęce, ptactwo, króliki, sarny czy muflony, natomiast lasy pszczyńskie były terenem łowów na grubego zwierza, gdyż na tych obszarach można było ustrzelić nie tylko dzika i jelenia, ale nawet niedźwiedzia i żubra. Tam też polowano na głuszce i cietrzewie. Gości zapraszanych na łowy do posiadłości męża Daisy urzekały nie tylko obfitość zwierzyny w lasach należących do księcia, ale także doskonale utrzymane tereny łowieckie oraz wręcz wzorowo zorganizowane i prowadzone psiarnie.

Utrzymanie terenów łowieckich, zwłaszcza tak rozległych, wymagało oczywiście niemałych nakładów finansowych, wszak zwierzęta należało dokarmiać w okresie zimowym, a lasy systematycznie ogradzać, aby zapobiegać migracjom, do tego wypłacać odszkodowania okolicznym chłopom za szkody wyrządzone przez zwierzynę. Wszystko po to, by później przyjmować znamienitych gości na polowaniach, co dla księżnej wiązało się nie tylko z przyjemnością z uczestnictwa w łowach, ale i z obowiązkami pani domu. „Byłam strasznie zajęta w sezonie myśliwskim – zwierzała się w jednym z listów do rodziny w Anglii. – Nasi goście byli zdziwieni i rozczarowani, jeśli nie zaczynałam z nimi dnia o godzinie 10:30, zamiast przyłączyć się do nich na lunchu. Kiedy wracaliśmy o 4:30, musiałam szybko zmienić sukienkę na popołudniową, aby podać herbatę i chwilę porozmawiać ze wszystkimi. Rzadko kiedy miałam chwilę czasu, by zdążyć napisać listy przed odejściem poczty o 7:00. Na odpoczynek nigdy nie było czasu”³¹. Na polowaniach organizowanych przez księżęcą parę bywały koronowane głowy z całej Europy, na czele z zaprzyjaźnionym z Janem Henrykiem cesarzem

Wilhelmem II, który gościł w Pszczynie między innymi w latach 1890, 1901, 1908 i 1911. „Nigdy nie byłam znudzona wizytami cesarza w naszym domu – twierdziła Daisy. – Oczywiście, były pewne komplikacje, ale nie tak uciążliwe, żeby nie można było się z nimi pogodzić. Na ogół nosił pruski mundur myśliwski, który jest bardzo znany. Hans uwielbiał fotografować się z cesarzem na domowych przyjęciach, zachowując odpowiednią odległość, z nogą na upolowanych trofeach”³². Księżna utyskiwała na sztywną etykietę obowiązującą w trakcie wizyt władcy. „Ranki spędzaliśmy na polowaniu i podchodzeniu zwierza. Lunch zaczynał się o 15.30, trwał 1,5 do 2 godzin. Właściwy obiad zaczynał się o 22.00 lub nawet 23.00. Mężczyźni zakładali mundury, kobiety najelegantsze stroje, rodzinną biżuterię oraz diademy. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli na sobie ordery i inne ozdoby. Nie cierpiałam tych posiłków. Etykieta w czasie wizyty cesarza była wyjątkowo uciążliwa”³³. Sam władca cieszył się szczególnie, kiedy mógł zapolować na żubra, o co gospodarz z reguły potrafił zadbać. Wilhelm II, przyjeżdżając w gości, wymagał, aby umieścić go w apartamentach odpowiadających jego oczekiwaniom. Pokoje praktycznie musiały być do jego dyspozycji przez okrągły rok, co generowało dodatkowe wydatki, na które nie każdego było stać. Dla Jana Henryka nie stanowiło to jednak żadnego problemu – w Książu do dyspozycji władcy oddawano całe skrzydło pałacu, natomiast w Pszczynie urządzono mu oddzielny apartament.

Jak przystało na angielską arystokratkę, Daisy uwielbiała polować, świetnie strzelała, a nawet umiała powalić zwierzę jednym strzałem. Ubolewała jednak, że ze względu na warunki naturalne nie można było w dobrach książęcych organizować polowań *par force*, będących wyjątkowo okrutną formą łowów. Mówiąc w skrócie – było to polowanie konno z psami gończymi, a pogoń za zwierzęciem, którym był zazwyczaj lis, trwała tak długo, aż padło ono z wycieńczenia. W dwudziestoleciu międzywojennym chętnie organizował je pan na Łańcucie, hrabia Alfred Potocki.

Gości z całego świata do Książa i Pszczyny przyciągały nie tylko bogate w zwierzynę tereny łowieckie, ale również osoba samej gospodyni. Urodziwa i brylująca w towarzystwie księżna podejmowała

przedstawicielei rodów królewskich, a nawet przybyszów z egzotycznych Indii, chociażby maharadzę Cooha Behara. Wśród gości nie zabrakło następcy greckiego tronu czy królowej rumuńskiej Marii, która gościła w Książu w roku 1906, a więc w czasach, kiedy nie była jeszcze władczynią, ale tylko żoną księcia Ferdynanda, następcy tronu Rumunii. Po latach opisała swoją wizytę w Książu we wspomnieniach wydanych pod tytułem *Historia mojego życia*: „[...] złożyłam wizytę Księżciu i Księżnej Pszczyńskim w Książu, w ich wspaniałym domu na Śląsku. Daisy przeniosła na tamtejszy grunt angielską modę dużych przyjęć domowych. Ich ogromny zamek był zawsze pełen ludzi, gości przyjmowali w wielkim stylu, nie licząc się z kosztami, co z perspektywy dzisiejszej drożyzny wydaje się wręcz fantastyczne. [...] Pojechałam razem z moją siostrą Hohenlohe i naszą kuzynką Zofią, wówczas już następczynią tronu Grecji”³⁴. Przyszła królowa była zauroczona gospodynią, aczkolwiek przyznała, że księżna zachowywała się dosyć nieszablonowo. „Daisy nie miała zielonego pojęcia o czasie; była aktywna do późnych godzin nocnych i zawsze jako ostatnia przychodziła na posiłki, ku rozpaczycy jej sztywnego i tak niemieckopoprawnego męża, który co rusz próbował wymyślać prawdopodobne wymówki, usprawiedliwiające jej brak punktualności”³⁵ – odnotowała w swoich wspomnieniach. Dodała jednak, że żona Jana Henryka XV wywiązywała się wyśmienicie ze swoich obowiązków pani domu: „Każdy mógł robić w Książu, co mu się żywnie podobało, wszystko było do dyspozycji gości, ale nasza czarująca gospodyni nie ustawała w wysiłkach w zapewnieniu świetnej zabawy także sobie samej, tak więc goście rozdzielali się, a następnie łączyli w małe grupki według własnego gustu. Tereny same w sobie były zachwycające, a zamek tak ogromny, że trudno go było poznać w całości. [...] Książę Pszczyński prowadził wielką stajnię z końmi najczystszej krwi, tak że kilkakrotnie zdarzyło mi się być z Daisy na przejażdżkach. Pierwszego dnia obdarowano mnie pięknym kasztanem, który zaczął od wyprostowywania się na tylnych nogach. Sposób, w jaki go poskromiłam, sprawił, że udało mi się uzyskać poklask u wytrawnych jeźdźców. Daisy była doskonałą amazonką, a i jej mąż jeździł bardzo dobrze”³⁶.

W 1906 roku pod Wrocławiem odbyły się manewry cesarskich wojsk. To niezwykle wydarzenie ściągnęło do posiadłości Hochbergów nie tylko samego Wilhelma II, ale i wielu członków europejskiej socjety, na czele ze wspomnianą wcześniej przyszlą królową Rumunii, Marią, oraz jej małżonkiem, ówczesnym następcą tronu. Nie tylko oni zaszczylicili wówczas gospodarzy swą obecnością, bowiem z tej okazji do Pszczyzny zjechali również: książe Max zu Hohenlohe, książe zu Lynar, hrabiowie Eulenburg i Esterházy, generałowie sir Lawrence Oliphant i sir Ian Hamilton, późniejszy generał Brooke (wówczas w randze kapitana), a także nadprezydent Śląska Robert hrabia von Zedlitz-Trützschler. „Manewry stworzyły każdemu znakomitą wymówkę do przebierania się, a wszyscy Niemcy skorzystali z niej. Biedny Hans dzień i noc chodził w obcisłym mundurze huzara w wysokich butach i z orderami. Nic śmieszniejszego nie można sobie wyobrazić. Przez kilka dni w domu mieliśmy ponad 30 osób”³⁷ – wspominała księżna. Dla wszystkich, oczywiście poza samym cesarzem, jego dowódcami i wojskowymi biorącymi udział w manewrach, była to jednak kolejna okazja do wyśmienitej i beztroskiej rozrywki. „Na manewry pojechałam dwa razy; trwały one jedynie 3 dni, a ostatniego dnia była wielka zabawa – wspominała Daisy. – Miałam ogólną przepustkę dla wszystkich moich gości, a hrabia Eulenburg i książe Lynar, którzy oczywiście byli w mundurach, stali z nami i zabierali nas wszędzie. Ostatniego dnia jedliśmy lunch w kotlinie, kilka jardów od cesarza, a jego orszak stał na wysokim wzgórzu”³⁸. Natomiast kończąca manewry parada wojskowa we Wrocławiu stała się dla wszystkich obecnych tam eleganckich dam, na czele z księżną pszczyńską, doskonałym pretekstem do prezentacji najpiękniejszych kreacji. „Wielkie manewry kończyły się ogromną paradą we Wrocławiu i Daisy błagała mnie i moją siostrę, abyśmy zostały i towarzyszyły jej w powozie, z którego miałyśmy oglądać zachwycającą prezentację oddziałów – odnotowała królowa Maria w *Historii mojego życia*. – Ze względu na obecność Kajzera miasto znajdowało się w stanie radosnego podniecenia. [...] Karety Plessów słynęły ze swojej wspaniałości i nadawały im królewskiego stylu. Daisy zdecydowała, że powinniśmy jechać z pełną pompą, a w rzeczywistości mieć

prywatną procesję, przekonała mnie również, że powinnam włożyć najlepszą z moich toalet. Pamiętam mój długi, aksamitny płaszcz w kolorze śliwki. Całości dopełniał tycki toczek z kitą z piór, która znajdowała się nad uchem. Daisy miała sobie tylko znany sposób na otulanie się tiulem, co nadawało jej zwiewnej aury, potęgując jeszcze wrażenie, jakie wywoływała, kiedy się tylko pojawiła. Zachwycona tą naszą «reżyserią», ciągle słyszę Daisy deklarującą, że przewyższymy blaskiem nawet cesarza w całej jego glorii. [...] Nasze pojawienie się było z pewnością wystarczająco widowiskowe, aby zadowolić każdą publiczność: wysokie karety na delikatnych kołach z gumowymi oponami, cztery wspaniałe konie, my dwie, młode, jasnowłose kobiety całe w uśmiechach i naszych odświętnych toaletach, a naprzeciw nas Księżę Pszczyński w zachwycającym mundurze. Tego samego wieczoru we Wrocławiu wszystkie orkiestry wojskowe zebrały się razem pod oknami dużego hotelu, w którym zatrzymał się cesarz ze swoją świtą i gdzie odbywał się bankiet. Nasi gospodarze, troszcząc się o to, abyśmy mieli zapewniony dobry widok na to unikalne wydarzenie, również zameldowali się w hotelu, tyle że na wyższym piętrze. Pamiętam, że leżałyśmy na oknie owinięte szeroką narzutą w kolorze czerwonym. Jasnowłosa głowa Daisy była blisko mojej, a moja siostra znajdowała się z drugiej strony, byłyśmy bardzo radosne i myślę, że chyba nawet bardziej niż towarzystwo na tarasie poniżej”³⁹. Ani Maria, ani żadna z jej towarzyszek nie przypuszczały wówczas, że wielu mężczyzn biorących udział w oglądanej przez nie paradzie zginie w okopach strasznej wojny, która za osiem lat ogarnie Europę...

Daisy i Maria bardzo się wówczas zaprzyjaźniły i odąd utrzymywały ze sobą kontakt korespondencyjny. Co więcej, mało brakowało, a połączyłyby je więzy rodzinne, bowiem obie panie pragnęły, aby ich dzieci, hrabia Aleksander i młodsza córka królowej, księżniczka Ileana, w przyszłości stanęły obok siebie na ślubnym kobiercu. I prawie im się to udało, ale jak się przekonamy – w tym przypadku sprawdził się slogan jednej ze współczesnych reklam: „prawie robi wielką różnicę”.

Co ciekawe, zarówno w Pszczyńcu, jak i w Książu nawet na co dzień funkcjonowały aż trzy stoły: przy pierwszym zasiadał książę z rodziną

oraz najznamienitsi goście, przy drugim – goście niżsi rangą, natomiast przy trzecim, tak zwanym marszałkowskim, siedzieli ważniejsi dworzanie i urzędnicy, a czasem także ci goście, którzy nie zmieścili się przy stole drugim. Jak wcześniej wspomniano, w Pszczyńce funkcjonowała też jadalnia rodzinna, przeznaczona wyłącznie dla najbliższej rodziny gospodarzy.

Jak można się domyślić, goście Jana Henryka XV i jego zjawiskowej żony budzili równie duże zainteresowanie prasy, co sama księżna. W styczniu 1910 roku „Schlesische Chronik” uwieczniła Daisy wraz z goszczącym u niej wówczas następcą tronu cesarskich Niemiec, synem cesarza księcia Wilhelma, i jego żoną, księżniczką Cecylią, która trzymała na kolanach młodszego syna Hochbergów – hrabiego Aleksandra.

O ile Jan Henryk podzielał zainteresowania myśliwskie swojej małżonki, o tyle nie znajdował zrozumienia dla jej zamiłowania do występów na scenie. „Miałam swoje angielskie wyobrażenie o obowiązkach związanych z moją pozycją na Śląsku, a Hans miał swoje, niemieckie. Niestety, były one różne”⁴⁰ – pisała księżna na kartach swoich wspomnień. Książę rzeczywiście protestował przeciwko jej publicznym występom na cele charytatywne, nie akceptował również jej prób przeszczepienia na grunt niemiecki amatorskich przedstawień teatralnych, które były bardzo popularną rozrywką w kręgach angielskiej socjety. Odbywały się w najlepszych domach, a nierzadko wynajmowano na potrzeby tych występów sceny renomowanych teatrów. Często bywały one połączone ze zbiórką funduszy na cele charytatywne. Wszyscy występujący „aktorzy” oczywiście brali udział w tych przedsięwzięciach nieodpłatnie, sami ponosili wszelkie koszty związane z szyciem kostiumów, przygotowaniem scenografii czy wynajmem orkiestry, ale jednocześnie doskonale się przy tej okazji bawili. Nie zawsze były to inscenizacje sztuk teatralnych, nader często wystawiano też pantomimy czy tak zwane żywe obrazy. Takie amatorskie występy były szczególnie popularne w okresie Bożego Narodzenia. Wprawdzie Jan Henryk niejednokrotnie widywał tego rodzaju przedstawienia, chociażby w rezydencji Grosvenorów, i okłaskiwał swoją małżonkę na scenie, ale kiedy Daisy wystąpiła z projektem organizowania tego typu spektakli

w Książu lub Pszczynie, stanowczo zaprotestował. Z wielkimi oporami zgodził się na jej publiczne występy, w trakcie których śpiewała solo, ale na „wyglupy” na scenie przyzwolenia dać nie mógł. Posłuszna woli małżonka Daisy zadowalała się śpiewem, ciesząc się, że w ten sposób mogła dać upust swojej pasji i talentowi, a jednocześnie zebrać pieniądze na rzecz potrzebujących. Jak wiadomo, pierwszy koncert z udziałem księżnej odbył się 20 lipca 1907 roku w neobarokowej Sali Teatru Zdrojowego w Szczawnie-Zdroju, a miejsca na widowni zajęli między innymi Jan Henryk XV, jego brat, hrabia Friedrich z Hłowej, minister Georg von Rheinbaben, nadprezydent prowincji śląskiej Robert hrabia von Zedlitz-Trützschler, jak również hrabia Pückler, który był organizatorem spektaklu i nawet występował z Daisy w duecie. W pierwszej części koncertu księżęca orkiestra wykonała uwerturę do opery Wagnera *Tannhäuser*, a w drugiej księżna zaśpiewała kilka pieśni solo oraz w duecie z hrabią Pücklerem. Dochód z koncertu, w wysokości 1,9 tysiąca marek, księżna przeznaczyła na potrzeby szkoły dla niepełnosprawnych i innych osób, które wymagały wsparcia. Trzy lata później, w sierpniu wystąpiła po raz kolejny, tym razem w Grand Hotelu w Szczawnie-Zdroju – na koncercie, z którego dochody przeznaczone były na budowę szpitala. Bodaj największy sukces, jeżeli nie artystyczny, to z pewnością finansowy, odniosła jednak w Berlinie w lutym 1909 roku, kiedy podczas koncertu z jej udziałem zebrano 5,2 tysiąca marek, co było ogromną kwotą.

Swojej pasji teatralnej Daisy mogła jednak oddawać się wyłącznie podczas wizyt w ojczystej Anglii. Trzeba przyznać, że do występów w amatorskich przedstawieniach podchodziła bardzo poważnie – nie tylko przygotowywała się przez wiele tygodni do roli, ale wręcz samodzielnie wybierała dla siebie repertuar, a nawet zamawiała specjalnie dla siebie nowe sztuki. Po raz ostatni pojawiła na scenie w charakterze aktorki w 1913 roku podczas imprezy charytatywnej „Szekspirowska Anglia”, zorganizowanej przez jej bratową Jennie. Daisy wystąpiła wówczas wraz ze swoją siostrą Shelagh w jednoaktówce Pistolety dla dwojga. Przedstawienie odbyło się w teatrze Lymington, a dochód został przeznaczony na cele charytatywne.

Zakochanej w teatrze księżnej nigdy jednak nie udało się wprowadzić inscenizacji teatralnych do rezydencji należących do jej

męża, nad czym ubolewała. I na nic zdały się argumenty, że byłaby to dodatkowa atrakcja dla gości – Jan Henryk był nieugięty. Ale mimo tego niepowodzenia księżna starała się, jak mogła, aby wszyscy goszczący u niej spędzali miło czas. „Łapaliśmy pstrągi i raki, graliśmy w krokieta i golfa – wspominała. – Wszystko dla przyjemności gości: polowania, tańce do późnej nocy, czasami bal kostiumowy”⁴¹. Zimą natomiast organizowano kuligi. Wprawdzie, jak wielokrotnie wspomniano, Daisy z reguły pełniła bez zarzutu rolę pani domu, ale i jej zdarzały się gafy czy wpadki. Tak było chociażby w przypadku wizyty arcyksięcia Karola Franciszka Józefa, późniejszego cesarza Karola I. Będąca wówczas w trzeciej ciąży księżna potraktowała go dość niegrzecznie – pomimo że Habsburg miał już dwadzieścia dwa lata, po przyjeździe niczym małemu chłopcu kazała mu iść do łóżka już o ósmej wieczorem. Arcyksiążę jednak nie obraził się o to i zachował z pobytu w rezydencji Jana Henryka wyłącznie miłe wspomnienia. Kto wie, może wracał do nich, kiedy zmagał się z ciężkimi doświadczeniami, które stały się jego udziałem po 1918 roku. Gdy jednak bawił się beztrąsko we włościach pana na Pszczyńcu, nie spodziewał się, co może nastąpić, podobnie jak reszta goszczących tam arystokratów. Tymczasem nad Europą zbierały się już czarne chmury zwiastujące jedną z najstraszniejszych wojen w dziejach Starego Kontynentu.



Daisy na okolicznościowej pocztówce jako siostra Czerwonego Krzyża w czasie I wojny światowej w 1916 roku

Rozdział 4

Stokrotka i wojna

Czarne chmury nad Europą

Chociaż może się to wydawać niewiarygodne, bohaterka naszej opowieści należała do stosunkowo niewielkiej grupy trzeźwo patrzących na świat Europejczyków, którzy zdawali sobie sprawę z groźby wybuchu wojny. W pierwszych dekadach XX stulecia zdecydowana większość mieszkańców Starego Kontynentu ufnie spoglądała w przyszłość, naiwnie wierząc, że cywilizacja europejska osiągnęła tak wysoki poziom rozwoju, że uniemożliwia to praktycznie wybuch jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego. W dodatku mieszkańcy Europy po raz pierwszy w dziejach zaczęli postrzegać kontynent, na którym żyli, jako jedną całość, a władcy ówczesnych mocarstw, a więc Niemiec, Wielkiej Brytanii i Rosji, byli ze sobą spokrewnieni. Niemiecki cesarz był synem najstarszej córki, a zarazem imienniczki królowej Wiktorii, natomiast matki Mikołaja II i Jerzego V, który objął tron Anglii po śmierci Edwarda VII, były rodzonymi siostrami. Ponadto władca Rosji ożenił się z wnuczką królowej Wiktorii, księżniczką Wiktorią Alicją Heleną Ludwiką Beatrycze, która po przejściu na prawosławie przybrała imię Aleksandra. Bliskie pokrewieństwo między carem a władcą Anglii sprawiło, że obaj byli do siebie tak bardzo podobni, iż mogli uchodzić za braci bliźniaków. Kuzyn Jerzego V, cesarz Wilhelm II, w rozmowie z prezydentem USA przeprowadzonej po objęciu tronu przez wnuka Wiktorii określił go mianem „przemiętego chłopaka”, z czego można wysnuć wniosek, iż dzieliła ich spora różnica wieku. Tymczasem kiedy brytyjski monarcha wstępował na tron, miał czterdzieści pięć lat, natomiast cesarz zaledwie sześć lat więcej i obaj byli wnukami babki Europy, jak nazywano królową Wiktorię. Zresztą brytyjskiego króla więzy krwi łączyły nie tylko z Wilhelmem II. Kiedy jego skroń zwieńczyła korona imperium, niemal na każdym

europiejskim tronie zasiadał jakiś bliższy lub dalszy członek dynastii Koburgów, do której należał. Poza cesarzem Niemiec, carem Rosji i jego żoną najbliższym kuzynem brytyjskiego monarchy był także władca Hiszpanii. Królowie Grecji i Danii byli jego wujami, zaś żony następców tronu Szwecji, Rumunii i Grecji – kuzynkami. Pokrewieństwo dalszego stopnia łączyło go z monarchami Belgii, Portugalii i Bułgarii, a inni kuzyni albo się już wżenili w domy panujące Austrii, Włoch i Jugosławii, albo nosili się z takim zamiarem. Można zatem śmiało postawić tezę, iż monarchowie ówczesnej Europy stanowili jedną wielką rodzinę, a w rodzinie powinno się żyć w zgodzie i nie wszczynać wojen.

W dodatku stabilizację zapewniał układ sił wypracowany jeszcze na kongresie wersalskim w 1815 roku i Świąte Przymierze – sojusz trzech ówczesnych europejskich potęg: Austrii, Prus oraz Rosji. Wprawdzie nie uchroniło to Europy przed konfliktami zbrojnymi, bo te przecież wybuchały co rusz, ale wszystkie miały ograniczony zasięg – zarówno terytorialnie, jak i czasowo. Wydawało się zatem, że burze dziejowe na miarę wojen napoleońskich należą już do przeszłości. Poprzednik Jerzego V, a zarazem jego ojciec Edward VII był wielkim zwolennikiem rozstrzygania wszelkiego rodzaju konfliktów na drodze negocjacji i rozmów. Wprawdzie, jak przystało na monarchę parlamentarnego, nie miał realnej władzy, ale doskonale realizował się w dyplomacji. Wyznawał pogląd, iż dwaj „zdrowo myślący” mężczyźni, którzy usiądą w wygodnych fotelach i zapalą wspólnie dobre cygara, będą mogli dogadać się w każdej sprawie, niezależnie od tego, czy dotyczy to życia codziennego, czy też polityki międzynarodowej. I trzeba przyznać, że wcielał tę zasadę w życie. W uzdrowisku Marienbad, gdzie z reguły spędzał miesiące letnie, spotykał się bowiem z innymi władcami europejskimi, tym bardziej że z większością z nich był przecież spokrewniony bądź spowinowacony. W efekcie w czasach jego panowania Marienbad przeobrażał się w istną stolicę dyplomatyczną ówczesnej Europy.

Ludzi żyjących na początku XX stulecia optymizmem napawały także ówczesne zdobycze nauki i techniki. Przecież za życia jednego pokolenia nastąpiły wręcz olbrzymie zmiany cywilizacyjne. Większość europejskich miast została zelektryfikowana i skanalizowana, dzięki

czemu z ulic zniknęły wreszcie cuchnące ścieki, będące źródłem rozmaitych chorób, a nocny mrok zaczęły oświetlać elektryczne latarnie. Dzięki coraz nowocześniejszym pociągom i rozwojowi motoryzacji podróżowało się szybciej i wygodniej, a telegraf i telefon ułatwiały nie tylko komunikację między ludźmi, ale także obieg informacji. W dodatku opracowane przez naukowców szczepionki skutecznie chroniły ludzkość przed epidemiami, a odkrycia Marii Skłodowskiej-Curie uznano za szansę na pokonanie wielu chorób, w tym także nowotworowych. Wprawdzie wspomniane zmiany korzystnie wpłynęły na jakość życia głównie bogatszych warstw społeczeństwa, ale sytuacja robotników także ulegała poprawie, mimo że dość opornie. Nie tylko skrócono czas pracy, ale w niektórych krajach wprowadzono ubezpieczenia emerytalne. Taki system od 1889 roku obowiązywał chociażby w Prusach, a od 1912 roku – w Rosji i w Cesarstwie Austro-Węgierskim, przy czym w przypadku tego ostatniego dotyczył wyłącznie pracowników umysłowych. I jak tu z optymizmem nie patrzeć w przyszłość?

Nowoczesność dotarła również do rezydencji Hochbergów, i to jeszcze za życia teścia Daisy, który na przypadające na rok 1903 swoje siedemdziesiąte urodziny sam sobie zrobił prezent w postaci luksusowego samochodu marki Benz-Manlicher. Wprawdzie książęcy pojazd w niczym nie przypominał współczesnych aut – z opisu Anny Hochberg, najmłodszej córki Jana Henryka XI, wynika, iż był bardziej podobny do powozu, w dodatku bardzo niewygodny – ale na owe czasy stanowił szczyt techniki. Pierwsza przejażdżka automobilem, na którą za namową księcia wybrały się jego żona i córka, dostarczyła wielu wrażeń nie tylko obu paniom, ale także okolicznej ludności. „Odpułyliśmy jak gondolą w kierunku Żor, z zawrotną – w naszym mniemaniu – prędkością – wspominała młodsza z pań. – Wywołaliśmy paniczny strach, wszystko uciekało przed nami, konie zupełnie ogłupiały, ludzie zresztą też. Wozy się wywracały, a ludzie klęczeli na poboczach i modlili się”¹. Pomimo że, jak wynika z opisu, jazda takim pojazdem raczej nie należała do przyjemności, rok później Vater nabył dwa kolejne samochody. Automobile na dobre zagościły także w Książu i korzystała z nich nie tylko rodzina książęca, ale także liczni

goście, którzy z lubością oddawali się polowaniom i zabawom organizowanym przez uroczą gospodynię, księżną Daisy.

Tymczasem nad Europą gromadziły się coraz gęstsze burzowe chmury. Zjednoczone Niemcy stopniowo walczyły o dominację na kontynencie, budząc zrozumiały niepokój dotychczasowych mocarstw, na czele z Wielką Brytanią. Dopóki kanclerzem był, w gruncie rzeczy pokojowo nastawiony, Bismarck, Europa mogła spać spokojnie. Sytuacja zmieniła się jednak drastycznie po objęciu władzy przez Wilhelma II, człowieka o wielkich ambicjach i wojowniczym charakterze. Pierwszym posunięciem cesarza było zwolnienie – zbyt ugodowego jego zdaniem – Bismarcka. Nawiasem mówiąc, Edward VII nigdy nie polubił swojego siostrzeńca i uważał go za pompatycznego, zadufanego w sobie, megalomańskiego intryganta. Na dworze angielskim mawiano, że zarówno sam król, jak i jego żona na widok kajzera dostawali wysypki, zresztą królowa Aleksandra była bardzo uprzedzona do Prusaków. Następca Edwarda VII, Jerzy V, przynajmniej początkowo miał o nim wyjątkowo dobre zdanie. Sam cesarz robił, co mógł, by zjednać sobie tego „kochanego chłopca”. W efekcie to właśnie Wilhelm II był pierwszym monarchą europejskim, który odwiedził nowego króla – okazją stało się odsłonięcie pomnika babki obu władców, królowej Wiktorii, w 1911 roku.

„Nawet sobie nie wyobrażasz, jak raduje się moja dusza na myśl o naszym bliskim spotkaniu i miłych chwilach, jakie nas czekają”² – zapewniał cesarz swojego kuzyna w liście wysłanym w odpowiedzi na zaproszenie do Londynu. Przy tej okazji przypomniał Jerzemu, że ich nieodżałowana babcia oddała życie właśnie w jego ramionach, bowiem czuwał on przy jej łożu. „Te tragiczne, ale i wznioste chwile na zawsze przykuły me serce do twego domu, którego czuję się dumnym członkiem. A to, że w ostatnich godzinach trzymałem Ją w ramionach – tę najczcigodniejszą twórczynię brytyjskiej potęgi – zrodziło w moim umyśle niewidzialną więź pomiędzy Jej krajem i ludem a mną, więź, którą z dumą pielęgnuję w swym sercu. Twoje zaś zaproszenie w pewien sposób potwierdza moje odczucia. Jak miło zaznaczyłeś w liście, jestem Jej najstarszym wnukiem. Napawa mnie to dumą i nigdy o tym nie zapomnę”³ – pisał z emfazą. I rzeczywiście, wizyta

cesarza okazała się bardzo udana, a sama uroczystość odsłonięcia pomnika dostarczyła obu władcóm wielu wzruszeń. Ale już wówczas doszła do głosu prawdziwa natura kajzera i jego niepokonane ambicje, co doprowadziło nie tyle do konfliktu, ile do zgrzytu dyplomatycznego. Cesarz bowiem upomniął się o kolonie w Afryce, a konkretnie o Maroko, w którym wybuchło powstanie przeciwko panującemu tam sułtanowi. Francja wysłała na miejsce ekspedycję karną, która przystąpiła do okupacji stolicy kraju, zrywając tym samym z jego neutralnością. Wysunięte przez niemieckiego kuzyna żądania spotkały się z wyniosłym milczeniem Jerzego V, którego kwestie polityki zagranicznej niewiele obchodziły. Była to sprawa parlamentu i rządu, a nie monarchy, który miał panować, nie władać. W przeciwieństwie do swego ojca, Europejczyka w każdym calu, nowy król uważał się za Brytyjczyka i jako władca chciał koncentrować się wyłącznie na sprawach imperium. A przecież za jego poprzednika na tronie Wielka Brytania zawarła z Francją i Rosją trójporozumienie, tym samym kończąc na dobre z polityką *splendid isolation*, czyli wspaniałego odosobnienia, a więc na dobre i złe związując się z polityką europejską.

Ambicje kajzera doszły do głosu latem 1911 roku, kiedy pod pretekstem ochrony Niemców mieszkających w Maroku wysłał do Afryki kanonierkę Panther i krążownik Berlin, przy czym pierwsza z wymienionych jednostek zacumowała w porcie w Agadirze, a druga pozostawała na wodach marokańskich. To posunięcie cesarza wywołało niemały kryzys, który omal nie zakończył się wojną; na szczęście udało się go rozwiązać na drodze dyplomatycznej. Jednak relacje między Wielką Brytanią a Rzeszą stawały się coraz bardziej napięte, głównie ze względu na poczynania Wilhelma, sukcesywnie wzmacniającego niemiecką flotę. Doprowadziło to do kosztownego wyścigu zbrojeń między obu państwami. Sam kajzer, który faktycznie był ukochanym wnukiem królowej Wiktorii, bez wątpienia miał kompleks niższości wobec brytyjskiej rodziny królewskiej i był zafascynowany potężną tamtejszą flotą. Właśnie ta fascynacja miała go pchnąć do podjęcia decyzji o budowie podobnej. Zresztą marynarka była ulubionym rodzajem broni cesarza, który często chodził w admirałskim mundurze. Poza tym ten urodzony militarysta, owładnięty wizją Niemiec jako

imperium kolonialnego, niemal od początków swego panowania szukał tylko pretekstu do wojny – zerwał niemiecki sojusz z Rosją, a potem skonfliktował się zarówno z Francją, jak i z Wielką Brytanią.

Pokojowa misja księżnej Daisy

Poczynaniom cesarza z niepokojem przyglądała się księżna Daisy, doskonale zdając sobie sprawę, że jego polityka zagraża nie tylko jej ojczystemu krajowi, ale także Niemcom, które po jej ślubie z Janem Henrykiem XV stały się dla niej drugą ojczyzną. „Teraz Niemcy nie mają ani jednego alianta. Król Anglii natomiast nawet przez swoich wrogów jest uważany za największego dyplomatę w Europie. Cesarz oczywiście źle rozegrał karty. Jest nietaktowny, głośny i teatralny”⁴ – ubolewała na kartach swojego pamiętnika. Wiedziała, co pisze, gdyż doskonale знаła Wilhelma, którego szczerze podziwiał jej mąż i który bardzo często bywał w jej posiadłościach. Była zresztą jedną z niewielu kobiet, które kajzer lubił i z których zdaniem się liczył. Co więcej, krążyły pogłoski, jakoby z księżną łączyło go znacznie głębsze uczucie niż przyjaźń. I choć były to tylko plotki, Wilhelm niejednemu raz dał jej do zrozumienia, iż uważa ją za piękną kobietę. Cesarz był często i chętnie przyjmowany w rezydencjach księcia pszczyńskiego i uwielbiał polować w tamtejszych lasach. Kajzer był również ojcem chrzestnym najstarszego syna Daisy.

Jak przystało na nieszablonową i nowoczesną kobietę, Daisy nie poprzestała na roli uprzejmej gospodyni czy ozdoby swego zacnego męża na przyjęciach i balach organizowanych przez cesarza w Berlinie. W trakcie konwersacji, zarówno z kobietami, jak i mężczyznami, wśród których nie brakowało polityków, żona Jana Henryka nierzadko poruszała kwestie, które zdaniem wielu nie powinny w ogóle trafić jakiegokolwiek przedstawicielki płci pięknej. Okazuje się bowiem, że księżna żywo interesowała się polityką, i to międzynarodową. Jeszcze za życia Edwarda VII z bólem serca obserwowała rosnące napięcie pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami Wilhelma II. „Dwa

kraje wywodzące się z tego samego plemienia, a mimo to absolutnie różne pod każdym względem – zauważała. – Bratanek⁵ na jednym tronie, a wuj na drugim, oba kraje wierzące, iż mają rację, i każdy z nich szczerze pragnący dominacji nad drugim. Szczerze obu mi żał”⁶. Księżnej marzyło się doprowadzenie do sojuszu brytyjsko-niemieckiego. Na marzeniach zresztą nie poprzestała, aktywnie działając na rzecz realizacji tego planu i ściągając na swoją głowę gromy konserwatywnego środowiska niemieckiej arystokracji, żądającego od kobiet zajmowania się wyłącznie sprawami kuchni, domu i dzieci. A przecież w jej ojczyźnie Anglii panie nie cieszyły się wprawdzie równouprawnieniem, ale wiele z nich, oczywiście wyłącznie w zakulisowy sposób, odgrywało jakąś rolę polityczną. Sprzyjało temu dość osobliwe połączenie aktywności politycznej i towarzyskiej. Jak już wspomniano, sezon towarzyski w Londynie zaczynał się wraz z otwarciem sezonu politycznego, a polowania, partyjki golfa, przyjęcia i bale stwarzały idealną okazję do rozmów i dyskusji. Te z kolei otwierały pole do roztrząsania wielu istotnych spraw poruszanych potem na forum publicznym czy w parlamencie.

Angielska księżna próbowała wprowadzić takie zwyczaje także w ojczyźnie swojego męża, ale spotkało się to z wielkim oporem. Zdaniem wielu bezpośrednim impulsem, który pchnął jej zainteresowania na tory wielkiej polityki, była jej przyjaźń z księżną Marią, późniejszą królową Rumunii, która jak wiadomo, gościła w Książu w 1906 roku i zaprzyjaźniła się z uroczą gospodynią. Potem korespondowały ze sobą, zwierając się sobie z problemów i codziennych trudności. W zasadzie trudno się dziwić, że od razu poczuły do siebie sympatię, wszak obie były Angielkami i pięknymi blondynkami, w dodatku bardzo podobnymi pod względem fizycznym, o czym można się przekonać, oglądając zachowane zdjęcia obu pań. Dziś zapewne uchodziłyby za ikony mody. W dodatku miały dość liberalne poglądy i brylowały na salonach, budząc zazdrość innych kobiet i zachwyty płci męskiej. Chyba jednak najbardziej zbliżyły je do siebie podobne doświadczenia. Obie pod presją rodziny wyszły za mąż bez miłości, w dodatku za cudzoziemców, i obie musiały sobie poradzić na obcym gruncie.

Powszechne zdumienie budziło także zachowanie Daisy wobec samego Wilhelma II. „Zawsze rozmawiałam z cesarzem z całkowitą swobodą i otwartością – relacjonowała w swoich wspomnieniach. [...] Nie byłam sługą cesarza, a więc cesarz nie mógł utracić prestiżu w swoich własnych oczach, słuchając mnie czy idąc za moją radą. Byłam Angielką, a cesarz zawsze lubił i podziwiał Anglików. Byłam szczerą, odważną oraz niezależną, poza tym byłam kobietą, a kiedy cesarz naprawdę podziwiał kobietę czy troszczył się o nią, był wówczas o wiele bardziej podatny na wpływy, niż miał ochotę przyznać. Cesarz po prostu nie mógł obyć się bez kobiecej wrażliwości i wyrozumiałości. Sympatię i całkowite poświęcenie zawsze otrzymywał od cesarzowej, ale bardzo wątpię, czy ona kiedykolwiek go rozumiała”⁷. Ku ogólnemu zdumieniu kajzer nie tylko tolerował takie zachowanie, ale był wobec księżnej wyjątkowo uprzejmy i szarmancki, a to zdarzało mu się niezmiernie rzadko. Problem polegał jednak na tym, że niebывale trafnych uwag i opinii Daisy w ogóle nie brał pod uwagę, ograniczając się do słuchania i komplementowania swojej rozmówczynie. Księżna była też blisko związana z królem Edwardem VII i chociaż po jego śmierci obawiała się, że jej stosunki z angielskim dworem ulegną ochłodzeniu, to jednak wraz z mężem otrzymała zaproszenie na uroczystą koronację nowego monarchy, która odbyła się 22 czerwca 1911 roku w opactwie westminsterskim. „Zostaliśmy zaproszeni na koronację – z niekłamaną satysfakcją odnotowała Daisy w swoim pamiętniku. – Było to bardzo miłe ze strony króla, gdyż żadni obcokrajowcy nie byli proszeni, z wyjątkiem monarchów i członków ich rodzin. Uroczystość była wspaniała. Król miał na sobie udrapowane, złote szaty. Gdy zdjął z siebie długi, zdobiony gronostajami płaszcz, w którym przybył, wyglądał jak obraz bizantyjskiego świętego. Insygnia władzy królewskiej były tak ciężkie, że ledwo szedł”⁸.

Na wieść o kryzysie marokańskim, który wybuchł kilka miesięcy po koronacji, Daisy – nadal związana zarówno z ojczyzną, jak i z angielskim dworem – postanowiła wkroczyć do akcji i zażegnać niebezpieczeństwo. W tym celu słała do Wilhelma listy z wycinkami z brytyjskiej prasy. Jak zapewniała w swoich wspomnieniach, było one

„przyjazne dla Niemiec”, by cesarz mógł się zorientować w prawdziwych nastrojach panujących na Wyspach. Naiwnie wierzyła, że politycy i członkowie rządu z bliżej nieznanych powodów ukrywają przed władcą prawdę, przedstawiając mu jej zdaniem fałszywy obraz poddanych Jerzego V – jako ludzi zięjących nienawiścią wobec Niemiec i samego cesarza. Co więcej, napisała do tego ostatniego list, w którym, powołując się na rozmowy z brytyjskimi politykami, zapewniała, iż „Anglia jest gotowa zaprzestać rozbudowy floty, pod warunkiem, że Niemcy zrobią to samo”⁹. Przypominała także o entuzjastycznym przyjęciu, jakie Wilhelmowi zgotowali londyńczycy, kiedy przyjechał na uroczyste odsłonięcie pomnika królowej Wiktorii, i namawiała go do zwołania konferencji pokojowej, do czego ponoć zobowiązał się podczas swojej wizyty w Londynie. Pisma Daisy nie pozostały bez odpowiedzi. Ówczesny minister spraw zagranicznych, baron von Stumm, zapewnił ją w liście, że cesarz przejrzał przysłane przez nią wycinki prasowe, zapoznając się przy tej okazji z komentarzami księżnej zamieszczonymi na ich marginesie, a potem przesłał je do ministerstwa spraw zagranicznych. Sam baron był gorącym zwolennikiem obrad pokojowych i dokładał starań, by doprowadzić do rozmów między Wielką Brytanią a Rzeszą. Daisy zaś również w trakcie swoich wyjazdów do Londynu robiła, co mogła, by agitować na rzecz zażegnania konfliktu między dwoma państwami. Od wyjazdów w tej sprawie nie odwiódł jej nawet poważny nawrót choroby, który nastąpił w 1911 roku.

Daisy starała się także przekonać męża do swoich racji, a na wieść o planowanej przez Jana Henryka wizycie w Berlinie i spotkaniu z kaiserem oświadczyła mu wprost: „daję cesarzowi dwa lata. Jeżeli w tym czasie nie uświadomi sobie, że jego naród może być wielki bez konieczności wojny, którą chce wywołać jedynie dla zapewnienia sobie miejsca w historii, nie zobaczy mnie nigdy więcej, nawet gdyby odwiedzał Hansa. Nigdy więcej też nie pojedę na jego dwór. Gdyby Niemcy były w niebezpieczeństwie lub gdyby zwycięstwo w wielkiej bitwie pomogło im finansowo albo decydowało o istnieniu – mają prawo walczyć. Ale wywołać wojnę, przelewać krew, zabierać kobietom mężów, a dzieciom ojców tylko w imię własnych mocarstwowych ambicji, w moich oczach uczyniłoby cesarza

największym grzesznikiem tego pokolenia!”¹⁰. Niestety, książkę nie wziął sobie słów żony do serca. Zresztą jako człowiek zafascynowany wojskowością i samym władcą w pełni popierał politykę Wilhelma, w tym także zbrojenia.

W 1911 roku sytuacja była już na tyle poważna, że cały kontynent wstrzymał oddech, z niepokojem patrząc na poczynania Berlina. Natomiast sama Daisy nie ustawała w wysiłkach, by nakłonić obie strony, a zwłaszcza cesarza, do rozpoczęcia negocjacji. Niespodziewanie znalazła sojusznika w osobie wspomnianego von Stumma, który na jej zaproszenie przyjechał do Pszczyzny, by uzgodnić wspólną taktykę. Sama także rozmawiała z cesarzem, kiedy ten w 1911 roku odwiedził Śląsk, zanim jednak zawitał pod dach Hochbergów, na kilka dni zatrzymał się w Żyrowej, śląskiej rezydencji hrabiostwa von Francken-Sierstorpff, znajomych książąt pszczyńskich. Bohaterka naszej opowieści wprawdzie utrzymywała z nimi kontakty towarzyskie, ale wyłącznie z obowiązku i tylko ze względu na Jana Henryka. Nie lubiła bowiem ani samego hrabiego Johannesesa von Francken-Sierstorpffa, przez przyjaciół zwanego „Sturmem”, ani jego małżonki Marii, zwanej też Mae bądź Mayą – rodowitej Amerykanki, córki amerykańskiego przedsiębiorcy Edwina F. Knowltona, zajmującego się produkcją wyrobów ze słomy. Mae w oczach Daisy uchodziła za nuworyszkę, jak mówiła: „żądną sukcesu towarzyskiego i małpującą wszystkie moje stroje”¹¹, zaś jej męża uważała za plotkarza i „głośnego, grubego niemieckiego snoba”¹².

Wydawało się, iż połączone wysiłki Daisy i barona von Stumma przyniosły w końcu pożądaną skuteczną, gdyż cesarz zgodził się na dyplomatyczne rozmowy z Londynem, które ze strony Anglii prowadził doświadczony dyplomata, lord Haldane. Kryzys zażegnała konferencja poświęcona wpływom niemieckim w Afryce, po której zakończeniu Niemcy ostatecznie uznały protektorat Francji nad Marokiem, w zamian za co otrzymały część francuskiego Konga. Księżna włożyła w swoje dyplomatyczne zabiegi tyle wysiłku i serca, że uznała to po części za swój własny sukces. „Byłoby śmieszne z mojej strony wyobrażać sobie, że moje listy do cesarza i barona von Stumma, a także to, co im powiedziałam w Pszczyźnie, miały fundamentalny

wpływ na sprawy europejskie – mówiła potem. – A jednak mysz pomogła lwu i fakty pozostaną”¹³. Jak się okazało, radość Daisy była stanowczo przedwczesna. Kajzer wprawdzie pozornie pogodził się z sytuacją, ale bynajmniej nie zaprzestał zbrojeń. Zresztą w całej Europie sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Jak zauważa współczesny historyk rosyjski, Jewgienij Tarle, wojna była już przesądzona, a rządy mocarstw zastanawiały się jedynie: „komu i kiedy wygodniej będzie uderzyć? Kto kogo prześcignie w przygotowaniach wojennych? Jak można najzręczniejsz z największą szansą powodzenia zrzucić winę wywołania wojny na swego przeciwnika?”¹⁴. Zbliżała się wielka dziejowa nawałnica, która miała zmienić oblicze Europy i świata, a przy tym znacząco wpłynąć na całą rodzinę Hochbergów.

„Zamykam oczy i uszy na wszystkie złe doznania”

Polityczne zainteresowania Daisy i jej zabiegi dyplomatyczne stanowiły bez wątpienia remedium na jej małżeńskie problemy, bo jej związek z Janem Henrykiem przeżywał wówczas poważny kryzys. Sytuacja w małżeństwie księżnej uległa pogorszeniu po przyjściu na świat jej ostatniego dziecka, a małżonkowie systematycznie się od siebie oddalali. Pomimo że jego żona wciąż uchodziła za piękność i budziła podziw na salonach, księżę romansował na prawo i lewo, najwidoczniej przeżywając kryzys wieku średniego. W efekcie drogi małżonków coraz częściej się rozchodziły. W okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej Daisy przez większość roku mieszkała w Anglii, a jej mąż brylował na Riwierze albo doglądał przeciągającej się przebudowy Książa. Nawet na wakacje jeździli osobno – księżna wypoczywała w Normandii, a Jan Henryk bawił się w najlepsze na Lazurowym Wybrzeżu, zaś ich synowie, przebywający głównie pod opieką nianiek i opiekunek, towarzyszyli na zmianę matce lub ojcu.

Małżonkowie pojawiali się razem na rozmaitych wydarzeniach towarzyskich, w tym także na ślubie jedynej córki cesarza Wilhelma, księżniczki Wiktorii Luizy, z księciem Hanoweru Ernestem Augustem. Księżniczka, nosząca imię babki Europy, była nie tylko ukochanym

dzieckiem kajzera, który poza nią doczekał się jeszcze sześciu synów, ale spośród całego rodzeństwa wyróżniała się ponadprzeciętną inteligencją. Ona też najbardziej przypominała ojca. Zdaniem jednego z biografów była równie władcza i silna jak Wilhelm, dostojna i majestatyczna jak jej matka, cesarzowa Augusta, natomiast inteligencję odziedziczyła po swojej babce po mieczu, królowej Wiktorii. Chyba nie tylko inteligencję, ale i upór w batalii o prawo do szczęścia, gdyż – tak jak przed laty uczyniła to jej babcia – córka kajzera walczyła o swoją miłość. Kiedy zakochała się z wzajemnością w księciu Hanoweru, który wywodził się z dynastii pozbawionej królestwa, spotkała się nie tylko ze sprzeciwem cesarza, ale i reszty rodziny, a jednak uparta dziewczyna postawiła na swoim. 24 maja 1913 roku para powiedziała sobie sakramentalne „tak”, a na ślub cesarskiej córki zjechała się dosłownie cała arystokracja europejska oraz wszyscy monarchowie ówczesnej Europy. Jak się okazało, było to ostatnie spotkanie koronowanych głów przed wielką wojną. Zresztą większość obecnych tam wówczas władców po jej zakończeniu musiała się na dobre pożegnać z koroną, a jeden z nich, car Rosji, Mikołaj II – nawet z życiem. Ale to miało dopiero nastąpić, teraz wszyscy cieszyli się szczęściem młodej pary.

Na tak wspaniałej i doniosłej uroczystości nie mogło zabraknąć księcia i księżnej pszczyńskich. Jan Henryk wprawdzie nie kochał już swojej żony, a być może nigdy nie darzył jej uczuciem, ale Daisy była mu nadal potrzebna jako ozdoba towarzystwa – przecież to właśnie dzięki niej był przyjmowany w najświetniejszych domach i na dworach królewskich. Sama Daisy niezbyt była zadowolona z czysto „dekoracyjnej” roli, jaką przyszło jej wówczas pełnić. Doskonale wyczuwała chłód skrywany pod maską uprzejmości ostentacyjnie okazywanej jej przez męża, ale nie zawiodła oczekiwań Jana Henryka. Wyglądała olśniewająco, pomimo że ostatni atak choroby, który wcześniej omal na dobre nie przykuł jej do łóżka, sprawił, że mocno kulała. Wciąż piękna, księżna swoim zwyczajem zabłysła, wkraczając na salony w kreacji, którą ozdobiła stosowną biżuterią oraz orderami, zakładanymi przez arystokrację na podobne okazje, wsparta o złotą laskę wysadzaną turkusami, która sama w sobie stanowiła dzieło sztuki użytkowej. Laska była prezentem od jednego z hinduskich książąt, który wręczając podarunek, zapewnił Daisy, iż przedmiot odlany jest

ze złota, podczas gdy tak naprawę był to kij powleczony złotem, aczkolwiek zdobiły go prawdziwe turkusy.

Księżna zrobiła na ślubie księżniczki Wiktorii prawdziwą furorę. Po długiej nieobecności witano ją w towarzystwie niczym udzielną władczynię wracającą z podróży. Rozmową zaszczycił ją nawet sam Wilhelm II. Daisy była bardzo z tego zadowolona, bowiem zależało jej, aby jej mąż zobaczył, iż wciąż jest podziwiana i pożądana w towarzystwie, a co ważniejsze – ceniona przez ówczesnych władców. Sukces towarzyski księżnej poprawił wprawdzie jej relacje z mężem, ale na krótko; wkrótce po ślubie Wiktorii między małżonkami pojawiły się kolejne nieporozumienia. I wówczas Daisy zdecydowała się na desperacki krok – postanowiła wyjechać w długą i daleką podróż, łudząc się, że stęskniony mąż podąży jej śladem. Ponieważ tak się nieszczęśliwie złożyło, że jej młodszy brat także borykał się wówczas z problemami w małżeństwie, George zdecydował się towarzyszyć jej w podróży. „Bóg jest dla mnie dobry i jeśli czasem jestem samotna, to mam tak wiele ziemskiego dobra, że muszę być wdzięczna za całą okazaną mi przyjaźń – pisała 31 lipca 1931 roku na pokładzie statku Cap Finisterre, płynącego z Hamburga do Ameryki Południowej. – Zamykam oczy i uszy na wszystkie złe doznania. Staram się uszczęśliwiać ludzi, nie pamiętając, że to, co najlepsze, zapomnieli. Dla kobiety wybaczyć jest największą rzeczą na świecie. Czasami jest zbyt zarozumiała, być może dumna, by wyciągnąć rękę, a drugą przykryć to, co zadawało ból. Wdzięczność tych, którym zostało wybaczone, jest jak ulga w ogromnym bólu. Znowu można stanąć twarzą w twarz ze sobą i światem”¹⁵. Wprawdzie wyjeżdżając w podróż na inny kontynent, marzyła o oderwaniu się od towarzyskich obowiązków oraz o chwili ciszy i spokoju, które byłyby jak balsam na jej skołatanę nerwy i stanowiłyby okazję do przemyśleń dotyczących dalszych losów jej małżeństwa, ale jej sława dotarła także do Brazylii, gdzie księżna była wręcz rozchwytywana. Już pierwszego dnia, kiedy po wypłynięciu statku do portu wraz z bratem schodziła po trapie, przywitały ją błyski lamp przy aparatach brazylijskich fotoreporterów, a na nabrzeżu czekał na nią jeden z brazylijskich ministrów wraz z małżonką. Oboje ponoć mieli okazję poznać księżną na jakimś przyjęciu w Londynie, ale Daisy

jakoś nie mogła sobie tego przypomnieć, chociaż oczywiście robiła dobrą minę do złej gry i traktowała ich jak dobrych znajomych.

Pokój hotelowy, starannie przygotowany na jej przyjęcie, tonął w kwiatach. W trakcie tego pobytu księżną zapraszano na przyjęcia, gale oraz rozmaite imprezy sportowe. Jej pobyt został też dokładnie udokumentowany przez tamtejszą prasę. „Przeczytałam już w jednej z gazet, że uważa się mnie za najpiękniejszą kobietę w Europie, słyszę, że mają tu w gazetach wiele moich zdjęć – odnotowała zdumiona. – Cóż, mam nadzieję nie rozczarować ich moim wyglądem. Być może kolor włosów i karnacja mi tu pomogą. Oni są tu tacy ciemni. Bycie księżną zobowiązuje, nawet na odległym kontynencie, a więc jak zwykle muszę się uśmiechać!”¹⁶ Niestety, Rio de Janeiro, a zwłaszcza tamtejsze hotele, niezbyt przypadły do gustu przyzwyczajonej do luksusów Daisy. „Wszystkie hotele w Rio były straszne. W jednym z nich na przykład drzwi do mojej łazienki nie zamykały się. W końcu przestałam się tym przejmować, jedynie śmiałam się na myśl, że ktoś mógłby wejść, gdy byłam w środku”¹⁷. Ostatecznie jednak księżna wywiozła z podróży do Ameryki Południowej, gdzie obok Brazylii odwiedziła także stolicę Argentyny – Buenos Aires, bardzo miłe wspomnienia, dlatego postanowiła, że w przyszłości jeszcze tu wróci, ale nie było jej to dane. Jeżeli Daisy faktycznie łudziła się, że swoją nieobecnością ożywi mężowską miłość, to musiała bardzo się rozczarować. Jan Henryk bynajmniej nie miał zamiaru gonić za swoją żoną po całym świecie, na co księżna w skrytości ducha chyba jednak liczyła.

Być może pewnym pocieszeniem dla niej była świadomość, że jej rodzeństwo borykało się z podobnymi problemami w swoich związkach, a przecież zarówno jej brat, jak i siostra zawarli małżeństwa z miłości. W końcu łatwiej jest znosić cierpienia razem z innymi i wzajemnie pocieszać się w strapieniach. Bez wątplenia cieniem na małżeństwie Shelagh położył się zgon jej synka, jedynego dziedzica tytułu i majątku, zwłaszcza że zrozpaczony małżonek obwinał ją o jego śmierć. Jego zdaniem matka powinna być przy dziecku, zwłaszcza kiedy ono choruje, a nie włożyć się po świecie. Dla angielskich arystokratów posiadanie syna było niezmiernie ważne, obowiązująca wówczas

zasada primogenitury pozbawiała bowiem przedstawicielki płci żeńskiej prawa do dziedziczenia tytułów i majątku. Stąd małżeństwa arystokratów z tylko jednym, dwojgiem bądź nawet trojgiem potomstwa były prawdziwą rzadkością. W tych czasach bowiem choroby wieku dziecięcego oraz różnego rodzaju infekcje, z którymi współczesna medycyna radzi sobie doskonale, siały śmierć wśród dzieci, a ci synowie, którym dane było dożyć dojrzałego wieku, często ginęli na wojnie. Szlachetnie urodzone pary musiały mieć więc niejako „w zapasie” co najmniej dwóch potomków płci męskiej jako potencjalnych następców i spadkobierców. Shelagh doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała też, że dla jej małżonka posiadanie syna było bardzo ważne. Obawiała się, że jeżeli nie urodzi męskiego potomka, jej związek się rozpadnie. Ku swojej radości – w 1909 roku zaszła w ciążę. Niestety 27 czerwca następnego roku zamiast wyczekiwanego przez wszystkich chłopca powiła córeczkę, tym samym grzebiąc szanse na uratowanie swojego małżeństwa. Załamana pani West, która była wówczas przy młodszej córce, pisała w liście do księżnej pszczyńskiej, że Shelagh spojrzała na swoje nowo narodzone dziecko „tylko raz, i to w ciemnościach, a Bendor w ogóle... Bóg tylko może im pomóc...”¹⁸.

Opatrzność najwyraźniej nie zamierzała się wtrącać w małżeńskie problemy Shelagh, choć młodsza siostra Daisy robiła, co mogła, by uratować ten związek. Kiedy jej mąż pod koniec 1911 roku wyjechał do Egiptu i na dłużej zatrzymał się w Kairze, namówiła starszą siostrę, by razem wyruszyły pod piramidy, gdzie miała zamiar próbować odzyskać jego uczucia. Kochająca podróżniczką Daisy nie odmówiła i z początkiem następnego roku wraz z Konstancją wyruszyły na egzotyczną wyprawę. Jan Henryk towarzyszył im przez jakiś czas, ale ostatecznie zdecydował się wrócić do Europy i wypocząć na Riwierze. Siostry łapczywie chłonęły nieznane im widoki, aczkolwiek Shelagh była rozczarowana nie tylko brakiem zieleni i oaz na pustyni, ale także postępowaniem jej męża, który na wieść o jej przyjeździe czym prędzej czmychnął z Kairu z powrotem do Londynu. Pewnym pocieszeniem była dla niej obecność wielbiciela – adorującego ją na każdym kroku księcia Jimmy’ego Alby. Z kolei Daisy zabawiał jej

szwagier, hrabia Fritz von Hochberg. Pod koniec marca dołączył do nich Jan Henryk i wszyscy wyjechali zwiedzać egipskie prowincje Sudanu.

Pomimo wysiłków Shelagh jej małżeństwo zmierzało ku nieuchronnej katastrofie, a kochający się wcześniej małżonkowie skakali sobie do gardeł. Zanim w lipcu 1913 roku podpisali w końcu akt separacji, toczyli bezustanne spory. Cierpiały na tym ich córki, ale na szczęście dla dzieci po separacji sytuacja uległa uspokojeniu, a Shelagh i Brendon zachowywali się wobec siebie odąd tak uprzejmie, że plotkowano o rzekomym zejściu się pary, do czego nigdy jednak nie doszło. Pozostawali za to w przyjaźni i wspólnie podjęli kroki zmierzające do uzyskania rozwodu, bowiem zamierzali szukać szczęścia u boku innych partnerów. Hugh rozglądał się już za kobietą, która mogłaby go obdarzyć upragnionym dziedzicem. Rozwód udało im się uzyskać w 1919 roku, a w następnym roku Brendon ponownie się ożenił – tym razem z Violet Mary Nelson. Nawiasem mówiąc, Shelagh przyznano wysokie alimenty, w wysokości 13 tysięcy funtów rocznie. Drugie małżeństwo księcia pozostawało jednak bezdzietne i zakończyło się rozwodem w 1926 roku. Na taki stan rzeczy wpłynęły liczne romanse Hugh, w tym także jego związek z poznaną w 1925 roku słynną projektantką mody – Coco Chanel. Tym razem sprawy przybrały tak poważny obrót, że para myślała o ślubie, a Coco robiła, co mogła, by urodzić swojemu ukochanemu upragnionego syna. Niestety, nie dość, że była w dość mocno zaawansowanym wieku jak na pierwsze dziecko, bo w roku 1925 ukończyła już czterdzieści dwa lata, to jeszcze na skutek przeprowadzonej w młodości aborcji nie mogła zająć w ciążę. Odwiedzała najlepszych lekarzy i poddawała się różnym kuracjom, wszystkie okazały się jednak bezskuteczne. Być może jednak para stanęłaby w końcu na ślubnym kobiercu, gdyby nie interwencja Winstona Churchilla, przerażonego faktem, że chrześniak królowej Wiktorii miałby się ożenić z „krawcową”. Polityk skutecznie wybił mu ten pomysł z głowy, powołując się na obowiązki wobec monarchii, a księżę posłusznie zerwał z Coco. Niedługo potem poślubił kobietę znacznie godniejszą zaszczytu bycia żoną księcia – dwudziestosiedmioletnią lady Loelię Mary Ponsonby. Z nią także nie doczekał się dzieci. Trzecie małżeństwo byłego szwagra Daisy zakończyło się rozwodem w 1947 roku. Dziedzica nie dała mu nawet

kolejna żona, Anne Winifred Sullivan, którą poślubił w tym samym roku i z którą spędził resztę życia, aż do swojej śmierci w 1953 roku.

Shelagh miała nieco więcej szczęścia, ale o jej perypetiach miłosnych opowiemy nieco później. W październiku 1913 roku Daisy wróciła ze swojej podróży do Ameryki prosto do ojczyznej Anglii i z miejsca rzuciła się w wir tamtejszego życia towarzyskiego, podobnie zresztą jak jej młodsza siostra. Wprawdzie po separacji Shelagh musiała się wyprowadzić z rezydencji należących do męża, ale nadal miała prawo używać tytułu księżnej Westminsteru, była utrzymywana przez męża i bynajmniej nie zamierzała usuwać się w cień. Wręcz przeciwnie – prowadziła ożywione życie towarzyskie, brylowała na balach i przyjęciach oraz brała udział w amatorskich przedstawieniach teatralnych. Urządzała też swój nowy dom – neogotycką rezydencję Ettington Park blisko Stratford-upon-Avon w księstwie Warwickshire, gdzie po powrocie z Ameryki Południowej zatrzymała się Daisy. A był to czas, kiedy ku zgorszeniu starszego pokolenia na salony wkraczały nieobyčajne tańce, zwiastuny zmian w modzie, jakie w niedalekiej przyszłości miała przynieść wielka wojna, mianowicie: turkey trot, boston i tango. Wprawdzie tango nadal należy do kanonu tańców towarzyskich, ale dwie pierwsze nazwy zapewne niewiele mówią współczesnym czytelnikom. Turkey trot, czyli w dosłownym tłumaczeniu „indyczny kłus”, to taniec towarzyski w rytmie ragtime’u, natomiast boston to rodzaj powolnego walca w metrum trzy czwarte. Brzmi niewinnie, ale kiedy młode pokolenie oddawało się tym nowomodnym płaśmom na parkiecie, rodzice i dziadkowie byli naprawdę zgorszeni. Niektórzy uznali za swój obowiązek doprowadzić do usunięcia owych płaśm z salonów, postulując, aby z programu wszelakich imprez raz na zawsze wykreślono te „negroidalne horrory”, jak nazwała je pewna oburzona obrończyni moralności w liście do redakcji londyńskiego dziennika „The Times”. W 1913 roku, a więc kiedy Daisy odbyła swoją podróż do Ameryki, w tym do Argentyny, ojczyzny tanga, na łamach brytyjskiej prasy toczyła się dyskusja pomiędzy zwolennikami nowych tańców a ich zagorzałymi przeciwnikami, do których zaliczali się chociażby członkowie Brytyjskiego Stowarzyszenia Nauczycieli Tańca. Owa skandaliczna nowa moda wywoływała niemałe oburzenie nawet za oceanem.

W 1913 roku prezydent-elekt Woodrow Wilson ostro zareagował na wieść, iż na balu inauguracyjnym jego prezydenturę ma być tańczone tango. Uznał to za skandal i stanowczo nakazał wykreślić ten taniec z programu imprezy. Z kolei turkey trot został oficjalnie potępiony przez Watykan, zresztą zdaniem wielu duchownych, i to nie tylko katolickich, modne wówczas tańce wiodły wprost do pogwałcenia szóstego przykazania. Z kolei Wilhelm II, widząc, że tango, boston i turkey trot zdobywają coraz większą popularność, zwłaszcza wśród młodzieży, i nie mogąc temu zaradzić, zabronił je tańczyć niemieckim oficerom, ale wyłącznie wówczas, gdy mieli na sobie mundury.

Zwolennicy nowej mody tanecznej nie składali broni. Znaleźli się też tacy, którzy w poszukiwaniu złotego środka próbowali jakoś zmienić owe, zdaniem wielu, wulgarne tańce na bardziej odpowiadające gustom konserwatystów. W ten sposób powstały peacock glide i tak zwane nowe tango, które wprawdzie zyskały aprobatę obrońców moralności, ale nie zdobyły szerszego uznania. Wszystkich miłośników tanga rozgrzeszył natomiast francuski dramaturg, pisarz i poeta, a zarazem członek Akademii Francuskiej, Jean Richepin, który w swoim wykładzie w dniu 26 października 1913 roku, wygłoszonym w szacownym gronie francuskich akademików, udowadniał, iż tango nie jest wcale tańcem plebejskim, ale ma antyczne korzenie. Jego początków należało szukać... w starożytnym Rzymie, skąd tango przedostało się do Hiszpanii, a stamtąd po wielu stuleciach – na kontynent południowoamerykański. Wprawdzie kiedy pisarz ogłaszał swoje tezy, tango święciło już triumfy w całej Europie, ale wizja starożytnych Rzymian wijących się w swoich togach w rytm tanga jeszcze długo była wykorzystywana przez miłośników tego pełnego namiętności tańca jako oręż przeciwko tradycjonalistom i różnego rodzaju samozwańczym obrońcom moralności.

Na krótko przed wybuchem I wojny światowej w całej Anglii, a zwłaszcza w Londynie, wielką popularnością cieszyły się tak zwane *tango teas*, czyli „herbatki z tangiem”. Początkowo organizowane w prywatnych domach, a potem w restauracjach i klubach, by w końcu przenieść się do ekskluzywnych hoteli, a nawet do teatrów, chociażby do Queens Theatre. Tango tańczono na balach, w tym także na tych, z których dochód przeznaczony był na cele charytatywne. Jednak

organizatorzy takich imprez, nie chcąc urazić uczestników o bardziej konserwatywnych poglądach, przeznaczali jedną z sal na tradycyjne tańce, a drugą – na nowoczesne.

Tango z całą pewnością uwiodło Shelagh, która uczestniczyła w pierwszej imprezie *tango tea* w Stratfordzie 14 grudnia 1913 roku – i to nie sama, ale w licznym gronie przyjaciół. Daisy jednak nie zasiadła przy jej stoliku, bowiem wówczas już wyjechała do Pszczyzny na święta Bożego Narodzenia. Do Londynu wróciła po Nowym Roku i wynajęła mieszkanie pod numerem 5 na Savile Row. Nie mamy żadnych dowodów na to, że bohaterka naszej opowieści uległa tanecznej modzie, zwłaszcza że w tym czasie borykała się z poważnymi problemami zdrowotnymi. Jej biografka Barbara Borkowy jest jednak przekonana, że Daisy tańczyła tango. „Wydawałoby się, że tango nie było jej wtedy w głowie, ale czy na pewno? Siostra Shelagh już je w Londynie tańczyła, a Daisy wpadła na pomysł podróży do Ameryki Południowej – stwierdza w artykule na stronie internetowej poświęconej księżnej. – Czy ówczesne szaleństwo na punkcie narodowego tańca Argentyny nie przyczyniło się do jej, jak to nazwała, nagłego «Wanderlust» [niem. zamiłowanie do podróży, włóczęgi – I.K.]?”¹⁹ W marcu księżna wyjechała z Londynu na wycieczkę na południu Francji, gdzie czekali już na nią mąż i synowie. 4 kwietnia 1914 roku zaprosiła liczne grono swoich znajomych do jednej z modnych restauracji, po czym całe towarzystwo udało się wprost na lekcję tanga, którą w pobliskim studiu tanecznym prowadzili Amerykanin Glen Hodgkins i jego żona, Angielka Irena Hammond. Oboje musieli być znani Daisy przynajmniej ze słyszenia albo z artykułów prasowych, ponieważ kilka miesięcy wcześniej święcili triumfy, tańcząc tango na scenie londyńskiego Palace Theatre.

Wprawdzie nie mamy dowodów na to, że Daisy tańczyła ten nowy, zmysłowy taniec, ale z zachowanych zdjęć z tego okresu wynika, iż podążała za modą, w której nastąpiły zmiany, zwiastujące rewolucję, jaką miała przynieść zbliżająca się wojna. Gorsety, masowo potępiane przez środowiska medyczne jako rodzaj „nowożytnego pancerza”, powoli zniknęły z damskiej garderoby, a stroje zyskały luźniejszy, bardziej swobodny krój. Nieznacznemu skróceniu uległy również spódnice i suknie. Jednak w 1914 roku Daisy miała na głowie znacznie

poważniejsze zmartwienia niż nauka nowoczesnych tańców i nabywanie nowej garderoby. Wprawdzie wciąż w skrytości ducha łudziła się, że Europie uda się uchronić od wojny, ale liczyła się z ewentualnością wybuchu konfliktu zbrojnego, skoro jeszcze w 1908 roku namawiała swojego męża, by w swoich planach rozbudowy rezydencji przewidział opcję potencjalnej przebudowy stajni na szpital wojenny. Jan Henryk uznał to za przesadę, a jej obawy za nieuzasadnione. W skrytości ducha Daisy nosiła się z zamiarem przeznaczenia hotelu w Szczawnie na ten cel, ale nie zwierzała się ze swoich planów mężowi.

Po odpoczynku na południu Francji ponownie wróciła do Londynu. Chociaż wojna zbliżała się wielkimi krokami, niewielu Anglików zdawało sobie sprawę z nadchodzącego niebezpieczeństwa, zwłaszcza że, jak zauważała sama księżna: „pięć lat poprzedzających sierpień 1914 roku było pomyślnych. [...] Pomimo groźby nieszczęścia, kierowanego przez diabelski, nieprzewidywalny los, życie toczyło się utartym szlakiem: ludzie pracowali, zarabiali pieniądze, bawili się. Tak jakby nie mieli odwagi zatrzymać się, aby popatrzeć wokół siebie i posłuchać”²⁰.

Mata Hari z Pszczyzny?

Nieżyjący od 1898 roku żelazny kanclerz Otto von Bismarck wieszczył przed laty, iż zarzewiem przyszej wojny stanie się „jakieś przekłete błazeństwo na Bałkanach” – i nie pomylił się w swoich rachubach. 28 czerwca 1914 roku bośniacki Serb Gavrilo Princip, będący członkiem jednej z serbskich organizacji nacjonalistycznych, dokonał udanego zamachu na następcę austro-węgierskiego tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Kula wystrzelona wówczas przez Principa pozbawiła życia zarówno arcyksięcia, jak i jego morganatyczną żonę, Zofię von Chotek, ale jednocześnie okazała się kamykiem, który wywołał wojenną lawinę. Wiadomość o zamachu podała prasa na całym świecie, w tym także na Wyspach, a zaraz potem pojawiły się spekulacje o wybuchu wojny. Wielu niepoprawnych optymistów nadal nie wierzyło jednak, że może dojść do jej rozpętania. Należał do nich ojciec bohaterki naszej

opowieści, któremu nie mieściło się w głowie, że morderstwo jednego człowieka może wywołać konflikt będący w stanie objąć całą Europę. A jednak tak się właśnie stało.

Ponieważ władze Austro-Węgier nie mogły przejść do porządku dziennego nad zabójstwem następcy tronu, 23 lipca wystosowały wobec Serbii ultimatum. Jego w gruncie rzeczy dość upokarzające dla Serbów warunki zostały zaakceptowane przez serbski rząd, który nie zgodził się jednak na przeprowadzenie przez władze cesarstwa niezależnego śledztwa na obszarze Serbii. I to właśnie zostało potraktowane przez Wiedeń jako odrzucenie ultimatum. W efekcie 28 lipca 1914 roku Austro-Węgry wypowiedziały Serbii wojnę, a pierwsze strzały padły już następnego dnia, kiedy austriacka artyleria ostrzelała stolicę – Belgrad. W reakcji na te poczynania 30 lipca Rosja ogłosiła częściową mobilizację, co z kolei wywołało protest Berlina. Niemieckie władze ostrzegły, że jeżeli wspomniana mobilizacja nie zostanie natychmiast przerwana, Niemcy wypowiedzą Rosji wojnę. W międzyczasie mobilizację ogłoszono również we Francji, co także zaniepokoiło Berlin. Ponieważ Rosja nie dostosowała się do niemieckich żądań, cesarstwo wypowiedziało temu państwu wojnę, a dwa dni później uczyniło to samo wobec Francji. Zanim jednak do tego doszło, 2 sierpnia wojska niemieckie wkroczyły do Luksemburga, a potem do neutralnej Belgii. Dalej sprawy potoczyły się błyskawicznie: 4 sierpnia Rosja ogłosiła stan wojny z Niemcami, wraz z nią do konfliktu przyłączyły się także brytyjskie dominia, a nieco później – związana z królestwem umową sojuszniczą – Japonia.

Nikt się nie spodziewał, że konflikt rozleje się na całą Europę i ogarnie także inne części świata ani że potrwa przeszło cztery lata. Wręcz przeciwnie – obie strony wierzyły w rychłe zwycięstwo. Kajzer obiecywał swoim żołnierzom, że wrócą do domów, zanim z drzew opadną liście, natomiast wiwatujący pod pałacem Buckingham z okazji przystąpienia Wielkiej Brytanii do wojny poddani króla Jerzego V byli przekonani, że chłopcy wysyłani na front będą na Boże Narodzenie w swoich domach zająć się świątecznym puddingiem i indykiem.

Daisy nie doświadczyła owej euforii Brytyjczyków, bo tuż przed przystąpieniem jej ojczystego kraju do wojny wyjechała do Niemiec, posłuszna otrzymanej za pośrednictwem szofera dyspozycji od Jana

Henryka, by bezzwłocznie opuściła Anglię. 2 sierpnia była już w Berlinie, ale ku jej wielkiemu rozczarowaniu – na dworcu nie czekał na nią mąż, z którym wciąż nie miała żadnego kontaktu. Książę pszczyński na wieść o wybuchu wojny bezzwłocznie zgłosił się do macierzystego pułku huzarów w Poczdamie, dokąd udał się wraz z najstarszym synem, wówczas uczniem berlińskiego gimnazjum. Kiedy tylko Daisy dowiedziała się od recepcjonisty, że minęła się z nimi, wsiadła do dorożki i wyjechała do Poczdamu. Znalazła tam obu panów, spokojnie zajadających obiad w oficerskiej kantynie i „niespecjalnie zadowolonych” z jej przybycia. „Nigdy się nie dowiem, czy Hans naprawdę chciał, abym została w Anglii, czy wróciła do Niemiec”²¹ – odnotowała w wydanych później wspomnieniach. Z całą pewnością natomiast książę zamierzał wysłać żonę do Pszczyzny, by tam czekała na dalszy rozwój wydarzeń, ale księżna tym razem nie miała najmniejszego zamiaru dostosowywać się do męzowskiego polecenia. Zamierzała udać się na front i pełnić posługę siostry Czerwonego Krzyża, czego ostatecznie nie udało się jej zrealizować. Wróciła zatem do Berlina, gdzie dzięki protekcji brata cesarza Augusta Wilhelma została zaangażowana jako pomoc pielęgniarska w szpitalu Tempelhof 2. W tej nowej dla siebie roli spisywała się bez zarzutu, ku zaskoczeniu jej przełożonego, profesora von Kuestera, który odnotował w wystawionych jej potem referencjach, że księżna „z zadowoleniem i oddaniem opiekowała się rannymi, pocieszając ich i uspokajając swoim serdecznym podejściem. Niestrudzenie podejmowała wysiłki, aby ich rozweselić i pokrzepić, a tym samym ulżyć ich cierpieniom”²². Medyk spodziewał się zapewne rozkapryśzonej arystokratki, mdlejącej na widok krwi, ale Daisy okazała się wyjątkowo wytrzymała na takie widoki i bez żadnych oporów zmieniała chorem opatrunki oraz asystowała przy zabiegach. Dbała też o ich samopoczucie, organizując wieczorki muzyczne, w trakcie których grała na fortepianie, a zgromadzeni wokół pacjenci śpiewali razem z nią. Prawdę mówiąc, księżna mogła liczyć wyłącznie na ich wdzięczność i docenienie przez wspomnianego profesora, gdyż niespodziewanie niemiecka prasa przypuściła na nią nagonkę, oskarżając ją ni mniej, ni więcej, jak tylko o szpiegostwo na rzecz Anglii, a przy okazji także o nielojalność wobec

własnego męża, niemieckiego patrioty. Daisy niespecjalnie się tym przejęła, w końcu prasa niejedną raz podawała na jej temat wyszane z palca bzdurne informacje. Tym razem jednak sytuacja zrobiła się naprawdę poważna, a ona sama znalazła się w niebezpieczeństwie.

Na początku września Daisy nierozważnie wybrała się razem ze swoim ulubionym szwagrem Fritzem do obozu jenieckiego w Döberitz koło Berlina, gdzie przetrzymywano jeńców brytyjskich. Jak na pacyfistkę z przekonania przystało, uważała, iż jej obowiązkiem jest niesienie pomocy wszystkim rannym i poszkodowanym na wojnie, niezależnie od ich narodowości. Wizyta była bardzo krótka, bo księżna przebywała w obozie zaledwie 10 minut, ale to wystarczyło, by prasa rozpętała istną nagonkę. Pisano, jakoby żona księcia von Pless, podając się za siostrę Czerwonego Krzyża, wjechała do obozu ciężarówką wypełnioną po brzegi pieczonymi kurczakami, czekoladą oraz paczkami papierosów, a niesiona przez nią humanitarna pomoc miała być jedynie pretekstem. Tak naprawdę księżna miała bowiem pozyskać od przebywających tam jeńców cenne informacje, które potem sobie tylko znanym sposobem przekazałaby do Anglii.

Jak widać, Bogu ducha winna i działająca z jak najszlachetniejszych pobudek, Daisy tym nieprzemyślanym posunięciem ściągnęła sobie na głowę realne niebezpieczeństwo. A przecież księżna nie była żadną Matą Hari i działała wyłącznie w dobrej wierze. Jak sama przyznawała: „przez całą wojnę byłam rozdarta na pół, jednak mieszkałam tak długo w Niemczech, że nigdy by mi nie przyszło na myśl, by ktoś mógł wątpić w moją lojalność lub że ludzie mogliby mnie nienawidzić”²³. Dodatkowe podejrzenia wzbudził także fakt, że utrzymywała korespondencję z rodziną w Anglii oraz z krewnymi i przyjaciółmi z całej Europy, mieszkającymi też w państwach znajdujących się w stanie wojny z Niemcami. Daisy była z nimi w kontakcie listownym przez całe życie i nie widziała powodu, aby teraz to zmieniać, zwłaszcza że tylko dzięki temu mogła dowiedzieć się czegoś o swoim młodszym bracie, który także został wysłany na front. Jej własny mąż, do którego zwróciła się w tej sprawie o pomoc, zbył ją stwierdzeniem, iż „Anglicy zostali trzy razy pobici we Francji. Nie wiadomo kto został zabity, kto schwytany, bo jeńcy zostają od razu przewożeni do Niemiec, bez spisywania personaliów. Nawet o naszych ludziach niewiele wiadomo,

więc co tu mówić o stratach nieprzyjaciół”²⁴. Jan Henryk polecił jej, by próbowała się skontaktować z brytyjską ambasadą, rodziną w Anglii i przyjaciółmi mieszkającymi za granicą, u których mogłaby zasięgnąć informacji o swoim bracie. Księżna go posłuchała, tym samym ściągnając na siebie kolejne podejrzenia. Niestety wszystkie otrzymane z zagranicy listy podlegały ostrej cenzurze i Daisy, podobnie jak inni adresaci, mogła się jedynie domyślać, co się kryje pod skreśleniami dokonanyymi przez cenzora. A sytuacja wokół niej zagęszczała się coraz bardziej. Wkrótce po niefortunnej wizycie w jenieckim obozie nieszczęsna księżna znalazła się na celowniku policji: podsłuchiowano jej rozmowy telefoniczne i znacznie staranniej przeglądano jej listy. Także gazety nadal były przeciwko niej. W oczach prasy nawet niewinne słowa rzucone do jeńców przed opuszczeniem przez nią obozu: „Nie traćcie ducha!” – urastały do rangi przestępstwa. Zdaniem żądnych sensacji dziennikarzy Daisy chciała w ten sposób dać im nadzieję na wygranie wojny, a przecież żadna niemiecka patriotka nie ma prawa nawet wątpić w zwycięstwo Niemiec. Tymczasem księżna nadal nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, pomimo że prasa analizowała niemal każdy aspekt jej życia sprzed wojny, sugerując, iż jest angielskim szpiegiem. Nieszczęsna kobieta padła ofiarą fali nienawiści, zresztą nie ona jedna – francuskie i angielskie guwernantki czym prędzej pakowały manatki, by wrócić do ojczystych krajów. Po wcześniejszej miłości do Anglii, na fali której niemieccy arystokraci szukali nad Tamizą żon, nie został nawet ślad. W oczach poddanych kajzera każdy cudzoziemiec był potencjalnym szpiegiem. W takiej sytuacji Daisy myślała nawet o powrocie do ojczyzny, ale jedna z jej znajomych, pani Davis, skutecznie wybiła jej ten pomysł z głowy. Przesyłała jej mianowicie wycinki z brytyjskiej prasy, w której z uporem godnym lepszej sprawy tropiono wszystkich naturalizowanych obywateli wywodzących się z Niemiec. „Szaleństwo manii szpiegowskiej nie zna granic – ostrzegła Davis. – Każdy, kto ma niemieckie korzenie – nie jest wolny od podejrzeń. [...] Anglicy będą walczyć tak długo, dopóki nie zniszczą ostatniego Niemca”²⁵.

I rzeczywiście, na Wyspach w czasie wojny kampania nienawiści wobec kajzera i całego narodu niemieckiego osiągnęła wręcz

absurdalne rozmiary. A przybrała na sile, kiedy Brytyjczycy poznali ogrom zbrodni dokonywanych przez niemieckie wojska na kontynencie wobec ludności cywilnej. Oficjalna propaganda wykreowała jednocześnie niemający wiele wspólnego z rzeczywistością wizerunek tępego Huna, jak wkrótce zaczęto nazywać Niemców. Wzmogło to tylko wszechobecną nienawiść, która z czasem przeniosła się na wszystko, co miało jakikolwiek związek z Niemcami bądź jedynie budziło takie skojarzenia. Zakazano sprzedaży precli, z programów szkolnych usunięto wszystkie utwory pióra niemieckich pisarzy i poetów, z Goethem i Schillerem na czele, zabroniono grywać Mozarta i Beethovena. Rozsierdzona ludność atakowała nawet sklepikarzy mających niemiecko brzmiące nazwiska, a także niemieckie guwernantki, wcześniej chętnie zatrudniane w bogatych angielskich domach, czy nawet właściciele psów ras wywodzących się z Niemiec – rottweilerów, dobermanów albo jamników. Podpalano domy, w których mieszkali posiadacze tych czworonogów, a nierzadko zdarzało się, że nieszczęsne jamniki, spokojnie spacerujące ze swoimi właścicielami, były kopane na ulicach. Szczególnie intensywne działania prowadzili działacze spod znaku Ligi Antyniemieckiej, będący w istocie zwykłymi chuliganami, wszczynającymi rozróbę z hasłami patriotycznymi na ustach. Sytuacji nie poprawiał fakt, że prawie nikt z prześladowanych nie ośmielił się protestować, aby nie pogarszać swojej sytuacji ewentualnymi oskarżeniami o kolaborację i zdradę, a o to akurat nie było trudno. W tych burzliwych czasach szpiegów doszukiwano się pod każdym łóżkiem.

Jak wspomniano, ofiarami owej kampanii nienawiści padli też naturalizowani Niemcy, którzy od lat wiernie służyli Imperium Brytyjskiemu, w tym chociażby kuzyn króla Jerzego V, Louis Alexander Battenberg, pierwszy lord admiralicji, który od czterdziestu lat, czyli od czternastego roku życia, pełnił służbę w brytyjskiej flocie. W tym czasie walnie przysłużył się do jej rozwoju, a zatem należycie przygotował Royal Navy do udziału w nadchodzącej wojnie. W obliczu konfliktu wszelkie jego zasługi zostały w oczach poddanych jego kuzyna zdyskredytowane, podobnie podważona została jego bezsporna lojalność wobec korony i zapomniany fakt, że jego żoną była córka wciąż szanowanej przez Brytyjczyków królowej Wiktorii. Sytuację

pogarszał wyraźny niemiecki akcent lorda oraz fakt, że w swoich włościach na Wyspach zatrudniał wyłącznie niemiecką służbę. W efekcie zmuszono go do dymisji oraz rezygnacji z książęcego tytułu. Nastroje antyniemieckie nie ominęły nawet rodziny królewskiej. Wszak Jerzy V należał do niemieckiej dynastii Koburgów, był spokrewniony z Wilhelmem II i, o zgrozo, poślubił niemiecką księżniczkę. W oczach swoich poddanych był zatem takim samym Niemcem jak żołnierz kajzera mordujący ich synów, braci i mężów na froncie. Na nic zdały się zabiegi monarchy, który robił, co mógł, by udowodnić swój patriotyzm. Z kaplicy Świątego Jerzego w Windsorze usunął sztandary ośmiu kawalerów Orderu Podwiązki, którzy byli Niemcami, a solidaryzując się z poddanymi, wprowadził w pałacu Buckingham iście drakońskie ograniczenia w wydatkach oraz racjonowanie żywności i wysłał na wojnę swoich dwóch najstarszych synów. Mało tego, sam regularnie wizytował szpitale i wojskowe lazarety, niosąc pociechę cierpiącym; zjawiał się też od czasu do czasu na froncie, a nawet odniósł obrażenia, kiedy spłoszony wystrzałem koń, którego dosiadał podczas jednej z takich frontowych wizytacji, zrzucił go z siodła. Król złamał wówczas miednicę. Wszystko na próżno – jego notowania, podobnie jak notowania całej rodziny królewskiej, spadały na łeb na szyję, a prasa otwarcie postulowała jego detronizację i obalenie monarchii. Rozwiązaniem okazał się sprytny pomysł jednego z dworzan, by zmienić niemiecko brzmiącą nazwę dynastii na Windsor, od nazwy zamku, który w dziejach Anglii zajmuje równie poczesne miejsce jak Wawel w historii Polski. I tak 17 lipca 1917 roku, w którym antyniemieckie nastroje osiągnęły apogeum, wszystkie gazety na Wyspach zamieściły królewski dekret. Jerzy V obwieszczał w nim swoim poddanym: „odtąd Dom Nasz i Ród zwać się będzie i winien być znany jako Dom i Ród Windsor; [...] Postanowiliśmy w imieniu Własnym oraz wszystkich naszych potomków i wszystkich pozostałych potomków Naszej Babki Królowej Wiktorii [...] zrezygnować ze wszystkich niemieckich Tytułów i Godności oraz zaprzestać ich stosowania”²⁶. Jednocześnie monarcha zmusił swoich niemieckich krewnych i powinowatych, by bezzwłocznie zmienili swoje niemieckie nazwiska i tytuły na ich angielskie odpowiedniki. Wówczas Louis Alexander, wspomniany wcześniej niegdysiejszy lord admiralicji, stał

się Mountbattenem, a bracia królowej, Adolf, książę Teck, oraz Aleksander, książę Teck, otrzymali odpowiednio tytuły markiza Cambridge i hrabiego Althone.

Ale na początku wojny to była wciąż odległa przyszłość. W 1914 roku, kiedy niemieckie władze zainteresowały się poczynaniami bohaterki naszej opowieści i podejrzewały ją o działalność szpiegowską, nikt nawet nie przypuszczał, że kuzyn cesarza zasiadający na brytyjskim tronie wyprze się swoich niemieckich korzeni. Kto wie, jak by się ta cała afera wokół Daisy skończyła, gdyby do akcji nie wkroczył Jan Henryk, publicznie występując w obronie niesłusznie oskarżonej żony i kategorycznie odrzucając zarzut szpiegostwa. Obrona dobrego imienia żony, siostry i córki była wręcz prawnym obowiązkiem każdego Niemca, bowiem zgodnie z obowiązującym prawem, jakkolwiek niedorzecznie to zabrzmie, Daisy jako przedstawicielka płci żeńskiej miała status... osoby niepełnoletniej. I trzeba przyznać, że Jan Henryk wywiązywał się ze swego zadania bardzo dobrze, aczkolwiek nie sprawił, że podejrzewania zniknęły, wręcz przeciwnie – w listach ostrzegał księżną, że jest prowadzone przeciwko niej śledztwo, zalecał więc daleko posuniętą ostrożność. Ale ona nie zamierzała poddawać się bez walki. Kategorycznie odmawiała nakazanego jej przez władze w Berlinie wyjazdu do Księstwa, gdzie miałyby przebywać aż do odwołania, co faktycznie oznaczało jej internowanie. Pracowała w szpitalu, dopóki jej tego nie zakazano. Na szczęście sprawie w końcu ukręcono łeb, przy czym nie małe znaczenie miał w tym wypadku fakt, iż w należącym do jej małżonka pałacu w Pszczyńcu od początku wojny mieściła się kwatera główna niemieckiej armii i przebywał tam cesarz. Oczywiście oficjalnie śledztwo zamknięto po przesłuchaniu angielskich jeńców wojennych, których wcześniej odwiedziła Daisy rzekomo w celach szpiegowskich. „Badanie jeńców przy pomocy pytań, czy księżna długo z nimi rozmawiała i czy rozdawała pomiędzy nich słodycze, dało wynik całkowicie negatywny”²⁷ – głosił końcowy raport ostatecznie zamykający dochodzenie.

Księżna odetchnęła z ulgą, co jednak nie oznacza, że czuła się bezpieczna. „Grupa wojskowych, która w efekcie końcowym doprowadziła Niemcy do ruiny, robiła, co w ich mocy, aby mnie

zniszczyć – skomentowała na kartach swoich wspomnień. – Pierwszy rober był mój, a to dlatego, że posiadałam wpływowych przyjaciół poza kastą wojskowych (z którymi nigdy nie byłam w wielkiej zażyłości), a cesarz nadal posiadał władzę w kraju. [...] Byłam jedynie natrętną muchą, od której należało się uwolnić, tak jak w ciągu kilku tygodni należało zmieść Anglię z powierzchni ziemi. Zapomnieli jednak o dwóch rzeczach, że owa mucha była Angielką, a Anglia oznaczała Anglików”²⁸. Wiedziała, że wygrała pierwszą partię, ale nie oznaczało to końca jej problemów. Na wszelki wypadek jeszcze długo miała zwyczaj spać z rewolwerem pod poduszką. „Nigdy, ani przez chwilę, nie czułam się bezpieczna, ledwie ośmielałam się używać telefonu, a prywatnie, z przyjaciółmi rozmawiałam jedynie za zamkniętymi na klucz drzwiami sypialni i to nie zawsze”²⁹ – czytamy w jej wspomnieniach.

W służbie rannym żołnierzom

Daisy martwiła się nie tylko samą wojną i podejrzeniami o szpiegostwo, ale także stanem zdrowia swojego najmłodszego syna, gdyż czteroletni wówczas Bolko bardzo niedomagał. Księżna robiła, co mogła, by mu pomóc – odwiedzała najlepszych specjalistów i kiedy tylko mogła, zabierała go z Berlina w miejsca odległe od dusznej atmosfery stolicy cesarstwa, by chociaż na chwilę mogli zapomnieć o wojnie. Jeździli więc na przykład do Merano w ówczesnie austriackim Tyrolu, a z końcem stycznia 1915 roku wybrali się do Partenkirchen w Alpach Bawarskich, gdzie Daisy wynajęła małą willę. Wprawdzie mogła się cieszyć urokami zimy, ale sen z oczu spędzały jej artykuły w niemieckich gazetach, które jej dostarczano. Niemieccy dziennikarze nadal przedstawiali ją bowiem jako osobę podejrzaną o szpiegostwo, a niektóre gazety wprost oskarżały ją o działalność na rzecz brytyjskiego wywiadu. Pisano na przykład, że główny ogrodnik księżnej zmarł, a ona wysłała jego ciało do Anglii, pakując do jego trumny listy zawierające najnowsze tajne informacje dotyczące armii niemieckiej na froncie francuskim. „Mój znakomity

ogrodnik był Szkotem, miał na imię Todd i oczywiście żył”³⁰ – wyjaśnia Daisy. Inne pisały, że księżna została aresztowana, jeszcze inne podawały sensacyjne wieści, jakoby jej mąż, kiedy dowiedział się o szpiegowskiej działalności swojej żony, zastrzelił ją i siebie...

Tymczasem Jan Henryk żył i cieszył się dobrym zdrowiem, co więcej – robił karierę w wojsku. Pierwszą wojnę światową zakończył jako kawaler dwudziestu jeden orderów i medali otrzymanych głównie honorowo, gdyż nie dane mu było powąchać prochu. W 1914 roku awansował na pułkownika i został przeniesiony z Poczdamu do cesarskiej kwatery głównej, otrzymując funkcję oficera ordynacyjnego (*fligeladiutant*) cesarza, który – jak wiadomo – darzył księcia przyjaźnią. Co więcej, od początku wojny to właśnie w pałacu księcia w Pszczynie mieściła się kwatera główna cesarskiej armii. Kajzer wybrał to miejsce nie tylko ze względu na osobę księcia, ale również dlatego, iż w pobliskim Cieszynie znajdowała się kwatera główna armii austriackiej. Tamtejszy szef sztabu, generał Franz Conrad von Hötzendorff, był częstym gościem w Pszczynie. Tam też dowódcy austriaccy i niemieccy na suto zakrapianej kolacji świętowali zwycięstwo nad armią rosyjską w bitwie pod Gorlicami 22 maja 1915 roku.

Kajzer był teraz gospodarzem na zamku w Pszczynie, gdzie przyjmował licznych gości, w tym nie tylko swoich przełożonych, ale także światowych przywódców. W zamku gościli między innymi Karol I, od 1916 roku cesarz austriacki, a także car bułgarski Ferdynand, feldmarszałek Paul Hindenburg, generał Erich Ludendorff, arcyksiążę Fryderyk Habsburg, generał Franz Conrad von Hötzendorf, generał Enver Pasza oraz premierzy państw sojuszników. Bywali tam także wojskowi niżsi rangą, którzy swoimi dokonaniami na froncie przysporzyli chwały niemieckiemu orężu, w tym Manfred von Richthofen, as powietrzny z rekordową liczbą zestrzelonych nieprzyjacielskich samolotów na koncie, zwany – od koloru, na który pomalowano jego myśliwiec – „Czerwonym Baronem”. Jan Henryk, zafascynowany dokonaniami słynnego pilota, zaprosił go nawet na polowanie na żubra. Jak można się domyślić, z ustrzeleniem żubra as przestworzy poradził sobie równie łatwo, co ze strąceniem wrogich

samolotów: wystarczyły mu do tego trzy pociągnięcia za spust. I było to nie lada osiągnięcie, bowiem zanim wyruszył na łowy, księżę instruował go: „Niech pan zabierze ze sobą sporo naboń. Ja na swojego żubra zużyłem ich pół tuzina, bo to zwierzę łatwo nie umiera”³¹. Jan Polak zauważa: „W swych pamiętnikach z czasów wojny nastawiona pacyfistycznie Daisy, cytując listy męża z Kwatery Głównej, przedstawia go jako zaślepionego, typowego militarystę niemieckiego, opanowanego bez granic wilhelmińską żądzą pogromu Wielkiej Brytanii i podboju Europy. Niestety w dostępnych archiwach nie zachowały się materiały pozwalające zweryfikować tę opinię”³². Faktem natomiast jest, że w kwaterze głównej księżę von Pless służył przez cały czas trwania wojny. Kajzer także praktycznie jej nie opuszczał, co zdaniem von Bülowa było ze strony Wilhelma kardynalnym błędem. „W pszczyńskim zamku, urządzonym z azjatyckim przepychem, cesarz trwonił czas przez większą część wielkiej wojny, zamiast pokazać się walczącym na froncie”³³ – odnotował kanclerz w swoim pamiętniku.

Tymczasem księżna wróciła do Księża, ale bynajmniej nie zamierzała czekać z założonymi rękami na koniec wojny. Wprawdzie nadal nie mogła pracować w żadnym z niemieckich szpitali, ale napisała do doktora Kuestera, którego poznała w berlińskim szpitalu, z prośbą o pomoc w znalezieniu dla niej zatrudnienia w charakterze sanitariuszki w którymś z pociągów sanitarnych. Lekarz, który wysoko cenił sobie Daisy jako współpracowniczkę, obiecał jej pomoc. Czekając na przydział, księżna zajęła się szpitalem wojennym w pobliskim Szczawnie, jako że ten, mówiąc ogólnie, nie funkcjonował zbyt dobrze. Zmieniło się to za sprawą Daisy, która rozeznawszy się w sytuacji, najpierw ściągnęła do Szczawna kompetentną pielęgniarkę, z którą współpracowała wcześniej w berlińskim szpitalu. Kobieta wprowadziła niezbędne zmiany, a przede wszystkim doprowadziła do zatrudnienia kolejnych wykwalifikowanych pielęgniarek. Księżna była częstym gościem w szpitalu, gdzie zaglądała nie tylko po to, by nieść pocieszenie cierpiącym żołnierzom czy dostarczać prowiant ze swojego majątku. Ponieważ miała doświadczenie w pracy w berlińskiej placówce, mogła też służyć radą. W Wałbrzychu natomiast założyła

lazaret, a w Mokreszowie – dom wypoczynkowy dla żon żołnierzy oraz ich dzieci. Pomimo tego niemiecka arystokracja nadal odnosiła się do księżnej bardzo nieufnie. Daisy spotykała się z jawnym ostracyzmem towarzyskim. Zmieniło się to dopiero, kiedy 26 czerwca 1916 roku cesarz zaprosił ją do Pszczyzny. Brzmi to może śmiesznie, wszak Pszczyzna była jedną z jej rezydencji, ale w momencie, kiedy utworzono tam kwaterę główną, księżna miała zakaz wstępu, podobnie jak inni uprzedni mieszkańcy rezydencji, oczywiście poza Janem Henrykiem, który był przecież adiutantem cesarza.

Wilhelm II przyjął księżną w jej własnym domu bardzo serdecznie, najwyraźniej ucieszony jej widokiem. Nie obyło się oczywiście bez skarżenia się na wyraźnie nieprzychylnych cesarskiej osobie dziennikarzy angielskich. W artykułach zamieszczanych w brytyjskiej prasie nazywano go bowiem „Wilhelmem Rzeźnikiem”. Wrażliwy na swoim punkcie, bardzo źle przyjmował również swoje karykatury w gazetach publikowanych na Wyspach. „Radziłam nie przejmować się tym, przecież prasa niemiecka robiła to samo w stosunku do króla Anglii i cara Rosji, ale oni nie oglądają tych wulgarnych gazet”³⁴ – relacjonowała Daisy. Z pewnością cesarz nie wspominał jej, że poddani króla Jerzego V dali także upust swoim negatywnym emocjom w bardziej dosadny sposób. To właśnie w czasie wielkiej wojny do slangu weszło słowo „willy” – zdrobnienie od imienia Wilhelm – jako określenie męskiego organu płciowego.

Kilkudniowa wizyta Daisy w Pszczyźnie przebiegła bez zakłóceń i w dość miłej atmosferze, a cesarz na pożegnanie wręczył jej nawet broszkę. W dodatku skomplementował ją, mówiąc, że wygląda co najwyżej na dwadzieścia dziewięć lat – w rzeczywistości 28 czerwca 1873 roku księżna skończyła czterdzieści dwa lata, ale rzeczywiście wyglądała na sporo młodszą. Co ważniejsze jednak, wydarzenie to miało wpływ na postrzeganie samej księżnej przez miejscową arystokrację. Na wieść, że żona Jana Henryka odzyskała łaski cesarza, zaczęto ją znowu zapraszać. Przyjęcia miały teraz jednak znacznie skromniejszą oprawę niż przed wojną, chociażby dlatego, że większość lokajów i kucharzy została wcielona do armii. I tylko władze wojskowe nadal blokowały księżnej możliwość pracy w szpitalu. Ona sama, jako osoba inteligentna i spostrzegawcza, bodaj jako pierwsza z otoczenia

kajzera rozumiała, iż pozycja Wilhelma jako władcy słabnie z dnia na dzień, a wojskowi przejmują stery rządów w państwie. „Nie wiem, w którym momencie podczas wojny zdał sobie sprawę, że był zaledwie pionkiem w najbardziej przepełnionej przeznaczeniem i hazardowej grze, w jaką kiedykolwiek grał”³⁵ – zastanawiała się na kartach swojego pamiętnika.

Daisy nie zamierzała biernie czekać w Książu na koniec wojny i nie ustawała w wysiłkach, by pracować jako sanitariuszka. Jej zabiegi przyniosły w końcu zamierzony skutek – została skierowana do pracy w pociągu sanitarnym. Na wszelki wypadek wysłano ją jednak na front serbski, bo – jak sądzono – na froncie zachodnim mogłaby zbyt łatwo nawiązać kontakty z obcym wywiadem, nadal bowiem widziano w niej przede wszystkim Angielkę. Ale Daisy była zadowolona z takiego obrotu sprawy, zwłaszcza że komendantem pociągu był jej dobry znajomy – doktor Kuester. „Byłam tak zadowolona i szczęśliwa w tym pociągu! Byłam siostrą odpowiedzialną za wagon operacyjny i osiem innych wagonów oraz wszystkich osiemdziesięciu pacjentów. Wojna i próba uwolnienia ich od bólu pozwalały mi zapomnieć o moim własnym”³⁶ – wspominała. Owym bólem, o którym wspominała księżna, był strach o najmłodszego syna, który wraz z guwernantką przebywał wówczas w Heringsdorfie, w Meklemburgii, i złamał sobie nogę. Na szczęście Daisy dostała aż dziesięć dni urlopu i mogła odwiedzić Bolka. Jej wojenna służba, w trakcie której opiekowała się rannymi, trwała jednak wyjątkowo krótko – kiedy pociąg przywiózł żołnierzy do Magdeburga, władze wojskowe poinformowały Kuestera, iż pozwolenie księżnej na wyjazd było jednorazowe, wobec czego powinna spakować walizki i wracać do domu. „Po tym, jak zabraliśmy naszych 260 rannych z Serbii, pociąg czekał w Magdeburgu, gdzie profesor został stanowczo poinformowany, że dostałam przepustkę tylko na jedną podróż w pociągu-lazarecie – pisała na kartach swoich wspomnień. – Zażądał więc wyjaśnienia i powiedział, że jeżeli zostanę usunięta, to on zrezygnuje. Podróżuje tym pociągiem tam i z powrotem od roku i jest śmiertelnie zmęczony. Nie wytrzymałby kolejnych dodatkowych zmartwień. Napisał do Hansa, że objął pociąg z rozkazu cesarza

i jeśli bym została usunięta, jego noga nigdy na pruskim dworze nie postanie”³⁷. Daisy jednak doskonale wiedziała, że to nie Wilhelm stoi za tą decyzją. Cesarz miał coraz mniej do powiedzenia w kwestiach armii, nad którą całkowitą kontrolę przejmował generał von Falkenhayn. Ten ostatni nie tylko towarzyszył władcy podczas audiencji, ale nawet nie pozwalał mu rozmawiać z postronnymi. Groźbą Kuestera także nikt się nie przejął. W efekcie księżna musiała wyjechać, a i jemu samemu zakazano pracy w pociągu.

W końcu jednak Daisy udało się postawić na swoim i w kwietniu 1916 roku dostała kolejny przydział do pociągu sanitarnego, tym razem na froncie zachodnim. Pod jej pieczęcią znalazło się wówczas osiemdziesięciu pacjentów, którymi opiekowała się z wielkim oddaniem i cierpliwością. Swoim zwyczajem starała się odciągnąć ich myśli od ponurej wojennej codzienności, a mężowi, który w listach zapowiadał rychłe zwycięstwo Niemiec, opisywała to, co widziała na co dzień: młodych mężczyzn, których wojna skazała na straszne cierpienia, a wielu na śmierć bądź kalectwo. Dzięki ich relacjom wiedziała, jak wygląda wojna pozycyjna w okopach, w którą z czasem przekształcił się konflikt. Sama niejednokrotnie walczyła z wszami, nieodłącznymi towarzyszami przywożonymi przez rannych. Słuchała też ich opowieści o innych niechcianych kompanach – szczurach, od których dosłownie roiło się w okopach, zwłaszcza odkąd ze względu na nakaz oszczędzania amunicji nie wolno było do nich strzelać. Gryzonie, z których wiele tak dobrze chowało się na podkradanych racjach żołnierskich, że osiągały rozmiary kota, poczyniły sobie wyjątkowo bezczelnie. Nie tylko podkradały jedzenie, ale wręcz podjadały ciała poległych, a nawet podgryzały niemogących się przed nimi bronić rannych; bezczelnie przechadzały się po śpiących żołnierzach i wszędzie zostawiały swoje odchody, przy okazji roznosząc choroby. Daisy, pracując w pociągu, na własne oczy przekonała się również, czym jest tak zwana stopa okopowa – schorzenie spowodowane długotrwałym uciskiem stóp przez buty oraz długotrwałą ekspozycją na obniżoną temperaturę i wilgoć. Zachodzące wówczas procesy upośledzają krążenie w stopach, prowadząc do zmian naczyniowych – w efekcie dochodzi do zakażeń i martwicy stóp. Chorobie tej można zapobiec w bardzo prosty sposób: zdejmując buty

i regularnie wietrząc stopy, ale w warunkach frontowych było to praktycznie niemożliwe. Na skutek powikłań będących wynikiem tego schorzenia, przede wszystkim gangreny, życie straciło wielu żołnierzy po obu stronach frontu. Poważnym problemem była też krwawa biegunka i problemy żołądkowe – efekt spożywania zepsutej żywności.

Daisy o wszystkim tym pisała mężowi, wskazując pośrednio na bezsens wojny, co z kolei nie przypadło do gustu militaryście, jakim był Jan Henryk. Zwłaszcza że całą wojnę przebywał we własnym domu, w bezpiecznej Pszczynie, i o frontowej rzeczywistości nie miał bladego pojęcia. Niektórzy biografowie księżnej von Pless sugerują, że właśnie kwestia wojny i problemy poruszane przez Daisy w listach do męża drastycznie przyczyniły się do rozdzwiewu w ich małżeństwie. Możemy podejrzewać, że księżna wytknęła mu jego komfortową sytuację, skoro we wspomnieniach odnotowała, iż ludzie optujący za wojną i głośno wyrażający nienawiść wobec wroga „byli albo pisarzami w nieodpowiedzialnych gazetach, starymi pokojówkami, które były bezpieczne, lub mężczyznami na ciepłych posadkach poza linią frontu”³⁸. Jej małżonek należał przecież do tej ostatniej kategorii.

Księżna von Pless nie była jedyną arystokratką ani damą z towarzystwa, która poważyła się wyruszyć na front w charakterze pielęgniarki lub sanitariuszki, by opiekować się rannymi żołnierzami. Po obu stronach nie brakowało takich kobiet. Tę szlachetną misję podjęła chociażby zaprzyjaźniona z Daisy Maria Koburg, która wraz z mężem została koronowana dosłownie w przededniu wybuchu wojny. W obliczu zagrożenia przywdziała fartuch pielęgniarki, by pracować w szpitalu wojskowym, za co wdzięczni pacjenci ochrzcili ją mianem matki rannych. Wykazała się niebagatelną odwagą, kiedy w trakcie epidemii tyfusu, która zabrała do grobu znacznie więcej ludzi niż sama wojna, odmówiła założenia rękawiczek, a zrobiła to wyłącznie po to, by umierający mogli ucałować jej dłoń. Jakimś cudem nie zaraziła się tą chorobą. Jak sama mówiła, nie miała wyjścia – musiała być odporna. W szpitalu polowym prowadzonym przez Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża pracowały polskie arystokratki: Maria Zamoyska, Maria Józefa Czetwertyńska oraz zatrudniona na stanowisku przełożonej pielęgniarek hrabina Maria Tarnowska z Czetwertyńskich. Z kolei siostra Daisy, Shelagh, wprawdzie nie czuła się na siłach,

by pracować jako pielęgniarka, ale założyła szpital wojskowy w Le Touquet na terenie Francji. W tym celu sama wyłożyła tysiąc funtów, a potem korzystała z hojności darczyńców, w tym swojego męża. Mimo że para była w separacji, książę Westminster nie odmówił datku na tak szczytny cel i wsparł go pokaźną wówczas kwotą pięciuset funtów. Być może to właśnie on zapłacił za komplet toaletowy składający się z dwudziestu dwóch elementów wykonanych z pozłacanego srebra, które dostarczono Shelagh do Francji. Ów cenny komplet, zresztą doskonale zachowany, trafił w marcu 2013 roku na aukcję. Na to, iż fundatorem owego luksusowego zestawu był Brendon, wskazują herby Grosvenorów wygrawerowane na każdym elemencie wchodzącym w jego skład. Warto dodać, że i bohaterka naszej opowieści nie zrezygnowała z pewnej namiastki luksusu, bowiem w pociągu sanitarnym towarzyszyła jej pokojówka.

W przeciwieństwie do starszej siostry – Shelagh nie sprawowała opieki pielęgniarskiej nad leczącymi wojenne rany żołnierzami, ale zajmowała się sprawami administracyjnymi, przekształcając z czasem założony przez siebie szpital w renomowaną placówkę medyczną uznaną przez Brytyjski Czerwony Krzyż. Ponieważ nie była bezpośrednio zaangażowana w sprawy medyczne, mogła bez przeszkód wyjeżdżać do ojczystego kraju, by opiekować się rodziną czy poświęcać się działalności charytatywnej, także na rzecz szpitala. Podczas przedstawienia w teatrze Dundry, w którym wzięła udział, zebrała zawrotną wówczas kwotę 2,5 tysiąca funtów.

Do grona dam z towarzystwa sprawujących opiekę nad rannymi dołączyła też matka Daisy. Przy tej okazji wpakowała się jednak w skandaliczną aferę i doszczętnie zrujnowała sobie reputację. A wszystko przez jej zauroczenie pewnym młodym sierżantem Paulem Barrettem, który znajdował się pod jej opieką w jednym ze szpitali. Pani West była już niemłodą kobietą, bo przeszło sześćdziesięcioletnią, ale zupełnie straciła głowę dla przystojnego młodzieńca. Ten jednak odrzucił jej awanse, czemu trudno się dziwić. Dla niegdysiejszej „zawodowej piękności” było to niebywałe upokorzenie i Patsy postanowiła się zemścić. Korzystając ze swojej pozycji towarzyskiej, poruszyła niebo i ziemię, by doprowadzić do przeniesienia sierżanta do innego oddziału, a tym samym uniemożliwiając mu dalszą karierę.

Nieszczęśnik przepłacił to poważnym załamaniem nerwowym, ale niespodziewanie znalazł oparcie w innej kobiecie – pani Birch, notabene żonie agenta majątku Westów. To właśnie ona zajmowała się Barrettem w czasie jego rekonwalescencji po wspomnianym załamaniu. I to ona postanowiła dochodzić sprawiedliwości, zwłaszcza że udało się jej przechwycić listy pisane przez Patsy do dowódców wojskowych. Wybuchł skandal i sprawa znalazła się w sądzie wojskowym. 22 grudnia 1916 roku sąd zwolnił ze stanowisk część oficerów wplątanych w tę „miłosną aferę”, a pani West udzielił surowej reprimendy. Ona sama bardzo źle zniósła upokorzenie z tym związane, pomimo że cała rodzina, na czele z mężem, stanęła za nią murem. „Niewielu zdaje sobie sprawę, jak mocno odczuła to uderzenie i jak bolesny szok przeżył jej mąż, kiedy zdał sobie sprawę ze swojej bezsilności w walce o obronę jej imienia – pisała autorka artykułu *Romans pani Cornwallis West. „Dzika Róża Irlandii”, która królowała w Londyńskiej Socjocie*, zamieszczonego na łamach „The Sunday Post” w lipcu 1920 roku, już po śmierci matki Daisy. – Z szoku tego Pan na Ruthin nigdy już nie wyszedł. W trakcie śledztwa Pani Cornwallis West gorąco deklarowała przyjacielom niewinność w zarzucanej jej nieroztropności [...]. Rozpacz jej męża z powodu tych, jak określał, bezpodstawnych oszczerstw, budziła szczerą litość w tych, którzy byli jej świadkami. «Całe swoje życie – mówił – ofiarowała innym uprzejmość, a teraz, kiedy my jej potrzebujemy, moją żonę uznano za skandalistkę»³⁹. Sama Patsy, zdaniem autorki artykułu: „Po raz pierwszy w swoim życiu znalazła się w sytuacji, że zamiast królowy, której każdy kaprys stawał się rozkazem dla rzeszy wielbicieli, była kobietą zmuszoną do samoobrony. Ta rola zupełnie do niej nie pasowała”⁴⁰, dlatego pani West usunęła się w cień. Bez wątpienia owe przeżycia nadszarpnęły zdrowie jej męża, który zmarł 4 lipca 1917 roku. Spoczął w Ruthin, w grobie, który na jego własne życzenie został usytuowany w taki sposób, aby kiedy zagrają anielskie trąby Sądu Ostatecznego, mógł powstać z martwych i mieć przed oczyma odwieczną siedzibę swego rodu. Na pogrzebie lokalny chór odśpiewał pożegnalny hymn walijski *Cyfaill yn Angau*. Pani Cornwallis-West przeżyła męża zaledwie o trzy lata – zmarła na raka żołądka 21 lipca 1920.

Trudno orzec, czy Daisy wiedziała o aferze z udziałem swojej matki. Przecież listy z Anglii dochodziły do niej ze znacznym opóźnieniem albo wcale. Znacznie bardziej obchodziły ją zresztą kwestie zdrowia własnych dzieci, w tym również bezpieczeństwo jej najstarszego syna, który w każdej chwili mógł otrzymać powołanie do wojska i zostać wysłany na front, oraz zawirowania dziejowe, których była mimowolnym uczestnikiem. Buńczuczne zapewnienia jej męża, który w listach rysował przed żoną wizję rychłego zwycięstwa państw centralnych, w tym również Niemiec, okazały się jedynie pobożnymi życzeniami. Wobec rosnących strat na froncie 25 lipca 1916 roku w Pszcznie odbyła się konferencja z udziałem przedstawicieli Niemiec i Austro-Węgier, a książę von Pless był niebywale dumny z tego faktu. Do żony pisał o „najbardziej historycznej kolacji, jaką kiedykolwiek spożywano w Pszcznie”, ale chyba nie do końca zdawał sobie sprawę z sytuacji na froncie, której widowym znakiem była nieobecność szefa sztabu von Falkenhayna. Oficjalną przyczyną absencji był ból zębów, ale tak naprawdę generał nie chciał nikogo drażnić swoją obecnością – wszak jako głównodowodzący odpowiadał za działanie niemieckie pod Verdun, gdzie od lutego toczyła się jedna z największych, a zarazem najdłuższych batalii wielkiej wojny. A Niemcom i sprzymierzonym z nim państwom nie wiodło się w niej najlepiej.

W trakcie wspomnianej konferencji miały zapaść kluczowe rozstrzygnięcia dotyczące sprawy polskiej, która – jak zauważała Daisy w swoich wspomnieniach: „zaprzątała umysły tak zwanych polityków. Przez lata Prusy zarówno wadziły się, jak i przymilały do Polaków i źle rządziły częścią Polski włączoną do pruskiego imperium. Pod rządami Wilhelma II kwestia polska była drugą co do ważności, ustępując miejsca jedynie sprawie Alzacji i Lotaryngii”⁴¹. W obliczu znacznych strat osobowych w armii Prusy postanowiły po raz kolejny wykorzystać Polaków mieszkających w zaborze niemieckim. Aby nakłonić ich do wstępowania do wojska i walki po stronie państw centralnych, Wilhelm II wraz z panującym wówczas w cesarstwie Austro-Węgierskim Franciszkiem Józefem I wydali dokument, potocznie zwanym aktem 5 listopada, w którym obiecywali powołanie do życia, w bliżej nieokreślonych granicach, nowego państwa polskiego. Nowy organizm państwowy miał być królestwem,

na którego tronie zasiadłby... Jan Henryk XV z Pszczyzny! Jego kandydaturę na przyszłego króla Polski forsował oczywiście Wilhelm II i trzeba przyznać, że obrał idealnego kandydata na monarchę. Lojalność księcia wobec Niemiec była przecież niezaprzeczalna, a on sam nie tylko słynął ze swoich propolskich sympatii i ze znajomości języka polskiego, którym biegle władali także jego synowie, ale także z zamiarów przejścia na katolicyzm, na co się jednak nigdy nie poważył. Znany był też z poszanowania historycznej przeszłości Śląska, dlatego nigdy usunął piastowskich orłów z murów swojego zamku w Książu. Sam księżę bardzo sceptycznie odnosił się do tych projektów, a ostatecznie zrezygnował z korony dla siebie i swojego najstarszego syna. W tej sytuacji na tronie nieistniejącego jeszcze państwa zamierzano osadzić średniego z Hochbergów – Aleksandra, ale i ten projekt spalił na panewce. Szczerze mówiąc, część historyków powątpiewa w owe rewelacje, gdyż jedyną osobą, która o tym mówi, jest Daisy, opisująca te projekty na kartach swoich wspomnień. Nawet jeżeli nie ma w tym krzty prawdy, to przynajmniej musiały krążyć takie plotki, bo księżna raczej wszystkiego tego by nie wymyśliła. Poza tym ona sama dość sceptycznie odnosiła się do monarszych planów odnośnie do swojego męża i syna.

W tym samym 1916 roku, w którym rzekomo ofiarowano jego ojcu, a pośrednio także i jemu samemu koronę Królestwa Polski, szesnastoletni Hansel jako ochotnik wstąpił do regimentu ojca i wyruszył na wojnę. Matka modliła się o szczęśliwy powrót syna do domu, a on spisywał się bardzo dobrze. W bitwie pod Sommą odznaczył się bohaterstwem, za które odznaczono go Krzyżem Żelaznym I klasy. Ale nawet ów młodzieniec zdawał sobie sprawę, że wojna nie skończy się zwycięstwem państw centralnych. „Wszyscy mówią, że rok 1918 będzie przełomowy dla losów świata”⁴² – pisał z frontu w liście do przebywającej wówczas na terenie Serbii matki. Był to jeden z niewielu listów, które od niego otrzymała, informacje o synu czerpała głównie z korespondencji od męża, nadal utrzymanej w optymistycznym tonie. Daisy umiała jednak czytać między wierszami i doskonale wiedziała, jak się sprawy mają. Drżała o syna, który znalazł się w piekle jednej z najkrwawszych batalii wojennych w historii, brał bowiem udział w drugiej bitwie pod Marną, w której

wojska francuskie dowodzone przez marszałka Focha powstrzymały ostatnią ofensywę niemiecką. Tymczasem sama księżna pracowała nadal jako pielęgniarka, przy czym swoich obowiązków nie pełniła w pociągu, ale w belgradzkim szpitalu, konkretnie – w Cesarsko-Królewskim Szpitalu Brzeczko. Z oddaniem zajmowała się rannymi i chorymi, bo do placówki przyjmowano nie tylko żołnierzy ranionych na froncie, ale także cywilów. W tym czasie stała się mimowolnie bohaterką kolejnego skandalu, sztucznie rozdmuchanego przez prasę.

24 lutego 1918 roku w tragicznych i nie do końca wyjaśnionych okolicznościach zginął niespełna trzydziestosześcioletni Adolf Fryderyk VI, ostatni wielki książę Meklemburgii-Strelitz, jednego z państw związkowych Cesarstwa Niemieckiego. Wieczorem 23 lutego mężczyzna wyszedł z psem na spacer, z którego nie dane mu było wrócić. Nazajutrz rano znaleziono jego ciało w kanale wodnym. Wprawdzie miał ranę postrzałową w klatce piersiowej, ale jak wykazała przeprowadzona sekcja, przyczyną jego śmierci było utonięcie. Ponieważ zmarły zaliczał się do wielbicieli Daisy i pisywał do niej pełne miłosnych wyznań listy, które ujrzały światło dzienne stosunkowo niedawno, plotkowano, jakoby zabił się z miłości do księżnej von Pless. Na plotkach się nie skończyło. Żądni sensacji i nierzetelni dziennikarze przedstawili swoją własną wersję wydarzeń, obwiniając Daisy za śmierć młodego, przystojnego arystokraty. Starsza od niego o dziewięć lat księżna miała go oczarować „swoim czarodziejskim pięknem”, a ten, nie mogąc jej poślubić, popełnił samobójstwo. Książę faktycznie był zakochany w Daisy, ale nie rozstał się z życiem z miłości do niej. Zresztą nie wiadomo, czy faktycznie sam targnął się na swoje życie. Przed tym wydarzeniem para nie widziały się od przeszło dwóch lat. I tym razem w obronie kobiety wystąpił jej mąż, który wynajął suto opłaconych adwokatów, dzięki czemu gazety zamieszczające owe oszczerce artykuły musiały wystosować sprostowania.

W maju 1918 roku księżna otrzymała propozycję objęcia stanowiska dyrektorki zakładu rehabilitacyjno-leczniczego w Konstancy nad Morzem Czarnym i przyjęła ją, pomimo że podstępna choroba znowu dawała się jej we znaki. Zanim jednak udała się do miejsca przeznaczenia, wzięła urlop, by wspólnie z mężem świętować – nieco

po czasie – dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Po krótkim pobycie w Monachium para wyjechała do Książa, gdzie Daisy odkryła, iż oboje z mężem stali się sobie zupełnie obcy. Był to zwiastun katastrofy, ku której nieuchronnie zmierzał ich związek.

Księżna ostatecznie nigdy nie objęła posady w Konstancy. W trakcie podróży dotarli do niej wieści, iż przywódcy ententy nalegają na abdykację Wilhelma II, co odebrała jako wielką niesprawiedliwość. Cesarz w jej oczach był bowiem „prawdziwym, najdroższym przyjacielem. Z pewnością miał swoje słabości, jak każdy człowiek, ale za to miał dobre serce – odnotowała we wspomnieniach. – Nie wiem, co się stanie, jeśli Niemcy nie będą miały cesarza”⁴³. Najwyraźniej Daisy była tak samo zdeklarowaną monarchistką, jak pacyfistką. A tymczasem świat, który znała, dosłownie kończył się na jej oczach. „Austria rozpada się na części. Chorwaci, Czesi, Węgrzy i Polacy chcą uzyskać niepodległość”⁴⁴ – pisała. Prerażona i nieco dezorientowana postanowiła wrócić do domu, do Niemiec. Po krótkim pobycie w rozpalonym rewolucyjnym wrzemię Wiedniu wyjechała do Monachium, ale i tam było niespokojnie. Poszukała zatem schronienia w Partenkirchen. Gdy tylko dojechała na miejsce, spontanicznie zorganizowała przyjęcie dla przebywających tam na rekonwalescencji niemieckich żołnierzy i z trwogą śledziła doniesienia prasowe, zwłaszcza że gazety znowu pisały o jej „szpiegowskiej działalności”.

Marzyła o powrocie do domu, ale Jan Henryk nie zachęcał jej do tego w listach. Podświadomie czuła, że jej małżeństwo należy już do przeszłości, nie wiedziała jednak, że życie szykuje jej wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenia. Już nie będzie mogła zamykać oczu i uszu „na wszystkie złe doznania”, ale zostanie zmuszona stawić im czoła.



Daisy, Księżna von Pless (mal. John Singer Sargent, 1913)

Rozdział 5

W oparach skandalu

Powojenny (nie)ład

Wielka wojna nie tylko zrujnowała Europę, ale i obaliła istniejący porządek – zmiotła ze sceny Romanowów, Habsburgów i Hohenzollernów, a zasiadający na brytyjskim tronie Jerzy V zachował koronę wyłącznie dzięki sprytnemu zabiegowi, o którym wspomniano w poprzednim rozdziale. Najgorszy los spotkał nieszczęsnego cara Mikołaja II, który wraz z całą rodziną został zamordowany przez bolszewików w nocy z 16 na 17 lipca 1918 roku. A wystarczyło tak niewiele, by władca i jego bliscy uszli z życiem... Kiedy na skutek rewolucji Mikołaj został zmuszony do abdykacji, czując, że życie jego samego i jego bliskich jest zagrożone, poprosił swojego kuzyna, Jerzego V, o pomoc. Nie spodziewał się oczywiście, że brytyjski monarcha wyśle do Rosji swoją armię, chciał po prostu wyemigrować do Wielkiej Brytanii razem z rodziną. Król początkowo się zgodził, ale pod presją opinii publicznej tę zgodę wycofał. Jerzy trwał w swoim uporze, mimo że ówczesny minister spraw zagranicznych Arthur Balfour miał odwagę upomnieć króla, iż wycofanie się z obietnicy nie przystoi monarsze. Brytyjski monarcha poinformował natomiast kuzyna Nicky'ego, jak nazywał cara prywatnie, iż w chwili obecnej nie uważa za rozsądne, by on sam i jego rodzina schronili się na terenie Wielkiej Brytanii. Sugerował im jednocześnie wyjazd do Hiszpanii lub na południe Francji. Jak tłumaczył, pobyt carskiej rodziny w Anglii wywoła negatywną reakcję opinii publicznej. Tym samym przypieczętował los swego krewnego i jego najbliższych.

Z władcami Niemiec i Austro-Węgier los obszedł się dużo łagodniej. Gdy rewolucja listopadowa ogłosiła detronizację Wilhelma II, ten przezornie przeniósł się do neutralnej Holandii, której władze udzieliły cesarzowi i jego najstarszemu synowi azylu. Początkowo wzdrygał się

na samą myśl o abdykacji, ale ostatecznie zmienił zdanie, by zrezygnować z tronu. Wprawdzie układy z 1919 roku przewidywały postawienie byłego cesarza przed sądem, ale Holandia, pomimo podpisania traktatu wersalskiego i późniejszego przystąpienia do Ligi Narodów, odmówiła jego ekstradycji. W efekcie Wilhelm do końca swych dni wiódł spokojny żywot emeryta, początkowo w Amerongen, później w Doorn, a jego głównym zajęciem było pisanie pamiętników. Kiedy dopadały go złe wspomnienia, bronił się przed depresją... rąbiąc drewno. Do końca życia łudził się, że w Niemczech zostanie przywrócona monarchia, i nawet rozmawiał na ten temat z Hermannem Göringiem, ale nigdy nie doczekał się spełnienia swoich marzeń.

Z kolei Karol I Habsburg, który – po śmierci Franciszka Józefa – w 1916 roku objął tron Cesarsko-Królewskich Austro-Węgier, od początku swego krótkiego panowania podejmował wysiłki na rzecz zakończenia zmagających wojennych i ocalenia chwiejącej się już wówczas w posiadach monarchii. W wydanym 16 października 1918 roku manifestie *Do moich wiernych austriackich ludów* władca zapowiadał przekształcenie Austrii w państwo związkowe, składające się z autonomicznych państw narodowych, ale było już za późno. Niespełna miesiąc później, 11 listopada, cesarz oświadczył, że wprawdzie rezygnuje z udziału w rządach, ale nie ma zamiaru abdykować – i przezornie wyjechał z nękanego rozruchami Wiednia, by zatrzymać się w swojej prywatnej rezydencji w Eckartsau. Pałac od wieków należał do Habsburgów, zatem nowy, republikański rząd go nie skonfiskował. Nauczony smutnym doświadczeniem król Jerzy V w obawie o jego życie wysłał tam swojego zaufanego człowieka, podpułkownika Edwarda Lisle'a Strutta, którego zadaniem była ochrona Habsburga. Wprawdzie ten ostatecznie wyemigrował z kraju i osiadł na Maderze, gdzie pozostał aż do śmierci, ale nigdy formalnie nie abdykował, za to podjął dwie nieudane próby restauracji swojej władzy na Węgrzech: w marcu i październiku 1921 roku. Karol I zmarł 1 kwietnia 1921 roku i został pochowany w kościele Nossa Senhora do Monte w Funchal, gdzie spoczywa do dziś.

Daisy jako monarchistce z przekonania nie podobały się nowe porządki. W grudniu 1918 roku pisała smutno: „Jestem sama, opuszczona, nie ma Kajzera, ojca, teścia. Chciałabym udać się na moją

zieloną wyspę albo na południe Francji. Moi synowie ożenią się z Niemkami, które nie będą zachwycone angielską teściową”¹. Mieszkała z dwoma młodszymi synami w Partenkirchen, Hansel przebywał w Berlinie, natomiast Jan Henryk w Wiedniu. Nieszczęsna księżna nie miała się gdzie podziac – jej małżonek nie chciał, aby przyjeżdżała do Książa, ze względu na, jak jej tłumaczył w listach, niestabilną sytuację na Śląsku, a do Anglii wyjechać nie mogła. Wprawdzie była Angielką z urodzenia, ale po ślubie została obywatelką Niemiec, zatem dopóki nie zostały podpisane układy pokojowe między Wielką Brytanią a Niemcami, nie mogła wrócić do ojczystego kraju. Po pobycie w Partenkirchen podróżowała, szukając bezpiecznej przystani, ale wszędzie czuła się źle. Z niepokojem obserwowała sytuację międzynarodową, ale kibicowała nowym państwom powstającym na gruzach dawnych mocarstw – wszak zawsze popierała prawo narodów do ich samostanowienia. Z uwagą przyglądała się także odradzającej się po latach politycznego niebytu Polsce, a stojący na czele państwa Józef Piłsudski, którego znała przecież wyłącznie z relacji prasowych i opowieści znajomych, zrobił na niej bardzo dobre wrażenie. „Nie wiem, jak tytułuje się Piłsudski, ale zachowuje godność, dostojeństwo i *status quo* typowe dla króla”² – odnotowała z uznaniem w swoich wspomnieniach.

Tymczasem Niemcy znalazły się w głębokim kryzysie – brakowało żywności, opału, a cały kraj ogarnęła fala strajków. Rozruchy wybuchały także na Śląsku, skutecznie odstręczając księżną od powrotu do Książa. Z mężem nie widziała się przeszło dwa lata i zapewne podświadomie bała się spotkania z Janem Henrykiem, bo doskonale wiedziała, że wówczas będzie musiała stawić czoło problemom od dawna narastającym w ich stadle. W 1919 roku wydawało się, że los się wreszcie do niej uśmiechnął. Dzięki wstawiennictwu swoich angielskich przyjaciół mogła wyjechać do Anglii i zobaczyć swoją rodzinę, w tym bardzo już schorowaną matkę. Po przyjeździe ze smutkiem stwierdziła, że jej ojczyznę gnębi poważny kryzys, taki sam, jaki dotknął Niemcy, a przecież Wielka Brytania należała do grona zwycięzców w wielkiej wojnie. Podobnie jak w kraju jej męża – na Wyspach co rusz dochodziło do strajków. I jak się przekonała, nadal

nienawidzono Niemców, obarczając ich winą nie tylko za wybuch wojny, która zebrała krwawe żniwo, ale także za aktualną sytuację. Daisy, jako żona niemieckiego arystokraty, miała się o tym niejedną raz przekonać, doznając zniewag nawet ze strony przedstawicieli swojej własnej sfery. Drzwi wielu domów, w których przed wojną przyjmowano ją z honorami, były dla niej teraz zamknięte. „Moje nadzieje na znalezienie pokoju w Anglii głęboko mnie rozczarowały”³ – pisała z goryczą.

Optymizmem nie napawały też problemy jej najbliższych krewnych. Shelagh finalizowała swój rozwód z księciem Westminster, matka była ciężko chora, a George zmagał się z problemami finansowymi, które skłoniły go do wynajęcia Newlands. Daisy nie mogła nawet zatrzymać się w swoim ukochanym Ruthin, bowiem znajdował się tam wówczas zakład dla rekonwalescentów wojennych. Jej młodszy brat, po rozwodzie z Jennie w 1914 roku, poślubił znaną aktorkę, Beatrice Rose Stellę Tanner, dla której George Bernard Shaw stworzył rolę Elizy Doolittle w swoim *Pigmalionie*. Tym samym brat Daisy pogrzebał nadzieję na przejęcie rodzowego majątku przez swego dziedzica, jego kolejna żona była bowiem, podobnie jak pierwsza, znacznie od niego starsza. Parę dzieliło aż dziewięć lat różnicy, a Beatrice w dniu ślubu przekroczyła czterdziesty dziewiąty rok życia, co praktycznie wykluczało zajście w ciążę. Daisy, dla której ślub brata ze starszą od niego, ale też od niej, damą był kompletnym zaskoczeniem, uważała ją jednak za „piękną i fascynującą kobietę”. Za to ich rodzice, rozczarowani faktem, że ich jedyny syn nie wywiązał się z obowiązku spłodzenia potomka, kompletnie zaniedbali obie rodzinne posiadłości: Ruthin i Newlands. Promykiem radości mogła być dla księżnej wieść, iż Shelagh po rozstaniu ze swoim pierwszym mężem znalazła kolejną miłość. Kiedy administrowała szpitalem wojskowym we Francji, nawiązała znajomość z jednym z przebywających tam brytyjskich oficerów, który dochodził do zdrowia po ranach odniesionych na froncie – kapitanem Johnem Patrickiem Lewisem. Potem zatrudniła go w charakterze prywatnego sekretarza, by 14 stycznia 1920 roku za niego wyjść. Nie chcąc wywoływać skandalu, para wzięła cichy ślub w urzędzie stanu cywilnego w Lyndhurst. Jedynym świadkiem uroczystości była... pokojówka Shelagh. Jedenaście dni po ceremonii para obwieściła

świata swój związek w dość nietypowy sposób – biorąc udział w występie na cele charytatywne w centrum na Canning Town, należącym do organizacji charytatywnej Dockland Settlements. Ponieważ oboje dysponowali doskonałymi warunkami wokalnymi, odśpiewali w duecie kilka najmodniejszych wówczas przebojów, a Fritz wykonał solo pieśń *The Preacher and the Bear*, zdobywając uznanie publiczności. Po udanym występie młodzi małżonkowie zapoznawali do zdjęcia razem z widzami. Wprawdzie zdaniem wielu siostra księżnej von Pless popełniła poważny błąd – uszak jej wybranek był od niej dziesięć lat młodszy – ale małżeństwo okazało się bardzo szczęśliwe i trwało aż do śmierci Lewisa w 1965 roku. Konstancja przeżyła go o pięć lat.

Po powrocie do Anglii Daisy podjęła desperacki wysiłek walki o zdrowie swojej matki. Ponieważ sądziła, że klimat południowej Francji może przywrócić jej siły, w styczniu 1920 roku zabrała Patsy na Riwierę. Potem dołączyła do nich Shelagh ze starszą córką, by zająć się schorowaną mamą, dzięki czemu druga z sióstr mogła na krótko wyjechać na Śląsk – oczywiście po uzyskaniu od francuskich władz niezbędnych przepustek i zezwoleń. Kiedy wróciła stamtąd na początku czerwca 1920 roku, ku własnemu przerażeniu odkryła, że stan zdrowia jej matki uległ gwałtownemu pogorszeniu. Patsy, świadoma, że przyjdzie jej pożegnać się ze światem, chciała jednak umrzeć w Anglii, dokąd po wielu trudach udało się ją w końcu wywieźć. Ostatnie chwile niegdysiejsza „zawodowa piękność” i ozdoba wiktoriańskich, a potem edwardiańskich salonów spędziła w niewielkim, należącym do rodziny domu w Arnewood, gdzie 21 lipca 1920 roku zamknęła oczy na zawsze. Daisy była zrozpaczona.

Polityka i księżęce amory

Rok 1920 okazał się wyjątkowo trudny dla Daisy, która pochowawszy matkę, zdecydowała się zaważczyć tym razem o swoje zdrowie. W tym celu wraz z Shelagh udała się do sanatorium, ale lekarze nie mieli dla niej zbyt dobrych wieści. Okazało się bowiem, że na kurację było

co najmniej o kilka lat za późno – księżna, zamiast podróżować po Europie w pociągach pełnych rannych żołnierzy, powinna była zadbać o siebie. Pogodziwszy się z losem, Daisy postanowiła ratować swoje małżeństwo, ignorując fakt, że Jan Henryk nie traktował jej najlepiej i znacznie zmniejszył jej apanaże, pomimo szalejącej inflacji i drożyzny. Pisała do niego pełne wyrzutów listy, zarzucając mu chociażby, że nie przywiózł jej z Belgii słynnych koronek i nie poświęca jej należytej uwagi. Nic tym nie osiągnęła, bo księcia najzwyczajniej w świecie irytowały narzekania schorowanej małżonki. Zmęczony wojną i rozczarowany powojenną sytuacją, która – jak pisał – zmieniła jego ojczyznę w „stertę gnoju”, tęsknił za normalnością. A tę znajdował w ramionach pięknych kobiet. Pozbawiony nadzoru nieustannie besztające go cesarza, mógł wreszcie romansować do woli.

Księżna już wcześniej rozważała ewentualność rozwodu, jednak w grudniu 1920 roku, w obliczu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, które zamierzała spędzić wraz z rodziną w Książu, odżyły w niej nadzieje na uratowanie związku z Janem Henrykiem. Świeta minęły wprawdzie w miłej, rodzinnej atmosferze, ale w niczym nie zmieniły sytuacji w jej małżeństwie. Co gorsza – tuż po uroczystościach książę zaproponował rozwód. Daisy odmówiła, chociaż jej mąż nalegał, proponując sowite zadośćuczynienie. Ostatecznie jednak para nie doszła do porozumienia, a zrozpaczona księżna wyjechała leczyć zranione uczucia w Baden-Baden. Jan Henryk nie nalegał, zresztą oboje małżonkowie liczyli się z opinią towarzyską i nie chcieli ryzykować skandalu, na względzie mieli także dobro dzieci, bo wprawdzie Hansel był już dorosły, ale Alexander w lutym 1921 roku kończył szesnaście lat, zaś najmłodszy Bolko miał lat niespełna jedenaście. Nadzieję w sercu Daisy na uratowanie małżeństwa z całą pewnością przyniosło huczne powitanie, jakie urządził jej mąż po jej powrocie z zagranicznych wojaży w czerwcu 1921 roku. Poza tym skomplikowana sytuacja polityczna na Śląsku sprawiła, że małżonkowie połączyli siły w walce o pozostanie w Niemczech Górnego Śląska, gdzie znajdowały się dobra rodowe Hochbergów. Sam książę początkowo całym sercem stał po stronie projektu utworzenia wolnego państwa śląskiego, obejmującego obszar „od Książa do Pszczyzny”, a więc także jego dobra. W listopadzie 1918 roku przedstawił nawet własny projekt takiego

tworu, siebie widząc w roli władcy. Mało tego, swoje plany konsultował nawet z politykami, głównie konserwatywnymi, Wielkiej Brytanii, Włoch, USA i Czechosłowacji. Nie był w tych marzeniach odosobniony, bowiem podobne projekty rojiły się w głowach innych śląskich magnatów. Chęć utworzenia własnego państwa nie przeszkodziła jednak księciu von Pless w aktywnym wspieraniu różnego rodzaju niemieckich organizacji politycznych, w tym także niemieckich oddziałów ochotniczych i bojówek w rodzaju Oberschlesische Freiwilligen Korps, Freikorps Hasse i Grenzschutz, które aktywnie zwalczały polski ruch niepodległościowy na ziemiach śląskich. Na zamku w Pszczynie mieścił się nawet punkt werbunkowy Freikorps Hasse oraz sztab wojsk walczących z trzecim powstaniem śląskim, zaś w okresie poprzedzającym plebiscyt z 1921 roku, w którym miejscowa ludność miała się opowiedzieć za przynależnością państwową Górnego Śląska, książe agitował na rzecz Niemiec. Aktywnie namawiał do tego także śląskich arystokratów zrzeszonych w Klubie Śląskim we Wrocławiu.

W tę działalność wraz z nim zaangażowała się także Daisy, która przecież lubiła Polaków i niejednokrotnie wypowiadała się w obronie prawa naszego narodu do samostanowienia. Tym razem jednak w grę wchodziła walka o rodzinny majątek jej męża i dzieci, a także dość przyziemna obawa o uszczuplenie dochodów. Księżna energicznie przystąpiła do działania i wraz z historykiem pracującym w księżęcych archiwach, Ezechielem Zivierem, opracowała szereg obietnic dla miejscowej ludności, które miały zostać zrealizowane i sfinansowane przez Hochberga po ich opowiedzeniu się za Niemcami. Mieszkańcom obiecywano między innymi nowe drogi i szkoły. Jak łatwo się domyślić, cała rodzina Jana Henryka głosowała za przynależnością do Niemiec. Zabiegi podjęte przez samego księcia, jak i wspierającą go żonę przyniosły pożądaną skutek, bo wynik plebiscytu był niekorzystny dla Polski, ale mieszkający na tych terenach Polacy nie składali broni i w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku wybuchło kolejne, trzecie już powstanie śląskie, będące jednocześnie największym zrywem powstańczym na terenie Śląska w XX stuleciu, a zarazem jednym z niewielu zwycięskich dla Polaków powstań narodowych.

Po wybuchu rewolty Jan Henryk nie tylko osobiście interweniował w Komisji Międzysojuszniczej, domagając się stanowczej rozprawy z buntownikami, ale nawet namówił swojego pierworodnego syna do wstąpienia w szeregi Selbstschutz i walki z powstańcami. Hans brał udział w batalii pod Górą Świętej Anny, jak nazywa się serię, ostatecznie nierozstrzygniętych, bitew trzeciego powstania. Tym razem jednak wysiłki Jana Henryka nie zdały się na nic, bo ostatecznie na mocy podpisanej 15 maja 1922 roku w Genewie konwencji o Górnym Śląsku około jednej trzeciej spornego terytorium znalazło się w obszarze państwa polskiego, które przy tej okazji zyskało też pięćdziesiąt procent hutnictwa i aż siedemdziesiąt sześć procent istniejących tam kopalń. Książę von Pless był niezadowolony z takiego obrotu spraw, bo przeszło siedemdziesiąt procent mieszkańców powiatu pszczyńskiego, na którego terenie znajdowały się jego włości, opowiedziało się za przynależnością do Polski. Ponoć nosił się nawet z zamiarem sprzedaży należących do niego zakładów przemysłowych jakiejś angielskiej spółce i wywiezienia żubrów do lasów pozostających na terenie Niemiec. Ostatecznie do tego jednak nie doszło, gdyż na skutek ugodowej polityki Wojciecha Korfantego książę, podobnie jak zdecydowana większość śląskich magnatów, ostatecznie zaakceptował podział Górnego Śląska i fakt przynależności jego dóbr do Polski – pomimo że dwie jego posiadłości, leżącą po stronie polskiej Pszczynę i przynależny do Niemiec Książ, rozdzielała teraz granica państwowa. Co więcej, 11 września 1922 roku podpisał deklarację wyboru miejsca zamieszkania po stronie polskiej, co wiązało się z przyjęciem polskiego obywatelstwa. Był to akt czysto formalny, związany z obawą przed potencjalnym wywłaszczeniem, ale i tak w Niemczech posypały się na księcia gromy.

Pomimo przyjętego obywatelstwa Jan Henryk poczuwał się do roztoczenia opieki nad mniejszością niemiecką, a zwłaszcza nad pracownikami narodowości niemieckiej, co z kolei wywołało ataki strony polskiej, która oskarżała księcia pszczyńskiego o nielojalność wobec polskiego państwa. On sam wprawdzie wcześniej otwarcie manifestował propolskie sympatie, a nawet występował przeciwko ustawom szkodliwym dla ludności polskiej, ale wydaje się, że nie do końca zaakceptował sytuację. Nadal mieszkał w Książu,

a do Pszczyzny przyjeżdżał sporadycznie, głównie na polowania. Większą część roku spędzał zaś poza granicami obu państw: w Wielkiej Brytanii, Wiedniu lub Rzymie, wiodąc beztroski i luksusowy tryb życia. Wydaje się, że księżna, która także została obywatelką polski, przyjęła fakt przyłączenia doń części posiadłości jej małżonka ze spokojną rezygnacją. Miała zresztą na głowie inne problemy. Jej małżeństwo zmierzało do nieuchronnego końca – Jan Henryk wniósł sprawę o rozwód. Proces rozpoczął się w Sądzie Krajowym w Berlinie 4 października 1922 roku, natomiast dwadzieścia jeden dni później orzeczono rozwód. Wprawdzie Daisy pozbawiono praw rodzicielskich i to pomimo orzeczenia winy jej męża, ale były małżonek okazał się dla niej bardzo szczodry, bowiem zapewnił jej godziwy poziom życia. Księżna zatrzymała prawa do tytułu i apanaży, a Jan Henryk nadal ją utrzymywał, opłacał koszty ewentualnego leczenia oraz jej służbę. Na otarcie łez Daisy zachowała samochód, a na jego utrzymanie miał także łożyć księżę, podobnie jak na willę w La Napoule, gdzie odtąd miała mieszkać, oraz nową rezydencję w Monachium. Pozornie zatem księżna wyszła dość dobrze na rozwodzie, ale ani ona sama, ani jej małżonek nie przewidzieli, że sytuacja ekonomiczna i kłopoty finansowe Hochberga dotkną także Daisy.

Rozwód księżęcej pary ściągnął zainteresowanie prasy niemalże w całej Europie, a szczególnie w Niemczech i Anglii, zwłaszcza że kochliwy Jan Henryk zupełnie stracił głowę dla pewnej hrabianki z Wiednia, młodszej od niego o całe pokolenie. Wkrótce księżęcy romans wytropili niemieccy dziennikarze gazety „Friedländer Wochenblatt” i postanowili podzielić się swoją wiedzą z czytelnikami, zamieszczając 1 grudnia 1923 roku na łamach pisma artykuł pod znaczącym tytułem *Małżeński romans księcia pszczyńskiego*. Nawiasem mówiąc, ów artykuł jest rażącym przykładem nierzetelności dziennikarskiej. „Księżę pszczyński Hans Heinrich XV, bogaty magnat górnośląski, którego dobra, na skutek nowego ustalenia granic, leżą częściowo w Polsce, a częściowo w Niemczech, jest żonaty od ponad 30 lat z lady Mary West z domu Earl Delawarre – relacjonował autor. – Małżeństwo to jest od dłuższego czasu nieszczęśliwe, a w szczególności księżna musiała wiele wycierpieć w czasie wojny z powodu swojego angielskiego pochodzenia”⁴. Piszący te słowa dziennikarz miał

najwidoczniej niepełne informacje, bo przecież w grudniu 1923 roku małżeństwo Jana Henryka i Daisy należało już do przeszłości. „Książę von Pless, obecnie 62-letni, pomimo swego dojrzałego wieku zakochał się i, jak donoszą z Pszczyny, gotów jest usunąć wszystkie przeszkody na drodze i ożenić się ze swoją wybranką, hrabiną Dietrichstein z Wiednia. Zwykły rozwód, który łatwo byłoby uzyskać przed sądem we Wrocławiu, nie wystarcza. Hrabina bowiem pochodzi z surowej katolickiej rodziny i nawet jeśli książę będzie rozwiedziony zgodnie z prawem, hrabina nie będzie mogła oddać mu ręki tak długo, jak żyje księżna, jego żona. Dlatego książę wniósł do papieża skargę o unieważnienie małżeństwa.

Ponieważ kościół katolicki nie uznaje rozwodów, ani powodów do rozwodu, książę musi poszukać powodów uznających jego małżeństwo za nieważne. Takie poszukiwania książę przedsięwziął. Jego prawnicy wysunęli twierdzenie, że książę poślubił lady Mary [późniejszą księżną Daisy] nie ze swej woli, ale pod wpływem psychicznego i fizycznego szantażu. Książę chce udowodnić, że ojciec jego późniejszej żony zmusił go pistoletem do małżeństwa, posądzając go o uwiedzenie córki. Na skutek tego posądzenia (o uwiedzenie) książę postanowił uratować honor dziewczyny i ożenił się z nią. Książę znalazł świadków, którzy to potwierdzili pod przysięgą przed duchownym sądem w Rzymie”⁵.

W tym miejscu dziennikarz nie mijał się z prawdą, bo rzeczywiście książę von Pless podjął starania o unieważnienie swojego małżeństwa, wszczynając proces przed Sacra Roma Rota w Rzymie. Zapewne udało mu się również znaleźć stosownych świadków, skoro nawet namówił Daisy do złożenia oświadczenia, iż zawierała związek pod przymusem. Tym razem jednak Jan Henryk nie doczekał się szczęśliwego rozwiązania. Sprawa wlokła się przez kolejne sześć lat i ostatecznie jego wniosek został odrzucony przez dwie kolejne instancje: po raz pierwszy 14 maja 1927 roku i później 15 października 1928 roku. Dla hrabianki nie miało to już większego znaczenia, bo jej związek z podstarzałym playboyem należał wówczas do przeszłości, a w życiu i łożu Jana Henryka królowała inna piękność. Jak informował autor przywołanego artykułu: „Rodzina pięknej hrabiny zdenerwowała się spowodowanym przez księcia skandalem i odmówiła zgody na związek młodej

dziewczyny ze starym, żonatym mężczyzną, i wysłała ją do sanatorium, gdzie była surowo strzeżona przed księciem”⁶.

Daisy również doświadczyła niezdrowego zainteresowania ówczesnej prasy, która wypisywała niewyobrażalne bzdury na temat jej perypetii rozwodowych. Celowali w tym zwłaszcza dziennikarze zza oceanu, chcący dostarczyć sensacji amerykańskim, a także kanadyjskim czytelnikom, lubującym się w historiach z życia europejskich wyższych sfer. Tamtejsza prasa zainteresowała się jej małżeństwem, jeszcze zanim doszło do rozwodu. O kryzysie w związku Daisy informowano już w grudniu 1921 roku. *Trzymana na uwięzi swoich bezcennych pereł* – krzyczał tytuł artykułu zamieszczonego 18 grudnia 1921 roku na łamach „The Vancouver Sun”. Jego autor uznał bohaterkę naszej opowieści za najpiękniejszą księżniczkę Europy, a zarazem niepoprawną flirtiarę, informując czytelników gazety, iż „księżniczka Daisy of Pless rozstała się oficjalnie z mężem, dziedzicznym księciem, członkiem jednej z najstarszych rodzin szlacheckich w Niemczech. Dziś księżna jest w tych Niemczech więźniem. Mogłaby opuścić kraj, który z wyboru stał się jej miejscem do życia, ale gdyby zdecydowała się na ten krok, straciłaby wszelkie prawa do bezcennego, długiego na 23 stopy sznura pereł, których liczba wynosi aż dwa tysiące. [...] Księżniczka jest obecnie faktycznym więźniem w Partenkirchen w bawarskich Alpach, gdzie mieszka w chateau z pokojówką i nieprzyjaznymi niemieckimi służącymi. Jej mąż przebywa w rodowej siedzibie, zamku Książ na Śląsku. Jest trzecim najbogatszym mężczyzną w Europie, człowiekiem o gigantycznej sylwetce oraz byłym kolesiem ex-cesarza niemieckiego. Księżniczka, przez której urodę i intrygi Wielki Książę von Mecklenburg-Strelitz popełnił samobójstwo, jak donoszą reporterzy, nie może opuścić Niemiec także z innego powodu, anulowane zostałoby jej comiesięczne wynagrodzenie w wysokości 1,5 mln marek.

Jednak przede wszystkim jest skrępowana więzami pamięci przywoływanymi przez pereły, dla których poświęciłaby świat. Przy ich udziale oczarowała wielkich i napełniła zachwytem maluczkich. Podkreślają biel jej delikatnej szyi, jej czarodziejskie piękno. Były przyczyną wielu jej sercowych podbojów. Dlatego więc zupełnie nie dziwi, że dziś jest gotowa być więźniem swoich pereł, zaplątanym

w ich powab i historię. [...] Status mężatki nie przeszkodził Daisy w wykorzystaniu magii jej fiołkowych oczu. Użyła jej na Jerzym, księciu Yorku. W ciągu godziny zapomniał o Imperium Brytyjskim, Indiach, Australii i Kanadzie. Pamiętał tylko Daisy.

Następnie nadeszła wielka wojna. Daisy przebywała w rodowej siedzibie męża, zamku Książ. Nie była tam szczęśliwa. Służba ją szpiegowwała, a dzierżawcy w rozległych dobrach postrzegali jako wroga. Była obserwowana dzień i noc. Gdziekolwiek poszła, tajne służby Cesarstwa podążały za nią jak cień. Była wolna, a jednak uwięziona.

Mąż i żona przestali rozmawiać. Dzieci były nastawiane przeciwko matce. Była bardzo nieszczęśliwa. Ostatecznie, gdy nie mogła już więcej tego znieść, uzyskała zgodę męża na tymczasową separację. Zamieszkała w Alpach Bawarskich w pięknej, należącej do męża willi. Mieszkała tam z kilkorgiem służących i nieprzyjazną pokojówką, mimo że najbliższe miasteczko Partenkirchen było wyjątkowo małe. [...] Młody Książę Mecklenburg-Strelitz, wtedy 30-letni, w wyniku odniesionych ran został odesłany z frontu do domu. Pojechał do Partenkirchen, gdzie spotkał Daisy. Zakochał się szaleńczo w tej kobiecie, która obecnie mogłaby być jego matką, a mimo tego zachowała swoją magnetyczną urodę.

Działo się to podczas najczarniejszych wojennych dni. Smutek ogarniał imperium, podobnie jak Francję i Belgię. Głód i żal rządziły, jednak Daisy i jej ostatni podbój żyli swoim rozpustnym życiem. Donoszono, iż używała ona młodego naiwniaka po to, aby wyciągać od niego informacje, które miała potem przekazywać Aliantom. Ta nigdy nie potwierdzona plotka tak rozjuszyła mieszkańców okolicznych wsi, że zorganizowali się po to, aby zabić księżniczkę. Tylko dzięki niezwłocznej interwencji władz zapobieżono linczowi.

Niemcy były porażone wiadomością z 24 lutego 1918 roku. Książę strzelił do siebie i zginął na miejscu. Ludzie mówili, że zrobił to w wyniku wyrzutów sumienia z powodu zdradzenia sekretów wojskowych ojczyzny. To, że był do tego zdolny, wydaje się możliwe, jeżeli wziąć pod uwagę jego poprzednią reputację.

Śmierć młodego adoratora wydaje się, że nieco otrzeźwiła księżniczkę. Całkowicie poświęciła się swoim dzieciom i odmówiła uczestniczenia w życiu towarzyskim. Następnie usiadła i napisała

książkę o flirtowaniu, w której stwierdziła m.in.: «Flirtowanie jest mniej naganne, jeżeli praktykowane na mężczyznach już nie młodych. Jest ich o wiele łatwiej omamić niż chłopców, a i cierpią oni mniej od tych pierwszych». Wydaje się, że zdanie to było inspirowane śmiercią młodego księcia. Inne zdaje się być swoistym usprawiedliwieniem: «Flirt to kobieca sztuka, praktykowana na mężczyznach dla rozrywki i dla chwilowego, osobistego triumfu. Mężczyźni nie flirtują, oni tylko szukają obiektów do pożarcia». Obecnie księżna jest w trwałej separacji z mężem, a w Londynie i Berlinie mówi się, że publiczny rozwód będzie następnym elementem tej historii⁷.

W przytoczonym artykule, w znakomitej większości będącym wytworem wybujałej dziennikarskiej fantazji, bzdura goni bzdurę. Księżna nie była nigdy więźniem w Partenkirchen, dokąd wyjeżdżała wyłącznie w celach rekreacyjnych i gdzie cieszyła się sympatią lokalnej społeczności. Nie było żadnej próby linczu księżnej, aczkolwiek faktycznie znajdowała się w opcji zainteresowań niemieckiego wywiadu. Jerzy V, bo to właśnie on był owym „księciem Yorku”, który miał ulec „magii jej fiołkowych oczu”, nigdy nie był jej wielbicielem, a ona sama nigdy nie napisałaby, nawet anonimowo, wspomnianej przez dziennikarza publikacji o flirtowaniu. Miała na to zbyt wiele klasy. A już wywlekanie sprawy domniemanego samobójstwa księcia Adolfa Fryderyka VI dziś zostałyby potraktowane jako jawne pogwałcenie zasad etyki dziennikarskiej. Problem polegał jednak na tym, że przedwojenne dziennikarstwo, także polskie, rządziło się zupełnie innymi prawami niż współcześnie. Wszechobecna pogoń za sensacją niejedną raz brała górę nad rzetelnością, normą było również zamieszczanie personaliów i zdjęć osób podejrzanych o popełnienie przestępstwa, co jest niedopuszczalne we współczesnych mediach i w świetle obowiązującego dzisiaj prawa. Aby się o tym przekonać, wystarczy przejrzeć jakikolwiek dostępny w internetowych zasobach wielu polskich bibliotek numer popularnego w dobie międzywojnia „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” czy innej przedwojennej gazety.

Kochliwy książę pszczyński bardzo szybko doszedł do siebie po stracie hrabianki, dla której nie szczędził środków na próby unieważnienia swojego pierwszego małżeństwa, i dość szybko znalazł

pocieszenie w ramionach innej piękności. Wprawdzie powszechny jest pogląd, że każdy z heteroseksualnych mężczyzn gustuje w określonym typie kobiecej urody, ale Jan Henryk był wyjątkiem od tej reguły. Jego kolejna wybranka drastycznie się różniła od jego pierwszej żony. Eteryczną, smukłą blondynkę zastąpiła bowiem u jego boku czarnowłosa i czarnooka hiszpańska arystokratka, w dodatku młodsza od niego o całe pokolenie, bo markiza Klotylda de Silva y Gonzales de Candamo, jak nazywała się ukochana Jana Henryka XV, w 1924 roku, kiedy los postawił na jej drodze księcia, miała zaledwie dwadzieścia sześć lat. Tymczasem jej wybranek był już w dość zaawansowanym wieku, starszy od niej aż o trzydzieści siedem lat. Tym razem Jan Henryk nie dał uciec swej miłości – oświadczył się i został przyjęty. Para stanęła na ślubnym kobiercu w Londynie 25 stycznia 1925 roku. I tak córka Joségo de Silvy markiza Arcicollar została kolejną panią na Książu i Pszczynie. Z jej strony trudno mówić o miłości czy zauroczeniu. Panna wprawdzie była urodziwa i wywodziła się z dobrej rodziny, ale podobnie jak przed laty Daisy – nie mogła liczyć na posag. Jej ojciec w popłochu wyjechał z ojczyzny Hiszpanii już pod koniec XIX wieku, uciekając przed spłątą długów karcianych i weksli, a jego zadłużenie było ponoć tak wysokie, że groziła mu utrata szlachectwa. Małżeństwo z bogatym, aczkolwiek mocno posuniętym w latach księciem było zatem dla Klotyldy szansą na dostatnie życie w przyszłości.

„63-letni książę pszczyński żeni się z 26-letnią Hiszpanką – informował popularny „Ilustrowany Kurier Codzienny” 31 stycznia 1925 roku. – Londyński korespondent «Petit Parisien» donosi, że wkrótce niemiecki książę Henryk z Pszczyny na Górnym Śląsku żeni się z 26-letnią Hiszpanką Sylwą Condamo, pochodzącą z głośnej rodziny. Książę, przyjaciel serdeczny Wilhelma II, ma lat 63. W czasie wojny walczył po stronie niemieckiej, a po zawieszeniu broni przeniósł się do Anglii. Posiada on na Górnym Śląsku rozległe dobra. Jego pierwszą żoną była Angielka. Ożenił się z nią w roku 1891, a na weselu był król angielski Edward, królowa Aleksandra i inni członkowie królewskiej rodziny. W roku zeszłym książę z Pszczyny rozwiódł się ze swoją pierwszą małżonką i zmienił swoje nazwisko z Henryk von Pless na Henryk Pszczyński”⁸. Jan Henryk był szaleńczo zakochany w swojej

młodej żonie, którą rozpieszczał, nie szczędząc wydatków na jej zachcianki. Para podróżowała po Europie, wydając krocie w kasynach, drogich hotelach i luksusowych sklepach. A tymczasem księżę powinien zaciskać pasa, bowiem jego sytuacja finansowa nie była najlepsza. Małżeństwo z piękną Klotyldą miało mu wkrótce przynieść kolejne poważne zmartwienia.

*Zerwane zaręczyny,
czyli „młodzieńcze wybryki”
hrabiego Aleksandra*

Nie wiemy, jak Daisy zareagowała na poczynania swojego byłego męża. Możemy podejrzewać, że ciężko to przeżyła, zwłaszcza kiedy przed sądem kościelnym musiała zeznawać, jakoby wychodziła za mąż pod przymusem. Wprawdzie faktycznie, biorąc ślub, nie była zakochana w księciu, ale przecież nikt jej nie prowadził do ołtarza siłą. Być może podświadomie czuła, że małżeństwo Jana Henryka z kobietą, która mogłaby być jego córką, zakończy się tak, jak w przeważającej większości kończą się tego typu związki – Klotylda znajdzie sobie młodego kochanka. Ale nawet Daisy nie przypuszczała, że namiętna Hiszpanka, bo tak właśnie poddani jej byłego męża nazywali jego drugą żonę, poszuka go w gronie najbliższej rodziny Jana Henryka. Mimo wszystko wydaje się, że bardziej niż drugie małżeństwo byłego małżonka księżnę martwiła jej własna kondycja i synowie, którzy z biegiem lat sprawiali coraz więcej problemów.

Daisy dzieliła czas między willę Les Marguerites (fr. margerytki, stokrotki) w La Napoule na Riwierze a Monachium, gdzie mieszkała w domu zwanym przez nią „rozwodowym” – przy Ismaninger Strasse 95. Ze względu na kłopoty zdrowotne coraz rzadziej podróżowała. Zdaniem jej biografki, Barbary Borkowej, ostatni raz pojechała do Anglii, by odwiedzić swoich krewnych, pomiędzy 1928 a 1933 rokiem, później to raczej Shelagh ją odwiedzała, aczkolwiek w sierpniu 1935 roku obie siostry udały się na wypoczynek do Baden-Baden. Podczas swoich pobytów w Anglii księżna mieszkała w rezydencji

siostry w Malwood, gdzie spotkała się z jednym ze swoich krewnych, majorem Geoffreyem Brookiem, który pozostawił relację z ich spotkania. Daisy była już wówczas bardzo schorowana i korzystała z wózka inwalidzkiego. Nie dawała się jednak chorobie i udzielała się towarzysko, spotykając się z gośćmi swojej siostry, wśród których był Guglielmo Marconi, włoski fizyk, wynalazca i jeden z pionierów radiofonii, a zarazem laureat Nagrody Nobla z 1909 roku. Marconi utrzymywał kontakty z rodziną Daisy od 1905 roku, kiedy ożenił się z ich krewną – Beatrice O'Brien. Wprawdzie małżeństwo nie przetrwało i zakończyło się nie tylko rozwodem, ale i uznaniem za nieważne przez sąd kościelny, a oboje małżonkowie znaleźli szczęście u boku innych partnerów, ale słynny wynalazca utrzymywał kontakty z rodziną byłej żony, a zwłaszcza z Shelagh. Odwiedził ją także podczas wspomnianej wizyty księżnej i zażyczył sobie spotkania z Daisy. „Serce się kroilo, słysząc, jak mowa Daisy została zaatakowana jej chorobą, aczkolwiek ona sama zachowywała się tak dzielnie jak zawsze – wspominał Brooke. – Pewnego dnia Signor Marconi zapowiedział chęć spotkania z nią, co nas wszystkich zmartwiło, bo chociaż Daisy wyczekiwała rozmowy z nim, wszyscy mieliśmy wątpliwości, czy będzie on w stanie zrozumieć jej wymowę. Niespodziewanie, przyszedł jej na myśl pomysł. Zamiast po angielsku przeprowadziła z nim rozmowę po francusku, czując, że łatwiej się jej w tym języku wysłowić, a on rzeczywiście nie miał żadnego problemu ze zrozumieniem tego, co mówiła. Wszystkich nas podniosło to bardzo na duchu, a ona sama cieszyła się jak dziecko, że znalazła wyjście z ułomności, o której wiedziała, że jest męcząca dla innych”⁹.

Pod koniec 1924 roku księżna przyjechała do Pszczyzny na ślub swojego najstarszego syna, Jana Henryka, który 4 grudnia ożenił się z bawarską arystokratką szczyjącą się znamienitymi korzeniami – Marią Katarzyną von Berckheim, córką hrabiego Klemensa Schönborn-Wiesentheid. Obok szlacheckiego pochodzenia, poświadczanego licznymi wpisami w Almanachu Gotajskim¹⁰, panna młoda wniosła w posagu syna z pierwszego małżeństwa. Była starsza od swego wybranka o kilka lat, w dodatku niezbyt urodziwa, dlatego związek syna nie znalazł akceptacji w oczach starego księcia, jak teraz potocznie

zwano Jana Henryka XV. Ale jego najstarszy syn nic sobie nie robił z ojcowskich zastrzeżeń. Małżeństwo okazało się jednak nieudane. Przyczyn nieporozumień w związku można szukać w nietłumaczącym charakterze młodego księcia, który wdał się w ojca i podobnie jak on kochał konie oraz polowania, ale był też dumny i pryncypialny. Nawiasem mówiąc, na takiego go wychowano – wszak w przyszłości miał zostać głową rodu Hochbergów. Ale zadbano też o jego wykształcenie, Hansl był bowiem doktorem nauk prawnych.

Młody książę i jego żona osiedli w Pszczynie, bowiem ojciec powierzył synowi administrowanie dobrami na Górnym Śląsku. Daisy obawiała się, że jej niemiecka synowa nie będzie tolerować angielskiej teściowej, ale jej relacje z Sissi, bo właśnie tak najbliżsi nazywali Katarzynę, układały się wręcz wzorowo. Obie panie bardzo się polubiły.

Bez wątpienia najprzystojniejszym spośród trzech synów bohaterki naszej opowieści był jej ukochany średni syn, Alexander, który odziedziczył po niej urodę. Lexel był wysokim, postawnym blondynem o niebieskich oczach, szczerym spojrzeniu i jasnym uśmiechu. Urodzony w Anglii chłopiec, nazywany przez matkę „ukochanym małym londyńczykiem”, jako drugi pod względem starszeństwa wychowywany był w duchu kosmopolitycznym. Był to celowy zabieg, gdyż miał w przyszłości reprezentować interesy Hochbergów na arenie międzynarodowej. Poza tym ze względu na miejsce urodzenia Aleksander miał również obywatelstwo brytyjskie. Średni syn Daisy od dziecka wykazywał się nieszablonowymi pomysłami – jako kilkunastolatek postanowił samodzielnie wyruszyć z Księża do Berlina, ale na szczęście szybko został odnaleziony i zmuszony do powrotu do domu. Kiedy uczył się w gimnazjum, wpadł na pomysł uszczęśliwienia swoich kolegów z klasy i kupił im wszystkim, oczywiście na koszt ojca, drogie buty. Zresztą przez całe dorosłe życie cechowało go, charakterystyczne dla Hochbergów, niefrasobliwe podejście do finansów. Za to nie znosił nauki i szkoły, a zamiast siedzenia nad książkami wolał samochody, motoryzacja była bowiem wielką pasją Lexela. Z czasem zachowywał się coraz gorzej, na co zdaniem wielu wpływ miała nieobecność u jego boku rodziców w czasie I wojny światowej. Zmieniający się guwernerzy nie potrafili

utemperować jego charakteru. Jako zaledwie piętnastoletni młodzieniec zaskoczył wszystkich, dokonując konwersji na katolicyzm, co wywołało kolejne ataki niemieckiej prasy na jego rodzinę. Staremu księciu zarzucono wówczas koniunkturalizm i – po raz kolejny – sprzyjanie Polakom na Śląsku. Nad tym „wybrykiem” młodego hrabiego, bo taki tytuł nosił Aleksander, można było jeszcze przejść do porządku dziennego, ale jego rozrzutność należało jednak poskromić, tym bardziej że z wiekiem było coraz gorzej – Lexel dosłownie szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Nie był w tym odosobniony, tak samo zachowywała się znakomita większość młodych Anglików wchodzących w życie po wielkiej wojnie. Brytyjska prasa nazywała ich PPP od słów „Poor Papa Pay” – biedny tatuś płaci. Ten zwrot był szczególnie trafny w odniesieniu do Aleksandra, bo chłopak nie zdawał sobie nawet sprawy, że fortuna jego rodziny dosłownie topnieje w oczach.

Na domiar złego wplątał się w aferę obyczajową o podłożu homoseksualnym. Podejrzanie często widywano go w towarzystwie młodych kelnerów lub górników z pobliskiego Wałbrzycha. Ponoć w świat „męskiej miłości” wprowadził go pewien rzeźnik, który najzwyczajniej w świecie go uwiódł, aczkolwiek nie wydaje się, żeby Hochberg był z tego powodu nieszczęśliwy. Dzisiaj takie ekscesy mogłyby oburzać jedynie skrajnych obrońców moralności o ultrakonserwatywnych poglądach, o ile oczywiście w grę nie wchodziłoby uwiedzenie nieletniego, ale w owych czasach Lexel, dając upust swoim skłonnościom, narażał się na poważne konsekwencje prawne. Homoseksualizm uznawany był bowiem w Niemczech za przestępstwo, a przecież Książ, w którym hrabia mieszkał wraz z ojcem i młodszym bratem, znajdował się na terenie tego państwa. W Polsce, gdzie aż do 1932 roku obowiązywały kodeksy państw zaborczych, sytuacja była nieco bardziej skomplikowana i homoseksualizm był karany zgodnie z kodeksem z terenu dawnego zaboru. W 1932 roku zniesiono te regulacje, wprowadzając przestępstwo homoseksualnej prostytucji. Ponieważ na terenie Górnego Śląska wchodzącego w skład Drugiej Rzeczypospolitej obowiązywał, podobnie jak w Niemczech, paragraf 175 Kodeksu karnego z 1871 roku, nawet gdyby Aleksander przeprowadził się do starszego brata, nadal groziłoby mu więzienie, do którego zresztą ostatecznie trafił, skazany przez sąd

na dwa miesiące pozbawienia wolności. Prawnicy wynajęci przez jego ojca dwoili się i troili, by ukręcić sprawie łeb. Ostatecznie doprowadzili do złożenia apelacji, ale tak się szczęśliwie dla młodego hrabiego złożyło, że wspomniany rzeźnik, główny świadek oskarżenia, popełnił samobójstwo w więzieniu i Aleksander odzyskał wolność. Wybuchł jednak skandal, bo sprawy nie udało się zachować w tajemnicy i nieszczęsnego młodzieńca skazano na towarzyski ostracyzm. Co więcej, pisała o tym prasa, w tym również amerykańska.

W tej sytuacji stary książę postanowił wysłać średniego syna na studia – najpierw do Wrocławia, a potem na Wyspy, gdzie na Oksfordzie miał się uczyć bankowości. Aleksander posłusznie wypełnił wolę seniora rodu, ale zapału starczyło mu ledwie na dwa lata. Wówczas młody hrabia porzucił studia i zatrudnił się w jednym z londyńskich banków, ale nudna praca za biurkiem stanowczo nie odpowiadała jego wybujałemu temperamentowi. Po pewnym czasie zrezygnował z posady, spakował walizki i przeniósł się do matki, do Monachium. Daisy początkowo była niezmiernie szczęśliwa, że ma u boku swego ukochanego syna, ale wkrótce doszło między nimi do niesnasek na podłożu finansowym. Loxel nie miał bowiem zamiaru się ustatkować i zmienić trybu życia, a ponieważ matka nie chciała pokrywać jego wydatków, zastawił jej biżuterię i futra. I miał ku temu, jego zdaniem, uzasadnione powody – ojciec nie wypłacał mu należnych prawem pieniędzy.

Tymczasem księżna sama borykała się z problemami finansowymi, wywołanymi przez znaczące pogorszenie się sytuacji jej męża i starszego syna, gospodarującego w Pszczynie. Pszczyna i Książ nie przynosiły już takich dochodów jak wcześniej, a szalejąca inflacja znacznie obniżyła realną wartość należnych księżnej apanaży. Chcąc jakoś podreperować fundusze, w 1928 roku wydała swoje wspomnienia zatytułowane *Daisy, Princess of Pless by herself* (ang. Daisy, księżna pszczyńska o sobie), które bardzo szybko osiągnęły status bestsellera. Zaledwie w ciągu roku ukazało się aż sześć wydań owej publikacji, a książkę księżnej można było znaleźć w sypialniach dla gości niemalże każdego domu szlacheckiego w ówczesnej Anglii. W Niemczech wydano ich ocenzonej wersję opatrzoną niezbyt trafnym tytułem *Tanz auf dem Vulkan* (niem. Taniec na wulkanie), zresztą pod takim

samym tytułem po latach opublikowano je w Polsce. Krytycy uznali je za najlepsze wspomnienia ilustrujące życie wyższych sfer Niemiec i Anglii na przełomie XIX i XX wieku – i za takie uchodzą do dziś, aczkolwiek współczesnego czytelnika mogą nużyć długie wyliczanki gości na przyjęciach w Pszczynie i Książu czy osób przyjmowanych w rezydencjach Hochbergów, pałacu Buckingham bądź pałacu cesarskim w Berlinie, podobnie jak opisy toalet i kreacji. Idąc za ciosem, Daisy w 1931 roku wydała kolejny tom – *From My Private Diary* (ang. Z mojego prywatnego dziennika), szerzej znany pod tytułem, pod którym ukazał się na rynku amerykańskim: *Better Left Unsaid* (ang. Lepiej przemilczeć). Wszystkie wspomniane publikacje, a zwłaszcza pierwsza z nich, wywołały w Niemczech niemały skandal, a przecież niemieccy czytelnicy dostali do rąk znacznie okrojoną i ocenzurowaną wersję wspomnień księżnej. Daisy oskarżono o egocentryzm, pisanie kłamstw, a nawet pomawiano o romans z kajzerem. Jednak wrzawa wokół publikacji tylko się księżnej przysłużyła, przekładając się na wzrost sprzedaży.

Wydanie pamiętników nie było pierwszą próbą samodzielnego zarobienia pieniędzy przez Daisy. W 1923 roku podpisała lukratywny kontrakt na reklamę kremu Mercolized-Wax firmy Dearborn, co przyniosło jej taki zysk, że podczas wyjazdu do Londynu stać ją było na wynajem drogiego apartamentu w Albert Gate Court na Kensington. Przy tej okazji warto dodać, że wbrew temu, co można przeczytać w niektórych opracowaniach internetowych, księżna nie występowała w żadnej reklamie, a jedynie użyczyła swojej twarzy na potrzeby ogłoszeń prasowych. W reklamie widzimy jej nieco wyidealizowany portret w uniformie pielęgniarki z czasów I wojny światowej, a sam kosmetyk reklamowała jej wypowiedź: „Szanowni państwo, mam niezwykłą przyjemność w napisaniu tych słów, by każda kobieta dowiedziała się o czerpaniu korzyści z Mercolized Wax-u. Tak wiele zależy od dobrego wyglądu, że bez czystej karnacji i niepomarszczonej twarzy kobieta nie zajdzie daleko na tym świecie. Oświadczyć tu mogę, z ręką na sercu, że ludzie biorą mnie za młodszą, niż jestem, i że zawdzięczam to stosowaniu cudownego Mercolized Wax-u, którego używam od 1921 r., od kiedy wróciłam do ukochanej Anglii i przyjaciół, których kiedyś opuściłam. Każdy, kto jak ja aplikował poprzednio

tłuste kremy i odżywki skórne, jest w stanie zobaczyć, jak lepszym od nich jest Mercolized Wax w pielęgnacji skóry. Moja pokojówka, obecna przy pisaniu tego listu, powtarza mi, że odkąd go używam, wyglądam na o wiele lat młodszą. Stosuję go każdego ranka po umyciu twarzy oraz wieczorem przed pójściem do łóżka i moje zmarszczki stopniowo znikają. Piszę ten list, by pomóc niezamożnym kobietom, które chciałyby się dowiedzieć, jak pielęgnować ich cerę i wyglądać młodziej bez kosztownych upiększających zabiegów i masażu. Ten wax mogą aplikować same i w przeciągu krótkiego czasu będą zaskoczone różnicą, jaką spowodował. Wybiela on bowiem cerę i jest doskonały w pielęgnowaniu dłoni. Z poważaniem – Marie Therese, Księżna von Pless”¹¹. Daisy rzeczywiście nie wyglądała na swoje lata, ale wątpliwe, by była to zasługa reklamowanego kremu. Co ciekawe, księżna była wprawdzie pierwszą, ale nie ostatnią arystokratką, którą problemy finansowe skłoniły do udziału w kampanii reklamowej. W jej ślady zdecydowały się pójść potem księżna Marie de Bourbon, gruzińska księżna Matchabelli, lady Diana Manners oraz księżna de Richelieu. Wśród pań reklamujących kosmetyki nie zabrakło nawet królowej rumuńskiej, Marii Koburg, która w 1925 roku reklamowała kremy marki Pond’s. Co więcej, o ile w życiu Daisy kampania reklamowa była jednorazowym epizodem, o tyle Maria często reklamowała w prasie amerykańskiej rozmaite wyroby, i to nawet takie, których nie znała ani nie używała, co ostatecznie osłabiło jej wiarygodność i zakończyło „karierę” w reklamie.

Wprawdzie Daisy nie cierpiała głodu, ale ekscesy jej średniego syna kosztowały ją stanowczo zbyt wiele, dlatego w 1930 roku postanowiła go ożenić z jakąś posażną panną, obdarzoną łagodnym charakterem. Księżna naiwnie sądziła, że małżeństwo skutecznie wyleczy Lexla z jego nagannych skłonności, w tym także ze słabości do męskiego towarzystwa. Jego wcześniejsze ekscesy naiwnie uznała bowiem za niewinny młodzieńczy wybryk. Wkrótce znalazła odpowiednią kandydatkę w osobie córki zaprzyjaźnionej z nią królowej Marii – księżniczki Ileany. Kandydatka na synową Daisy była najmłodszym, a zarazem ukochanym dzieckiem monarchini, która w listach do księżnej opisywała ją jako „kwitnącą dziewczynę o ciemnoniebieskich oczach, dziecko mojej duszy, które instynktownie odróżnia

dobrze od złego”¹². Ileana w oczach idealizującej swojego średniego potomka księżnej wydawała się zatem wymarzoną kandydatką na synową. Kiedy zatem królowa zaprosiła ją na urodziny najmłodszej córki, wymówiła się złym stanem zdrowia i wysłała do Bukaresztu Lexla, w nadziei, że między młodymi zaiskrzy i w konsekwencji para stanie na ślubnym kobiercu. Wiedziała także, że pomimo niewątpliwej urody i innych zalet rumuńskiej księżniczki wcześniejsze negocjacje małżeńskie, w tym również z księciem Walii, Edwardem, i następcą tronu Hiszpanii, zakończyły się niepowodzeniem, wobec czego Aleksander ma spore szanse na poślubienie urodziwej Ileany.

Lexel początkowo nie był zachwycony projektem mariażu, ale ostatecznie uległ matczynym namowom i wyjechał do Bukaresztu, i to w takim pośpiechu, że nawet nie zdążył nabyć stosownej do okoliczności garderoby. W efekcie z księżniczką spotkał się odziany... w narciarski strój. Wyglądał w nim jednak tak dobrze, że Ileana nie mogła oderwać od niego wzroku. Młodzi bardzo szybko przypadli sobie do gustu i zapalali do siebie miłością, co może sugerować, że hrabia Aleksander nie był homoseksualistą, a raczej biseksualistą.

Sprawy przybrały bardzo poważny obrót i para zaręczyła się potajemnie podczas balu maskowego zorganizowanego z okazji urodzin Ileany. Oboje stali się nierozłączni i planowali wspólną przyszłość; wybrali nawet dom, w którym mogliby mieszkać i wychowywać wspólne dzieci. Daisy nie posiadała się z radości, także królowa Maria przychylnym okiem patrzyła na związek córki i syna swojej przyjaciółki, ale zaręczyny przez jakiś czas utrzymywano w tajemnicy. Opinia publiczna, podobnie zresztą jak władze Rumunii, dowiedziała się o uczuciu łączącym najmłodszą córkę królowej z niemieckim arystokratą zupełnie niespodziewanie – za sprawą samej księżniczki. Kiedy wraz z Aleksandrem uczestniczyła w ceremonii przyznania mu nagrody za ekspertyzę dotyczącą narciarstwa, nie wytrzymała i pomimo dyskretnych protestów swojego osobistego adiutanta podzieliła się radosną nowiną o zaręczynach ze zgromadzonymi na uroczystości. Zapewniała wszystkich, że poznała miłość swojego życia, a przy okazji wywołała niemałe zamieszanie w kołach rządowych. Wprawdzie jako osoba zajmująca odległe miejsce w kolejce do tronu teoretycznie miała prawo wyjść, za kogo tylko by chciała, i nie musiała pytać o zgodę ani

panującego monarchy, ani rządu, poza tym dysponowała pokaźną fortuną szacowaną na ćwierć miliona dolarów, ale rumuńska opinia publiczna nie była zachwycona takim obrotem sprawy. Wszyscy chcieli, aby podobnie jak jej starsze siostry, Elżbieta i Maria, które zostały wydane odpowiednio za króla Grecji i Jugosławii, Ileana poślubiła członka zagranicznej rodziny królewskiej. A tymczasem Aleksander był jedynie hrabią i jako średni syn pana na Pszczynie nie miał widoków na odziedziczenie rozległych dóbr swego ojca. Na szczęście miał poparcie przyszłej teściowej, na której zrobił bardzo dobre wrażenie i która nazywała go w listach „wyjątkowo sympatyczną osobą, gorąco witaną w rodzinie ze względu na angielską krew matki”¹³. Ostatecznie więc jakoś przebolano nieodpowiednie pochodzenie przyszłego męża Ileany i pogodzono się z jej wyborem, ale do małżeństwa zakochanych jednak nie doszło. I to pomimo że w witrynach wielu rumuńskich sklepów widniały już zdjęcia pary narzeczonych.

Podczas gdy urodziwy hrabia brylował na rumuńskim dworze, tamtejsze służby specjalne zabrały się za prześwietlenie przeszłości kandydata na męża księżniczki. Jak się można domyślić, szybko odkryły kompromitujące fakty dotyczące jego orientacji seksualnej, by bezzwłocznie poinformować rząd o „nieszczęsnych tendencjach” młodego arystokraty. Wobec takiego obrotu sprawy zarówno rząd, jak i rodzina królewska wycofały poparcie dla planowanego mariażu. Nawiasem mówiąc, ówczesny rząd miał dość skandalów na rumuńskim dworze, których głównym sprawcą był starszy brat Ileany, Karol II. Monarcha na skutek swoich erotycznych ekscesów w 1925 roku stracił koronę na rzecz swego syna Michała.

Tymczasem Daisy robiła, co mogła, by przekonać swoją przyjaciółkę do zmiany zdania: „Proszę Waszą Wysokość o nietraktowanie opowieści o młodzieńczych wybrykach mojego syna zbyt poważnie!”¹⁴ – błagała w listach. Ale królowa była nieprzejednana. Doskonale zdawała sobie sprawę, że wydając córkę za homoseksualistę, unieszczęśliwi ją do końca życia. Aleksandra zmuszono do wyjazdu. Swoją narzeczoną widział po raz ostatni na dworcu w Bukareszcie, kiedy wsiadał do pociągu wiozącego go do Wiednia. Następnego dnia prasa poinformowała o rezygnacji z małżeńskich planów księżniczki,

która wraz z matką wyruszyła w podróż po Egipcie. Hochberg nie składał broni i pojechał w ślad za nią, ale niczego nie wskórał. Nie dość, że nie dopuszczono go do Ileany, to król Fu'ad zagroził mu wydaleniem i młodzieniec jak niepyszny musiał wracać do Monachium, by wypłakać się swojej matce, tak samo jak on zawiedziony fiaskiem matrymonialnych planów.

Sam Aleksander do końca swych dni był przekonany, że za całą aferą stał jego starszy brat, który jak uzasadniał Loxel: „prędzej by umarł, niż pozwolił mi zostać «Królewską Wysokością» i przez rodzinne koligacje mojej [przyszłej] żony być spokrewnionym ze wszystkimi królewskimi rodzinami Europy”¹⁵. Jego zdaniem kompromitująca go afera ujrzała światło dzienne nie tyle na skutek sprawnego działania rumuńskich służb specjalnych, ile za sprawą „[wątpliwej jakości] «gentelmana» z Berlina, pana van der Haagena”¹⁶. Być może chodzi o ówczesnego marszałka zamku w Książu, van dem Hagena. To właśnie on miał dostarczyć do Bukaresztu dokumenty z procesu, przyczyniając się do zerwania zaręczyn.

Aleksander nigdy się nie ożenił ani nie spłodził potomka, natomiast Ileana w lipcu 1931 roku poślubiła tytularnego księcia Toskanii, arcyksięcia austriackiego Antoniego, z którym doczekała się aż sześciorga dzieci. Po II wojnie światowej i przejęciu władzy przez komunistów Ileana, podobnie jak reszta rodziny, wyemigrowała. Wraz z dziećmi osiadła w Stanach Zjednoczonych i w 1950 roku rozwiodła się z mężem, by cztery lata później poślubić Stefana Issarescu. I ten związek zakończył się rozwodem – w 1965 roku. W roku 1967 niedosza synowa Daisy wstąpiła do prawosławnego klasztoru, przybierając imię zakonne Aleksandra, a z czasem założyła nawet własny monaster Przemienienia Pańskiego w Ellwood, gdzie przebywała aż do swojej śmierci w 1991 roku.

O „nieszczęsnych tendencjach” hrabiego zrobiło się ponownie głośno w 1936 roku za sprawą artykułu zamieszczonego na łamach poczytnego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, w którym omawiano wizytę Jana Henryka XV u wojewody Grażyńskiego. Z dziennikarskiego obowiązku odnotowano, że księciu towarzyszył średni syn, Aleksander. I właśnie ten fakt oburzył niektórych

dziennikarzy, którzy poczuli się w obowiązku, by uświadomić obywatelom Rzeczypospolitej, iż pozujący na polskiego patriotę młody hrabia w rzeczywistości sympatyzuje z hitlerowcami. Mało tego, Hochbergowi wytykano przynależność do Oddziałów Szturmowych NSDAP – Sturmabteilung (SA), narzędzia terroru hitlerowców. W polskiej prasie pojawiały się artykuły informujące, iż Aleksander miał rangę Obersturmführera SA i piastował „dość poważny” urząd w monachijskiej siedzibie organizacji. Dociekliwi dziennikarze dobrze sprawdzili tę informację, a jedna z gazet nawet zamieściła fotografię Hochberga w mundurze SA, w towarzystwie niejakiego majora von Buchem. Sprawa miała posmak sensacji, bo syn księcia von Pless chciał uzyskać polskie obywatelstwo, a do hitlerowskiej formacji przyjmowano wyłącznie obywateli niemieckich i zdeklarowanych faszystów. Ponoć szefostwo monachijskiej SA wystosowało nawet specjalne podziękowanie dla hrabiego za pracę na rzecz Oddziałów Szturmowych NSDAP.

Wprawdzie przedwojenni dziennikarze nader często mieli swobodne podejście do podawanych w swoich artykułach faktów, czego przykładem są chociażby przytoczone wcześniej teksty dotyczące księżnej Daisy i jej rodziny, ale w tym przypadku nie była to kaczka dziennikarska. Aleksandra faktycznie – wprawdzie na krótko, ale jednak – uwiodła faszystowska ideologia. Zresztą on sam nigdy nie wypierał się tego kompromitującego incydentu z lat swojej młodości. Już po wojnie, kiedy wszczął z góry skazane na porażkę starania o wypłatę odszkodowania od rządu polskiego za zagarnięty przez komunistyczne władze majątek, otwarcie mówił o swojej przynależności do partii nazistowskiej, do której wstąpił w 1934 roku. Jak zeznał przed Trybunałem Odszkodowań Zagranicznych w Londynie, był członkiem SA przez dwa lata, do czasu, kiedy na dobre opuścił Monachium. Jednak jak zauważał, było to podyktowane nie tyle przekonaniem politycznym, ile... jego pasją do motoryzacji i chęcią udziału w wyścigach samochodowych, co umożliwiało właśnie wstąpienie do SA. Ostatecznie jednak zrezygnował z członkostwa i wyjechał do Polski, by wystąpić o obywatelstwo. Jak twierdził, gdyby wrócił do Niemiec, zostałby podobnie jak jego najmłodszy brat zesłany do obozu koncentracyjnego. W tym miejscu jednak nieco mijał się

z prawdą, bowiem najmłodszy syn Jana Henryka XV faktycznie został aresztowany przez gestapo, ale nie trafił do obozu koncentracyjnego, lecz do więzienia, co przypłacił poważnymi problemami zdrowotnymi. Aleksandrowi jednak, jako homoseksualiście, z całą pewnością groziło zesłanie do obozu.

Już po dojściu Hitlera do władzy hrabia został komendantem małej jednostki NSKK, wcześniej funkcjonującej jako klub automobilowy, a potem przekształconej w organizację paramilitarną, której zasadniczym zadaniem było uczestnictwo w różnego rodzaju ceremoniach. Należący do niego samochód marki Packard był wykorzystywany do przewożenia swoistej hitlerowskiej relikwii, czyli *Blutfahne* (niem. sztandar krwi) – flagi poplamionej krwią nazistów, uczestników nieudanego puczu monachijskiego z 9 listopada 1923 roku. Aleksander jednak nie wystąpił z hitlerowskiej organizacji dobrowolnie, tylko został z niej wydalony po tak zwanym puczu Röhma z 1934 roku i rzeczywiście groził mu obóz. Tak przynajmniej twierdził zmarły w 2022 roku bratanek Lexela. Niania opowiadała, że kiedy jego rodzina mieszkała w Monachium, na krótko po zatrzymaniu najmłodszego syna Jana Henryka do ich mieszkania wpadło gestapo. Jak się okazało, gestapowcy szukali właśnie Aleksandra, który przebywał wówczas w Polsce. Któryś z nich oświadczył niani, że skoro mają już jednego Hochberga, to znajdą także drugiego. Na szczęście hrabia nigdy nie wpadł w ich ręce. Zdaniem Bolka jego stryj był ofiarą hitlerowskiej nagonki, rozpętanej w Niemczech na skutek propolskich wyborów Jana Henryka XV, a pretekstem do szykan była seksualna orientacja Aleksandra, której Lexel nie ukrywał przed otoczeniem.

Pytanie tylko, czy przynależność do SA jednoznacznie świadczy o faszystowskich sympatiach Aleksandra. Ze wspomnień jego bratanka wynika, że hrabia nie popierał Hitlera, a do SA mógł wstąpić ze względu na zamiłowanie do sportów samochodowych, tym bardziej że trudno byłoby go uznać za ideowca. Księżę Bolko nazywał swego stryja prawdziwym Europejczykiem, obywatelem świata i kosmopolitą z wyboru, nadmieniając przy tej okazji, że ten zmieniał paszporty jak szorty. Kiedy w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku rząd RFN zaczął wypłacać rekompensaty za mienie pozostawione na byłych terenach

niemieckich na wschodzie, Lexel bezzwłocznie przyjął obywatelstwo niemieckie, dzięki czemu jako członek starej niemieckiej rodziny od siedmiuset lat osiadłej na Śląsku mógł się ubiegać o odszkodowanie za utracone włości. Jak twierdzi jego bratanek, Aleksander w swoim życiu miał aż cztery paszporty: niemiecki, angielski z racji urodzenia, polski – ze względu na miejsce zamieszkania, a nawet irlandzki. Ostatni z wymienionych dokumentów otrzymał w konsulacie na Majorce na podstawie pokrewieństwa ze swoją babcią, Patsy, która miała irlandzkie korzenie. Przynależność do SA należałoby zatem potraktować raczej jako kaprys niż przejaw jego przekonań.

Zrujnowany magnat

Jak wcześniej wspomniano, Jan Henryk XV robił, co mógł, by zyskać przychyłność polskich władz. W 1924 roku w swoich dobrach w Pszczynie gościł zapalonego myśliwego, jakim był prezydent RP Stanisław Mościcki, a w następnym roku razem ze swym najstarszym synem złożył wizytę prezydentowi w Belwederze i spotkał się z premierem Władysławem Grabskim oraz ministrami Maurycym Zamoyskim i Czesławem Klarnerem. Odbiło się to szerokim echem w prasie niemieckiej, oskarżającej księcia o dezercję z obozu nacjonalistycznego i wręcz o zdradę państwa. Sprawa była na tyle poważna, że książę dochodził obrony swojego imienia w sądzie. Pomimo to Jan Henryk uparcie twierdził, iż z Piastami śląskimi łączą go więzy krwi, mało tego, nakazał nawet specjalistom sporządzenie dość karkołomnego wywodu genealogicznego w celu udowodnienia związków Hochbergów z dynastią polską. O dziwo, wielu się na to nabierało – w polsko-niemieckie korzenie rodu uwierzył nawet Wojciech Kossak.

Prawdę mówiąc, Jan Henryk musiał żyć dobrze z władzą, bo po wielkiej wojnie dopadły go poważne problemy finansowe, do których przyczynił się nie tylko niefrasobliwy tryb życia całej rodziny i nieumiejętne gospodarowanie własnym majątkiem, ale także kryzysy ekonomiczne doby międzywojnia. Wywołało to zaległości

podatkowe, a co za tym idzie – także spory między rodziną księcia a polskimi władzami, które najchętniej przejęłyby cały niemiecki kapitał na Śląsku. Sytuacji nie poprawiał fakt, że pomimo przypochlebiania się Polakom książę uważał się jednak za Niemca i czuł się w obowiązku chronić niemiecką mniejszość, starał się także zatrudniać u siebie rodaków. W efekcie należący do niego koncern zaliczał się w latach dwudziestych „do najbardziej niemieckich, jeśli chodzi o obsadę ludzką, przedsiębiorstw na Górnym Śląsku. Jak podawała prasa, w 1925 r. 93% urzędników było narodowości niemieckiej, z czego wysoka liczba zachowała obywatelstwo niemieckie. Tylko w dyrekcji kopalń obywatelstwo to posiadało: gen. dyr. Pistorius, 5 dyrektorów (na 6 – tym jedynym był Antoni Okołowicz «firmujący» obecność Polaków w koncernie), 16 kierowników lub zastępców ruchu (na 43), 19 sztygarów i dozorców (na 84)”¹⁷. Takie postępowanie nie przysporzyło mu dobrej prasy w Polsce. Polskie gazety co rusz donosiły o niemieckich sympatiach księcia. „Dyrekcja Kopalń ks. pszczyńskiego jest Hochburgiem niemczyzny na Śląsku, tworząc przytułek dla różnych agentów niemieckich [...], całą administrację w Dyrekcji i na pojedynczych kopalniach prowadzi się w języku niemieckim [...] – informował swoich czytelników „Śląski Głos Poranny” w 1928 roku. – Należy stwierdzić jeszcze jeden fakt, że podczas gdy gdzie indziej przeprowadziło się redukcję, to u Księcia Pszczyńskiego pomimo tego, że skarży się na złą koniunkturę, przyjęto kilkunastu nowych urzędników, którzy albo na stronie niemieckiej służbę stracili, albo też za antypolską działalność z innych przedsiębiorstw zostali zwolnieni”¹⁸.

Najgorętsze spory dotyczyły podatków nakładanych przez państwo polskie w związku z realizacją reformy gospodarczej Władysława Grabskiego z 1924 roku. Chodziło głównie o kwestie podatku dochodowego oraz daniny leśnej, bowiem książę, skądinąd słusznie, czuł się pokrzywdzony zawyżonymi wymiarami podatkowymi i metodami ich ściągania, dlatego zdecydował się na przewlekłe i dość skomplikowane spory sądowe z Drugą Rzeczpospolitą. Prowadził je jednak już jego syn, Jan Henryk XVII, którego od 26 lutego 1925 roku książę uczynił generalnym pełnomocnikiem w Polsce. To właśnie on

składał w imieniu ojca skargi do Najwyższego Trybunału Administracyjnego w Warszawie, a po zaostrzeniu konfliktu podatkowego z państwem polskim, do którego niewątpliwie przyczyniły się poczynania wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego – do Trybunału Rozjemczego dla Górnego Śląska w Bytomiu i Rady Ligi Narodów w Genewie. Wysuwał wobec władz polskich oskarżenia o samowolę, chęć wywłaszczenia majątku książęcego i zamach na wolność jego jako pracodawcy w zakresie polityki zatrudnienia. Przy okazji oskarżał Polskę o prześladowanie mniejszości niemieckiej. Jego zdaniem, nakładając stanowczo zawyżone podatki, władze Drugiej Rzeczypospolitej chcą doprowadzić mniejszość niemiecką, w tym także von Plessów, do zubożenia, a w konsekwencji – do emigracji z Górnego Śląska. Młody książę jednak nie grał uczciwie. Namawiał chociażby swoją administrację do zatajania lub zaniżania części dochodów i wartości swej substancji majątkowej.

Spyry z polskimi władzami nasiliły się zwłaszcza po 1925 roku, w związku z wybuchem polsko-niemieckiej wojny celnej, w trakcie której Niemcy zaprzęstały importu polskiego węgla, a przecież aż pięćdziesiąt dwa procent węgla z kopalń pszczyńskich było eksportowane do tego kraju. Efektem było zamknięcie czterech kopalni pszczyńskich, skutkiem czego pracę straciło niemal trzy tysiące górników. Wówczas władze zarzuciły koncernowi zbytnią pochopność w zamykaniu kopalń, co nie miało żadnego uzasadnienia ekonomicznego. Zdaniem wielu było to działanie na korzyść Niemiec i na szkodę państwa polskiego. Na fali owych ataków Jan Henryk XVII rok później zażądał od berlińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych wysokiej pożyczki, w charakterze swoistej nagrody za jego starania na rzecz utrzymania niemieckości Górnego Śląska. Oczywiście pożyczkę otrzymał i to na dość dogodnych warunkach. A tymczasem jego ojciec, podobnie jak młodszy brat, nie miał najmniejszego zamiaru obniżyć swojego poziomu życia. Obaj nadal trwonili pieniądze, pomimo że wiosną 1930 roku polskie władze skarbowe wszczęły dochodzenie podatkowe wobec administracji pszczyńskiej, występując jednocześnie z żądaniem natychmiastowej spłaty zaległych podatków za lata 1925–1929. Długi osiągnęły astronomiczną wysokość 16,1 miliona złotych. Sytuacja finansowa Hochbergów tak bardzo się pogorszyła, że Jan

Henryk XV miał poważne problemy z opłaceniem swoich corocznych kuracji w Bad Nauheim oraz w Świebodzicach, gdzie w ramach oszczędności wyjeżdżał w towarzystwie tylko jednego kamerdynera.

Książęta von Pless mieli zatargi nie tylko z władzami Drugiej Rzeczypospolitej. Stary książę miał też długi w niemieckich bankach. W obliczu niewypłacalności niegdysiejszego magnata wierzyciele bankowi, działając w porozumieniu z niemieckim rządem, w grudniu 1930 roku utworzyli tak zwane Pless-Gremium, które przejęło pełną kontrolę nad finansami Jana Henryka XV. Nie wpłynęło to jednak na zmianę postępowania księcia. Wprawdzie zaprowadził pewne oszczędności, a zamek w Książu udostępnił odpłatnie do zwiedzania, ale nie zrezygnował z luksusowych wyjazdów zagranicznych w celu „podratowania” zdrowia – do Algieru, na Sycylię czy do Paryża. W latach 1928–1934 prywatne wydatki księcia wynosiły 1,274 miliona złotych! Wprawdzie opłaty za zwiedzanie Książa, przez który w 1934 roku przewinęło się aż 32 620 turystów, przynosiły spore dochody, ale i tak nie wystarczały na pokrycie wydatków i rosnącego zadłużenia, dlatego Jan Henryk XV zdecydował się na wyprzedaż rodowych sreber i umeblowania. W latach 1931–1932 tylko ze sprzedaży mebli uzyskano 47 165 marek. W 1935 roku doszło do wyprzedaży majątku ruchomego Książa, a tamtejszą stadninę koni wykupił niemiecki rząd, co bynajmniej nie wpłynęło na poprawę sytuacji majątkowej Jana Henryka. Niegdysiejszego milionera nie było nawet stać na opłacenie lekarza, z którego usług korzystał podczas jednego z pobytów w Schwarzwaldzie. Nie mogąc uregulować rachunku za leczenie i pobyt w hotelu, książę najwyraźniej w świecie uciekł pod osłoną nocy...

Kwestię niegospodarności pszczyńskiego księcia szeroko omawiała prasa polska. „Stary książę na Pszczyńcu, dysponujący tak olbrzymią fortuną, zbyt mało się o nią nie troszczył. Wszystko, co dostało się dotychczas do wiadomości publicznej o gospodarce w jego majątkach, świadczy o tym, że interesowały go wprawdzie dochody, potrzebne mu, aby mógł żyć wygodnie i wesoło w wielkim świecie, ale o sposób gospodarki i dobór ludzi, których obdarzył zaufaniem, niewiele się troszczył. Jest to pan, który zapomniał o tym, że ma także obowiązki względem społeczeństwa. Jest on żywym argumentem, że niezdrowym jest pod względem społecznym i gospodarczym skupienie tak

ogromnych posiadłości w jednym ręku”¹⁹. Kolejną sprawą, która ściągnęła na księząt, a konkretnie na Jana Henryka XVII, gromy ze strony polskich dziennikarzy, było zastrzelenie w lutym 1931 roku przez przyjaciela księcia, margrabiego Zygmunta Wielopolskiego z Chrobrza koło Pińczowa, dwóch bytujących w pszczyńskich dobrach Hochberga żubrów. Prasa, a wraz z nią polscy zoologowie przypuścili atak na księcia, oskarżając go nie tylko o barbarzyństwo, ale także o chęć wytępienia tych zwierząt. W maju 1934 roku cała Polska żyła kolejną aferą. Otóż do pszczyńskiego więzienia trafił Jan Henryk XVII – za naruszenie ustawy o ochronie rynku pracy, a dokładniej za zatrudnienie obywatela niemieckiego. Kiedy zaś opuścił więzienie, ruszył z nową kampanią przeciwko polskim władzom.

W sierpniu tego samego roku na wniosek prokuratury generalnej pięć śląskich sądów grodzkich podjęło decyzję o ustanowieniu zarządu przymusowego (komisarycznego) nad dobrami pszczyńskimi. Jak łatwo się domyślić, Jan Henryk XVII składał apelacje i zażalenia, ale to nie zdało się na nic i 15 września 1934 roku zarząd przymusowy przejął kontrolę nad dobrami pszczyńskimi. Młody książę nigdy się z tym nie pogodził, dlatego 7 września w londyńskim „Timesie” opublikował list otwarty, w którym polemizował z decyzjami władz polskich, co wywołało niemałą burzę. Niepokornego księcia prasa oskarżała o zdradę państwa polskiego, a niektórzy politycy postulowali wręcz wysłanie go do niesławnej Berezki Kartuskiej. Janowi Henrykowi XVII zakazano wjazdu do Polski, skazując go tym samym na emigrację. Odtąd dzielił życie między Niemcy i Anglię, co bynajmniej nie znaczyło, że złożył broń. Nadal zasypywał Ligę Narodów swymi petycjami z drobiazgowymi zarzutami wobec poczynań władz polskich i zarządu komisarycznego. Na próżno – 18 stycznia 1935 roku Liga Narodów wydała rezolucję, w której stwierdzała, iż „zarządzenia polskich władz skarbowych, wzięte w swej całości, nie stanowią wypadku nierównego traktowania Plessa, niezgodnego z przepisami Części III Konwencji Genewskiej”²⁰ – i uznała sprawę za zakończoną.

Zanim jednak do tego doszło, polskie władze skarbowe wydały decyzję o zajęciu niektórych ruchomości należących do księcia oraz o wystawieniu sprzętów z pałaców w Pszczynie i Promnicach

na licytację w celu pokrycia niektórych długów. W maju 1934 roku zajęcia objęły zapasy gotówki, papiery wartościowe, konta bankowe, zapasy węgla i materiałów budowlanych w kopalniach, drewna w tartakach, zapasy piwa oraz wyposażenie szeregu przedsiębiorstw pomocniczych i biur poszczególnych dyrekcji koncernu. Natomiast na zamkach w Promnicach i Pszczynie komornicy sądowi opieczętowali cały inwentarz ruchomy łącznie z bronią myśliwską i biżuterią oraz powozownię. Zgodnie z zachowanym protokołem Janowi Henrykowi XVII zajęto wówczas: dwa samochody osobowe marki Ford, cztery dubeltówki, w tym dwie z lornetką, sztucer rosyjski, pistolety Flobert i Browning, siwe futro, maszynę do pisania marki Remington i 1,5 tysiąca książek. Natomiast jego małżonce opieczętowano między innymi „walizkę z biżuterią, w której znajdowało się: 3 złote bransoletki, 8 złotych broszek, 2 srebrne broszki, 4 złote szpilki i do krawatu, pierścień z brylantami, 3 pary złotych spinek do mankietów, 2 pary perłowych kolczyków, parę kolczyków z kamieniami, złoty zegarek, złotą torebkę, naszyjnik z perłą, pierścień złoty z perłami, pierścień z brylantami, pierścień z 2 perłami, pierścień z kamieniami. W powozowni służbowej na Kempie sekwestr objął rozmaite pojazdy używane nie tylko przez personel koncernu, ale i osoby towarzyszące księżetom w przejażdżkach i polowaniach”²¹. Przy okazji zajęto też meble będące prywatną własnością księżnej Daisy, które albo otrzymała w prezencie w trakcie swojego małżeństwa, albo zakupiła z własnych środków w Neapolu i Francji. Było ich całkiem sporo, bo w Pszczynie znajdowały się następujące meble będące własnością księżnej: „5 szaf, 2 szafki, 4 komody, biurko, toaletka, parawan, umywalka, 5 stołów, 5 stolików, 4 kanapy, 3 krzesła, 19 foteli, łóżko, 2 zegary, 8 dywanów, 2 lustra, 2 żyrandole”²². Przetrzymywała je w Pszczynie ze względu na brak miejsca w kamienicy w Monachium, gdzie mieszkała. Na wieść o zajęciu własności matki Aleksander zażądał wycofania ich z licytacji, na co uzyskał zgodę pod warunkiem wpłacenia kaucji w wysokości 4 tysięcy złotych. Hrabia wpłacił ją dosłownie w ostatniej chwili, w momencie rozpoczęcia licytacji, tuż po oględzinach, wobec czego meble zostały faktycznie wycofane, co wzbudziło niekłamaną sensację.

Na wieść o planowanej licytacji Jan Henryk XVII bezzwłocznie wystosował do Rady Narodów kolejną petycję, w której oskarżył władze polskie o bezprawną egzekucję majątku ojca i swojego własnego, przedstawiając się przy tej okazji w roli wybitnie prześladowanego przedstawiciela mniejszości niemieckiej na polskim Górnym Śląsku. Ponieważ nie zapobiegło to licytacji, Jan Henryk XV, działając w porozumieniu z najstarszym synem i chcąc ratować cenne przedmioty, a przy okazji także honor rodziny, podstawił na licytanta hrabiego Aleksandra, któremu polecił wykupić co cenniejsze precjoza i pamiątki. Pierwsza licytacja, która odbyła się w Pszczynie 10 sierpnia 1934 roku i którą prowadził kierownik miejscowego Urzędu Skarbowego, niejaki Ochęduszką, ze zrozumiałych względów wzbudziła niemałe zainteresowanie prasy i to nie tylko lokalnej. Wszak była to pierwsza w dziejach międzywojennej Polski przymusowa licytacja wyposażenia siedziby rodowej rodziny należącej do arystokracji. Katowicka gazeta „Siedem Groszy” informowała swoich czytelników, iż „już od wczesnych godzin porannych przed zamkiem gromadziły się większe tłumy ludzi, komentujących żywo ostatnie wypadki. Krótco przed godziną 9-tą do zamku przybyli sekwestраторы Urzędu Skarbowego w Pszczynie, czyniąc gorączkowe przygotowania do przeprowadzenia licytacji. Przed zamkiem oraz we wszystkich wejściach ustawione były silne posterunki policyjne, które utrzymywały należyty porządek. Ponieważ w tym wypadku spodziewano się większego napływu ciekawych, posterunkowi nie dopuszczali tych osób na teren zamku. W szczególności przy wejściu do zamku wszyscy zamierzający brać udział w licytacji musieli się wykazać posiadaniem sumy 50 zł. Pomimo takiej kontroli nieomal cały zamek zapełnili ciekawi. Z pośród kupujących zauważyć można było hr. Aleksandra Hochberga z Monachium, oraz kilku żydów, handlarzy starzyzną. Amatorzy kupna oprowadzani byli grupami po zamku. Do ostatniej jednak chwili panowało ogólne przekonanie, że do naznaczonej licytacji nie dojdzie, tym bardziej że w jednym z gabinetów odbywały się jeszcze pertraktacje w sprawie ewentualnego wstrzymania licytacji. Ostatecznie jednak sekwestраторы zawiadomili oczekujące osoby, że wobec niedojścia do jakiegokolwiek porozumienia pomiędzy stronami przystąpi się do licytacji zajętych przedmiotów.

Naprzód rozpoczęto sprzedaż powozów oraz aut. Ponieważ jednak te wehikuły sprzedawano jedynie w kompletach po kilka sztuk, nie znalazł się na nie ani jeden reflektant. Urzędnicy powiadomili przybyłych, że następna licytacja odbędzie się w dniu 16 bm. Niesprzedane auta i powozy wystawione zostają dziś na sprzedaż już pojedynczo oraz sprzedane zostaną poniżej ceny szacunkowej. Następnie wszyscy udali się do zamku, gdzie miał się odbyć dalszy ciąg licytacji. W zamku zostały wystawione na sprzedaż urządzenia pokoi, obrazy, cenne zbiory rogów oraz biblioteka. Jako pierwsze sprzedane zostały zbiory rogów w ilości 42 sztuk, które nabył krewny ks. pszczyńskiego hr. Hochberg z Monachium. Z przebiegu licytacji wywnioskować można było, że krewni ks. pszczyńskiego zamierzali kupić wszystkie przedmioty, przedstawiające jakąś wartość historyczną dla ich rodu. Drobniejsze przedmioty przeszły na własność żydowskich handlarzy starzyzną. Licytacja przeciągnęła się do późnych godzin popołudniowych²³.

Biorąc pod uwagę wylicytowane ceny, można uznać, że o licytowane przedmioty raczej nie konkurowano. Na szczęście dla Hochbergów znacznie większym zainteresowaniem niż dzieła sztuki czy precjoza cieszyły się przedmioty czysto użytkowe, na przykład nowy fortepian czy odbiorniki radiowe albo dywany. Poza tym przybite ceny były wyższe od cen wywoławczych zaledwie o kilka, co najwyżej dziesięć złotych, dzięki czemu Aleksandrowi udało się wykupić większość drogocennych przedmiotów. Jak wynika z zapisów jednego z urzędników książęcych, Waluscha: „W obce ręce przeszły właściwie tylko przedmioty dla nas niewartościowe. Przez nieuwagę poszło jednak 20 wyrzeźbionych krzesel i foteli z pokoju Hindenburga za cenę 800 zł. Oprócz tego sprzedano ze zamku: 4 białe krzesła i 2 stoły z łazienki za cenę ok. 75 zł, które nam jednakże chce wrócić kupiec w tej samej wartości, dywan z biblioteki w cenie 2400 zł, 2 dywany z pokoju gościnnego na 2 piętrze za cenę ok. 500 zł, pianino z pokoju gościnnego za cenę 1000 zł, waza za 160 zł i 2 zegary stołowe za 235 zł. Inne przedmioty dotąd nie przeszły jeszcze w obce posiadanie. [...] Ścisk do oględzin w piątek był olbrzymi. Szacuję liczbę ludzi, którzy przez zamek przeszli w celach kupieckich na ok. 1000 osób. W pierwszym rzędzie byli obecni naturalnie żydzi. Przygotowaliśmy się już dzień

wcześniej i wszystko, co ewentualnie złodziej mógłby wziąć, schowaliśmy, tak że tylko meble i zajęte wazy stały w pokojach. Oględziny trwały od 8.30 do 10.30, natomiast licytacja od 11.30 do 20.30. Poza tym przebiegała ta licytacja spokojnie”²⁴.

Wnuk Jana Henryka XV i Daisy, Bolko Hochberg von Pless, udzielając przy okazji swojej wizyty w Pszczynie w 2012 roku wywiadu polskiej dziennikarce, aferę podatkową uznał za prywatną wojnę, którą rodzinie Hochbergów wytoczył długoletni wojewoda śląski, Michał Grażyński. „Dziadek nie płacił podatków, bo do I wojny w ogóle żadnych podatków się nie płaciło państwu, monarchia była jakby od tego zwolniona – mówił. – Dziadek w ogóle więc nie wiedział, co to podatek, było to coś nowego. Trzeba było na rzecz państwa uiszczać inne rzeczy, ale nie był to podatek od posiadłości. Oczywiście dziadek popełniał błędy. Jak powiedziałem jednak, trwała wojna osobista między Grażyńskim a nim. Można powiedzieć, że wojna między młodą demokracją a starą monarchią, uwarunkowana również politycznie. Wielu Polaków, którzy znali dziadka i zajmowali się jego historią, wiedziało, że wstawiał się na dworze pruskim za Polakami. Ale wiedzieli o tym tylko ci, którzy byli blisko i tym się zajmowali. To jasne, że ci, którzy przybyli później do zarządu na Śląsku, przyjechali z centralnej Polski i chcieli jakby doprowadzić do przejścia władzy nad monarchią”²⁵.

Wspomniany przez Bolka Michał Grażyński, który sprawował swój urząd aż trzynaście lat, faktycznie był postacią dość kontrowersyjną. Wprawdzie jego wkład w rozwój Śląska jest niezaprzeczalny, podobnie jak zasługi w walce o polskość regionu, ale dla większości tamtejszych mieszkańców, w tym także dla Wojciecha Korfatego, był człowiekiem z teczki, w dodatku bez doświadczenia politycznego. Pochodził z Galicji i przed I wojną światową był nauczycielem, by potem walczyć jako oficer cesarsko-królewskiej armii, a jego jedynym politycznym autorytetem był Józef Piłsudski, od którego przejął politykę faktów dokonanych. Był całkowitym przeciwieństwem Korfatego, urodzonego pragmatyka, dążącego do porozumienia z niemieckimi przedsiębiorcami działającymi na terenie Śląska, przy jednoczesnej świadomości potrzeby zachowania miejsc pracy dla robotnika

polskiego. Co więcej, jeszcze w trakcie trzeciego powstania śląskiego Korfanty wydał odezwę zatytułowaną *Do rodowitych Niemców, mieszkańców miast górnośląskich*, w której apelował o współdziałanie przedstawicieli obu narodowości w imię wspólnych interesów gospodarczych, a także więzów krwi, przy czym, mówiąc o „wężach krwi”, miał na myśli mieszane małżeństwa polsko-niemieckie. Nigdy nie opowiadał się za całkowitym wyeliminowaniem mniejszości niemieckiej z obszaru Śląska, a w swojej publikacji *Zadania Chrześcijańskiej Demokracji w Polsce*, wydanej w Poznaniu w 1922 roku, apelował: „Doznawszy sami ucisku narodowego, strzec się powinniśmy przed popadaniem w błąd podobny. Chrześcijańskie poczucie sprawiedliwości nie pozwoli nigdy wstąpić nam na drogę hakatyizmu śląskiego i ucisku narodowego”²⁶. Nawiasem mówiąc, za pokojowym współistnieniem Niemców i Polaków na Śląsku opowiadali się także tamtejsi przedstawiciele Kościoła katolickiego. Tymczasem Grażyński dążył do całkowitego wyparcia Niemców z Górnego Śląska, jak również do ograniczenia autonomii, jaką Śląsk cieszył się w Drugiej Rzeczypospolitej. On sam, piastując swoje stanowisko, zachowywał się niczym udzielny książę, a z dziesiątej rocznicy objęcia urzędu uczynił niemalże święto państwowe. Rodowitym Ślązakom naraził się, obsadzając najważniejsze stanowiska urzędnikami z innych części kraju, którzy nie znali dobrze regionu, jego potrzeb ani mentalności tamtejszych ludzi.

Najwidoczniej jednak wojna, zdaniem Bolka Hochberga wytoczona przez Grażyńskiego jego dziadkowi, nie była aż tak zacięta, jak można byłoby sądzić, skoro 12 marca 1936 roku stary książę wyjechał na stałe z Niemiec i wraz z dwoma młodszymi synami osiadł w Pszczynie. Zdaniem biografy Jana Henryka XV, Jerzego Polaka, istnieją realne przesłanki, na podstawie których można wywnioskować, iż do przeprowadzki namawiał magnata sam wojewoda. Zrujnowany książę nie miał już środków do życia, poza tym nie chciał zaakceptować hitlerowskiego reżimu. W Pszczynie przyjęto go nadspodziewanie serdecznie, a on sam w jednym z publicznych wystąpień oświadczył, iż w Polsce czuje się znacznie lepiej niż w Niemczech. Tu też osiągał dochody, które wystarczały mu na godne życie, gdyż jak wyjaśnia jego wnuk, Bolko, jego rodzina wprawdzie straciła „dużo lasów, ale

posiadłości były tak wielkie, że nie odgrywało to dużej roli. Zatrzymaliśmy wszystkie kopalnie węgla i browar”²⁷.

5 sierpnia 1936 roku w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach odbyło się spotkanie Jana Henryka XV z wojewodą, określone przez polską prasę mianem „Canossy księcia von Pless”. Niedydziejszy magnat, przełknawszy urażoną dumę, uznał przymusowy zarząd nad swymi dobrami nie tylko za prawomocny, ale także korzystny pod względem gospodarczym. Zgodził się również na polonizację kadr koncernu.

Zarząd przymusowy nad dobrami pszczyńskimi von Plessa działał aż do 31 stycznia 1939 roku, wykrywając cały szereg malwersacji i afer gospodarczych, za którymi stali dyrektorzy i urzędnicy zatrudnieni w koncernie. Ostatecznie jednak zarządowi udało się przywrócić ich dochodowość, aczkolwiek nie spłacono wszystkich długów na rzecz skarbu państwa, których wysokość w 1936 roku wynosiła 60 milionów złotych. Tymczasem zarząd wypracował 13,5 miliona złotych czystego zysku, z czego do skarbu państwa z tytułu zaległych podatków odprowadzono 2,9 miliona złotych, 4 miliony zainwestowano w majątek, a resztę przeznaczono dla rodziny książąt pszczyńskich. Pod koniec grudnia 1937 roku upaństwowiono część lasów pszczyńskich, o powierzchni 21 543 hektarów, oraz dwa tartaki. Wspomniane lasy zabezpieczały roszczenia skarbu polskiego za podatki na sumę przeszło 22 milionów złotych. Książęta musieli się zadowolić jedynie lasami wokół zamku w Promnicach, o powierzchni 5,4 tysiąca hektarów.

Wspomniane wydarzenia wywołały rozłam w rodzinie. W przeciwieństwie do Jana Henryka XVII jego dwaj młodsi bracia, Aleksander i Bolko, szukali porozumienia z państwem polskim. Przekonani o szkodliwości działań starszego brata, któremu jak zauważał jego bratanek Bolko, brakowało doświadczenia i wyczucia politycznego, nakłonili ojca do zerwania kontaktów z najstarszym synem. W efekcie w swoim testamencie spisany 17 sierpnia 1936 roku uczynił swoim głównym spadkobiercą Aleksandra. Wszystkie te wydarzenia z pewnością wpłynęły na pogorszenie stanu zdrowia starego księcia, zwłaszcza że w 1934 roku, tym samym, w którym odbyła się licytacja wyposażenia Pszczyń i Promnic, doszło

do rozwodu z Klotyldą, i to w wyjątkowo skandalicznych okolicznościach.

Bolko i Klotylda

Nie wiadomo dokładnie, kiedy najmłodszy syn Daisy zainteresował się swoją macochą. Niektórzy biografowie rodziny Hochbergów twierdzą, że już w dniu ślubu swego ojca wodził za nią zachwyconymi oczyma. Jeżeli nawet tak było, to nikt nie zwracał na to uwagi, wszak Bolko miał wówczas tylko piętnaście lat – niejeden nastolatek przeżywa taką fascynację piękną, starszą od siebie kobietą, ale w przypadku najmłodszego pasierba Klotyldy było to coś poważniejszego niż zwykłe zauroczenie macochą. Z pozoru niewinne i nic nieznaczące uczucie przerodziło się w ognisty romans, którego nie dało się utrzymać zbyt długo w sekrecie ani przed starym księciem, ani przed otoczeniem.

Tymczasem Jan Henryk był zakochany w młodziutkiej żonie, której gotów był przychylić nieba i pomimo problemów finansowych nie szczędził grosza na jej potrzeby. A Klotylda zdawała się te uczucia odwzajemniać i bardzo dbała o swojego, dość mocno schorowanego małżonka, któremu nie dawało do myślenia, dlaczego każe mu kłaść się bardzo wcześnie spać i kilka razy do roku wysyła go samego na wypoczynkowe wyjazdy do niemieckich i austriackich kurortów. Samotność umilały mu tam otrzymywane od żony listy, w których zapewniała go o swojej bezgranicznej miłości i tęsknocie. Tymczasem były to elementy sprytniej gry umożliwiającej jej schadzki z przystojnym, młodym pasierbem, który skutecznie zaspokajał południowy temperament macochy. Romans jednak okazał się brzemienny w skutki, i to w sensie dosłownym, bo Klotylda w 1929 roku wydała na świat córkę, Beatrice, a rok później – syna Konrada Józefa, który jednak zmarł w niemowlęctwie. Ojcem obojga był oczywiście Bolko, bo stary, schorowany książę miał już wówczas problemy z wypełnianiem małżeńskich obowiązków. Zdawał sobie zresztą sprawę, że jego żonę i najmłodszego syna łączy uczucie, ale znosił to z podziwu godną rezygnacją. Co więcej, zapewne w obawie

przed skandalem płacił rachunki Klotyldy i Bolka, a nawet finansował ich zagraniczne podróże. Kto wie, może uznał, że poroże, które za sprawą poczynań jego małżonki i syna wyrosło na jego głowie, pasuje do trofeów myśliwskich zdobiących ściany Książa... Z czasem jednak, nie chcąc patrzeć na ich szczęście, coraz częściej wyjeżdżał do Paryża i Monte Carlo, gdzie odreagowywał stres w kasynach.

W końcu jednak musiał zareagować, bowiem romansu Bolka z macochą nie dało się dłużej chować w tajemnicy. Ich związek stał się tematem plotek, zaś zdradzany stary mąż – obiektem drwin. W dodatku najmłodszy z synów Jana Henryka okazał się wytrawnym uwodzicielem i zaplątał się w kolejny romans, tym razem z rozwódką z Berlina, niejaką Eleonorą Wells, co bynajmniej nie oznaczało rozstania z Klotyldą. Stary książę w końcu postanowił działać. Wezwał do siebie syna i swoją niewierną żonę. Bolko usłyszał od niego, że jeżeli nie ożeni się z Klotyldą i nie uzna jej dzieci za swoje, zostanie wydziedziczony, co okazało się wystarczającą zachętą do małżeństwa. Zanim jednak do tego doszło, 5 marca 1954 roku Sąd Krajowy w Berlinie unieważnił małżeństwo Jana Henryka XV z Klotyldą, która zrzekła się tytułu księżnej oraz wszelkich roszczeń finansowych. Przy tej okazji schorowany książę musiał przełknąć kolejną gorzką pigułkę, bowiem za podstawę do unieważnienia związku przyjęto całkowitą impotencję Hochberga. Pomimo to dwójka dzieci urodzonych w trakcie małżeństwa została uznana za potomków księcia. W maju tego samego roku Jan Henryk XV usunął swoją byłą żonę i syna z Książa. Oboje wraz z dziećmi wyjechali do Monachium, gdzie zalegalizowali swój związek. Doczekali się tam kolejnych pociech: Jadwigi Marii, która przyszła na świat 11 października 1934 roku, i Bolka Konstantyna, urodzonego 3 kwietnia 1936 roku. Wówczas Jan Henryk XV wystąpił o unieważnienie jego małżeństwa z Klotyldą w Polsce oraz o wykluczenie jego ojcostwa w stosunku do dwójki starszych potomków. 18 marca 1936 roku Sąd Okręgowy w Katowicach na podstawie przepisów prawa hiszpańskiego unieważnił jego małżeństwo z hiszpańską arystokratką, natomiast za ojca jej dzieci uznał aktualnego męża Klotyldy.

Owo rozstanie sprawiło, że Jan Henryk zaczął myśleć ciepło o swojej pierwszej żonie, której zaproponował ni mniej, ni więcej, tylko

przeprowadzkę do Książa. A Daisy o dziwo się zgodziła. Trudno powiedzieć, co stało za tą decyzją, ale możemy przypuszczać, iż księżna bardzo źle się czuła w Monachium, kolebce hitleryzmu, gdzie na ulicach roiło się od brunatnych koszul. Na krótko przed przeprowadzką wydała dyspozycje odnośnie do posiadanych rzeczy – zaleciła sprzedaż swojego księgozbioru oraz niepotrzebnych mebli, natomiast resztę poleciła przekazać swojej synowej, Klotyldzie, matce jej wnuków.

I tak historia zatoczyła koło – księżna ponownie wjeżdżała do zamku, jak przed przeszło czterdziestu laty witana uroczyście przez pracowników zamku i ich rodziny. Jednak Książ w niczym nie przypominał już wspaniałej rezydencji, która wówczas zachwycała ambasadorową, w dodatku pracowało tam znacznie mniej ludzi, bowiem ze względu na trudności finansowe większość została zwolniona, a część wyposażenia wyprzedana na pokrycie długów. Ona sama nie zamieszkała na zamku w swoich dawnych apartamentach, ale w oficynie budynku bramnego. „Biedny stary Tommy [przezwisek nadane przez księżną na początku małżeństwa Janowi Henrykowi – I.K.] – pisała księżna w swoich wspomnieniach – nie powodzi mu się zbyt dobrze...”²⁸ W dodatku po parku i zamku, zmienionym w muzeum, przechadzały się tłumy nieznanym. „Pomyśleć, że zamek, który był naszym domem, jest teraz po prostu muzeum – odnotowała. – Obcy ludzie chodzą po naszych pokojach, śmieją się, dotykają naszych prywatnych rzeczy. Tu, gdzie przeżywaliśmy tyle radości i smutków. Niewielu ludzi lubi zwiedzać muzeum, a jeszcze mniej mieszkać w nim...”²⁹ Księżna pozostała w Książu także wówczas, kiedy jej były małżonek wraz z dwoma synami zdecydował się na wyjazd do Polski. Była już bardzo schorowana i wymagała stałej opieki, którą zapewniała jej niegdysiejsza piastunka jej zmarłej matki, Walijka Dorothy Crowther, zwana po prostu Dolly. Obok niej o wygody księżnej dbały także pokojówka, kucharka i pielęgniarka, natomiast gospodarstwem oraz finansami zajmował się ówczesny zarządca na Książu, wcześniej pracujący na stanowisku sekretarza Jana Henryka, Richard Knorn. Schorowanej i skazanej na wózek inwalidzki księżnej towarzystwa dotrzymywał także mały, zabawny piesek Stern.

Wydaje się, że mimo wszystko Jan Henryk z czasem ułożył sobie relacje z najmłodszym synem i swoją byłą żoną, skoro oboje mieli wraz z nim wyjechać z Niemiec do Pszczyny. Niestety 20 marca 1936 roku na lotnisku w Gliwicach gestapo aresztowało Bolka, co było wynikiem intrygi skłóconego już wówczas z braćmi najstarszego syna księcia. Zatrzymanemu nie postawiono żadnych konkretnych zarzutów i bezprawnie przetrzymywano go w areszcie policyjnym przez całe trzy tygodnie. Próbowano wytoczyć mu proces karny, ale zabrakło ku temu podstaw prawnych. Mimo to hrabia nie odzyskał wolności. Nie pozostało to bez wpływu na chorującego od dzieciństwa Bolka, który zaczął poważnie podupadać na zdrowiu. W tej sytuacji lekarz więzienny zalecił bezzwłoczne zwolnienie więźnia. Jego uwagi jednak zignorowano, a schorowanego hrabiego przewieziono do szpitala więziennego w Berlinie. Tymczasem stan Bolka uległ gwałtownemu pogorszeniu – zachorował on na anginę, a niewłaściwie leczona choroba wywołała zakażenie krwi. W końcu rodzina Hochbergów poprosiła o interwencję ówczesnego ambasadora Rzeczypospolitej w Berlinie, Józefa Lipskiego, i dopiero wówczas mężczyzna odzyskał wolność, po czterech tygodniach spędzonych w więzieniu. 18 kwietnia 1936 roku został przywieziony do Pszczyny, gdzie zajęli się nim najznajomsi lekarze. Było już jednak za późno i podejmowane przez nich wysiłki, w tym przetoczenie krwi, spełzły na niczym. Najmłodszy syn Daisy umarł na zamku pszczyńskim 22 czerwca 1936 roku o godzinie 6.30 rano. Zbolały ojciec, po uzyskaniu stosownych zezwoleń ze Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, 25 czerwca 1936 roku pochował syna w parku zamkowym w tymczasowym grobowcu oddalonym o około sto pięćdziesiąt metrów od zamku pszczyńskiego, na tak zwanym Kukułczym Wzgórzu. Na pogrzebie zabrakło matki Bolka, księżnej Daisy, której stan zdrowia nie pozwolił na przyjazd. Być może nie uzyskała też stosownego zezwolenia od niemieckich władz. Nie było także najstarszego brata zmarłego, obwinianego o przyczynienie się do zgonu nieszczęsnego Bolka.

Owdowiała Klotylda wraz z dziećmi zamieszkała w Pszczynie i bardzo szybko zaskarbiła sobie przychyłność służby oraz okolicznej ludności, czego nie można powiedzieć o nielubianej małżonce Jana Henryka XVII – Katarzynie. Damy nie darzyły się wzajemnie sympatią,

ale musiały się tolerować, gdyż dzieliły wspólne lokum. Panie schodziły sobie z drogi, a kiedy w niedzielę udawały się do kościoła – a obie były praktykującymi katoliczkami – jedna wchodziła tam głównym wejściem, natomiast druga przez zakrystię.

Jan Henryk XV nigdy nie zapomniał najstarszemu synowi, że przyczynił się do śmierci nieszczęsnego Bolka, i praktycznie zerwał z nim kontakty. Kiedy 16 maja 1937 roku młody książę na krótko przyjechał do Pszczyzny, jego ojciec nawet nie pozwolił mu wejść do swojego pokoju. Po zgonie najmłodszego syna Jan Henryk XV postanowił ostatecznie zażegnać spór z polskimi władzami i odtąd razem ze średnim potomkiem, który otwarcie kreował się na Polaka, ostentacyjnie okazywał swoją przychylność wobec Rzeczypospolitej. W lutym 1937 roku przekazał na lotnisko dla Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej należący do niego teren pod Pszczyną, wyłożył 100 tysięcy złotych na Fundusz Obrony Narodowej, hojnym datkiem wsparł także budowę pomnika Józefa Piłsudskiego i podjął decyzję o spolszczeniu nazw wszystkich należących do niego kopalń, a przy tej okazji spolszczył również firmową papeterię. Aleksander także otwarcie manifestował swoją polskość. Kiedy przebywał w Warszawie, w przerwach między imprezami organizowanymi w jego luksusowym apartamencie spotykał się z wojskowymi oraz zarządem Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, wspierając organizację hojnymi darowiznami. Nic zatem dziwnego, że narracja w prasie polskiej w stosunku do księcia zmieniała się o sto osiemdziesiąt stopni, a katowicka „Polonia” nazwała go nawet „agitatorem wszechpolskim”. O dziwo, także Jan Henryk XVII zmienił, przynajmniej oficjalnie, swoje stanowisko. W lutym 1937 roku wystosował list otwarty do społeczeństwa polskiego i władz państwowych, w którym przedstawiał się jako obywatel Drugiej Rzeczypospolitej i oświadczał: „w żadnym z moich czynów, w żadnej mojej decyzji i w żadnej enuncjacji nie znajdzie się nic, coby w najmniejszej mierze mogło świadczyć o chęci działania na szkodę Państwa Polskiego”³⁰.

Jan Henryk XV przeżył swojego najmłodszego syna o niespełna dwa lata: zmarł w paryskim hotelu Ritz na atak serca 31 stycznia 1938 roku o godzinie 20.30 – w otoczeniu swojego średniego syna

i kamerdynerów. Jego ciało sprowadzono do kraju i 7 lutego 1938 roku pochowano obok Bolka.



Daisy, księżna pszczyńska (James Lafayette, 2 września 1898)

Rozdział 6

Echa dawnej świetności

Przymusowa przeprowadzka

Nieszczęsnej Daisy, borykającej się z coraz większymi problemami zdrowotnymi, nie dane było dożyć kresu swych dni w ukochanej rezydencji w Książu. Może i dobrze się stało, bo nie widziała dewastacji, jakiej z czasem dokonali hitlerowcy w zamku. Bohaterka naszej opowieści ostatnie lata swego życia spędziła bowiem w Wałbrzychu, nie wiemy jednak, kiedy i dlaczego się tam znalazła. W zdecydowanej większości opracowań dotyczących najśłynniejszej mieszkanki Książa można przeczytać, iż Daisy opuściła zamek w październiku 1940 roku lub rok później na skutek decyzji niemieckich władz. Dość powszechna jest także pogłoska, jakoby był to tajny rozkaz Hitlera. Kiedy jednak biografka księżnej, Bronisława Jeske-Cybulska, przyjrzała się bliżej sprawie, okazało się, że nie ma żadnego wiarygodnego źródła potwierdzającego taką wersję wydarzeń. Wiadomość o przenosinach schorowanej księżnej pochodziła od Richarda Knorna, który twierdził, że Daisy zamieszkała w Wałbrzychu tuż po wybuchu wojny, nie podawał jednak dokładnej daty. W jego relacji próżno też szukać wzmianki na temat interwencji Hitlera. Niedysiejszy sekretarz Jana Henryka XV twierdzi, iż inicjatorem przeprowadzki księżnej do Wałbrzycha był jej najstarszy syn, Hansel, od 1932 roku mieszkający w Anglii. To właśnie on podczas ostatniej wizyty na Śląsku przed wybuchem II wojny światowej miał wyznaczyć jednego z wrocławskich prawników na swojego pełnomocnika i jednocześnie znaleźć stosowne lokum dla schorowanej matki – dom przy Friedlanderstrasse 43 (obecnie Moniuszki 43). Jednocześnie zlecił wspomnianemu prawnikowi regularne pokrywanie kosztów czynszu oraz wypłatę comiesięcznej renty w wysokości 2,5 tysiąca marek. Nie wydaje się też, iż przyczyną przeprowadzki było złe

traktowanie nieszczęsnej księżnej przez hitlerowców, bo nawet wśród nich ta dzielna, schorowana i skazana na inwalidzki wózek kobieta budziła szacunek. Jak wspominał jeden z jej niegdysiejszych stajennych: „bił z niej taki majestat, że [gestapowcy i esesmani – I.K.] pokornieli, stawali się grzeczni i układni, spełniając wyrażone życzenia, chociaż uprzednio odgrażali się, że zajdą za skórę tej przekłętą Angielce”¹.

Z zapisów Knorna nie wynika również, jakoby wyprowadzka z Książa miała się odbyć pod przymusem, aczkolwiek możemy się domyślać, iż Daisy nie była uszczęśliwiona takim obrotem sprawy. „Uczyniono wszystko, by ta przeprowadzka była jak najmniej uciążliwa. Księżna Daisy otrzymywała należne dochody z Pszczyzny, jak również dodatkowe pożywienie. Starano się zapewnić jej również rozrywkę”² – relacjonuje Knorn. Potwierdzają to także relacje świadków, w tym Doroty Stempowskiej, która jako mała dziewczynka miała okazję pożegnać księżną. „Z kopalni nadjechał ambulans, do którego wniesiono na noszach księżną Daisy. Okoliczni mieszkańcy zebrali się, aby urządzić księżnej skromne pożegnanie. Dzieci obdarowały ją kwiatami – nagietkami, które rosły na placu zamkowym”³. Z zachowanych listów księżnej także nie wynika, żeby była niezadowolona z zaistniałej sytuacji, chociaż narzekała na samotność. Zapewniała swojego najstarszego syna, iż bardzo lubi swój nowy dom. „Hansel darling, niczym się nie martw. Jesteśmy tu już półtora roku i wszystko jest perfekt, tak jak sobie życzyłeś. Jestem z ciebie dumna”⁴. Zapewniała go, iż czeka na koniec wojny i marzy, aby spotkać się z nim ponownie. Z czasem w willi, w której mieszkały księżna i jej opiekunka, zakwaterowano również pewnego oficera niemieckiego, ale panie nie utrzymywały z nim żadnego kontaktu. Częstym gościem w ich domu była za to córka jednej ze służących pracujących niegdyś na zamku Książ, która przychodziła, by umilać Daisy czas grą na pianinie.

Wałbrzyski epizod w życiu księżnej do dziś pełen jest niedomówień i wręcz nieprawdopodobnych historii. Jedną z nich, z uporem powielaną przez wiele portali internetowych czy biogramów Daisy, głosi, jakoby ta urodzona pacyfistka robiła, co mogła, by pomagać więźniom obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, który w latach 1940–

1945 mieścił się na terenie obecnej wsi Rogoźnica. Paczki żywnościowe od księżnej, z konieczności skromne, miały być dla osadzonych namiastką nadziei na powrót do normalności. Wydaje się jednak, iż jest to kolejna piękna legenda powstała już po śmierci bohaterki naszej opowieści. Schorowana i skazana na wózek inwalidzki Daisy nie miała przecież żadnych możliwości, aby osobiście dostarczać dary, a opiekująca się nią Dolly była cudzoziemką, w dodatku obywatelką państwa znajdującego się w stanie wojny z Niemcami, i codziennie musiała meldować się na policji. Wiemy także, że one same borykały się z problemami aprowizacyjnymi, czemu starała się zapobiegać synowa księżnej, Katarzyna, gospodarująca w Pszczynie. Zupełnie nieprawdopodobne wydają się także twierdzenia, jakoby – jak chce tego chociażby Jerzy Rostkowski, autor publikacji *Zamek Książ. Zapomniana tajemnica* – Daisy była wówczas „najlepszym i dysponującym największą ilością wartościowych źródeł brytyjskim szpiegiem na tym terenie”⁵. Schorowana kobieta, zdana na opiekę osób postronnych, niewiele mogłaby zdziałać jako szpieg i zapewne nie miała bladego pojęcia o poczynaniach niemieckich wojsk.

Aleksander, podobnie jak wdowa po Bolku i jego dzieci, zdołał wyjechać z Pszczyny niemal w przeddzień wybuchu II wojny światowej. W przeciwieństwie do szwagra Klotylda nie opuściła rezydencji dobrowolnie, ale na skutek rozkazu starosty pszczyńskiego. Wszak to na przedpolach Pszczyny znajdował się odcinek głównej linii polskich fortyfikacji Górnego Śląska, co wiązało się z realną groźbą zniszczenia samego zamku. Jednak podczas walk o Pszczynę, które toczyły się od 2 do 3 września 1939 roku, ucierpiał wyłącznie park, ostrzelany przez artylerię niemiecką.

8 września 1939 roku adwokat doktor Franciszek Ludwig z Wrocławia, wcześniej reprezentujący interesy rodziny Hochbergów w Niemczech, został ustanowiony powiernikiem państwa niemieckiego nad całym majątkiem spadkobierców księcia pszczyńskiego. W 1940 roku ustanowiono go komisarycznym zarządcą tak zwanego Generalnego Zarządu Spadkobierców Księcia von Pless. Ludwig podporządkował sobie wszystkie majątki spadkobierców wraz z rezydencją pszczyńską i nawet wprowadził się na stałe do Pszczyny, zajmując cztery pokoje na drugim piętrze w skrzydle zachodnim. Wraz

z nim do Pszczyzny zawitała także Katarzyna, która w obawie przed działaniami wojennymi tuż przed rozpoczęciem wojny na krótko wyjechała z rezydencji. Władze III Rzeszy uznały w niej reprezentantkę prawowitego spadkobiercy dóbr pszczyńskich – jej męża, który swego czasu piastował przeciw funkcję prezesa Volksbundu na polskim Śląsku. Uznano go zatem za „dobrze zasłużonego Niemczyźnie na Wschodzie”. Miało to wkrótce ulec zmianie, ale na razie Katarzyna była panią na Pszczyźnie, aczkolwiek musiała się liczyć z pewnymi ograniczeniami. Ludwigo przeznaczył jej na pokrycie kosztów utrzymania zaledwie 1,5 tysiąca marek miesięcznie, a do tego ograniczył liczbę personelu zamkowego do czterech osób, co nie pozwoliło jej prowadzić życia na takim poziomie, do jakiego była przywykzajona przed wojną. Ale przedsiębiorcza księżna, która dzieliła swój czas pomiędzy Pszczyznę a Bayrischzell w Górnej Bawarii, gdzie znajdowała się jej rodzinna rezydencja, postanowiła sama zadbać o siebie i poszukać nowych źródeł dochodu. W tym celu na terenie parku pszczyńskiego założyła i prowadziła z powodzeniem hodowlę ptactwa domowego i bażantów, wysyłając od czasu do czasu drób do swojej teściowej do Wałbrzycha. Udostępniała także za sowytą opłatą kwatery w pałacu wojskowym niemieckim, a nawet całym sztabom. Wśród niemieckich oficerów szczególnym powodzeniem cieszyły się niegdysiejsze apartamenty kajzera. Za możliwość spędzenia tam choćby jednej nocy gotowi byli zapłacić krocie – ku niekłamaney radości Katarzyny. W czasie wojny księżną odwiedzali liczni arystokraci niemieccy, którzy podobnie jak miało to miejsce przed rokiem 1939, korzystali z możliwości polowania w dobrach książąt von Pless. Katarzyna zaprosiła do siebie nawet Göringa, zapalonego myśliwego, ale on z nieznanych przyczyn z zaproszenia nie skorzystał.

Tymczasem w Książu, ukochanej rezydencji Daisy, od 1937 roku obowiązywał zarząd przymusowy, a w dniu wybuchu wojny zamek i park zamknięto dla zwiedzających. Hitlerowskie władze, przynajmniej w pierwszym okresie wojny, odnosiły się do rezydencji, w której przed laty mieściła się przeciw kwatera główna cesarskich wojsk, z wielką estymą. Z czasem jednak uległo to zmianie. W 1943 roku rezydencja von Plessów została skonfiskowana przez władze niemieckie ze względu na zdradę, której – jak uznano – dopuścił się Jan Henryk XVII. W tym

właśnie czasie brytyjska prasa opublikowała zdjęcie Hansela w angielskim mundurze i księcia uznano za wroga Rzeszy. Jak można się domyślić, wpłynęło to także na sytuację samej Katarzyny, lecz nie spotkały jej żadne poważniejsze represje. Pojawiły się za to plany zarekwirowania pszczyńskiej rezydencji na potrzeby instytucji państwowych. Sama księżna była bezpieczna, bo nie dość, że od dawna nie widziała się z mężem – zresztą powszechnie plotkowano o złej sytuacji w jej związku z Janem Henrykiem – to jeszcze jej syn z pierwszego małżeństwa, baron von Berckheim, był oficerem Wehrmachtu. W czerwcu 1944 roku, na wieść o pogarszającej się sytuacji na froncie, księżna podjęła decyzję o wyjeździe z Pszczyny. Wyjeżdżając – jak się miało okazać: na zawsze – zabrała ze sobą nie tylko osobiste rzeczy, kosztowności i meble, ale także kosze pełne kwiatów.

Jej teściowa, księżna Daisy, już wówczas nie żyła. Zmarła 29 czerwca 1943 roku, w noc po swoich siedemdziesiątych urodzinach. 28 czerwca nieliczni już przyjaciele księżnej zdołali wyprawić jej huczne przyjęcie, które potem opisał w liście do jej syna Knorn: „W dniu jej 70-tych urodzin zorganizowaliśmy wszystko wyjątkowo miło. Kwartet złożony z muzyków wałbrzyskiej orkiestry górniczej zagrał jej ulubione utwory, co się Księżnej bardzo spodobało. Hrabina Larisch przyjechała z Karwiny, tak że mama miała w tym dniu przy sobie krewną. Dużo mówiła o księciu i miała nadzieję, że szybko ksiązę powróci. Jej samopoczucie było gorsze niż zazwyczaj, ale nie niepokojące”⁶. Niestety następnego dnia o godzinie 19.30 Daisy zamknęła oczy na zawsze. Jak wynika ze sporządzonego 30 czerwca 1943 roku i znajdującego się obecnie w Archiwum Książąt Pszczyńskich w Pszczynie aktu zgonu księżnej, bezpośrednią przyczyną jej śmierci był udar serca (niem. Herzlähmung). Zaprzyjaźniona z rodziną hrabina Olivia Larisch z miejsca wysłała list do Jana Henryka XVII, w którym informowała go: „Twoja matka wsparta na ramieniu Dolly zasnęła snem wiecznym, z uśmiechem na twarzy, o wpół do ósmej wieczorem. Twoja matka była szczęśliwa i zadowolona w swym nowym domu, gdzie jej niczego nie brakowało. [...] Twoja matka wyglądała pięknie i spokojnie. Dolly włożyła jej do ręki trzy róże, jakby pożegnanie od tych, co ją kochali, a nie mogli przybyć. Była Dolly, stara Maria i ja sama, kiedy zabrano ją

do rodzinnej krypty na pogrzeb w dniu 3 lipca⁷. Opiekująca się Daisy w ostatnich dniach życia niezawodna Dolly bezzwłocznie zawiadomiła o zgonie swojej pracodawczyni Knorna, który z miejsca przystąpił do organizowania uroczystości pogrzebowych. Co ciekawe, sama księżna przed śmiercią zdołała wydać konkretne instrukcje co do swojego pochówku: „Koszty będą minimalne – pogrzebu nie będzie. Nikt nie ma być smutny, przyjdą moi przyjaciele – wszystko dobrze rozumiejący – to będą moje urodziny, nikt nie będzie w żałobie. Nie będzie żadnej etykiety, żadnych formalności – dla dzieci przygotuje się zabawę i pozwoli się im zrywać kwiaty w parku”⁸. Ze względu na trwającą wojnę sprawy potoczyły się jednak zupełnie inaczej. Daisy spoczęła w Książu, w grobowcu Hochbergów, tuż obok jednego ze swoich wnuków, zmarłego we wczesnym dzieciństwie Konrada, syna Bolka i Klotyldy. Zmarłą odprowadzały tłumy, a kaplicę, podobnie jak grobowiec, ozdobiono kwiatami stokrotek, które – jak zapewniał w liście do Jana Henryka Knorn – „wyglądały jak gwiazdy”. Niestety w orszaku zabrakło najbliższych. Klotylda nie mogła przybyć, podobnie jak Katarzyna, którą w Bawarii zatrzymała ciężka choroba matki. Nie było też dwóch żyjących synów Daisy, Jana Henryka ani Aleksandra, którzy przebywali na Zachodzie. Nie zawiedli natomiast okoliczni mieszkańcy, pragnący po raz ostatni oddać hołd śląskiej królowej ludzkich serc. „Pamiętam pogrzeb księżnej Daisy. Powiedziano nam, że to nie jest miejsce dla dzieci, ale myśmy bokiem podpatrzyli trochę. Pamiętam mnóstwo bryczek. Widocznie rodziny z okolicy przyjechały na ten pogrzeb. Mnóstwo eleganckich panów i pań”⁹ – wspominała po latach Dorota Stempowska.

Hrabia szeregowcem, czyli wojenne losy synów księżnej Daisy

Rok 1943, w którym najszynniejsza mieszkanka zamku w Książu zamknęła oczy na zawsze, był też początkiem zmian, jakie hitlerowskie władze szykowały wobec rezydencji. Już wcześniej zwożono tam cenne manuskrypty z Pruskiej Biblioteki Państwowej w Berlinie, w tym

oryginalne partytury dzieł Mozarta, Bacha czy Beethovena, jak również starodruki. W listopadzie natomiast zapadła decyzja o budowie kompleksu Riese (niem. olbrzym), której zakończenie przewidywano na sierpień 1945 roku. Zamek Książ miał być częścią tej gigantycznej budowy jako Blok VI Riese, w którym mieścić się miała siedziba niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Riese był jednym z największych i zarazem najbardziej tajemniczych wojennych obiektów hitlerowskich Niemiec, a jego rzeczywiste przeznaczenie do dziś nie jest znane. Przy jego budowie pracowali przymusowo więźniowie obozu Gross-Rosen, drążąc tunele i korytarze, z których część znajdowała się w podziemiach zamku Książ. Los tych pracujących w straszliwych warunkach ludzi był z góry przesądzony...

Jednak zanim do tego wszystkiego doszło, uregulowano kwestię własności zamku – 16 grudnia 1943 roku zawarto notarialną umowę pomiędzy Zarządem Prowincji Dolny Śląsk (niem. Provinzialverband Niederschlesien) a księciem Janem Henrykiem XVII, którego reprezentował, wyznaczony ze względu na długą nieobecność księcia w Rzeszy, pełnomocnik doktor Aleksander Hossmann. Umowa była *de facto* rodzajem formalnej ugody regulującej kwestię zadłużenia von Plessów. Zgodnie z jej postanowieniami zamek został sprzedany razem z biblioteką i archiwum, z wyłączeniem korespondencji i części prywatnych dokumentów poprzednich właścicieli. Formą zapłaty było natomiast umorzenie długów należącej do księcia spółki węglowej Fürstlich Plessische Bergwerks-AG w Katowicach, wynoszących 5,5 miliona marek, jak również przejęcie przez państwo akcji tejże spółki o wartości nominalnej 3,3 miliona marek. Nie obyło się bez sporów z Hochbergiem, który uznał, skądinąd słusznie, iż wartość obiektu sprzedaży została zbyt nisko wyceniona. Jego pełnomocnik postarał się o nową wycenę, którą miał przeprowadzić biegły Hogreve-Nitsche. Niestety nie wiemy, jaki był wynik sporu, ponieważ dokumenty sądowe dotyczące sprawy uległy zniszczeniu w trakcie oblężenia twierdzy Wrocław.

Tymczasem władze III Rzeszy, nie czekając na ostateczne rozstrzygnięcie, przeznaczyły zamek na siedzibę Ministerstwa Spraw Zagranicznych i w związku z tym podjęły decyzję o jego przebudowie, którą nadzorował sekretarz stanu doktor Otto Meissner. W lutym 1944

roku w niedysiejszej rezydencji Hochbergów rozgościł się na dobre profesor Hermann Giesler z Berlina, architekt kierujący pracami budowlanymi. Pod jego bacznym okiem pracowało trzydziestu pięciu młodych architektów, a sam zamek wraz z trzema innymi, to jest zamkiem Klessheim, pałacem cesarskim w Poznaniu oraz zamkiem Schwarzburg w Turyngii, miał stać się jedną z oficjalnych rezydencji rządowych. W zamierzeniach Gieslera niedysiejsza rezydencja księcia von Pless miała stać się „kwaterą Hitlera i domem przyjęć Rzeszy, gdy Wielka Niemiecka Rzesza sięgać będzie do Bugu”¹⁰. Wykonanie prac budowlanych powierzono natomiast tysiącu młodym członkom organizacji Todt. W tym przypadku jednak należałoby mówić nie tyle o pracach budowlanych, ile o dewastacji obiektu, bo projekt przewidywał zniszczenie ówczesnego wystroju zamku na rzecz wnętrza w stylu germańskim. Günther Grundmann, od 1932 roku piastujący urząd konserwatora zabytków Dolnego Śląska, któremu zlecono zabezpieczenie dóbr kultury znajdujących się na terenie zamku, obserwując poczynania Gieslera i jego ludzi, rwał sobie włosy z głowy. Wprawdzie samego Grundmanna, gorliwego nazistowskiego urzędnika, który w czasie okupacji okradał polskie muzea z najcenniejszych dzieł sztuki, trudno uznać za postać kryształową, ale jako historyk sztuki trafnie ocenił wątpliwą wartość przebudowy rezydencji Hochbergów. „W Książu w ostatnich tygodniach rozwinął się jeden z największych placów budowy, o niewyobrażalnych jak na owe czasy rozmiarach. Co z tego miało wyniknąć i jakiemu celowi służyło to niesamowite postępowanie, pozostawało dla mnie na początku zupełnie niejasne”¹¹ – wspominał po latach. Jego zdanie podzielał również był administrator zamku Książ, który jednak poważył się zabrać głos w tej kwestii dopiero po wojnie, kiedy w 1954 roku opublikował swoje notatki na łamach „Neue Zürcher Zeitung”. „Cały plac zamkowy został podzielony, wszystkie wodociągi w parku wyrwano, tarasy całkowicie zniszczono, przed wejściem wykuto w skale szyb o głębokości 50 m do uruchomienia windy – relacjonował. – W związku z tym zbudowano drogę tak, żeby można było dojechać samochodem do windy. Zbudowano także połączenie kolejowe ze Szczawienkiem. Liczba robotników wzrosła już dużo ponad 2 tys. i zwiększyła się o dalsze

tysiąc osób, w tym 800 Żydów, dla których założono w pobliżu obóz koncentracyjny. Odpowiedzialnym za te wszystkie okrucieństwa był sekretarz państwa Meissner. Nazwał on zamek w Książu *Dom Gościnny – Leśna Łąka*. Meble dla tego domu gościnnego – 300 sypialni oraz całkowite urządzenie berlińskiego zamku Bellevue – magazynowane były w Szczawnie.

Profesor Giessler określił, że *za rok zamek Książ będzie nie do poznania*. I tak rzeczywiście było. [...] Wyrywano granitowe kamienne portale, które miały być zastąpione marmurem. Hall wejściowy miał być hallem przyjęć, pokój bilardowy – pokojem zabaw (gier). Cały parter razem z muzeum miał być kancelarią i sekretariatem, jedną część piwnic otrzymała policja. W marmurowej Sali Maksymiliana miał być zniszczony sufit i skutny ozdobny marmur. [...] W salonie zielonym usunięto obrazy i całe pomieszczenie, podobnie jak salon czerwony z jego marmurową obudową ścian przemalowano na biało. Pokój gobelinowy i włoski zostały przebudowane dla Führera i zaopatrzone w łazienkę. Z tunelu do pokoju gobelinowego zbudowano windę, żeby Führer, nie pokazując się na zewnątrz, mógł dostać się do pokoju.

Salę Krzywą obniżono: piękny sufit z freskowymi malowidłami spoczywa w wąwozie książańskim. To była jadalnia. Połowę winiarni przeznaczono na kuchnię z dojściem do czarnego Dziedzińca. Pokoje cesarskie miały być przebudowane na małe apartamenty. Większe sale przystosowano jako jadalnie dla ludzi. Między pomieszczeniami kuchennymi i Salą Krzywą przewidziano połączenie trzema windami¹². Grundmann, widząc skalę zniszczeń, postanowił działać i zapobiec dalszej dewastacji. „Moje przedsięwzięcia wzbudziły nieufność kierownictwa budowy do tego stopnia, że doszło do ostrej sprzeczki między mną a Giesslerem, kiedy on przedłożył mi szkic przebudowy Sali Maksymiliana. Miejsce wspaniałego barokowego zbioru plastyki, marmurowych sztukaterii oraz malarstwa najlepszych śląskich i czeskich mistrzów miała zająć dekoracja architektoniczna w myśl pseudoklasycystycznych wzorców typowych dla sztuki III Rzeszy. Mój protest spowodował, że pan Giessler ostrzegł mnie, że jeśli się będę dalej sprzeciwiał jego planom, powie Führerowi w czasie jego pierwszego pobytu w Książu, że ten mierny barok zachowany został

z mojego polecenia jako konserwatora terenowego. Odpowiedziałem mu na to z całym spokojem, że żaden przymus nie jest w stanie odwołać mojego sprzeciwu. Następnego dnia szef okręgu postępował jednak zgodnie z moim punktem widzenia”¹³. Konserwator nie był zadowolony z takiego rozwiązania, bowiem wprawdzie marmurów nie skuto, ale za to pomalowano je na czerwono. Jan Henryk XV, który przez lata przebudowywał rezydencję ku chwale Hochbergów, mając na uwadze poszanowanie przeszłości – musiał przewracać się w grobie...

Na skutek owych, pożałuj Boże, renowacji po pięknej rezydencji, którą tak kochała Daisy i która budziła zachwyt zagranicznych gości, zostało jedynie smutne wspomnienie i czarno – białe zdjęcia. Na szczęście Hitler nie miał okazji korzystać z wind i pokoi, które z takim „pietyzmem” przygotowywano dla niego w Książu, a Rzesza Niemiecka nigdy nie sięgnęła Bugu. W styczniu 1945 roku na wieść o sukcesach Armii Czerwonej sztab kierownictwa budowy rozpoczął przygotowania do ewakuacji. „Minęło zaledwie 14 dni i całe to widmo z tysiącami robotników uszło. Pozostawiono na wpół zniszczone i okaleczone wnętrza. Tak wyglądała ta «uspaniała» budowa, zdana na łup i ograbienie po katastrofie, która przetoczyła się przez Śląsk”¹⁴ – relacjonował Grundmann.

Jeżeli synowie Daisy kiedykolwiek żywili sympatie do ruchu faszystowskiego, to wyleczyliby się z nich z pewnością na widok barbarzyńskiej dewastacji siedziby ich przodków, dokonanej przez ludzi Hitlera. Żadnemu jednak nie było dane oglądać obrazu zniszczeń.

Wraz z wypowiedzeniem III Rzeszy wojny przez Wielką Brytanię przebywający od jakiegoś czasu na Wyspach Jan Henryk XVII został internowany jako obywatel wrogiego państwa. W miejscu internowania zastała go smutna wiadomość o śmierci matki, której pamięć postanowił uczcić jego wuj, a brat Daisy, George, zamawiając nabożeństwo żałobne w kościele Świętego Marka na North Audley Street w Londynie. Przybyło na nie wiele osób, w tym znajomi z wyższych sfer, pamiętający zmarłą, a Hansel uzyskał zwolnienie z internowania na czas uroczystości. 13 lipca 1943 roku na łamach „Timesa” ukazał się nekrolog pióra Harolda Nicolsona, który znał dobrze Daisy. Pisał o księżnej, iż „swoim gorącym sercem ujmowała ludzi tak

różnych, jak egoistycznego Edwarda VII, introwertycznego Williama II, swojego poważnego, aczkolwiek łaskawego teścia oraz niezliczoną ilość innych, którzy z uwielbieniem ją otaczali. Nawet w środku pierwszej wojny światowej, kiedy już brakowało jedzenia, zawiadowca stacji w Berchtesgaden przemycał do jej przedziału kiełbaski zawinięte w potłuszczony papier z odręcznie napisanym ołówkiem życzeniem: «Gröss Gott!»¹⁵. Nicolson nie omieszczał wspomnień o jej działalności charytatywnej, jak również o niebanalnym poczuciu humoru i skłonności do żartów, których „ofiarami” padali najznamienitsi goście przybywający do Książa i Pszczyny: „nawet tak dostojny gość, jak Ambasador, kładąc się do łóżka, rozgniewał położony tam przez nią żartem placek z jabłkami, a chichot towarzyszący bitwie na poduszki rozbrzmiewał po korytarzach. [...] Ostatnie lata jej życia były tragiczne. Najmłodszy syn, zaaresztowany przez Niemców, zmarł po wyjściu z więzienia. Najstarszy, który przyjął polskie obywatelstwo, żyje na emigracji. Średni służy w polskiej armii w randze oficera. Ona sama, sparaliżowana i z zanikiem pamięci, zamieszkała na starość w Książu i, podobno, nieświadoma nawet była, że Anglia i Niemcy prowadzą ze sobą nową wojnę. W tym wielkim pałacu przyszło jej umrzeć samej. Dawna pompa i świetność zniknęły, tak samo jak 4000 służby, karoce, prywatny pociąg i sznury pereł. Jej radość z ich posiadania była zawsze jak radość dziewczynki w wieku szkolnym z nowej sukienki. W pretensjonalnym świecie była najmniej snobistyczną osobą, jaką kiedykolwiek znałem; w okrutnej rzeczywistości jaśniała radością i uprzejmością. Miała na świecie tylko jednego wroga – samotność, która ją w końcu pokonała”¹⁶.

Na ręce Hansla spływały liczne listy z kondolencjami od dawnych znajomych jego zmarłej matki, czule wspominających księżną. Lady Serena James napisała: „jako dziecko byłam olśniona jej urodą, była dla mnie księżniczką z bajki i pewnie dla wielu innych [...]. Bajkowe zamki i świetność, cała ta cudowność i teraz ten smutny koniec”¹⁷.

Starszy z dwóch żyjących synów Daisy wolność odzyskał po trzech latach na skutek interwencji swoich brytyjskich krewnych. Natychmiast wstąpił w szeregi Brytyjskich Oddziałów Samoobrony, które zostały powołane w celu ochrony przed inwazją oraz atakami lotniczymi

Luftwaffe – i to właśnie zdjęcie w mundurze tej formacji wywołało tyle szumu w niemieckiej prasie. Nigdy nie walczył z bronią w rękę, ale w trakcie bombardowania Londynu stracił cały swój majątek, co zmusiło go po wojnie do podjęcia pracy zarobkowej. Kiedy znalazł zatrudnienie w przemyśle drzewnym i budowlanym, okazało się, że pomimo iż był prawnikiem z wykształcenia, ma zdolności techniczne. Udało mu się ulepszyć system elektrycznego osuszania drewna, które na Wyspy sprowadzano z Kanady.

Jego małżeństwo z Marią Katarzyną nie przetrwało próby czasu, zresztą nigdy nie należało do udanych – i zakończyło się rozwodem w 1952 roku. Sześć lat później księżę poślubił Mary Elizabeth Minchin, ale i ten związek zakończył się w 1971 roku rozstaniem. Jan Henryk nie doczekał się potomstwa i zmarł 26 stycznia 1984 roku w Londynie.

Tymczasem Aleksander opuścił Pszczynę na krótko przed wybuchem II wojny światowej. Wyjechał do Warszawy, gdzie miał zamiar wieść próżniacze życie, do którego był przyzwyczajony. Z nieznanych powodów nie zamieszkał w luksusowym apartamencie w Prudentialu, ale gorąckowo szukał jakiejś luksusowej willi do wynajęcia. Bez powodzenia. Historia zweryfikowała jego dalsze plany. W stolicy przeżył bombardowanie samolotów Luftwaffe, ale owo niewątpliwie traumatyczne przeżycie zniósł nadzwyczaj dobrze, w przeciwieństwie do towarzyszącej mu wówczas kuzynki Eny, która posiadała w ciągu jednej nocy. Widok miasta sukcesywnie niszczonego przez niemieckie lotnictwo uświadomił Aleksandrowi, że powinien czym prędzej uciekać, bowiem wkroczenie Niemców oznaczałoby dla niego pobyt w obozie koncentracyjnym. Korzystając z pomocy ambasady Wielkiej Brytanii, do czego jako urodzony w Londynie i posiadający brytyjskie obywatelstwo miał w końcu pełne prawo, udał się na zachód, a konkretnie do Francji, dokąd dotarł przez Węgry, Jugosławię i Włochy. Według niepotwierdzonej wersji wydarzeń przed przekroczeniem granicy hrabia ukląkł i nabrał nieco polskiej ziemi do chusty, którą przed schowaniem w bagażu ucałował z szacunkiem. Dotarłszy na miejsce, pod nazwiskiem Aleksander Pszczyński hrabia od razu zaciągnął się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i służył nawet w ochronie generała Władysława Sikorskiego, ale nie ewakuował się do Wielkiej Brytanii razem z resztą polskich żołnierzy.

Przez pewien czas rozpaczliwie poszukiwał bezpiecznego azylu we Francji u krewnych rodziny, a kiedy te starania zakończyły się niepowodzeniem, zaciągnął się na krótko do Pierwszej Dywizji Pancerniej generała Maczka, by ostatecznie trafić do kwatery głównej w Londynie. Zwierzchnicy doskonale wykorzystali jego umiejętności językowe, obsadzając Aleksandra w roli tłumacza. Przez cały czas miał stopień szeregowca, co uległo zmianie za sprawą przebywających w niewoli u aliantów niemieckich oficerów, którzy głośno protestowali przeciwko temu, aby przesłuchiwał ich „zwyczajny szeregowy”. Być może nie byłiby aż tak zbulwersowani, gdyby wiedzieli, iż tłumacz jest arystokratą i wywodzi się ze znamienitego niemieckiego rodu, jednak Aleksander nie miał zwyczaju chwalić się swoim pochodzeniem ani koneksjami, zwłaszcza przed jeńcami wojennymi.

W końcu otrzymał nominację na podporucznika i właśnie w takim stopniu służył w Drugim Korpusie Polskim generała Władysława Andersa, z którym przeszedł szlak bojowy przez Włochy, choć nie brał bezpośredniego udziału w szturmie na Monte Cassino. Tak się jednak złożyło, że przesłuchiwał Ślązaków, jeńców wojennych, wcześniej przymusowo wcielonych do niemieckiego wojska. Po zadaniu zwyczajowych pytań hrabia spytał ich o księcia z Pszczyń. W odpowiedzi usłyszał od jednego z nich, iż „pieron” uciekł przed Hitlerem. Drugi z jeńców, przyjrawszy mu się dokładniej, głośno krzyknął: „Pierniku, gdyby to było gdzie indziej, tobym mówił od razu – jesteście nasz księżę”¹⁸. Aleksander odrzekł z uśmiechem: „Tak, jestem rzeczywiście księżę Pszczyński... Aleksander!”¹⁹. Taką wersję wydarzeń przytacza Alfons Mrzyk z Łąki koło Pszczyń, który z kolei cytuje tę anegdotę za starszym sierżantem Konstantym Bączkowskim-Nałęczem. Nie wiemy zatem, czy owa rozmowa rzeczywiście tak przebiegała. Faktem natomiast jest, że Aleksander cieszył się sympatią zarówno szeregowych żołnierzy, jak i korpusu oficerskiego. Ba, zaproponowano mu nawet korzystanie z oficerskiego kasyna, ale hrabia propozycję odrzucił. Stać go było jednak na iście wielkopańskie gesty – kupował chociażby swoim towarzyszom broni owoce.

Kiedy w styczniu 1945 roku dowiedział się o zbliżających się do Pszczyń oddziałach Armii Czerwonej, smutno westchnął: „Szkoda

wszystkiego i tych żubrów w lasach też”²⁰, ale nie rozstał się z nadzieją na odzyskanie rodowych włości. Po wojnie, jak już wyżej wspomniano, podjął nawet starania o wypłatę odszkodowania za przejęty przez władze komunistyczne majątek. Rozczarowany rzekł się polskiego obywatelstwa i wrócił do nazwiska Hochberg. Do Polski nigdy nie wrócił, przynajmniej oficjalnie, bo jeśli wierzyć ludziom, którzy niegdyś służyli w pszczyńskim zamku, pewnego dnia przyjechał tu incognito zobaczyć, jak wygląda rezydencja pod rządami komunistów. I chyba nie był tym, co zobaczył, zbyt zniechęcony, bowiem utrzymywał kontakt listowy z władzami utworzonego w Pszczynie Muzeum Wnętrz Zamkowych. Resztę życia spędził na Majorce razem ze swoim dużo młodszym przyjacielem. Chcąc przekazać mu posiadany majątek, ostatecznie go usynowił. Zmarł 22 lutego 1984 roku, niespełna miesiąc po zgonie swojego starszego brata, z którym nie pogodził się do końca życia.

Gdzie są pereły księżnej Daisy?

Wspomniany już grobowiec Hochbergów w parku Książ nie okazał się miejscem ostatniego spoczynku bohaterki naszej opowieści. Dębową trumnę z jej ciałem kilkakrotnie przenoszono. Zdaniem jednych spokój zmarłej zakłócono ze względu na realne niebezpieczeństwo ograbienia i zbezczeszczenia jej zwłok przez żołnierzy Armii Czerwonej. Zdaniem innych – obawiano się hien cmentarnych zżęconych pogłoskami o legendarnym sznurze pereł, z którym Daisy miała zostać pochowana. „Szybko pochowaliśmy księżnę Daisy poza grobowcem, ale trumnę odkopano i ograbiono – relacjonował Paul Fichte, były kamerdyner Jana Henryka XV. – Zakopaliśmy ją szybko ponownie i zrównaliśmy grób z ziemią. Wtedy nastał spokój. Ale nie dało się już zamknąć mauzoleum i ludzie zaczęli tam przychodzić, by zobaczyć jego wnętrze. Większość jednak uciekała w popłochu, gdyż wszędzie były porozrzucane zwłoki. Nie mogliśmy znaleźć szkieletu księżnej z domu Kleist – tylko jej głowę. Było oczywiste, że nie można zostawić mauzoleum w takim stanie. Uradzono, że zwłoki należy pochować

w Niedersalzbrunn (Szczawienko)”²¹ . Przez wiele kolejnych lat miejsce ostatecznego pochówku Stokrotki z Pszczyny było nieznane, ale badaczom i historykom udało się ustalić, iż – tak jak twierdził ów kamerdyner – księżna spoczęła w Szczawienku, na cmentarzu parafialnym, po którym nie ma już dziś śladu. W latach osiemdziesiątych nekropolię zlikwidowano bez przenoszenia znajdujących się tam szczątków, a na jej miejscu wzniesiono istniejące do dzisiaj osiedle domków jednorodzinnych. „Mam nadzieję, że ich mieszkańcy nie będą nękami przez poszukiwaczy grobu księżnej czy też tych naiwnie wierzących, że odnajdą perłowy naszyjnik”²² – pisze biografka księżnej, Bronisława Jeske-Cybulska, w artykule *Gdzie jest pochowana księżna Daisy of Pless*, zamieszczonym na blogu poświęconym najstynniejszej mieszkance Pszczyny i Książa. Chodzi oczywiście o słynny, długi na sześć, a według niektórych źródeł siedem metrów, sznur pereł, który księżna otrzymała od męża po ślubie i po którym nie ma dziś śladu. Co się stało z tą cenną biżuterią? Czy rzeczywiście bohaterka naszej opowieści została pochowana z owym sznurem pereł na szyi, gdyż – jak głosi legenda – nie chciała, aby te przeklęte klejnoty przyniosły nieszczęście komuś innemu, jak niegdyś jej samej?

Jak już wielokrotnie wspomniano, księżna nie tylko gustownie się ubierała, ale także była właścicielką cennej biżuterii. Jej stan posiadania dokumentują kolejne wpisy dokonane w różnych okresach jej życia. Pierwszy, obejmujący pięćdziesiąt pozycji, sporządzono jeszcze w jej ojczystej Anglii, krótko po jej ślubie, w 1892 roku – na potrzeby ubezpieczenia. Znajdziemy w nim: siedem bransolet, z których najdroższa, będąca prezentem ślubnym od Jana Henryka XV, kosztowała sto pięćdziesiąt funtów, tyle samo pierścionków, przy czym najdroższy z nich wyceniono na sto dwadzieścia funtów, trzynaście broszek, sześć naszyjników, w tym podarowany jej przez męża – z dziesięcioma turkusami, w oprawie diamentowej, którego wartość ubezpieczyciel wycenił na osiemset funtów. Spis uzupełniały trzy zegarki, trzy spinki, dwa grzebienie, diamentowa korona cesarstwa oraz diamentowy krzyż od teściowej, wart pięćset funtów, jak również inne, pomniejsze precjoza. Całość wyceniono na 4826 funtów, co na owe

czasu było kwotą przyprawiającą o zawrót głowy. Kolejny spis sporządzono 14 stycznia 1908 roku, po śmierci teścia Daisy, kiedy została księżną von Pless. Przez te szesnaście lat bohaterka naszej opowieści znacznie powiększyła swój stan posiadania, bowiem z dokumentu wynika, iż była właścicielką stu czterdziestu siedmiu sztuk biżuterii, której wartość londyńskie towarzystwo ubezpieczeniowe The Fain General Insurance Company Limited wyceniło na 31 871 funtów. Aby wyrobić sobie pojęcie o rzeczywistej wartości owych precjozów, warto wiedzieć, iż zatrudnione w Książu pokojówki zarabiały równowartość pięciu funtów rocznie, natomiast kucharki – sześćdziesięciu funtów rocznie. Ze spisu wynika, iż pani na Pszczynie posiadała dwadzieścia dziewięć bransoletek wysadzanych szlachetnymi kamieniami, siedemnaście naszyjników, z których najdroższy wyceniono na 3,8 tysiąca funtów, dwadzieścia jeden pierścionków, sześć broszek, dziewięć łańcuszków, cztery pary kolczyków, cztery diademy, dwa zegarki, kilkakrotnie wspomnianą koronę i dwadzieścia pięć innych drogocennych drobiazgów, w tym diamentowego pawia. Kolejną inwentaryzację przeprowadzono w 1936 roku, ale o niej opowiemy nieco później, natomiast ostatni spis został sporządzony już po śmierci Daisy – 21 lipca 1943 roku. Wynika z niego, że księżna pozostawiła sobie biżuterię o wartości sentymentalnej, w tym cztery naszyjniki, między innymi sznur siedemdziesięciu pięciu pereł i sto pereł hodowlanych oraz dwie broszki będące odznaczeniami zdobytymi przez nią w młodości na regatach. Wprawdzie brakuje tu słynnego sznura pereł, ale zdaniem sekretarza Jana Henryka XVII, Josepha Schary'ego, był on w posiadaniu Daisy aż do końca jej dni.

W rzekomym zaginięciu cennych pereł nanizanych na sześć- bądź siedmiometrowy sznur nie ma najprawdopodobniej żadnej sensacji. Kryje się za tym jednak prawdziwy dramat. W 1936 roku, kiedy najmłodszy syn Daisy, Bolko, trafił do więzienia, księżna zleciła ekspresową wycenę swojej biżuterii. Według konserwatora zabytków z Bielska-Białej, Marty Dąbrowskiej, która od lat zajmuje się historią strojów oraz biżuterii pani na Książu i Pszczynie, księżna, chcąc ratować syna, zrobiła to, co każda kochająca matka na jej miejscu: poleciła pociąć sznur na kilka mniejszych naszyjników i sprzedać, a uzyskane

w ten sposób pieniądze przeznaczyła na uwolnienie nieszczęsnego Bolka.

Wyjaśnienie wydawałoby się dość prawdopodobne, gdyby nie fakt, że zgodnie z zachowaną dokumentacją przygotowany 11 września 1936 roku przez jedną z wrocławskich firm spis precjozów zawierał dwadzieścia siedem pozycji, w tym: sześć naszyjników, trzy pierścionki, dziesięć broszek i kilka innych drobiazgów, na czele z naszyjnikami z perłami, ale nie ma w nim wspomnianego sznura! Poza tym zachowała się relacja jednego z pracowników Dyrekcji Dóbr Książęcych z marca 1946 roku, obecnego przy otwarciu sejfu Hochbergów, w którym znajdowały się najcenniejsze precjoza i pamiątki rodzinne uratowane przez Katarzynę, żonę Jana Henryka XVII. Zgodnie z ową relacją w sejfie – obok sprezentowanej Daisy przez teścia z okazji ślubu korony księżnej cesarstwa, diadem, broszy oraz ametystowej broszy – znajdował się także... sześciometrowy sznur pereł! Potwierdza to również wspomniany Schary, który w liście do księżnej Katarzyny, synowej Daisy, relacjonował: „6 stycznia 1946 roku, kiedy to specjalnie wywleczono mnie z mieszkania, ciągle był tam słynny 6–7-metrowy sznur pereł, diadem z diamentów, kilkanaście bransolet, kolczyki, naszyjniki, pierścionki etc. Polacy uznali je za wielki skarb. Kilka tygodni później musiałem się stawić na przesłuchanie przez Służbę Bezpieczeństwa (później także KGB), które trwały po kilka godzin, ponieważ nie poinformowałem oficjeli, że książę von Pless zostawił w Wałbrzychu biżuterię, kiedy opuścił tutejszy majątek”²³. Całość znaleziska starannie zapakowano, by 17 marca 1946 roku, pod osłoną nocy i pod eskortą wojska, wysłać skarby do Krakowa. Wówczas po biżuterii księżnej ślad zaginął. Niespodziewanie w 2012 roku na wystawie w warszawskim Muzeum Narodowym zatytułowanej *Od faraona do Lady Gagi* pojawił się ametystowy komplet księżnej pszczyńskiej: kolczyki, diadem i brosza. Jak się okazało, w latach siedemdziesiątych Narodowy Bank Polski przekazał je w depozyt muzeum, które po raz pierwszy zdecydowało się je wyeksponować dopiero w 2012 roku, stąd wniosek, że reszta biżuterii Daisy, włącznie ze słynnym sznurem pereł, nadal znajduje się w Polsce.

Kilkakrotnie przywoływany w niniejszej publikacji Mateusz Myktytyszyn przychylił się jednak do twierdzenia o pocięciu słynnego

sznura na mniejsze kawałki w celu sprzedaży w 1936 roku. Ale skoro księżna rzekomo nakazała pocięcie sznura i sprzedaż pereł, to dlaczego znaleziono go w sejfie w 1946 roku? Mykityszyn twierdzi, że Hochbergom udało się z czasem odkupić większą część pereł sprzedanych w 1936 roku, po czym zlecili odtworzenie sznura. „Pod koniec życia księżna posiadała krótki naszyjnik z pereł, który nosiła przez cały czas i w którym rzeczywiście została pochowana. I to on, a także obrączka, którą miała na ręce, zostały zrabowane, gdy złodzieje znaleźli i rozbili jej trumnę”²⁴ – wyjaśniał w jednym z wywiadów. Stąd też rozpalająca wyobraźnię legenda o pochowaniu Daisy wraz z jej słynnymi perłami. Jeżeli jednak sznur pereł znajdował się w sejfie w 1946 roku i wraz z pozostałą znaną tam biżuterią został wysłany do Krakowa, to co się z nim stało? Czyżby padł ofiarą jakiejś zuchwałej kradzieży, w którą, co nie jest aż tak nieprawdopodobne, jak by się mogło wydawać, zamieszane były służby bezpieczeństwa? A może, tak samo jak księgozbiór Hochbergów oraz skrzynie z rękopisami i manuskryptami z berlińskiej biblioteki, naszyjnik trafił do Moskwy?

Możemy mieć nadzieję, że pewnego dnia zaginione perły wrócą do Pszczyny, by zamknięte w pancерnej gablocie tamtejszego muzeum cieszyć oko zwiedzających. Ale nawet dziś warto wybrać się do Książa, by obejrzeć między innymi pięknie odrestaurowaną część średniowieczno-barokową zamku, w tym ocaloną przez Grundmanna, a potem starannie odnowioną przez polskich konserwatorów Salę Maksymiliana, jak również odtworzone ogrody księżnej na tarasach zamkowych i oczywiście podziemia budzące ciekawość miłośników historii oraz potencjalnych poszukiwaczy skarbów. Jeżeli wierzyć tamtejszym przewodnikom, duch pani na Książu i Pszczynie regularnie nawiedza książański zamek. Zjawę ponoć widywano na tarasach lub wśród rododendronów w otaczającym zamek parku, a z pałacowych komnat nocą dochodzi jej cichy śpiew. Kto wie, może komuś z czytelników uda się zobaczyć ducha pięknej księżnej, zwanej przez bliskich Stokrotką – gdy pochyla się nad kwitnącymi różami, które Daisy za życia tak bardzo kochała...

Bibliografia

Aronson T., *Jerzy V i Wilhelm II – królewscy kuzyni*, [online] <https://histmag.org/Jerzy-V-i-Wilhelm-II-krolewscy-kuzyni-9848>.

Bajkowy ogród na skale – tarasy Księża, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/12/25/bajkowy-ogrod-na-skale-tarasy-ksiaza>.

Bale księżnej Daisy, [online] <https://noweinfo.pl/bale-ksieznej-daisy>.

Bejrowski P., *Zamek Książ – historia skrywająca tajemnice*, [online] <https://histmag.org/Zamek-Ksiaz-historia-skrywajaca-tajemnice-23038>.

Bolko Hochberg von Pless: Daisy? To tylko babcia (cz. 3), wywiad przeprowadziła R. Botor-Pławecka, [online] <https://noweinfo.pl/bolko-hochberg-von-pless-daisy-to-tylko-babcia-cz-3>.

Borkowy B., *Czy Daisy tańczyła tango?*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2012/04/24/czy-daisy-tanczyła-tango>.

Borkowy B., *Harold Nicolson ocenia księżną Daisy*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2013/12/02/harold-nicolson-ocenia-ksiezna-daisy>.

Borkowy B., *Indyk w Żyrowej*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2013/04/24/indyk-w-zyrowej>.

Borkowy B., *Księżna Daisy we wspomnieniach lady Susan Townley*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2012/05/17/ksiezna-daisy-we-wspomnieniach-lady-susan-townley>.

Borkowy B., *Kto śpiewa dwa razy się modli*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2018/01/07/kto-spiewa-dwa-razy-sie-modli>.

Borkowy B., *Kulisy zerwanych zaręczyn*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2012/07/11/kulisy-zerwanych-zareczyn>.

Borkowy B., *Przygoda Daisy z reklamą*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2012/10/23/przygoda-daisy-z-reklama>.

Borkowy B., *Signor Marconi i Księżna Daisy von Pless*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2012/11/13/signor-marconi-i-ksiezna>

daisy-von-pless.

Borkowy B., *Siostrzenice Ursula i Mary*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2012/12/19/siostrzenice-ursula-i-mary>.

Borkowy B., *Wspomnienia o Patsy – część I*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2014/08/22/wspomnienia-o-patsy-czesc-i>.

Borkowy B., *Wspomnienia o Patsy – część II*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2014/08/27/wspomnienia-o-patsy-czesc-ii>.

Borkowy, *Panna Miles poluje na męża*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2014/01/24/panna-miles-poluje-na-meza>.

Borówka T., *Śląski mały Berlin i Wielka Woda. Cesarz Wilhelm II i jego Kwatera Główna w Pszczynie podczas II wojny światowej*, [online] <https://dziennikzachodni.pl/slaski-maly-berlin-i-wielka-wojna-cesarz-wilhelm-ii-i-jego-kwatera-glowna-w-pszczynie-podczas-i-wojny-swiatowej/ar/c15-14896687>.

Boże Narodzenie księżnej Daisy, [online] <https://www.pless.pl/wiadomosci/66538-historyczne-ciekawostki-boze-narodzenie-ksieznej-daisy-pszczyna>.

Czubiński A., *Europa XX wieku. Zarys historii politycznej*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2006.

Daisy – reformatorka społeczna, [online] <https://daisyvonpleess.wordpress.com/2012/05/21/daisy-reformatorka-spoeczna>.

Daisy w amerykańskiej prasie – artykuły prasowe z epoki i fotografie Studia Lafayette, [online] <https://daisyvonpleess.wordpress.com/2011/11/16/daisy-w-amerykanskiej-prasie-artykuly-prasowe-z-epoki-i-fotografie-studia-lafayette>.

Dewastacja zamku Książ, [online] <https://historia-swidnica.pl/dewastacja-zamku-ksiaz>.

Die Spitzenschulen der Fürstin von Pless, „Land und Frau” 1929, nr 13, s. 877.

Dudziak M., Woch M., *Zamek Książ. Historia i tajemnice*, Marek Dudziak JMK, Konin 2020.

Gdzie są perły Daisy?, [online] <http://www.zloty-pociag.com/kafelek/278/gdzie-sa-perly-daisy>.

Górniołek B., Jeske-Cybulska B., *Księżna Daisy. Pani na Książu i Pszczynie*, Kamilia, Mikołów 2002.

Hochberg D. von Pless, *Taniec na wulkanie. 1873–1918*, tłum. M. Palcewicz, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2005.

Jak Daisy spędzała święta, [online] <https://noweinfo.pl/jak-ksiezna-daisy-spedzala-swieta>.

Jak wyglądała próba przebudowy Zamku Książ na kwatery Hitlera?, [online] <https://podroze.onet.pl/ciekawe/zamek-ksiaz-w-walbrzychu-jak-wygladala-proba-przebudowy-na-kwatere-hitlera/cncbwsk>.

Jaworski A., *Hochbergowie – zmierzch śląskich bogów*, [online] <https://kurierhistoryczny.pl/artukul/hochbergowie-zmierzch-slaskich-bogow,494>.

Jenczelewska J., *Czwarta fortuna w Europie, piękne kobiety i skandale jak w Hollywood*, [online] <https://plus.dziennikzachodni.pl/czwarta-fortuna-w-europie-piekne-kobiety-i-skandale-jak-w-hollywood-piekny-film-i-zdjecia/ar/3610227>.

Jerzy V, [online] <https://www.szkolnictwo.pl/szukaj>, Jerzy_V.

Jeske-Cybulska B., *Alte Burg Fürstenstein – Stary Książ*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/03/19/alte-burg-furstenstein-stary-ksiaz>.

Jeske-Cybulska B., *Bezimienna córka Daisy i Hansa of Pless*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/07/14/bezimienna-corka-daisy-i-hansa-of-pless>.

Jeske-Cybulska B., *Czy Daisy mogła pomóc więźniom?*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/03/04/czy-daisy-mogla-pomoc-wiezniom>.

Jeske-Cybulska B., *Damy w samochodach*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2013/04/06/damy-w-automobilach>.

Jeske-Cybulska B., *Duchy w Książu*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/03/26/duchy-w-ksiazu>.

Jeske-Cybulska B., *Friedrich von Hochberg*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2014/02/02/friedrich-von-hochberg>.

Jeske-Cybulska B., *Gdzie jest pochowana księżna Daisy of Pless*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/07/06/gdzie-jest-pochowana-ksiezna-daisy-of-pless-2>.

Jeske-Cybulska B., *Księżna Daisy w kwaterze głównej wojsk cesarskich w Pszczynie*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2013/03/09/ksiezna-daisy-w-kwaterze-glownej-wojsk-cesarskich-w-pszczynie>.

Jeske-Cybulska B., *Kto przeniósł Daisy z Książa do Wałbrzycha*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/03/19/kto-przeniosl-daisy-z-ksiaz-a-do-walbrzycha>.

Jeske-Cybulska B., *Lexel, ukochany syn księżnej Daisy*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/05/19/lexel-ukochany-syn-ksieznej-daisy>.

Jeske-Cybulska B., *Małżeński romans księcia pszczyńskiego*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/08/01/malzenski-romans-ksiecia-pszczyńskiego>.

Jeske-Cybulska B., *Pałac Hochbergów w Berlinie*, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2013/03/02/palac-hochbergow-w-berlinie>.

„*Jesteście nasz książę...*” *Von Hochbergowie w alianckich szeregach*, [online] <https://www.slazag.pl/jestescie-nasz-ksiaz-hochbergowie-w-alianckich-szeregach>.

Koch W.J., *Daisy. Księżna Pszczyńska*, tłum. Z. Żygulski jun., T. Grzybkowska, Muzeum Zamkowe w Pszczynie, Pszczyna 2008.

Księżna Daisy von Pless królowa okładek! Celebrytka swoich czasów i nigdzie niepublikowane zdjęcie Daisy, [online] <https://walbrzych.naszemiasto.pl/ksiezna-daisy-von-pless-krolowa-okladek-celebrytka-swoich/ar/c1-8029925>.

Ludovici L.J., *The Three of Us*, Marjay Books, London 1993.

Łuczynski R.M., *Stokrotka z Książa* [Mary Theresa Olivia von Hochberg], „Sudety” 2004, nr 7, s. 18–20.

„*Ma Fantaisie*”. *Leśna chatka księżnej Daisy von Pless*, [online] <https://zamek-pszczyzna.pl/ma-fantaisie-lesna-chatka-ksieznej-daisy-von-pless>.

„*Mało widziałam w moim życiu tego, co można byłoby porównać z Książem i jego porażającym luksusem*”, [online] <https://tvn24.pl/wroclaw/zamek-ksiaz-w-walbrzychu-i-jego-porazajacy-luksus-relacja-helen-dabernon-zony-brytyjskiego-ambasadora-4579240>.

Materiały Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie, t. 1–7, Wydawnictwo Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie, Pszczyna 1982–1992.

Misztal M., *Królowej Wiktorii spojrzenie na macierzyństwo*, [w:] *Człowiek w teatrze świata. Studia o historii i kulturze dedykowane Profesorowi Stanisławowi Grzybowskiemu z okazji osiemdziesiątych urodzin*, red. B. Popiołek, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej, Kraków 2010, s. 53–68.

Mykytyszyn M., *Hiszpańska pani na Książu i zakochany pasierb*, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/11/16/hiszpanska-pani-na-ksiazu-i-zakochany-pasierb>.

Mykytyszyn M., *Homo-skandal w Książu i rumuńska narzeczona*, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/11/18/homo-skandal-w-ksiazu-i-rumunska-narzeczona>.

Mykytyszyn M., *Zagłdamy do środka rodzinnej posiadłości księżnej Daisy w Walii! Zobaczcie, zdjęcia, które nie były publikowane*, [online] <https://dolnoslaskie.naszemiasto.pl/zgladamy-do-srodka-rodzinnej-posiadlosci-ksieznej-daisy-w/ar/c1-7439773>.

Pless B. von, Mykytyszyn M., *Wspomnienia Śląskiego Księcia, Fundacja Księżnej Daisy von Pless*, Wałbrzych 2022.

Polak J., *Ostatni książę pszczyński Jan Henryk XV Hochberg. Część II*, „Orędownik Kulturalny” 2009, nr 107, s. 12–13.

Polak J., *Poczet panów i książąt pszczyńskich, cz. 2: Od Fryderyka Erdmanna Anhalta do Jana XV Hochberga*, Towarzystwo Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, Pszczyna 2007.

Proces „Oswagu”, „Polonia” 1932, nr 2090, s. 8.

Rostkowski J., *Podziemia III Rzeszy. Tajemnice Książa, Wałbrzycha i Szczawna-Zdroju*, Rebis, Poznań 2011.

Rostkowski J., *Zamek Książ. Zapomniana tajemnica*, Agencja Wydawnicza CB, Warszawa 2007.

Skupin W., *Jeziorko księżnej Daisy – mroczne miejsce, które nie chce być odwiedzane*, [online] <https://polskazachwyca.pl/ciekawostki/jeziorko-ksieznej-daisy-mroczne-miejsce-ktore-nie-chce-byc-odwiedzane>.

Smolarek-Gregorczyk S., *Księżna Daisy von Pless Królową Saby*, [online] <https://zamek-pszczyzna.pl/ksiezna-daisy-von-pless-krolowa-saby>.

Smolarek-Grzegorczyk S., *Kosmopolityczny krąg znajomych księżąt von Pless*, [online] <https://zamek-pszczyzna.pl/kosmopolityczny-krag-znajomych-ksiazat-von-pless>.

Smolarek-Grzegorczyk S., *W skórze debutantki*, [online] <https://zamek-pszczyzna.pl/w-skorze-debiutantki-2>.

Szczepański J., Pachelska K., *Księżna Daisy – dama, która umiłowała Śląsk*, [online] <https://dziennikzachodni.pl/ksiezna-daisy-dama-ktora-umilowala-slask/ar/1037003>.

Szurman A., *Dzisiaj 148 rocznica urodzin księżnej Daisy von Pless. Oto nieznanne fakty i zdjęcia z jej życia*, [online] <https://walbrzych.naszemiasto.pl/dzisiaj-148-rocznica-urodzin-ksieznej-daisy-von-pless-oto/ar/c1-8343556>.

Trzymana na perłowej uwięzi, tłum. M. Mykytyszyn, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/11/21/na-perlowej-uwiezi-skandale-ksieznej-daisy-tlumaczenie-kanadyjskiego-artykułu-z-1921-roku>.

Uroczystości pogrzebowe księżnej von Pless, tłum. M. Mykytyszyn, [online] <https://www.facebook.com/FundacjaDaisy/photos/uroczystosci-pogrzebowe-ksieznej-daisy-von-pless-3-lipca-1943-mauzoleum-w-ksiazu/147771608942527>.

Urodziny Daisy – cała prawda o słynnych perłach, [online] <https://walbrzych.dlwas.info/historia/urodziny-daisy-cala-prawda-o-slynnnych-perlach/cid,12267,a>.

W poszukiwaniu apartamentów księżnej Daisy, [online] <http://www.zloty-pociag.com/arttykul/636/w-poszukiwaniu-apartamentow-ksieznej-daisy>.

W zamku Książ słycać śpiew księżnej Daisy, [online] <https://wroclaw.naszemiasto.pl/w-zamku-ksiaz-slychac-spiew-ksieznej-daisy/ar/c11-479414>.

Wanatowicz M.W., *Wojciech Korfanty i Chrześcijańska Demokracja wobec mniejszości niemieckiej w województwie śląskim*, „Wieki Stare i Nowe” 2001, t. 2, s. 194–226.

Wrona-Gaj W., *Arystokrata a siedziba rodowa. Wpływ zainteresowań i pozycji przedstawicieli rodu Hochbergów i Schafgotschów na kształtowanie architektury rezydencjonalnej*, [w:] *Zamki i pałace Śląska. Dziedzictwo – tożsamość – arystokracja*, red. B. Szczypka-Gwiazda, P. Ziegler, Campania Teatralna „GENESIS” – Europejskie Centrum Kultury i Edukacji, Katowice 2014, s. 34–56.



Przypisy

Rozdział 1

1 J. Polak, Poczci panów i książąt pszczyńskich, cz. 2: *Od Fryderyka Erdmanna Anhaltu do Jana Henryka XV Hochberga*, Pszczyna 2007, s. 131.

2 Tamże.

3 J. Jenczelewska, Czwarta fortuna w Europie, piękne kobiety i skandale jak w Hollywood, [online] <https://plus.dziennikzachodni.pl/czwarta-fortuna-w-europie-piekne-kobiety-i-skandale-jak-w-hollywood-piekny-film-i-zdjecia/ar/3610227>.

4 Majorat – ordynacja rodowa (powiernictwo rodowe, fideikomis familijny), zgodnie z którą majątek był dziedziczony wyłącznie przez najstarszego syna, natomiast w przypadku braku męskich potomków – przez najbliższego krewnego w linii męskiej. Dziedziczony majątek nie mógł być dzielony pomiędzy innych członków rodziny. Zgodnie z zasadami majoratu rodzeństwo dziedzica nie dysponowało dobrami ziemskimi. Córki otrzymywały posag, a młodszy synowie – wykształcenie.

5 J. Polak, Poczci..., dz. cyt., s. 191.

6 B. Borkowy, Wytworne towarzystwo Berlina (artykuł z „The Lady’s Realm”, 1899, s. 203-211), [online] <https://daisypless.wordpress.com/2018/08/13/wytworne-towarzystwo-berlina-artykul-z-the-ladys-realm-1899-str-203-211>.

7 Tamże.

8 B. Borkowy, Wspomnienia o Patsy, cz. I, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2014/08/22/wspomnienia-o-patsy-czesc-i>.

9 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna Daisy. Pani na Książu i Pszczynie, Mikołów 2002, s. 16.

- 10 D. Hochberg von Pless, *Taniec na wulkanie. 1873–1918*, tłum. M. Palcewicz, Kraków 2005, s. 13.
- 11 B. Borkowy, *Wspomnienia o Patsy, cz. II*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2014/08/27/wspomnienia-o-patsy-czesc-ii>.
- 12 B. Górniocek, B. Jeske-Cybulska B., *Księżna...*, dz. cyt., s. 16.
- 13 D. Hochberg von Pless, *Taniec...*, dz. cyt., s. 19–20.
- 14 Tamże, s. 13.
- 15 Tamże, s. 8.
- 16 B. Borkowy, *Wspomnienia o Patsy, cz. I*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2014/08/22/wspomnienia-o-patsy-czesc-i>.
- 17 D. Hochberg von Pless, *Taniec...*, dz. cyt., s. 8.
- 18 Tamże, s. 5.
- 19 B. Borkowy, *Wspomnienia o Patsy, cz. II*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2014/08/27/wspomnienia-o-patsy-czesc-ii>.
- 20 Tamże.
- 21 D. Hochberg von Pless, *Taniec...*, dz. cyt., s. 11–12.
- 22 Tamże, s. 13.
- 23 Tamże, s. 23.
- 24 B. Borkowy, *Wspomnienia o Patsy, cz. II*, [online] <https://daisypleess.wordpress.com/2014/08/27/wspomnienia-o-patsy-czesc-ii>.
- 25 Tamże.
- 26 Tamże.
- 27 D. Hochberg von Pless, *Taniec...*, dz. cyt., s. 23.
- 28 Tamże, s. 22.
- 29 Tamże.
- 30 B. Górniocek, B. Jeske-Cybulska, *Księżna...*, dz. cyt., s. 28.
- 31 D. Hochberg von Pless, *Taniec...*, dz. cyt., s. 24.

32 S. Smolarek-Grzegorzycy, W skórze debutantki, [online] <https://zamek-pszczyzna.pl/w-skorze-debiutantki-2>.

33 Tamże.

34 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 26.

35 Tamże.

36 B. Borkowy, Panna Miles poluje na męża, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2014/01/24/panna-miles-poluje-na-meza>.

37 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 28.

38 Tamże, s. 26.

39 Tamże, s. 29.

40 Tamże.

Rozdział 2

1 Tamże, s. 28.

2 B. Górniocek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 16.

3 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 29.

4 Daisy w Amerykańskiej Prasie – Artykuły prasowe z epoki i fotografii Studia Lafayette, tłum. M. Mykytyszyn, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/11/16/daisy-w-amerykanskiej-prasie-artykuly-prasowe-z-epoki-i-fotografie-studia-lafayette>.

5 Aigrette – pierwotnie przypinka, którą doczepiano czaple pióra do czapek. W czasach późniejszych – biżuteryjna imitująca pióropusz.

6 Daisy w amerykańskiej prasie – artykuły prasowe z epoki i fotografii Studia Lafayette, tłum. M. Mykytyszyn, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/11/16/daisy-w-amerykanskiej-prasie-artykuly-prasowe-z-epoki-i-fotografie-studia-lafayette>.

7 Tamże.

8 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 32.

9 Tamże.

- 10 M. Misztal, Królowej Wiktorii spojrzenie na macierzyństwo, [w:] Człowiek w teatrze świata. Studia o historii i kulturze dedykowane Profesorowi Stanisławowi Grzybowskiemu z okazji osiemdziesiątych urodzin, red. B. Popiołek, Kraków 2010, s. 53–54.
- 11 B. Wernichowska, Zamiast zakończenia. Dama z perłami, [w:] D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 435.
- 12 Urodziny Daisy – cała prawda o słynnych perłach, [online] <https://walbrzych.dlawas.info/historia/urodziny-daisy-cala-prawda-o-slynnych-perlach/cid,12267>, a.
- 13 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 35–36.
- 14 Tamże, s. 53.
- 15 Tamże, s. 35.
- 16 Tamże, s. 43.
- 17 Książ: rododendronowe szaleństwo, [online] <https://walbrzych.dlawas.info/historia/ksi-rododendronowe-ksi-ce-szale-stwo-foto/cid,11896>, a.
- 18 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 44.
- 19 B. Jeske-Cybulska, Duchy w Książu, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/03/26/duchy-w-ksiazu>.
- 20 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 38.
- 21 Sepet – mebel w formie skrzynki z szufladkami, czasem także z pulpitem, służący do przechowywania kosztowności i dokumentów. Zazwyczaj bogato inkrustowany, intarsjowany lub malowany. W Polsce szczególnie popularny na przełomie XVII i XVIII stulecia.
- 22 J. Kruczek, Orient na zamku w Pszczynie, [w:] Materiały Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie, t. 7, Pszczyna 1992, s. 217.
- 23 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 36.
- 24 Tamże, s. 112.
- 25 Tamże, s. 46.
- 26 M. Mykytyszyn: księżna Daisy miała dar otwierania ludzkich serc, wywiad przeprowadził M. Szukała (PAP), [online] <https://dzieje.pl/aktualnosci/m-mykytyszyn-ksiezna-daisy-miala-dar-otwierania-ludzkih-serc>.

- 27 B. Borkowy, Księżna Daisy we wspomnieniach lady Susan Townley, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2012/05/17/ksiezna-daisy-we-wspomnieniach-lady-susan-townley>.
- 28 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 57.
- 29 B. Borkowy, Wytworne towarzystwo Berlina (artykuł z „The Lady’s Realm”, 1899, s. 203-211), [online] <https://daisypless.wordpress.com/2018/08/13/wytworne-towarzystwo-berlina-artykul-z-the-ladys-realm-1899-str-203-211>.
- 30 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 57.
- 31 Tamże, s. 58.
- 32 Tamże, s. 36.
- 33 Tamże.
- 34 B. Borkowy, Księżna Daisy we wspomnieniach lady Susan Townley, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2012/05/17/ksiezna-daisy-we-wspomnieniach-lady-susan-townley>.
- 35 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 64.
- 36 Daisy w amerykańskiej prasie – artykuły prasowe z epoki i fotografie Studia Lafayette, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/11/16/daisy-w-amerykanskiej-prasie-artykuly-prasowe-z-epoki-i-fotografie-studia-lafayette>.
- 37 Tamże.
- 38 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 71.
- 39 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 59.
- 40 B. Borkowy, Nieco więcej o „Małku” – ukochanym księżnej Daisy, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2019/04/27/nieco-wiecej-o-maflu-ukochanym-ksieznej-daisy>.
- 41 B. Jeske-Cybulska, Friedrich von Hochberg, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2014/02/02/friedrich-von-hochberg>.
- 42 Tamże.
- 43 Tamże.

- 44 B. Borkowy, Księżna Daisy we wspomnieniach lady Susan Townley, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/05/17/ksiezna-daisy-we-wspomnieniach-lady-susan-townley>.
- 45 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 87.
- 46 Tamże, s. 87–88.
- 47 Tamże, s. 89.
- 48 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 67.
- 49 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 100.
- 50 Tamże, s. 53.
- 51 Prewet – dawne określenie ubikacji i samego ustępu.
- 52 M. Myktytyszyn, Jak księżna Daisy oczyściła Pełcznicę, [online] <https://www.polska.travel/pl/aktualnosci/jak-ksiezna-daisy-oczyscila-pelcznice>.
- 53 Tamże.
- 54 B. Jeske-Cybulska, Bezimienna córka Daisy i Hansa of Pless, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/07/14/bezimienna-corka-daisy-i-hansa-of-pless>.
- 55 Tamże.
- 56 B. Jeske-Cybulska, Bezimienna córka Daisy i Hansa of Pless, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/07/14/bezimienna-corka-daisy-i-hansa-of-pless>.
- 57 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 64.
- 58 B. Jeske-Cybulska, Bezimienna córka Daisy i Hansa of Pless, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/07/14/bezimienna-corka-daisy-i-hansa-of-pless>.
- 59 Tamże.
- 60 Tamże.
- 61 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 64.
- 62 Tamże, s. 77.
- 63 B. Jeske-Cybulska, Lęk, ukochany syn księżnej Daisy, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/05/19/lek-ukochany-syn-ksieznej-daisy>.

64 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 70.

65 Tamże, s. 169.

66 Tamże, s. 220.

67 Tamże, s. 259.

Rozdział 3

1 „Mało widziałam w moim życiu tego, co można byłoby porównać z Książem i jego porażającym luksusem”, [online] <https://tun24.pl/wroclaw/zamek-ksiaz-w-walbrzychu-i-jego-porazajacy-luksus-relacja-helen-dabernon-zony-brytyjskiego-ambasadora-4579240>.

2 Bajkowy ogród na skale – tarasy Książa, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/12/25/bajkowy-ogrod-na-skale-tarasy-ksiaza>.

3 W poszukiwaniu apartamentów księżnej Daisy, [online] <http://www.zloty-pociag.com/arttykul/636/w-poszukiwaniu-apartamentow-ksieznej-daisy>.

4 Tamże.

5 Tamże.

6 Tamże.

7 J. Polak, Jan Henryk XV książę von Pless życie i działalność (1861-1938), [w:] Materiały Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie, t. 6, Pszczyna 1990, s. 135.

8 Tamże.

9 J. Polak, Ostatni książę pszczyński Jan Henryk XV Hochberg. Część II, „Orędownik Kulturalny” 2009, nr 107, s. 12–13.

10 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 139–140.

11 Fürstlich (niem.) – dosłownie: książęcy.

12 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 132–134.

13 W zamku Książ słyhać śpiew księżnej Daisy, [online] <https://wroclaw.naszemiasto.pl/w-zamku-ksiaz-slychac-spiew-ksieznej-daisy/ar/c11-479414>.

14 „Mało widziałam w moim życiu tego, co można byłoby porównać z Książem i jego porażającym luksusem”, [online] <https://tun24>.

pl/wroclaw/zamek-ksiaz-w-walbrzychu-i-jego-porazajacy-luksus-relacja-helen-dabernon-zony-brytyjskiego-ambasadora-4579240.

15 Chodzi o zbudowany w Wałbrzychu z inicjatywy Jana Henryka XV dom towarowy, w którym przedsiębiorstwa należące do książąt von Pless mogły zaopatrywać się w różnorodne towary po cenach hurtowych.

16 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 194.

17 Tamże.

18 Tamże, s. 132.

19 Jak Daisy spędzała święta, [online] <https://noweinfo.pl/jak-ksiezna-daisy-spedzala-swieta>.

20 Tamże.

21 Daisy – reformatorka społeczna, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2012/05/21/daisy-reformatorka-spoeczna>.

22 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 114.

23 Tamże.

24 B. Borkowy, Wspomnienia o Patsy, cz. I, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2014/08/22/wspomnienia-o-patsy-czesc-i>.

25 Boże Narodzenie księżnej Daisy, [online] <https://www.pless.pl/wiadomosci/66538-historyczne-ciekawostki-boze-narodzenie-ksieznej-daisy-pszczyna>.

26 Bale księżnej Daisy, [online] <https://noweinfo.pl/bale-ksieznej-daisy>.

27 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 83.

28 B. Borkowy, Księżna Daisy we wspomnieniach lady Susan Townley, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2012/05/17/ksiezna-daisy-we-wspomnieniach-lady-susan-townley>.

29 S. Smolarek-Gregorczyk, Księżna Daisy von Pless Królową Saby, [online] <https://zamek-pszczyna.pl/ksiezna-daisy-von-pless-krolowa-saby>.

30 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 76.

- 31 Tamże, s. 108.
- 32 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 254.
- 33 Tamże, s. 255.
- 34 Rumuńska księżniczka w Książu, wybór i tłum. M. Mykytyszyn, [online] <https://historia-swidnica.pl/rumunska-ksiezniczka-w-ksiazu>.
- 35 Tamże.
- 36 Tamże.
- 37 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 109.
- 38 Tamże, s. 110.
- 39 Rumuńska księżniczka w Książu, wybór i tłum. M. Mykytyszyn, [online] <https://historia-swidnica.pl/rumunska-ksiezniczka-w-ksiazu>.
- 40 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 115.
- 41 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 115.

Rozdział 4

- 1 B. Jeske-Cybulska, Damy w samochodach, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2013/04/06/damy-w-automobilach>.
- 2 T. Aronson, Jerzy V i Wilhelm II – królewscy kuzyni, [online] <https://histmag.org/Jerzy-V-i-Wilhelm-II-krolewscy-kuzyni-9848>.
- 3 Tamże.
- 4 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 100.
- 5 Ewidentny błąd w tłumaczeniu – cesarz był siostrzeńcem, nie zaś bratankiem Edwarda VII. W języku angielskim zarówno siostrzeniec, jak i bratanek to „nephew” i stąd zapewne ta niezgodność.
- 6 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 101.
- 7 Tamże, s. 228.
- 8 Tamże, s. 224.
- 9 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 161.
- 10 Tamże, s. 231.
- 11 B. Borkowy, Indyk w Żyrowej, [online] <https://daisyplless.wordpress.com/2013/04/24/indyk-w-zyrowej>.
- 12 Tamże.

- 13 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 83.
- 14 A. Czubiński, Europa XX wieku. Zarys historii politycznej, Poznań 2006, s. 36.
- 15 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 243–244.
- 16 Tamże, s. 245.
- 17 Tamże, s. 244.
- 18 B. Borkowy, Siostrzenice Ursula i Mary, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2012/12/19/siostrzenice-ursula-i-mary>.
- 19 B. Borkowy, Czy Daisy tańczyła tango?, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2012/04/24/czy-daisy-tanczyła-tango>.
- 20 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 259.
- 21 Tamże, s. 268.
- 22 B. Borkowy, Kto śpiewa dwa razy się modli, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2018/01/07/kto-spiewa-dwa-razy-sie-modli>.
- 23 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 176.
- 24 Tamże, s. 177.
- 25 Tamże, s. 185.
- 26 Jerzy V, [online] https://www.szkolnictwo.pl/szukaj,Jerzy_V.
- 27 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 185.
- 28 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 298.
- 29 Tamże.
- 30 Tamże, s. 301.
- 31 T. Borówka, Śląski mały Berlin i Wielka Woda. Cesarz Wilhelm II i jego Kwatera Główna w Pszczynie podczas II wojny światowej, [online] <https://dziennikzachodni.pl/slaski-maly-berlin-i-wielka-wojna-cesarz-wilhelm-ii-i-jego-kwatera-glowna-w-pszczynie-podczas-i-wojny-swiatowej/ar/c15-14896687>.
- 32 J. Polak, Jan Henryk XV książę von Pless życie i działalność (1861–1938), [w:] Materiały Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie, t. 6, Pszczyzna 1990, s. 137.
- 33 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 194.

- 34 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 316.
- 35 Tamże, s. 298.
- 36 Tamże, s. 361.
- 37 Tamże, s. 338.
- 38 Tamże, s. 308.
- 39 B. Borkowy, Wspomnienia o Patsy – część II, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2014/08/27/wspomnienia-o-patsy-czesc-ii>.
- 40 Tamże.
- 41 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 140.
- 42 B. Górniocek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 214.
- 42 B. Górniocek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 217.
- 44 Tamże.

Rozdział 5

- 1 B. Górniocek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 222.
- 2 D. Hochberg von Pless, Taniec..., dz. cyt., s. 290.
- 3 B. Górniocek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 224.
- 4 B. Jeske-Cybulska, Małżeński romans księcia pszczyńskiego, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/08/01/malzenski-romans-ksiecia-pszczyńskiego>.
- 5 Tamże.
- 6 Tamże.
- 7 Trzymana na perłowej uwięzi, tłum. M. Mykytyszyn, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/11/21/na-perlowej-uwiezi-skandale-ksieznej-daisy-tlumaczenie-kanadyjskiego-artykułu-z-1921-roku>.
- 8 Ze świata, „Ilustrowany Kurjer Codzienny” 1925, nr 5, s. 8.
- 9 B. Borkowy, Signor Marconi i Księżna Daisy von Pless, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2012/11/13/signor-marconi-i-ksiezna-daisy-von-pless>.
- 10 Rocznik Gotajski (niem. Almanach de Gotha) – rocznik genealogiczny wydawany w latach 1733–1944 przez wydawnictwo SA

Starke Verlag i obejmujący rody, których godność szlachecka została nadana przez władców niemieckich państw.

11 B. Borkowy, Przygoda Daisy z reklamą, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2012/10/23/przygoda-daisy-z-reklama>.

12 M. Mykytyszyn, Homo-skandal w Książu i rumuńska narzeczona, [online] <https://daisyvonpless.wordpress.com/2011/11/18/homo-skandal-w-ksiazu-i-rumunska-narzeczona>.

13 Tamże.

14 Tamże.

15 B. Borkowy, Kulisy zerwanych zaręczyn, [online] <https://daisypless.wordpress.com/2012/07/11/kulisy-zerwanych-zareczyn>.

16 Tamże.

17 J. Polak, Afery książąt pszczyńskich w okresie międzywojennym, [w:] Materiały Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie, t. 1, Pszczyna 1982, s. 82.

18 Tamże.

19 Proces „Oswagu”, „Polonia” 1932, nr 2090, s. 8.

20 J. Polak, Afery..., dz. cyt., s. 90–91.

21 J. Polak, Licytacja wyposażenia zamków księcia pszczyńskiego w 1934 roku, [w:] Materiały Muzeum Wnętrz Zabytkowych w Pszczynie, t. 2, Pszczyna 1983, s. 131–132.

22 Tamże, s. 139.

23 Tamże, s. 139–140.

24 Tamże, s. 141.

25 Bolko Hochberg von Pless: Daisy? To tylko babcia (cz. 3), wywiad przeprowadziła R. Botor-Pławecka, [online] <https://noweinfo.pl/bolko-hochberg-von-pless-daisy-to-tylko-babcia-cz-3>.

26 M.W. Wanatowicz, Wojciech Korfanty i Chrześcijańska Demokracja wobec mniejszości niemieckiej w województwie śląskim, „Wiek Stary i Nowy” 2001, t. 2, s. 198.

27 Bolko Hochberg von Pless: Daisy? To tylko babcia (cz. 3), wywiad przeprowadziła R. Botor-Pławecka, [online] <https://noweinfo.pl/bolko-hochberg-von-pless-daisy-to-tylko-babcia-cz-3>.

28 B. Jeske-Cybulska, Kto przeniósł Daisy z Książa do Wałbrzycha, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/03/19/kto-przeniosl-daisy-z-ksiaz-do-walbrzycha>.

29 B. Górniołek, B. Jeske-Cybulska, Księżna..., dz. cyt., s. 243.

30 J. Polak, Afery..., dz. cyt., s. 94.

Rozdział 6

1 P. Bejrowski, Zamek Książ – historia skrywająca tajemnice, [online] <https://histmag.org/Zamek-Ksiaz-historia-skrywajaca-tajemnice-23038>.

2 B. Jeske-Cybulska, Kto przeniósł Daisy z Książa do Wałbrzycha, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/03/19/kto-przeniosl-daisy-z-ksiaz-do-walbrzycha>.

3 Tamże.

4 Tamże.

5 P. Bejrowski, Zamek Książ – historia skrywająca tajemnice, [online] <https://histmag.org/Zamek-Ksiaz-historia-skrywajaca-tajemnice-23038>.

6 Uroczystości pogrzebowe księżnej von Pless, tłum. M. Mykytyszyn, [online] <https://www.facebook.com/FundacjaDaisy/photos/uroczystosci-pogrzebowe-ksieznej-daisy-von-pless-3-lipca-1943-mauzoleum-w-ksiazu/1477771608942527>.

7 Tamże.

8 B. Jeske-Cybulska, Gdzie jest pochowana księżna Daisy of Pless, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/07/06/gdzie-jest-pochowana-ksiezna-daisy-of-pless-2>.

9 P. Bejrowski, Zamek Książ – historia skrywająca tajemnice, [online] <https://histmag.org/Zamek-Ksiaz-historia-skrywajaca-tajemnice-23038>.

10 Dewastacja zamku Książ, [online] <https://historia-swidnica.pl/dewastacja-zamku-ksiaz>.

11 Jak wyglądała próba przebudowy Zamku Książ na kwaterę Hitlera?, [online] <https://podroze.onet.pl/ciekawe/zamek-ksiaz-w-walbrzychu-jak-wygladala-proba-przebudowy-na-kwatre-hitlera/cncbwsk>.

12 Tamże.

13 Dewastacja zamku Książ, [online] <https://historia-swidnica.pl/dewastacja-zamku-ksiaz>.

14 Tamże.

15 B. Borkowy, Harold Nicolson ocenia księżną Daisy, [online] <https://daisyfless.wordpress.com/2013/12/02/harold-nicolson-ocenia-ksiezna-daisy>.

16 Tamże.

17 B. Jeske-Cybulska, Gdzie jest pochowana księżna Daisy of Pless, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/07/06/gdzie-jest-pochowana-ksiezna-daisy-of-pless-2>.

18 „Jesteście nasz książę...” Von Hochbergowie w alianckich szeregach, [online] <https://www.slazag.pl/jestescie-nasz-ksiaze-hochbergowie-w-alianckich-szeregach>.

19 Tamże.

20 Tamże.

21 B. Jeske-Cybulska, Gdzie jest pochowana księżna Daisy of Pless, [online] <https://daisyofpless.wordpress.com/2012/07/06/gdzie-jest-pochowana-ksiezna-daisy-of-pless-2>.

22 Tamże.

23 Gdzie są perły Daisy?, [online] <http://www.zloty-pociag.com/kafelek/278/gdzie-sa-perly-daisy>.

24 Urodziny Daisy – cała prawda o słynnych perłach, [online] <https://walbrzych.dlawas.info/historia/urodziny-daisy-cala-prawda-o-slynnych-perlach/cid,12267,a>.

Daisy – niegdysiejsza piękność i ozdoba najznamienitszych europejskich salonów, zmarła w niedostatku, pozostawiając po sobie legendę.



Księżna Daisy von Pless, angielska arystokratka, która poślubiła księcia Jana Henryka XV Hochberga, pana na Książu i Pszczynie, uważana była za najpiękniejszą kobietę Europy przełomu XIX i XX wieku. Przez najbliższych nazywana Stokrotką, wydawała się być dzieckiem szczęścia: charyzmatyczna, podziwiana na salonach, wydana za bajecznie bogatego magnata. Słynęła z nieszablonowego zachowania, poważyla się np. ingerować w politykę, odwieczną domenę mężczyzn, angażując się w negocjacje pokojowe z darzącym ją sympatią cesarzem Wilhelmem II.

Uroda i bogactwo nie przyniosły jej niestety osobistego szczęścia...

Iwona Kienzler, autorka bestsellerowych biografii, przypomina nam tę niezwykłą postać, która urodziła się ponad 150 lat temu i nadal budzi podziw oraz zainteresowanie.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

Patronat medialny



ISBN: 978-83-67654-14-2



cena: 54,99 zł
(w tym 5% VAT)